

KIM HARRISON

KELLEY ARMSTRONG

LORI HANDELAND

LYNSAY SANDS



RANDKI Z PIEKŁA



RANDKI Z PIEKŁA:

KIM HARRISONN - NIEUMARLI W OGRODZIE DOBRA I ZŁA..... 3

KELLY ARMSTRONG - W OBJĘCIACH CHAOSU.....124

LORI HANDELAND - RANDKA Z NIEBOSZCZYKIEM.....253

LYNsAY SANDS - METAMORFOZA.....353

KIM HARRISON

*NIEUMARLI W OGRODZIE
DOBRA I ZŁA*

1

Z telefonem wciśniętym między ramię i ucho Ivy Tamwood nabrała frytkami kolejną porcję chili i nachyliła się nad wzorzystym woskowanym papierem, żeby nic nie spadło jej na biurko. Kisten na coś psioczył, ale go nie słuchała, bo wiedziała, że może tak gadać przez pół obiadu. Miło było budzić się koło niego po południu i cudownie figlować z nim przed wschodem słońca, ale zdecydowanie za dużo mówił.

I właśnie dlatego się dogadujemy, pomyślała i przesunęła językiem po zębach, zanim przełknęła. W drodze powrotnej z Kalifornii jej świat zbyt szybko stał się znów cichy. Mój Boże, naprawdę minęło już siedem lat? Zabrać dziecko żywych wampirów wyższej krwi z rodzinnego domu na ostatnie dwa lata liceum i wychować je w życzliwej camarilli - to dość niezwykle, ale Piscary, wyższy wampir, do którego zwróciła się jej rodzina, zainteresował się nią szczególnie, jeszcze zanim posiadała mentalne narzędzia, dzięki którym mogła się przed nim obronić. Interwencja jej rodziców prawdopodobnie pozwoliła jej zachować zdrowe zmysły.

Byłam taka samotna, że mogłabym się zaprzyjaźnić nawet z Freudem, pomyślała Ivy i wzięła kolejny kęs białka i węglowodanów. Dwadzieścia trzy lata to wystarczająco

dużo, żeby wymazać z pamięci tę przestraszoną szesnastolatkę na zalanym słońcem pasie startowym, ale nawet teraz, mimo tylu partnerów, z którymi dzieliła krew i łóżko, mimo dyplomu z nauk społecznych i rewelacyjnej pracy, w której mogła wykorzystywać zdobywaną przez sześć lat wiedzę, widziała, że jej pewność siebie zależała nadal właśnie od tego, przez co była taka stuknięta.

Tęskniła za Skimmer i za tym, jak ciągle jej przypominała, że życie to coś więcej niż wyczekiwanie na koniec, więc lepiej zacząć żyć. I chociaż Kisten w ogóle nie przypominał jej szkolnej współlokatorce, w ciągu ostatnich lat całkiem nieźle udawało mu się wynagrodzić Ivy jej brak.

Spojrzała ze złośliwym uśmiechem przez szklaną ścianę, która wychodziła na biurową salę. Poprawiła się na krześle i krzyżując nogi w kolanach, nachyliła się niżej nad biurkiem, wyobrażając sobie, jakie braki Kisten mógłby jej wynagrodzić w następnej kolejności.

- Cholerne wampirze feromony - westchnęła i się wyprostowała. Nie podobało jej się to, o czym zaczynała myśleć, kiedy spędzała za dużo czasu na niższych poziomach wieży Inderlandzkiej Służby Bezpieczeństwa. Praca w wydziale zabójstw ISB zapewniła jej gabinet z prawdziwego zdarzenia zamiast biurka na środku Sali dzielonej z gośćmi, ale tu na dole było za dużo wampirów - żywych i nieumarłych - żeby powietrze nadążało z cyrkulacją.

Kisten zakończył raptownie swoją tyradę na temat dowcipów telefonicznych.

- A co wampirze feromony mają wspólnego z atakami ludzi na moich roznościcieli pizzy? - zapytał z kiepskim

brytyjskim akcentem. To było jego najnowsze zmartwienie, a ona miała nadzieję, że sam się niedługo nim znudzi.

Ivy przysunęła fotel do biurka i pociągnęła wodę z butelki, zerkając nieufnie na zamknięte drzwi do gabinetu szefa po drugiej stronie dużego pokoju.

- Nic. Mam coś kupić w drodze do domu? Może uda mi się wyrwać wcześniej. Art jest u siebie, a to znaczy, że ktoś zginął i muszę wracać do pracy. Mogę się założyć o pierwsze ukąszenie, że będzie chciał skrócić mi przerwę. - Wzięła jeszcze łyk. - Ale odbiorę ją sobie na koniec dnia.

- Nie - powiedział Kisten. - Dziś Danny robi zakupy.

Jedna z korzyści mieszkania nad restauracją, pomyślała, kiedy Kisten zaczął się rozwodzić na temat listy zakupów, która niezbyt ją obchodziła. Zdjęła talerz z frytkami z biurka i postawiła go sobie na kolanach, uważając, żeby nie poplamzić skórzanych spodni. Drzwi do gabinetu szefa otworzyły się, a jej wzrok powędrował do wychodzącego Arta, który żegnał się z panią Pendleton. Był u siebie całe pół godziny. Trzymał stos dokumentów, a Ivy na ich widok skoczyło ciśnienie. O wiele za długo siedziała na tyłku i badała zabójstwa, których nie wykrył Art. Ten facet nie powinien pracować w wydziale zabójstw. Martwy nie znaczy mądry.

Chyba że mądrość polega na tym, żeby kazać nam dzielić się krwią z nieumarłymi. Ivy zmusiła się do jedzenia, myśląc przy tym, że nieumarli obrali sobie za cel swoich żywych wampirzych krewniaków głównie z zazdrości, a nie - jak twierdzili - z troski o utrzymanie dobrych

stosunków międzyludzkich. Ivy urodziła się z wampirzym wirusem w genomie, więc dostało jej się sporo zalet nieumarłych, ale bez nieprzyjemności związanych ze śmiertelnym światłowstrętem i bólem w kontakcie z artefaktami religijnymi. I choć nie mogła się równać z Artem, miała znacznie lepszy słuch i była silniejsza niż ludzie, a jej zmysł powonienia był tak wyostrzony, że wylapywała subtelny zapach potu i feromonów. U nieumarłych zapotrzebowanie na krew uległo mutacji. Z potrzeby fizjologicznej zmieniło się w żądzę krwi, która, gdy ją zaspokoić, dawała przyjemność i nic poza tym... a gdy połączyć z seksem - uzależniała.

Jej spojrzenie powędrowało mimo woli do Arta, a on uśmiechnął się do niej z drugiego końca szerokiego pokoju, jakby czytał jej w myślach; szedł równym krokiem, a w ręce trzymał plik kartek, którymi wymachiwał jak sztandarem. Ivy w jednej chwili straciła apetyt, określiła się na fotelu i odwróciła tyłem.

- Słuchaj, Kist - powiedziała, przerywając mu wywód na temat kiepskiej jakości pieczarek, które kupił ostatnio Danny. - Zmiana planów. Sądząc po ilości papierów, Art. planuje generalne porządki. Nie wrócę przed wschodem słońca.

- Znów?

- Znów? - zaczęła go przedrzeźniać, bawiąc się kolorowym piórem, ale nagle zorientowała się, że sygnalizuje w ten sposób swój nastrój i odłożyła je na biurko z gwałtownym stuknięciem. - Boże, Kisten. Mówisz tak, jakby to było codziennie.

Kisten westchnął.

- Zostaw papierkową robotę na jutro, kochanie. Nie wiem, po co wypruwasz sobie flaki. Nie awansujesz, póki nie puścisz się z Artem bękartem.

- Ty tak twierdzisz. - Poczowała, że policzki zaczynają jej płonąć, a chili na języku gasnąć. Cisnęła talerz na biurko i dalej siedziała z szeroko rozsuniętymi nogami w kozakach, mimo że tak naprawdę miała ochotę komuś przyłożyć. Jak do tej pory filozofia sztuk walki pozwoliła jej uniknąć wizyty w sądzie; Ivy uważała, że opanowanie to jej drugie imię.

- Kiedy się zatrudniałaś, wiedziałaś, jaki jest układ - nudził Kisten, a Ivy naciągnęła rękawy obcisłego czarnego sweterka po same nadgarstki, żeby ukryć blade blizny. Czuła, że Art przechodzi przez pokój, a w brzuchu poczuła łaskotanie adrenaliny. Wychodzimy, powiedziała do siebie, ale wiedziała, że to Art był przyczyną jej poruszenia, a nie nadzieja, że wyrwie się z biura.

- Jak sądzisz, dlaczego wolałem pracować z Piscarym, a nie dla ISB? - ciągnął Kisten; słyszała to aż za często. - Daj mu, co chce. Mnie to nie przeszkadza. - Roześmiał się. - Cholera, byłoby nawet miło, gdybyś przyszła do domu i miała ochotę na film, a nie na moją krew.

Ivy sięgnęła po wodę na biurku i dopiła ją, ocierając starannie kąciki ust małym palcem. Znała zasady - cholera, dorastała wśród nich - ale to wcale nie oznaczało, że podobali jej się ludzie, wśród których była zmuszona pracować. Patrzyła, jak doprowadzili jej matkę do śmierci, patrzyła, jak wykańczali jej ojca, jak zabijali go po kawałku. To była dla niej jedyna droga. I była w tym dobra. Bardzo dobra. I to ją najbardziej martwiło.

Cała zeszytniała, gdy Art wbił jej w kark spojrzenie swoich brązowych oczu. Nieumarłe wampiry spoglądały na nią od kiedy skończyła czternaście lat; dobrze знаła to uczucie.

- Myślałam, że zostałeś z Piscarym ze względu na jego plany stomatologiczne - zauważyła sarkastycznie. - Z zębami wbitymi w szyję.

-Ha, ha. Bardzo śmieszne - powiedział Kisten, ale jego dobry humor nie złagodził jej niepokoju.

- Lubię to, co robisz. - Uniosła rękę, jakby chciała zapukać w otwarte drzwi. Nie odwróciła się, wyczuwając podniecający, pełen erotyzmu zapach nieumarłego wampira stojącego w drzwiach. - Jestem w tym cholernie dobra - dodała, żeby przypomnieć Artowi, że to dzięki niej w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wzrosła wykrywalność zabójstw. - Przynajmniej nie muszę zarabiać na pizzy.

- Ivy, to nie było fair.

To był cios poniżej pasa, ale Art ją obserwował, a to każdego wyprowadziłoby z równowagi. Przez sześć miesięcy wspólnej pracy zdążył już wychwycić każde jej dziwactwo i nauczył się rozpoznawać po jej pulsie i oddechu wszystko, co ją podniecało. Ostatnio wykorzystywał tę wiedzę do własnych celów i zamienił jej życie w piekło. Problem nie w tym, że nie był atrakcyjny - mój Boże, każdy z nich był atrakcyjny - ale w tym, że od ponad trzydziestu lat pracował na tym samym stanowisku. Jego brak ambicji sprawiał, że nie miała ochoty rzucać mu się do szyi, a kiedy instynkt pchał ją do czegoś wbrew jej przekonaniom, czuła potem niesmak.

Co gorsza, kiedy po raz pierwszy wróciła do domu żadna krwi i zobaczyła, że Piscary już na nią czeka, zdała sobie sprawę, że wyższy wampir najwyraźniej dobrał jej współnika, wiedząc, że Ivy będzie mu się opierać - i że Art będzie na nią naciskać - co w końcu doprowadzi do tego, że po powrocie do domu będzie wprost spragniona małej dekompresji. Smutne było to, że nie była już pewna, czy opiera się Artowi dlatego, że go nie lubi, czy też dlatego, że rajcuje ją niepewność, z kim będzie mogła sobie potem pofolgować: z Piscarym, z Kistenem, czy może z obydwojema naraz.

Jednak jej słabość nie usprawiedliwiała tego, że warczała na Kistena.

- Przepraszam - powiedziała w pełnej urazy ciszy.

Kisten mówił delikatnym i wyrozumiałym głosem, bo dobrze wiedział, że Art ostro z nią pogrywał.

- Musisz kończyć, kochanie? - zapytał z tym beznadziejnym akcentem. W kogo on tak w ogóle próbował się wcielić?

- No. - Kisten milczał, więc Ivy dodała: - Do zobaczenia wieczorem. - Gardło ścisnęło jej się dziwnie, a wewnątrz narastała potrzeba fizycznego kontaktu. To był pierwszy etap niepohamowanego wybuchu żądy krwi i nie miało znaczenia, czy wywołał ją Kisten, czy Art. Bo to Art będzie próbował coś zyskać.

- Cześć - odpowiedział sztywno Kisten i się rozłączył. Powiedział, że mu to nie przeszkadza, ale i on, i ona byli żywi i odczuwali te same emocje i zazdrość co wszyscy. To, że podchodził z taką wyrozumiałością do wyborów, których musiała dokonywać, tylko pogarszało sprawę.

Często jej się wydawało, że są jak dzieci z patologicznej rodziny, w której miłość została wypaczona przez seks, a najłatwiej było przetrwać dzięki uległości. Jej mentalne kajdany były wytworem jej własnego ciała, a manipulacja tylko je umacniała. A Ivy nie wiedziała, czy w ogóle by je zerwała, gdyby mogła.

Odłożyła słuchawkę i przyjrzała się swoim bladym palcom. Nawet nie zadrżały. Nic nie wskazywało na jej rosnące podniecenie. To dzięki temu utrzymywała je na wodzy - przez swój spokój, opanowanie i brak emocji. Nauczyła się tego, pracując w pizzerii Piscary'ego w wakacje. Opanowała to tak dobrze, że tylko Skimmer wiedziała, kim tak naprawdę chciała być Ivy, chociaż kochała Kistena na tyle mocno, żeby i przed nim odsłonić trochę prawdy.

Starannie usuwając z twarzy wszystkie emocje, okręciła się w fotelu i musnęła czubkami butów wypłowiały dywan. Art stał wyczekująco w drzwiach ze stosem dokumentów w długich palcach. Najwyraźniej mieli robotę. Sądząc po ilości papierów, nie mogło to być nic pilnego. Pewnie porządki z czasów, kiedy jeszcze z nim nie pracowała i zanim zaczęła podążać za nim ze zmiotką i szufelką.

- Jem - powiedziała, jakby sam nie widział. - Czy to nie może poczekać cholernych dziesięciu minut?

Martwy wampir - z metryki co najmniej pięćdziesiąt lat starszy od niej, a z wyglądu jej rówieśnik - przechylił głowę wyćwiczonym ruchem kogoś, kto chce emanować sprytem i klasą, a jednocześnie solidną dawką seksapilu. Miękkie czarne loki okalały jego twarz i przykuwa-

ły wzrok Ivy. Delikatne chłopięce rysy i jędrne pośladki sprawiały, że wyglądał jak członek boysbandu. A jeśli się nie starał, z charakteru też niewiele się od niego różnił. Ale na Boga, pachniał nieziemsko, a jego zapach mieszał się z jej własnym i wyzwał całą serię reakcji chemicznych, od których podniosło się jej ciśnienie i libido.

- Zaczekam - powiedział z uśmiechem.

Cudownie. Zaczeka. Wystudiowany głos Arta przyprawił ją o dreszcz zniecierpliwienia, które zagnieździło się u podstawy jej kręgosłupa. Cholera jasna, ależ był głodny. A może znudzony. Ale zaczeka. Czekał już sześć miesięcy, starając się dowiedzieć, jak najlepiej ją zmanipulować. A ona wiedziała, że jeśli mu na to pozwoli, będzie bardziej niż przyjemnie.

Żądza krwi u żywych wampirów ściśle się powiązała z ich popędem seksualnym, co było ewolucyjną adaptacją zapewniającą nieumarłym wampirom dobrowolnych dawców krwi, dzięki którym mogli zachować zdrowe zmysły. „Licytacja” własnej krwi równała się erotycznej ekstazie; im starszy i bardziej doświadczony wampir, tym większe podniecenie; szczytem było oczywiście dać się „zlicytować” potężnemu nieumarłemu.

Art był martwy od czterdziestu lat i minął już niebezpieczną granicę trzydziestki, kiedy to większość nieumarłych nie potrafi zachować zdrowych zmysłów i postanawia wyjść na słońce. Tajemnicą było natomiast, dlaczego nadal pracował. Musiał potrzebować pieniędzy^ bo z całą pewnością nie radził sobie w robocie.

Wampir stał w progu i oddychał głęboko, rozpoznając nastrój Ivy po tym, jak wciągała słabą woń. Wyczuwając

jej podniecenie, Art poruszył się, obszedł jej biurko i rozsiadł się na skórzanym fotelu w rogu. Ivy zmartwiała, a jej puls przyspieszył. Art był jedyną osobą, która siadała w tym miejscu. Większość ludzi szanowała, że nie lubiła spoufalać się w biurze - jeśli sarkazm i jawna obojętność nie wystarczały. Z drugiej jednak strony Art nie cenił jej za osobowość, ale za reputację, której nie miał jeszcze okazji sprawdzić.

Ivy wypuściła powietrze i wbiła wzrok w nieskazitelnie czyste biurko. On był martwy, ona żywa. Każde z nich było wampirem spragnionym krwi: ona z pobudek seksualnych, on - żeby przeżyć. Boskie połączenie - albo piekielne.

Art rozparł się na siedzeniu, oparł kostkę długiej nogi na kolanie, dzięki czemu wyglądał jednocześnie władczo i na luzie. Odgarnął do tyłu włosy i przesunął znacząco palcami po twarzy, zawsze gładko ogolonej, co miało mu pomóc wkupić się w łaski młodszych, bardziej podatnych na to, co miał do zaoferowania.

Przebiegł ją dreszcz oczekiwania. Nie miało znaczenia, że jego źródłem nie było szczere zainteresowanie, tylko feromony, którymi Art nasycał powietrze. Pragnienie zaspokojenia było w niej równie silne, jak pragnienie tlenu. Nieodparte. A może rzeczywiście lepiej mieć to za sobą? Jeśli wierzyć plotkom, do niczego nie doszło, bo się opierała, a nie dlatego, że tego od niej oczekiwano. Z tego właśnie powodu Art siedział tu w swoich drogich spodniach, koszuli i butach za dwieście dolarów, z tym swoim zadufanym uśmiechem niegrzecznego chłopca. Umarli mogli sobie pozwolić na cierpliwość.

- Porządkujesz swoje sprawy? - spytała sucho, zerkając na stos papierów i odchylając się do tyłu. Chciała skrzyżować ręce na piersi, ale zamiast tego oparła obcasy kozaków o brzeg biurka. Pewna siebie. Panowała nad sobą i swoim pożądaniami. Gdyby Art rzucił na nią czar, mógłby ją zamienić w uległą petentkę, ale to by było nieuczciwe, a on straciłby coś więcej niż twarz, straciłby szacunek wszystkich wampirów z wieży. Musiał wykupić jej krew. Każdy się spodziewał, że będzie pogrywał z jej żądzą, ale gdyby użył czarów, doprowadziłby Piscary'ego do wściekłości. Ivy nie była człowiekiem, żeby można ją było w ten sposób wykorzystać, a potem odpowiednio „zretuszować” dokumenty. Była ostatnią żywą przedstawicielką wampirów z rodu Tamwoodów, a to wymuszało szacunek, zwłaszcza z jego strony.

- Morderstwo - powiedział, a jego zęby zaśniły bielą na tle śniadej skóry, która od kilkudziesięciu lat nie widziała słońca. - Moglibyśmy dotrzeć na miejsce przed przybyciem fotografa, jeśli skończyłaś już... jeść.

Pozwoliła sobie na lekkie zaskoczenie. Morderstwo nie wiązałoby się z taką ilością dokumentów. Już nie. Na tyle wysoko podciągnęła odsetek rozwiązanych spraw, że często zjawiali się na miejscu zbrodni jako pierwsi. Co oznaczało, że dostawali tylko adres, a nie całą kartotekę. Jej wzrok znów padł na dokumenty, które Art położył sobie na kroczu i przesunął tak, żeby popatrzyła dokładnie tam, gdzie chciał. Na jej twarzy pojawiła się irytacja. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy, a on uśmiechnął się szerzej, żeby rozdrażnić ją przelotnym błyskiem kłów.

- To? - powiedział, wstając zgrabnie, znacznie szybciej niż zwykły człowiek. - To twoja półroczna ocena. Gotowa? Droga przez most na Zapadlisku jest wolna.

Ivy podniosła się, trochę odruchowo, trochę z niepokoju. Spisywała się w pracy na medal. Art nie chciał, żeby pięła się w górę i wymknęła się spod jego zwierzchnictwa, jednak najczarniejszy scenariusz oznaczał naganę, na którą w żaden sposób nie zasłużyła. Choć właściwie najgorzej by było, gdyby wystawił jej gówniane referencje i utknęłaby tu na kolejne pół roku.

Praca w wydziale zabójstw miała być tylko krótkim przystankiem na drodze do miejsca, które było jej przeznaczone, w wyższym zarządzie, gdzie zasiadała jej matka i gdzie widział ją sam Piscary. Dała sobie pół roku, no może rok, na pracę z Artem, do czasu gdy podszkoli się na tyle, że będzie mogła przejść do wydziału arkanów, potem do zarządu, a w końcu do biura w podziemiach. Dzięki Bogu pieniądze i wykształcenie pozwoliły jej przeskoczyć najniższe stanowisko posłańca. Posłańcy plasowali się na samym dole w wieży ISB, byli to gliniarze wystawiający na skrzyżowaniach mandaty za parkowanie. Gdyby zaczynała od takiej pozycji, byłaby do tyłu o dobre pięć lat.

Jak zawsze pewny siebie i uprzejmy, Art przecisnął się obok niej, musnął jej plecy w geście zawodowej zażyłości, któremu nikt nie mógłby nic zarzucić, i wyprowadził ją z gabinetu.

- Weźmy moje auto - powiedział i sięgnął za drzwi po jej torebkę i płaszcz, po czym podał je Ivy. Na dźwięk metalicznego pbrzękiwania wystawiła oczekująco dłoń i złapała rzucone jej klucze. - Ty prowadzisz.

Nie odezwała się ani słowem, a w miejsce jej niewyraźnej żądzы krwi pojawił się niepokój. Skoro on był zadowolony z jej oceny, ona nie będzie. Wymachując rękami, jakby wcale się tym nie przejmowała, poszła z nim do windy, zmuszona spojrzeć w twarz kilku osobom jedzącym lunch przy swoich biurkach, co było dla niej dość nietypowe. Z nikim się nie zaprzyjaźniła, więc zamiast współczucia spotkała się tylko ze złośliwą satysfakcją.

Jej napięcie rosło, starała się więc wyrównać oddech i uspokoić tętno. Bez względu na to, co Art napisał w jej ocenie, będzie musiała tu zostać - jej nazwisko i pieniądze dalej jej już nie zaprowadzą. Jeśli nie zacznie snuć biurowych intryg, utknie tu. Z Artem? Oszałamiająco pachnącym, olśniewająco przystojnym, a przy tym nijakim Artem?

- Pieprzyć to - szepnęła, czując, jak skóra nabrzmiewa jej od krwi, a umysł zaczyna pracować na przyspieszonych obrotach. Nie dopuści do tego. Będzie pracować tak dobrze i tak ciężko, że Piscary porozmawia z panią Pendleton, wyciągnie ją stąd i przeniesie tam, gdzie jej miejsce.

- O to właśnie chodzi - mruknął Art, do którego dotarły tylko jej słowa, a nie myśli. Ale Piscary jej nie pomoże. Ten drań pośrednio korzystał z tego, że wracała do domu sfrustrowana i wygłodniała po wszystkich próbach Arta, żeby ją uwieść dla krwi. Jeśli nie będzie umiała sama znaleźć wyjścia z tej sytuacji, to znaczy, że zasługuje, żeby do końca życia upokarzać się i sprzątać brudy po Arcie.

Zatrzymali się w szerokim korytarzu przy dwóch windach. Ivy stała z wysuniętym biodrem i wściekła

wsluchiwała się w ciche rozmowy dochodzące z pobliskich gabinetów. Art był atrakcyjny - tym bardziej, im więcej wydalał feromonów, Panie Boże broń - ale ona go nie szanowała, a gdyby instynkt wziął górę nad jej racjonalnym myśleniem, choćby tylko dla awansu, byłaby to dla niej osobista porażka.

Nachylając się znacznie niżej niż to konieczne, Art nacisnął przycisk „Góra”. Poczula jego zapach i opychając od siebie uczucie przyjemności, zobaczyła, że patrzy na ciężki zegar nad drzwiami i sprawdza, czy zaszło już słońce. Czula, że jest pewny, że przed wschodem słońca dopnie swego, i wkurzało ją to.

Przytupywała nogą w kozaku, podobnie jak jej odbicie w podwójnych srebrnych drzwiach. Stojący za nią Art obserwował ją ze znaczącą miną na swojej przesłodzonej buźce. Dupek. Seksowny, wpływowy, zarozumiały dupek. Przez to kim była, spodziewano się, że będzie awansować dzięki swojej krwi, a nie dzięki umiejętnościom czy wiedzy. Tak wampiry załatwiały interesy. Zawsze tak było. Zawsze tak będzie. Jeśli wampir upatrzył sobie kogoś, kto nie jest wampirem, wystarczyło podpisać kilka papierów i zastosować się do paru przepisów, ale ponieważ Ivy od urodzenia była wpisana w ten system, czula, że podlega zasadom znacznie starszym niż prawo ludzi czy Inderlandu. Ponieważ oddawanie krwi innym sprawiało jej przyjemność, czula się jak dziwka, zwłaszcza jeśli na koniec zostawała sama. A wiedziała, że z Artem tak właśnie by było.

Jak mawiała jej matka, jedyna droga ucieczki to dawać to, czego od niej chcą, i sprzedawać się, dopóki nie dotrze

na szczyt, gdzie nikt już nie będzie miał do niej żadnych praw. Jeśli to zrobi, dostanie awans i nie będzie podlegać Artowi, tylko komuś trochę od niego mądrzejszemu i bardziej zdeprawowanemu. W drodze na szczyt każdy zechce jej spróbować. Boże, równie dobrze mogłaby wyrwać sobie kły i zamienić się w cień, po który nikt nie sięgnie. Ale ona dorastała przy Piscarym i nauczyła się, że im potężniejszy i starszy był wampir, tym subtelniej umiał manipulować, a w ostateczności można to było wziąć za miłość.

Oddychając powoli, sięgnęła do kucyka, w który zebrała po południu włosy, ściągnęła gumkę i rozpuściła czarne, sięgające pasa włosy. Odziedziczyła je po matce, tak jak brązowe oczy. Metr osiemdziesiąt wzrostu i bladą cerę miała po ojcu. Jej azjatyckie korzenie podkreślała owalna twarz, usta w kształcie serca, cienkie brwi i jędrne od uprawiania sztuk walki, długonogie ciało. Kolczyki nosiła tylko w uszach i w pępku - miała tam kółeczko, do którego przekonała ją Skimmer po egzaminach końcowych w Brimestone i które zachowała na pamiątkę. Dwadzieścia trzy lata i już jestem zmęczona życiem.

Art wpatrywał się w jej odbicie i pociemniały mu oczy, kiedy Ivy zmieniła pozycję z poirytowanej na zmysłową. Boże, ależ tego nienawidziła... ale przecież dla niej to też będzie przyjemne. Co, do cholery, było z nią nie tak?

Odsunęła się od Arta, oparła od niechcienia plecami o ścianę i przesunęła jedną stopę do tyłu, opierając ją na palcach w oczekiwaniu na windę.

- Jesteś głupi, jeśli uważasz, że pozwolę na to, żebym przez kiepską ocenę utknęła w równie beznadziejnej robocie - powiedziała i mało ją obchodziło, czy usłyszał ją

ktoś w pobliżu. Pewnie i tak robili zakłady, kiedy i gdzie Art się w nią wpije.

Art wykonał powolny, zmanierowany ruch, jego czarne źrenice się rozszerzyły. Wiedział, że ma ją w garści; to była gra wstępną. Zamknęła oczy, kiedy przyłożył jej dłoń do głowy i szepnął jej do ucha:

- Lubię, jak chodzisz za mną i robisz za mnie porządek. Jak odwalasz brudną robotę. Jak bierzesz na siebie całą papierkową robotę.

Pachniał popiołem z liści, gęstym od dymu, a jego zapach docierał prosto do pierwotnej części jej mózgu i uruchamiał, co trzeba. Wstrzymała oddech, a potem zaczęła oddychać szybciej. Zawahała się i z uczuciem nienawiści do samej siebie, które zniknęło i pojawiało się jak słońce, wzięła głęboki oddech i wciągnęła głęboko w płuca jego zapach, otulając swoją niechęć do niego słodką obietnicą ekstazy, zagłuszając postanowienie, żeby go unikać, szybką, gorzką żądzą krwi. Wiedziała, co robi. Wiedziała, że będzie przyjemnie. Czasem sama się dziwiła, czemu aż tak się tym zadrecza. Kisten się nie zadreczał.

Upuściła kluczyki na dywan razem z płaszczem i torebką, objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie, w środku usłyszała głos zachęty, zagłuszający jej myśli, uciszający zdrowy rozsądek, żeby ocalić jej rozum.

- Co, chcesz wpłynąć na moją ocenę?

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła, że uśmiechnął się szerzej, kiedy się do niego przysunęła. Płatek jego ucha zrobił się ciepły, kiedy dotknęła go wargami i zaczęła ssać, lekko tylko zaciskając na nim zęby. Art przesunął palcami po jej obojczyku, położył rękę na jej ramieniu

i wsunął palce pod bluzkę. Czując ciepło, przymknęła oczy, napięła mięśnie. On chuchnął na nią, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że obudzi w niej cudowną żądzę, a potem brutalnie ją zaspokoi.

Rozległ się dzwonek windy i drzwi rozsunęły się, ale żadne z nich się nie poruszyło. Art oddychał głęboko, drzwi się zamknęły, a on wydał mimowolny pomruk, który przeniknął do najgłębszych zakamarków jej duszy.

- Twoja papierkowa robota jest bez zarzutu - powiedział, przesuając rękę i obejmując ją za kark.

Jej ciałem wstrząsnęła żądza krwi. Bez namysłu przyciągnęła go gwałtownie do siebie i okręciła się jednocześnie tak, że uderzył plecami o ścianę tam, gdzie przed chwilą sama stała. Dysząc ciężko, spojrzała w jego wygłodniałe oczy. Czując, że zaciska zęby i że rozszerzają się jej źrenice. Po co to odkładała? Będzie niezmiernie. Co ją obchodziło, czy go szanuje? Tak jakby on szanował ją? Tak jakby którykolwiek z nich ją szanował?

- I mam fenomenalne zdolności śledcze - powiedziała, wsuwając długą nogę między jego nogi, zahaczając stopę o jego but i przyciągając go tak, że zetknęli się biodrami. W żyłach zaszumiała jej adrenalina, obietnica czegoś więcej.

Art uśmiechnął się i odsłonił pośmiertne długie kły. W porównaniu z nimi kły Ivy były krótkie, ale wystarczająco ostre, żeby zrobić, co trzeba. Nieumarłe wampiry je uwielbiały. Podobnie jak pedofil uwielbia dzieci.

- To prawda - wyznał. - Ale masz kiepskie zdolności interpersonalne. - Uśmiechnął się szerzej. - A dokładniej mówiąc, w ogóle ich nie masz.

Ivy zaśmiała się cicho, głęboko i z prawdziwym rozbawieniem.

- Robię, co do mnie należy, Artie.

Wampir odsunął się od windy i razem zatoczyli się na przeciwną ścianę. Ivy zacisnęła zęby, bo czuła, że Art próbuje fizycznie na nią wpłynąć, sprawić, żeby poddała się swoim zwierzęcym instynktom. Odkładała to tak długo, że gdyby tylko zechciała, wszystko mogłoby trwać nawet całą noc.

- Problem nie z twoją pracą. - Art wyznaczył palcami ślad, którym chciałby podążyć ustami, ale w wieży panowały surowe przepisy zakazujące wysysania krwi. Mogła się z nim drażnić, flirtować, doprowadzać go do obłędu, pozwolić się doprowadzić do granic wytrzymałości, ale bez krwi. To później. - Problem z twoim zaangażowaniem - ciągnął, a Ivy cała zadrzała, kiedy musnął wargami jej szyję. O Boże, znalazł starą bliznę. Serce jej waliło, odepchnęła go i obróciła tak, że znów znalazł się między nią a ścianą. Pozwolił jej na to.

- Angażuję się. - Oparła mu rękę na ramieniu i popchnęła go do tyłu. Uderzył głucho w ścianę, a jego czarne oczy błysnęły zza czarnych loków. - Co się znajdzie w mojej ocenie, panie Artie? - Nachyliła się do jego szyi, wzięła między wargi fałdę skóry i zaczęła ją ssać. Zamknęła oczy i w miarę jak przenikała ją jej własna żądza krwi, zapomniała, że stoją w korytarzu z windami, głęboko pod ziemią, wśród szumu wentylatorów i ciemności rozjaśnianej elektrycznym światłem.

Art poddał się uczuciom, które, jak wiedziała, sama w nim wzbudzała, i pozwalał im narastać. Był wystar-

czająco długo martwy, by nauczyć się panować nad sobą w takim stopniu, żeby przedłużyć grę wstępną do granic wytrzymałości.

- Jesteś kłótniwa, zamknięta w sobie i nie lubisz pracy zespołowej - powiedział zachrypniętym głosem.

- Och... - Nadąsała się i złapała go za włosy przy samej skórze tak mocno, żeby zabolalo. - Nie jestem taka zła, panie Artie. Jestem małą, grzeczną dziewczynką... o ile mnie odpowiednio zmotywować.

Mówiła z nutką przekory, żartobliwie, a jednocześnie władczo, na co on odpowiedział głuchym pomrukiem. Uderzył ją jego żar i rozluźniła zacisnięte palce. Doprowadziła go na skraj wytrzymałości.

Poruszył się tak szybko, że bardziej poczuła, niż zobaczyła jego ruch. Gwałtownie złapał ją za ręce, położył je siłą na swoich czarnych lokach opadających na szyję i znów je na nich zacisnął.

- Twoja ocena jest subiektywna. - Spojrzał na nią tak, że aż wstrzymała oddech, a czas się zatrzymał. - To ja decyduję, czy dostaniesz awans. Piscary mówił, że warto na ciebie zapolować, że twój opór zapewni mi wyższą pozycję w hierarchii ISB i że w końcu mi ulegniesz, a ja zyskam lepsze stanowisko i spróbuję ciebie.

Słyszając to, Ivy znieruchomiała, zamroczona zazdrością. Art był wystarczająco zadufany w sobie, żeby uwierzyć, że Piscary mu ją odda, ale prawda była taka, że tylko go wykorzystywał, żeby nią manipulować. To był rodzaj odwrotności komplementu, a ona sobą gardziła, bo przez to tylko mocniej kochała Piscary'ego, pragnęła uwagi i łaski wyższego wampira, chociaż jednocześnie go nienawidziła.

- Ulegam ci przecież - powiedziała, a jej wściekłość spłotła się z żądzą. Była to potężna mieszanka, pożądana przez większość wampirów. No i proszę, dawała mu ją. Jedyne, co wampiry lubiły bardziej, to smak strachu.

Zdziwił ją jednak władczy uśmiech Arta.

- Nie - upomniął ją i za pomocą swojej siły nieumarłego zmusił, żeby cofnęła się do wind. Uderzyła mocno plecami o ścianę i z trudem złapała oddech. - To nie jest już takie proste - powiedział. - Pół roku temu upiekło by ci się, wystarczyłoby małe ugryzienie i nowa blizna, którą mógłbym się pochwalić, ale nie tym razem. Chcę wiedzieć, dlaczego Piscary aż tak bardzo cię rozpieszczą. Chcę wszystkiego, Ivy. Chcę twojej krwi i twojego ciała. W przeciwnym razie nie ruszysz się z tego zapyziałego gabinetu bez mnie.

Ogarnął ją strach, dziwny i obezwładniający, ściskający serce. Art wyczuł to i wciągnął powietrze w płuca.

- O tak - jęknął, a palce zadrgały mu spazmatycznie. - Oddaj mi się...

Ivy poczuła, że ochłonęła, i spróbowała odepchnąć od siebie Arta, ale bez skutku. Mogła oddać mu krew, ale krew i ciało naraz? Igrała z obłądem tego roku, kiedy Piscary wezwał ją do siebie, wpił się w nią, pozwolił jej wznieść się na wyżyny nieziemskiej ekstazy, którą jej młode ciało ledwie zniosło, a potem strącił jej duszę na samo dno, każąc jej za to płacić, błagać na kolanach o więcej, robić wszystko, żeby tylko go zadowolić. Wiedziała, że była to przemyślana manipulacja, którą zdążył już przećwiczyć na jej matce, babce i prababce, aż opanował ją na tyle dobrze, że ofiara z płaczem błagała

o to, żeby się nad nią znęcał. Mimo to wcale jednak nie przestała tego chcieć.

Mówił prawdę, była tym lepsza, im bardziej się oddawała. I omal się nie zabiła, z trudem znosząc wszystkie te upadki i wzloty, kiedy Piscary starannie budował w niej uzależnienie od euforii związanej z dzieleniem się krwią, wypaczając ją, myśląc z potrzebą miłości i pragnieniem akceptacji. Zamienił ją w ogarniętą dziką pasją dawczynię krwi, pełną egzotycznych posmaków, które powstają z mieszaniny głębszego uczucia miłości i poczucia winy oraz czegoś, co można zasadniczo uznać za akt przemocy. Nie miało znaczenia, że zrobił to tylko po to, żeby jej krew stała się słodsza. To była ona, a jej poczucie winy upajało się oddaniem, na które w tym przypadku sobie pozwoliła, choć wszędzie indziej je odrzucała.

Przetrwała dlatego, że wmówiła sobie, że dzielenie się krwią nie miało znaczenia, dopóki nie wiązało się z seksem, bo wtedy stawało się wyrazem miłości. Wiedziała, że obie te rzeczy były w niej tak mocno splecione, że nie potrafiła ich rozdzielić, ale jak dotąd zawsze mogła wybierać, z kim chce się sobą podzielić. Dzięki temu uciekała przed świadomością, że podstawą jej zdrowia psychicznego jest kłamstwo. Ale teraz?

Utkwiła spojrzenie w czarnych oczach Arta i wyczytała w nich drwiące samozadowolenie i kontrolowaną żądzę krwi. Byłby fantastycznym kochankiem, pięknym i utalentowanym. Rozpaliłby ją do czerwoności, kazał z płaczem błagać, żeby się w nią wessał, a ona dałaby mu w zamian wszystko, czego pragnął, i znacznie więcej - a potem obudziłaby się sama, wykorzystana, bez jego

bezpiecznych ramion, które wybaczyłyby jej skrzywione pragnienia, nawet jeśli to wybaczenie brałoby się też z chęci manipulacji.

Zaciskając zęby, odepchnęła od siebie Arta i odsunęła się od ściany. Zdumiony Art zrobił krok w tył.

Nie chciała tego robić. Chroniło ją kłamstwo, że krew to tylko krew, i była przygotowana na psychiczne cierpienie wynikające ze świadomości, że się puszcza. Ale Art chciał połączyć krew z ciałem. A to byłoby zbyt bliskie prawdy, żeby mogła nadal żyć w kłamstwie, które jej pozwalało przetrwać. Nie mogła tego zrobić.

Pożądanie Arta zmieniło się we wściekłość, w uczucie, które przekraczało barierę śmierci, której nie mogło przekroczyć współczucie.

- Dlaczego ci się nie podobam? - zapytał gorzko, przyciągając ją do siebie. - Nie jestem wystarczająco dobry?

Serce Ivy waliło, gdy stali tak przed windami, a ona przeklinała samą siebie za swój brak opanowania. Był dobry. Był więcej niż dobry, żeby zaspokoić jej głód, ale miała też duszę, która również wymagała zaspokojenia.

- Nie masz żadnych ambicji - szepnęła, czując, że instynktownie ciągnie ją do jego ciepła, chociaż umysł krzyczał „nie”. Artowi zadrżała broda, przeniknął ją jego upajający zapach i wywołał w niej wewnętrzny konflikt. A co, jeśli nie będzie umiała sobie z tym poradzić? Jak dotąd udawało jej się unikać konfrontacji instynktu z siłą woli, bo po prostu się oddalała, ale w tej sytuacji to nie wchodziło w grę.

Może nie patrzysz wystarczająco głęboko. - Art ścisnął ją za ramię, aż zabolęło. - Albo pokażesz mi, dlacze-

go Piscary tak ci dogadza, albo pociągniesz mnie za sobą wyżej, szczebel po szczeblu. Dla mnie to bez różnicy, moja mała Ivy.

- Nie mów tak do mnie - powiedziała, a strach mieszał się w niej z żarem, który Art w niej rozpałał. Piscary ją tak nazywał, cholerny drań. Gdyby uległa, szybko zaczęłaby iść wyżej, ale umarłoby w niej też to, dzięki czemu zachowała zdrowe zmysły. Ale jeśli pozostanie wierna swojemu kłamstwu i mu odmówi, Art zmusi ją, żeby odwaląca za niego całą brudną robotę.

Uśmiechnął się władczo, kiedy zauważył, że uświadomiła sobie tę pułapkę. Myśl, że Piscary pewnie zaaranżował całą tę sytuację po to, żeby sprawdzić jej determinację, sprawiała tylko, że jeszcze bardziej go kochała. Była popieprzona. Była popieprzona i przegrana.

Ale uratuje ją znajomość systemu, w którym się urodziła. Uspokoila narastającą panikę i zmusiła umysł do pracy, a w kącikach ust pojawił się złośliwy uśmiech.

- Zapomniałeś o czymś, Art. - Rozluźniła się, udając bierność i zwisając bezwładnie w jego uścisku. – Jeśli przetniesz mi skórę bez mojej zgody, Piscary każe cię przebić kołkiem.

Musiała tylko zapanować nad głodem. Da radę.

Art objął ją mocniej i zacisnął palce na jej szyi w miejscu, gdzie chirurgicznie usunięto blizny po Piscarym. Blizny zniknęły, ale pozostała zniewalająca mieszanka stymulatorów neuronowych i mutagenów recepcyjnych. Piscary ją zawłaszczył, uwrażliwił całe jej ciało tak, żeby tylko on mógł w nim obudzić wcześniejszą namiętność samymi tylko myślami i feromonami, jednak ona i tak

czuła w kroczu nagły przypływ pożądania na myśl o zatapiających się w niej gładko zębach Arta. Musiała uciec, zanim zawładnie nią żądza krwi.

- Wiesz o tym, prawda? - zakpiła, czując mrowienie na skórze.

- Będziesz zadowolona - wydyszał, a mrowienie zamieniło się w żar. - Kiedy z tobą skończę, będziesz błagać o więcej. Jakie to ma znaczenie, kto ugryzie pierwszy?

- Lubię odmawiać - powiedziała, nie przestając gładzić go po karku, żeby podsyć jego pożądanie. Mogłaby to zrobić. Dobrze wiedziała, jakie to rozkoszne uczucie całkowicie dominować i przejąć kontrolę nad takim potworem jak on. Strach zniknął, za to żądza krwi powróciła ze zdwojoną mocą. - Tylko spróbuj mojej krwi bez pozwolenia, a już ja się postaram, żebyś spadł znów do roli posłańca - zagroziła. - Możesz mnie zmuszać, możesz grozić, możesz się ciąć i moczyć mi wargi swoją krwią, ale jeśli weźmiesz moją krew bez mojej zgody, przegrasz. - Nachyliła się tak, że prawie dotknęła wargami jego ust. - A ja wygram - dokończyła; krew pulsowała jej w żyłach, do bólu pragnęła poczuć dotyk jego ręki na swojej skórze.

Odsunął ją od siebie. Bez trudu utrzymała równowagę, roześmiała się.

- Piscary mówił, że będziesz się opierać - powiedział, oczy mu poczerniały i był tak spięty, że wyglądał jednocześnie groźnie i pociągająco.

Boże, ile by mogła z nim zrobić, pomyślała wbrew sobie.

- Piscary miał rację. - Wysunęła biodro, gładząc się po nim prowokacyjnie. - Wpadłeś po uszy, Art. Lubię odma-

wiać i zamierzam doprowadzić do tego, że weźmiesz mnie bez mojej zgody, a wtedy? - Uśmiechnęła się, podeszła bliżej i zarzuciła mu rękę na szyję, bawiąc się jego lokami.

Z oczami poczerwiałymi z pożądania, Art uśmiechnął się, ujął jej palce i ucałował ich końce. Lekki nacisk zębów na skórę przyprawił ją o dreszcze i jej palce zdrząły w jego uścisku.

- Dobrze - powiedział zachrypniętym głosem. - Następne pół roku będzie piekłem.

Głos instynktu narastał. Ivy oblizwała wargi i odepchnęła od siebie Arta.

- Żebyś wiedział.

Cofnął się pod ścianę przy windzie. Nacisnął przycisk, a drzwi windy otworzyły się z przyjemnym brzęknięciem. Wszedł do środka z cwany uśmiechem na twarzy.

- Wsiadasz? - zakpił; wyglądał zdecydowanie za dobrze, żeby mogła mu się oprzeć w windzie.

Czując pożądanie, schyliła się po klucze leżące przy torebce. Serce waliło jej mocniej, niżby chciała, i czuła się związana przenikającą ją żądzą. Cholera, była dopiero dziewiąta. Jakim cudem wytrzyma do końca zmiany, nie rzucając się na chłopca na posyłki?

- Pojadę motorem - zdecydowała i rzuciła mu kluczyki. - Spotkamy się na miejscu. Lepiej zacznij główkować. Mam dość tej beznadziejnej roboty i daję ci jakiś tydzień. Nie będziesz w stanie mi się oprzeć, jak już sobie coś postanowię.

Art roześmiał się i schylił głowę.

- Jestem starszy, niż ci się wydaje, Ivy. Do piątku to ty będziesz mnie błagać, żebym zatopił w tobie kły.

Drzwi się zamknęły, a winda pojechała na poziom parkingów. Ivy poczuła, że jej oczy wracają do normy, bo wentylatory rozwiały wydzielone przez nich feromony. Jeszcze tydzień i wyrwie się spod niego. Jeszcze tydzień i będzie mogła iść tam, gdzie jej miejsce.

- Jeszcze tydzień i zmuszę tego drania, żeby mnie wykorzystał - szepnęła, zastanawiając się, czy pod koniec tygodnia rzeczywiście to ona okaże się zwyciężczynią.

2

Kiedyś opierałam się Piscary'emu całe dwa tygodnie, pomyślała Ivy, wjeżdżając motocyklem na parking przed apartamentowcem. Art nie miał żadnych szans w ścieżkach Cincy.

Czując przyływ pewności siebie, zaparkowała motor pod latarnią, żeby agenci ISB mogli rzucić na niego okiem. To był nightwing X-31, jedna z niewielu rzeczy, na które sobie pozwoliła po tym, jak dostała pracę w ISB razem ze swoją pierwszą wypłatą, która nie zależała ani od Piscary'ego, ani od jej matki. Kiedy na nim jeździła, czuła się wolna. Nie spieszyło jej się do zimy.

Silnik mruczał pod nią prowokująco, a ona zerknęła na wielorasową karetkę i dwa radiowozy ISB, których koguty rozświetlały na złoto i niebiesko twarze gapiów z sąsiedztwa. System opieki zdrowotnej Stanów Zjednoczonych zaczął świadczyć usługi wszystkim rasom

krótko po Przewrocie, co było dość oczywiste, skoro tylko ukrywający się lekarze z Inderlandu przetrwali wirus T4-Angel. Jednak organy ścigania podzieliły się i po trzydziestu sześciu latach wciąż były podzielone.

Nie było jeszcze FBI, czyli zarządzanego przez ludzi Federalnego Biura Inderlandu. Nie było też jeszcze Arta. Zastanawiało ją, kto wezwał wydział zabójstw. Mężczyzna z tylnego siedzenia radiowozu ISB w spodniach od piżamy i kajdankach? Podekscytowana sąsiadka z wałkami na głowie, która rozmawiała właśnie z agentem ISB?

Brakowało nie tylko Arta; Ivy rozejrzała się po parkingu w poszukiwaniu pojazdu dochodzeniówki. Nigdy się nie zjawiali, dopóki nie potwierdzono udziału Inderlandu, i chociaż po drugiej stronie rzeki mieszkało sporo ludzi, którzy chcieli skorzystać z niższych podatków w Zapadlisku, twierdzenie, że sprawa dotyczyła wyłącznie ludzi, byłoby sporym nadużyciem.

Mężczyzna w wozie został aresztowany. Gdyby był Inderlanderem, dawno siedziałby już w wieży. Wyglądało na to, że podejrzany był człowiekiem i czekano, aż zabierze go FBI. Prawdopodobnie miejsce zbrodni będzie niemal nietknięte, wyprowadzono pewnie tylko ludzi, żeby nie zatrzeć żadnych śladów.

- Idiota - mruknęła i oparła dla równowagi jedną nogę na ziemi, wyłączając silnik i wsuwając kluczyki do płytkiej kieszonki skórzanych spodni, z breloczkiem w kształcie trupiej czaszki zwisającym na zewnątrz. Wiedziała, co zastanie w mieszkaniu. Żonę albo dziewczynę zamordowaną z jakiegoś głupiego powodu, na przykład

seks albo pieniądze. Ludzie nie mieli pojęcia, z czego bierze się prawdziwa furia.

Przybierając obojętną minę, żeby pokryć obrzydzenie, zdjęła kask i odetchnęła głęboko nocnym powietrzem, czując, jak wilgoć niewidocznej stąd rzeki przenika do jej płuc. Facet na tylnym siedzeniu radiowozu wrzeszczał coś, próbując zwrócić na siebie jej uwagę.

- Nie chciałem zrobić jej krzywdy! - wołał głosem stłumionym przez szyby. - To nie ja. Kocham Ellie. Kocham Ellie! Musicie mi uwierzyć!

Ivy zsiadła z motocykla. Przypięła identyfikator do krótkiej skórzanej kurtki i dała sobie chwilę, żeby się opanować, wpatrując się w wilgotną ciemność. Strach mężczyzny, a nie krew jego dziewczyny, którą rozmazywał na szybie, obudził w niej słabą żądzę krwi. Facet miał podrapaną twarz, a szramy krwawiły. Był przerażony. Został zamknięty w radiowozie do przybycia FBI dla jego bezpieczeństwa.

Obcasy jej kozaków wystukiwały powolny, uwodzicielski rytm, którym zwracała na siebie uwagę; podeszła do drzwi wejściowych i do kręgu światła, w którym stało dwóch funkcjonariuszy. Ivy zobaczyła znajomą twarz i jej napięcie ulotniło się częściowo, zaczęła swobodniej wymachiwać rękami.

- Cześć, Rat - powiedziała, zatrzymując się w przedsionku apartamentowca, o wielkości dwa na dwa i pół metra. - Ty jeszcze nie umarłeś?

- Nie żebym się nie starał - odpowiedział starszy wampir, a kiedy się uśmiechnął, jego zmarszczki pogłębiły się nieco. - Gdzie Art?

- Gryzie się - powiedziała, a jego partnerka, drobna kobieta, roześmiała się. Żywa wampirzyca wyglądała, jakby była świeżo po szkole, ale Ivy wiedziała, że utrzymywała taką formę tylko dzięki czarom. Kobieta dobiegała pięćdziesiątki, ale odmładzanie można było sobie odliczyć od podatku, bo wygląd był potrzebny do pacyfikowania tych, których trzeba było... spacyfikować. Ivy skinęła jej nieufnie głową i dostała to samo w odpowiedzi.

Do mózgu przesączał się jej słaby zapach krwi z korytarza. Nie był wyraźny, ale po zalotach Arta jej zmysły pracowały na przyspieszonych obrotach.

- Ciało ciągle tam jest? - zapytała, myśląc, że może uda się jej wykorzystać sytuację. Art nie był długo na nogach, więc jego opór był słabszy. Jeśli sobie to trochę przemyśli, może uda jej doprowadzić do tego, że Art popełni dziś błąd, a na samą myśl o tym musiała aż stłumić dreszcz zniecierpliwienia.

Rat wzruszył ramionami, przyglądając się jej z zastanowieniem.

- Ciało jest w karetce. Dobrze się czujesz?

Zęby zatapiające się głęboko w jej ciele, słony posmak gęstej krwi na języku, fala adrenaliny, kiedy będzie z niej wysysał to, co utrzymuje ją przy życiu...

- Nic mi nie jest - odpowiedziała. - Wampirzyca? - zapytała, bo zwykle ciało zostawiano pracownikom kostnicy, o ile nie istniało podejrzenie, że ciało uzna, że czuje się na tyle dobrze, żeby wstać.

Wyrazista twarz Rata stężała.

- Nie. - Mówił cichym głosem, a Ivy nasunęła na nogi buty, które podała jej jego partnerka. - Czarownica. Do

tego ładna. Ale ponieważ jej mężulka zachęcano, żeby olał przysługujące mu prawa i przyznał, że ją pobił i udusił, zabrali ją. To malarz, Ivy. Nadaje się tylko na dawcę krwi i do malowania ścian.

Ivy skrzywiła się i nie spojrzała za Ratem na mężczyznę wrzeszczącego w samochodzie. Zabrali ją?

Rat dostrzegł jej poirytowanie i dodał:

- Cholera, Ivy. Przyznał się. Mamy zdjęcia. Nic tu nie ma.

- Nie ma, kiedy ja stwierdzę, że nie ma. - Zesztywniała, gdy w wilgotnej ciemności rozległ się znajomy pomruk najnowszego jaguara należącego do Arta. Cholera, chciała być pierwsza w środku.

Poczuła mrowienie na odkrytej skórze i wstręt do samej siebie. Niech Bóg ją broni, miała zamiar wykorzystać miejsce zbrodni, żeby pozbyć się Arta. Ktoś zginął, a ona chciała to wykorzystać i doprowadzić Arta, żeby ją ugryzł wbrew jej woli. Czy naprawdę jest aż tak zdeprawowana? Ale to było stare odczucie, które szybko z siebie wyparła, jak całą resztę nieprzyjemnych spraw w swoim życiu.

Podala Ratowi swoją torebkę, a w zamian dostała plik woreczków na dowody i pisak.

- Wezwijcie dochodzeniówkę - powiedziała, nie przejmując się tym, że Rat właśnie jej powiedział, żeby sama zebrała wszystkie dowody, które uzna za istotne. - Zaraz po moim wyjściu macie posprzątać. I przestańcie odwalać za mnie robotę.

- Przepraszam, Ivy. - Rat wyszczerzył się w uśmiechu. - Hej, przyjmują zakłady co do ciebie i Arta...

Ivy zrobiła krok naprzód i wyrzuciła przed siebie zaciśniętą pięść. Rat zablokował cios, łapiąc ją za nadgarstek, przez co straciła równowagę i zatoczyła się na niego. Oparła się o jego pierś - był dwukrotnie od niej większy. Jego partnerka się skaleczyła. Ivy wiedziała, że go nie trafi, ale przynajmniej mogła wyładować trochę swoją wściekłość.

- Wiesz co? - wydyszał Rat, a w jego oddechu dało się wyczuć zapach krwi jego partnerki z wcześniejszego spotkania. - Naprawdę nie powinnaś nosić takich obcasów. Tracisz równowagę.

Ivy wykręciła się mu i wyrwała.

- Ale podobno bardziej boli, jak się kopnie w jaja takiego drania jak ty. - Opadająca adrenalina przyprawiła ją o ból głowy. - Kto jeszcze był w środku? - zapytała, myśląc, że pokój pachnący strachem to właśnie to, czego trzeba, żeby Art popełnił błąd. Art stał już przy radiowozie, patrzył na człowieka i pozwalał, żeby narastała w nim żądza krwi. Idiota.

Rat pocierał zachęcająco szyję. Boże, już się zaczęło. Przed wschodem słońca wszyscy będą przekonani, że interesuje ją tylko to, jakie weksle musi podpisać, żeby dotrzeć do podziemi, a wtedy zaczną ją nachodzić. Wyobrażając sobie czekające ją insynuacje, sugestie i niechciane propozycje, Ivy stłumiła westchnienie. Jakby same feromony nie wystarczały? Może powinna rozpuścić plotkę, że ma jakąś chorobę weneryczną.

- Załoga karetki - mówił wampir. - Tia i ja, żeby go wyprowadzić. Jak zwykle na nią wrzeszczał. Sąsiadka dzwoniła, żeby zgłosić zakłócenie miru domowego. Po

raz trzeci w tym miesiącu, ale kiedy nagle ucichli, przestraszyła się i zadzwoniła.

Ivy skrzywiła się, wciągnęła ostatni haust czystego, nocnego powietrza i weszła na korytarz. W środku nie było aż tyle osób, żeby coś poprzestawiać, a Rat wiedział, że nie wolno im niczego ruszać. Pokój był tak czysty, jak można się było spodziewać. A ona nie zamierzała bałaganić.

Cierpki zapach krwi przybrał na sile, Ivy nasunęła niebieskie obuwie ochronne i schyliła się, żeby przejść pod taśmą przeciągniętą w otwartych drzwiach. Zatrzymała się w środku i przyjrzała, jak mieszkali inni: niski sufit, sfilcowany dywan, stare zasłony, nowa kanapa, duży, ale tani telewizor, jeszcze tańsza wieża i setki płyt. Na ścianach wisiały ręcznie oprawione zdjęcia ludzi, które porozstawiano też na preszpanowych regałach. Kobięce akcenty były sporadyczne, jak chlapnięcia farbą. Ofiara nie zdążyła tu zbyt długo pomieszkać.

Ivy odetchnęła głęboko, czując wiszącą w powietrzu wściekłość, niewidzialne znaki, które znikną wraz ze wschodem słońca. Szurając niebieskimi ochraniaczami na buty, podążyła za zapachem krwi do łazienki. Brzeg toalety znaczył czerwony odcisk dłoni, było też kilka smug na wannie i na zasłonkach. Ktoś rozbił sobie głowę o wannę. Różowa żarówka rzuciła nierealną poświatę, a Ivy końcówką pisaka wyłączyła wentylator i odnotowała w pamięci, że musi powiedzieć o tym Ratowi.

Delikatny szum ucichł. W zapadłej ciszy usłyszała niewyraźną rozmowę i śmiech z sitcomu, dobiegający z sąsiedniego mieszkania. Z korytarza doszedł ją zadowolony głos Arta, a jej z miejsca skoczyło ciśnienie. Rat

powiedział, że mężczyzna udusił żonę. Widziała już gorsze rzeczy. I chociaż nie powiedział, gdzie znaleźli ciało, od drzwi sypialni, pękniętych na wysokości zamka, ze świeżo zamalowanymi szparami, dolatywał niemal namacalny gniew.

Ivy dotknęła palcem pęknięcia. Sypialnia nosiła ślad ręki niedbałego kawalera i młodej kobiety, która starała się ją udekorować, mając skromne środki. Tanie poduszki z falbankami, różowa koronka udrapowana na brzydkich abażurach, gruba warstwa kurzu na metalowych żaluzjach, których nikt nigdy nie rozsuwał. Oprócz paru smug, żadnej krwi, a i te pewnie należały do podejrzanego. Na łóżku i podłodze były rozrzucone ładne ubrania, różowe i białe; szafa była pusta. Chciała się wyprowadzić. Czarny telewizor stał w rogu, a rozwalony pilot leżał na podłodze pod pachnącym tynkiem wgnieceniem w ścianie. Na dywanie leżał identyfikator Rata i polaroidowe zdjęcie kobiety wykręconej na podłodze przy łóżku.

Ivy siłą rozluźniła zaciśnięte szczęki i wciągnęła głęboko do płuc powietrze, skanując pokój tak, jakby emocje z ostatnich kilku godzin wymalowano w powietrzu akwarelami. Każdy wampir to potrafił.

Mężczyzna z samochodu skrzywdził tę kobietę, przeraził ją, pobił, a jej magia nie była w stanie go powstrzymać. Zmarła w tym pokoju, a mocna woń jej strachu i jego wściekłości wzbudziła w Ivy niepokojący, choć nie do końca niepożądany głód krwi. Bolały ją opuszki palców, a gardło zdawało się puchnąć.

Szuranie Arta przeniknęło boleśnie jej wyostrzone zmysły. Zalala ją fala adrenaliny, która natychmiast

zniknęła. Odwróciła się z na wpół przymkniętymi powiekami i uwodzicielsko zakręciła biodrami. Art miał niemal całkowicie rozszerzone źrenice. Najwyraźniej podrażnił go strach mężczyzny z samochodu i pozostałości strachu w pokoju. Może dlatego ciągle pracował w wydziale zabójstw. Może ten przystojny mężczyzna nie mógł umoczyć swoich kłów bez małej pomocy?

- Ivy - powiedział, a jego głos przeszył ją znajomym dreszczem; poczuła zawroty, co oznaczało, że jej źrenice też zaczęły się rozszerzać. - To ja wzywam ekipę dochodzeniówki, a nie ty.

Ivy poruszyła się i zrobiła kilka kroków, żeby Art nie mógł jej zagrozić drogi do drzwi.

- Ty akurat robiłeś sobie dobrze, napawając się strachem podejrzanego - rzuciła lekko. Poruszyła się, jakby zmierzając do wyjścia, wiedząc, że jeśli będzie zgrywać wstydliwą ofiarę, pobudzi jego żądzę krwi. Tak jak się spodziewała, źrenice Arta jeszcze bardziej się rozszerzyły i pociemniały. Czowała wyraźnie, że stoi za jej plecami, prawie tak, jakby ją do siebie przyciągał. Emanował aurą, nie prawdziwą, ale taką, która wzmacniała po prostu jego wampiryczną obecność.

Chwycił ją za rękę, władczo i zaborczo. Udała żartobliwie, że się wyrywa, aż wzmocnił swój uścisk.

- To ja wzywam ekipę - powiedział niebezpiecznym tonem.

- O co ci chodzi, Art? - zapytała leniwie i przyciągnęła do piersi swój nadgarstek z jego ręką zaciśniętą na nim. - Nie lubisz kobiet, które myślą? - W jej głosie słychać było napięcie seksualne. Bawiąc się całą sytuacją, wsunęła

palec do ust, a potem wypuściła go, całując delikatnie i ocierając o niego zęby. To Piscary zamienił ją w osobę, którą teraz była, i mimo całego swojego doświadczenia Art nie miał z nią szans.

- Wydaje ci się, że stracę nad sobą panowanie z powodu pokoju przesyconego strachem i pary czarnych oczu? - Świetnie się prezentował we włoskim garniturze i cudownie pachniał: wełną, popiołem i sobą.

- Ach, ale ja dopiero się rozkręcam. - Wolną ręką oderwała palce Arta od swojego nadgarstka. Nie powstrzymał jej. Przesunęła z uśmiechem językiem po zębach, zasłaniając je w tym samym momencie, w którym błysnęły bielą. Zalał ją unoszący się w pokoju strach i rozbudził instynkty starsze od piramid, wstrząsnął niczym nieskrępowany krzyk jej młodym ciałem. Cała zeszywniała, czując potężną falę krwi podbiegającej jej pod skórę. Spodziewała się tego i z radością dała się temu ponieść. Nie chodziło o zapach krwi, chodziło o zapach strachu. Poradzi sobie. To ona panowała nad swoją żądzą, a nie na odwrót.

A kiedy poczuła na swojej twarzy ten dziwny spadek ciśnienia, kiedy jej źrenice rozszerzyły się maksymalnie, odwróciła się do Arta, rozstawiając szeroko nogi w ochraniaczach, i stanęła tak na środku pokoju, rozsiewając woń seksu, krwi i strachu, rozchylając wargi i dysząc prowokująco. Przeszył ją dreszcz i osiadł w jej pachwinach, sygnalizując, co może się stać, jeśli ulegnie. Nie odda mu dobrowolnie krwi, a myśl, że być może on zechce ją wziąć siłą, rozpałał ją nieoczekiwanie dla niej samej.

- Mm, ładnie tu pachnie - powiedziała, czując w ciele falę adrenaliny, bo to ona była panią sytuacji. Była panią

tego potwora, który mógł ją zabić jednym machnięciem ręki, który mógł rozszarpać jej gardło i zakończyć jej życie, który mógł ją ubezwłasnowolnić jako jej zwierzchnik - i który nie mógł jej tknąć, dopóki mu na to nie pozwoli, bo miał ręce związane tradycją i niepisanym prawem. A gdyby jednak spróbował, miałyby w garści zarówno jego, jak i lepszą posadę.

Podeszła o krok z walącym sercem. Pragnął jej - był tak rozpalony, że jego napięte ramiona zrobiły się twarde jak skała, dłonie zaciskał w pięści, żeby tylko jej nie dotknąć. Na jego twarzy widać było wewnętrzną walkę, przestał oddychać. Piscary pobłazał jej nie bez powodu. Częściowo chodziło o to, ale Art nigdy nie pozna jej pełnego smaku.

- Nie dostaniesz... mnie - powiedziała i przesunęła rękę po wewnętrznej stronie uda, szeroko rozpostartymi palcami musnęła brzuch, potem piersi, a wreszcie zakryła sobie nimi prowokacyjnie szyję. Wyczuwała pod nimi swój puls i pobudzało ją to równie mocno, jak Arta. Wpatrywała się w stojącego przed nią wampira. Byłby brutalnie zniewalający. Wypuściła powietrze z płuc, wyobrażając sobie, jak zatapia w niej zęby, jak przypomina jej, że żyje tylko dzięki zapowiedzi śmierci w jego ustach.

Niemal... warto pozwolić mu dopiąć swego.

Art wyczytał w powietrzu jej myśli. Wykonał tak błyskawiczny ruch, że nie była w stanie go zauważyć. Wydała stłumiony okrzyk i aż zadrżała ze strachu. Przyciągnął ją do siebie jednym szarpnięciem. Zacisnął rękę na jej karku, a drugą boleśnie wykręcił do tyłu jej ramię. Zawahał się i opanował, oczy mu pociemniały, były pełne bolesne-

go wysiłku, jaki musiał podjąć, żeby się powstrzymać. Ivy roześmiała się, nisko i chropowato.

- Nie dostaniesz mnie - drażniła się z nim; licząc, że sam ją weźmie, odchyliła do tyłu głowę i odsłoniła całkiem szyję. O Boże. Gdyby tylko..., pomyślała, a słaby niepokój w głowie ostrzegł ją przed walką, jaką toczyły ze sobą jej głód i wola.

- Daj mi - wydusił z siebie Art pełnym napięcia głosem, a ona uśmiechnęła się tylko, widząc, że się łamie. - Daj mi...

- Nie - wydyszała. Pod dotykiem jego dłoni jej tętno przyspieszyło, a ona przymknęła oczy. Jej ciało żądało, żeby powiedziała „tak”, chciała powiedzieć „tak”. Dlaczego, pomyślała, czując, jak przeszywa ją pożądanie, gdy odszukała jego napięte ramiona, dlaczego nie powie „tak”? To przecież drobnostka... A on był tak cudownie piękny, nawet jeśli nie poruszał jej duszy.

Art wyczuł, że Ivy się łamie, i zaczął w nim narastać niski pomruk. Przycisnął ją do siebie, prawie unosząc ją w powietrzu. Z nowym zapalem zaczął pieścić jej szyję.

Ivy wciągnęła powietrze i przycisnęła go mocniej do siebie. Ogień. To był ogień, paląca obietnica płynąca z szyi do krocza.

- Daj mi - zażądał, pieszcząc wypowiedzianymi słowami jej skórę. Przesunął dalej rękę i wsunął ją między kurtkę i bluzkę, obejmując piersi. - Wszystko... - wydyszał, a jego oddech przeniknął ją, dopełnił.

Instynkt zapał jej dech i wziął nad nią górę, dławiąc jej wolę. Nie! - przeraziła się, chociaż jej ciało aż skręcało się z pożądania. Będzie jak dziwka, straci całą swoją siłę

i obnaży kłamstwo, które utrzymywało ją przy zdrowych zmysłach. Ivy uświadomiła sobie jednak z przerażeniem, że już rozchyła usta, żeby powiedzieć „tak”.

Otrząsnęła się gwałtownie i w przypiływie przerażenia walnęła go kolanem w krocze.

Art puścił ją, padł przed nią na kolana i zacisnął ręce na przyrodzeniu. Nie czekając, zrobiła krok w tył i wymierzyła mu kopniaka w twarz. Głowa odskoczyła mu do tyłu i upadł na podłogę przy łóżku.

- Ty głupia suko! - krzyknął głucho.

- Kretyn - wydyszała roztrzęsiona, bo jej ciało zbuntowało się na tak nagłą zmianę emocji. Stała nad nim, walcząc z pragnieniem, żeby rzucić się na niego i zatopić zęby w jego ciele, gdy klęczał przed nią taki bezbronny. Cholera, musiała stąd spadać. Dwukrotnie niezaspokojona tej nocy żądza krwi mogła się okazać ponad jej siły.

Art wyprostował się powoli i zaczął chichotać. Ivy poczuła, że twarz jej płonie.

- Wstawaj - warknęła, cofając się. - Jeszcze nie odkurzyli.

Wciąż pokładając się ze śmiechu, Art przewrócił się na bok.

- To będzie piekielny tydzień - powiedział, a potem zamarł z oczami utkwionymi w dywanie, tuż za rozrzuconą na podłodze narzutą. - Daj mi woreczek – polecił i sięgnął do tylnej kieszeni.

Wciąż czując zew krwi, Ivy podeszła do niego, zwabiona jego nagle rzeczowym tonem.

- Co tam masz?

- Daj mi woreczek - powtórzył. Jego kosztowny garnitur kontrastował z brzydkim dywanem.

Ivy zawahała się chwilę, po czym podniosła torebki z miejsca, w którym upadły. Zerknęła na zegarek, zanotowała na woreczku datę i miejsce, i dopiero wtedy wręczyła go Artowi. Ciągłe na klęczkach, Art sięgnął pod łóżko i wysunął coś spod niego za pomocą wyjętego z kieszeni pióra. Z niezwykłym pośpiechem wrzucił przedmiot do torebki i wstał. Poszerzająca się brązowa obwódka wokół jego źrenic mówiła, że w pełni już nad sobą panował. Odslaniając w uśmiechu zęby, podniósł woreczek do światła.

Jego pewność siebie doprowadzała Ivy do rozpacz. To była dla niego tylko gra. Utrata samokontroli w ogóle mu nie groziła. Cholera, pomyślała, a do jej serca zakradły się pierwsze wątpliwości, czy jej się uda.

Ale nagle zobaczyła, co Art trzyma w ręce, a jej niepokój zamienił się w zrozumienie - a potem w prawdziwy strach.

- Łza banshee? - zapytała, rozpoznając czarny kryształ w kształcie serca.

Słowa zrozpaczonego mężczyzny z samochodu nabrały nagle nowego znaczenia. „Nie chciałem jej skrzywdzić. To nie ja”. Nie wiadomo skąd pojawiła się litość, która sprawiła, że otaczające ją nieszczęście biedaków zaczęło budzić w niej jeszcze większą odrazę. Ten człowiek prawdopodobnie ją kochał. To banshee wlała w niego wściekłość, która doprowadziła do tego, że zabił swoją żonę, dzięki czemu ona mogła pławić się w jej pośmiertnej energii.

To nadal było morderstwo, tyle że mężczyzna był narzędziem, a nie sprawcą. Morderczyni chodziła wolno po Cincinnati, wyposażona w alibi czasu i miejsca, dzięki któremu ciężko ją będzie powiązać ze zbrodnią. To dlatego podrzuciła tu łzę, to było łącze. Banshee namierzyła parę, dowiedziała się, gdzie mieszkają, pod ich nieobecność podrzuciła łzę, a kiedy poleciało pierze, podsyciła wściekłość mężczyzny, aż nie był już w stanie nad nią panować. To nie była wymówka; to było morderstwo za sprawą magii - magii starszej niż wampiryzm. Może nawet starszej niż czarownicy i demony.

Art potrząsnął woreczkiem, wydobywając błysk czarnego klejnotu, a potem opuścił rękę.

- Mamy rejestr wszystkich banshee. Przebadamy łzę komputerowo i dorwiemy sukę.

Ivy pokiwała głową, czując, że zwężają jej się źrenice. ISB miało oko na niewielką populację banshee, a jeśli jedna z nich zerowała bez skrępowania w Cincinnati, można się było spodziewać jeszcze kilku morderstw, zanim ją dopadną.

- Na czym to skończyliśmy? - Art objął ją w pasie.

- Drań. - Ivy spróbowała wsadzić mu łokieć w brzuch i się odsunęła. Ale nie trafiła, więc starła z twarzy wszelkie emocje, a on zaśmiewał się z niej dobre dwa metry dalej. Boże, czuła się przy nim jak dziecko. - Wracaj lepiej do domu, zanim wzejdzie słońce - warknęła.

- Chcesz mi posłużyć za kołderkę?

- Idź do diabła.

Z korytarza dobiegła ich cicha rozmowa. Przyjechała dochodzeniówka. Art wziął głęboki wdech, wciągając do

płuc zapachy pokoju. Przymknął oczy, a usta wygięły mu się w uśmiechu. Kiedy wypuścił powietrze, wydawał się ucieszony tym, co poczuł. Ivy nie musiała węszyć, żeby wiedzieć, że w pokoju cuchnęło jej własnym strachem, który wymieszał się ze strachem zamordowanej kobiety, tak że nie dało się ich już od siebie odróżnić.

- Do zobaczenia w wieży, Ivy.

Chyba że wcześniej przebiję cię kołkiem, pomyślała i zaczęła się zastanawiać, czy jeśli jutro zadzwoni i powie, że jest chora, będzie to warte późniejszych docinków. Mogłaby powiedzieć, że była u lekarza w związku ze swoją chorobą weneryczną - mogłaby rozpowiedzieć wszystkim, że zaraziła się od Arta.

Art wyszedł niespiesznie z pokoju, jedną rękę trzymał w kieszeni, a drugą upuścił na trzymaną przez wchodzącego funkcjonariusza podkładkę łzę banshee. Wilkołak zrobił wielkie oczy i podniósł załzawiony wzrok.

- Hola! - powiedział i zmarszczył nos. - Co wy tu wyczynialiście?

- Nic. - Ivy poczuła się zziębnięta i malutka w swoich skórzanych spodniach i krótkiej kurtce, kiedy tak stała na środku pokoju i słuchała, jak Art żegna się z Ratem i Tią. Odsunęła ręce od szyi, żeby udowodnić, że nie ma na niej żadnego śladu.

- Nie pachnie jak nic - zakpił mężczyzna. - Pachnie jak coś...

Ivy spojrzała na niego, a on urwał w pół zdania. Czowała pulsowanie adrenaliny, tym razem ze zmartwienia. Zanieczyściła miejsce zbrodni swoim strachem, ale w oczach mężczyzny kryło się współczucie, a nie niechęć.

- Wszystko w porządku? - zapytał miękko i przycisnął do siebie podkładkę, bo oczywiście domyślał się, co zaszło. W pokoju unosiło się za dużo strachu jak na jedną osobę, nawet zamordowaną.

- W porządku - odpowiedziała krótko. Jeśli w sprawę nie była zamieszana banshee, nie rejestrowało się poziomów strachu parapsychologicznego. To, że Ivy nie wiedziała, że jedna z nich maczała w tym palce, nie stanowiło żadnego wytłumaczenia. W najlepszym razie otrzyma reprimendę, gorzej natomiast, jeśli Art będzie chciał ją zaszantażować. A będzie. Cholera, naprawdę nie mogła mu tego bardziej ułatwić. Zaczerwieniona schyliła się po resztę woreczków i oddała je wilkołakom.

- Nie wiem, jak możesz pracować z martwymi - powiedział mężczyzna, próbując uchwycić jej wzrok, ale Ivy nie dopuściła do tego. - Już samo ich spojrzenie napędza mi cholernego pietra.

- Powiedziałam, że wszystko w porządku - mruknęła. - Odkurzcie, powycierajcie i obfotografujcie wszystko. - Nie musiała nic mówić, ale wołała już dostać zasłużoną reprimendę, niż dać się zaszantażować Artowi. - Nie mówicie nic dziennikarzom o łzie - dodała, zerkając na kryształ, drobny i niewinny na podkładce. - Nie potrzeba nam paniki w mieście i telefonu za każdym razem, gdy jakaś licealistka pokłóci się ze swoim chłopakiem.

Mężczyzna kiwnął przytakująco głową. Miał gęsty, kilkudniowy zarost, a Ivy wyszła z pokoju, odsuwając od siebie myśl, jakby to było przesunąć po nim palcami, a potem zębami, i uciekając przed zapachem strachu za-

mordowanej kobiety. Nie podobało jej się, że pachniał dokładnie tak samo jak jej własny.

Przeszła szybko przez salon i wyszła na korytarz, starając się wstrzymać oddech. Powinna była to wcześniej zaplanować, a nie robić z siebie idiotkę i działać pod wpływem impulsu. Przez to Art miał ją na widelcu. Nie da rady unikać go przez resztę nocy. Może uda jej się spędzić trochę czasu, czytając o banshee. Akta przechowywane były na wyższych poziomach. Art może pójdzie razem z nią, ale będzie tam więcej czarowników i wilkołaków, co nie tylko zredukuje natężenie feromonów, ale ułatwi też wcześniejsze wyjście z pracy. Cała nadziemna część wieży wyludnia się o północy, bo pracuje od trzeciej do dwunastej. Tylko podziemne biura pracują na zmianę od zachodu do wschodu słońca.

Wina, pomyślała i wychodząc z budynku, siłą nałożyła na twarz maskę pewności siebie i normalności, bo zobaczyła, że parking jest już rozjarzony światłami ekip telewizyjnych. Kupi dwie butelki w drodze do domu, żeby Kisten wstawił się na tyle, by mu nie przeszkadzało, jeśli zada mu ból.

3

Chociaż zamierzała wyjść o północy, było już jasno, kiedy włączyła się na motorze w poranny korek na Zapadlisku i ruszyła na nadbrzeże, do przestronnego

mieszkania, które zajmowała z Kistenem nad restauracją Piscary'ego. To, że pracowała w oddziałach, które nadzorowały kontrolowane przez niego podziemie, nie było ani zaskakujące, ani przypadkowe, ale starannie zaplanowane. Choć Piscary nie był oficjalnie zatrudniony, sterował ISB za pomocą złożonej siatki powiązań. Nie zmieniało to jednak faktu, że musiał przestrzegać prawa - a przynajmniej nie dać się złapać na gorącym uczynku, jeśli nie chciał zostać potraktowany jak każdy inny. Wszystko to uświadamiało Ivy, jak przepuszczalnie musiał wyglądać Camelot.

Jej matka aż do śmierci zajmowała jedno z najwyższych stanowisk w ISB, a Ivy wiedziała, że i matka, i Piscary tam ją właśnie widzieli. Piscary zajmował się hazardem i ochroną - formalnie były to dwa legalne źródła jego dochodów - ale był na tyle subtelny, że nie umieścił jej na stanowisku, na którym musiałaby zdecydować, czy robić to, czego od niej chciał, czy to, czego wymagały od niej obowiązki zawodowe. Korupcja była aż tak straszna.

Albo tak fantastyczna, pomyślała Ivy, sprawdzając, czy jadący za nią facet widzi, że zwalnia i skręca w lewo na parking przed restauracją. Gdyby nie ryzyko, że Piscary wymierzy agresywnym wampirom sprawiedliwość w swój pokątny sposób, ISB nie mogło funkcjonować. Była pewna, że to z tego względu większość ludzi, w tym FBI, przemykało na wszystko oko. ISB było skorumpowane, ale osoby, które sprawowały realną władzę nad miastem, potrafiły nadać korupcji cywilizowany charakter.

Ivy zwolniła przy drzwiach do kuchni, wyłączyła silnik i rozejrzała się po pustym parkingu. Była środa i choć każdego innego dnia tygodnia z restauracji wytaczaliby się jeszcze ostatni maruderzy, dziś było pusto. Piscary lubił mieć czasem luźniejszy dzień. Przynajmniej nie będzie musiała chować się przed kelnerami i migać od pytań, dlaczego ma na wpół rozszerzone źrenice. Przed pójściem spać przydałaby jej się długa kąpiel z bąbelkami albo Kisten, albo obie te rzeczy naraz.

Chłodna bryza znad pobliskiej rzeki niosła zapach ropy i gazu. Ivy wzięła wdech, żeby oczyścić umysł, i pchnęła kołem motocyklu drzwi dla obsługi. Nie było tu służby, dzięki której samochody dostawcze mogłyby zwozić towary całą dobę. Nikt nie okradał Piscary'ego. Piscary niby przestrzegał prawa, ale i tak jakimś cudem można się było nagle stać martwym.

Z torebką i dwiema butelkami wina w ręce zostawiła motor przy skrzynkach z pomidorami i pieczarkami i weszła po cementowych schodach do kuchni, biorąc po dwa stopnie naraz. Minęła ciemne szafki i zimne piekarniki, nawet na nie nie patrząc. Słaby aromat wyrastających drożdży mieszał się z zastarzałym zapachem pracujących tu wampirów. Ivy odprężyła się, stukając cicho obcasami po wyłożonej kafelkami podłodze. Zapach przywiódł wspomnienia wakacji, podczas których pracowała w kuchni, a kiedy była trochę starsza, także jako kelnerka. Nie była niewinna, ale cała brzydota zatarta się w zniewalających emocjach. Teraz to wszystko tylko ją męczyło.

Serce zaczęło jej bić mocniej, kiedy mijała grube drzwi, które prowadziły do windy i do podziemnych apartamentów

Piscary'ego. Myśl, że powita ją dotykem swoich kojących dłoni i wyrachowanym współczuciem, wystarczyła, żeby krew uderzyła jej do głowy, ale wściekłość, że pozwala mu sobą manipulować, kazała jej iść prosto do baru. Nie wezwie jej do siebie, bo wie, że znacznie więcej będzie ją kosztować, jeśli sama do niego przyjdzie, gdy nie będzie już mogła dłużej wytrzymać i zdesperowana zacznie go błagać, żeby zapewnił, że nadal ją kocha.

W głównej części restauracji panowała przyjemna cisza, a kiedy Ivy poszła dalej, do sal przeznaczonych na zamknięte imprezy, towarzyszyło jej wrażenie, że niskie sufity i półmrok idą za nią. Szeroka klatka schodowa za drzwiami prowadziła do części prywatnej na drugim piętrze. Idąc po szerokich schodach z czarnego drewna, przytrzymywała się dla równowagi ściany i nie mogła się już doczekać spotkania z Kistenem i zrozumienia, jakie u niego znajdzie, a przy tym pewności, że nie chce nią manipulować.

Mieszkała z Kistenem w mieszkaniu, na które zaadaptowano całe górne piętro starego magazynu. Ivy lubiła otwartą przestrzeń i możliwość dowolnego jej aranżowania za pomocą parawanów i strategicznie rozmieszczonych mebli. Ogromne okna były od zewnątrz wysmarowane nagromadzonym przez czterdzieści lat brudem i pyłem. Piscary nie lubił się aż tak eksponować, co gwarantowało im pewne bezpieczeństwo.

Pobrzękując butelkami wina, Ivy postawiła je na stoliku przy schodach i pomyślała, że są z Kistenem jak dwoje wykorzystanych dzieci, które łakną uwagi tej samej osoby, która je skrzywdziła i kochają ją z desperacji. Przemyślenia te nie były nowe i dawno przestały boleć.

Zdjęła kurtkę i położyła ją razem z torebką obok wina.

- Kist! - zawołała, a jej głos wypełnił ciszę. - Wróciłam. - Wzięła znów do ręki butelki i zmarszczyła czoło. Może powinna była kupić trzy.

Nie było odpowiedzi, a kiedy poszła do kuchni, żeby schłodzić alkohol, poczuła zapach krwi, który wstrząsnął nią tak, jakby została porażona prądem. To nie był zapach Kistena.

Zatrzymała się i wzięła głęboki wdech. Spojrzała tam, gdzie posłaniec ustawił w zeszłym tygodniu fortepian. Jego zakup zrujnował ją bardziej niż motor, ale niosący się w pustej przestrzeni dźwięk sprawiał, że zapominała o wszystkim, dopóki nie przebrzmiała ostatnia nuta.

- Kist?

Usłyszała jego westchnienie, ale go nie widziała. Na jej twarzy pojawiła się konsternacja, a każdy mięsień napiął się, kiedy ruszyła w kierunku ustawionych wokół fortepianu kanap. Przenikające przez okna zakurzone światło słoneczne połyskiwało na czarnym lakierowanym drewnie, na białym perskim dywanie, między kanapą a fortepianem, zobaczyła zaś Kistena, który klęczał przy dziewczynie w obcisłych dżinsach, czarnej koronkowej bluzce i wytartej skórzanej kurtce.

Kisten uniósł głowę, w jego niebieskich oczach zobaczyła niezwykłą dla niego panikę.

- To nie ja - powiedział, unosząc zakrwawione ręce nad martwym ciałem.

Cholera. Ivy rzuciła butelki na kanapę i uklękła obok niego. Z przyzwyczajenia sprawdziła puls, ale bladość i lekko poraniona szyja nie pozostawiały

wątpliwości, że drobna blondynka była martwa, choć jeszcze ciepła.

- To nie ja - powtórzył Kisten i cofnął o kilka centymetrów swoje szczupłe, chłopięce ciało. Trzęsły mu się ręce, silne i umięśnione, a czubki palców połyskiwały czerwono. Ivy przeniosła wzrok z jego palców na twarz i w jego łagodnych rysach, które chował za jasnorudą brodą, dostrzegła strach. Na czole, za brązową grzywką dostrzegła smugę krwi i musiała się pohamować, żeby jej nie scałować, co ją obrzydziło i zaintrygowało jednocześnie. Nie taka chciałam być, pomyślała.

- To nie ja, Ivy! - krzyknął Kisten w odpowiedzi na jej przedłużające się milczenie, a ona wyciągnęła rękę nad ciałem dziewczyny i odgarnęła mu przydługą grzywkę. Delikatnie poszerzająca się czerń w jego spojrzeniu zaparła jej dech. Boże, ależ on był przystojny, kiedy był taki wzburzony.

- Wiem, że to nie ty - powiedziała, a Kisten rozluźnił szerokie ramiona, co kazało jej się zastanowić, czy to nie przez to był taki zdenerwowany. Nie bał się o to, że będzie musiał zatuszować błąd Piscary'ego, ale o to, że Ivy mogłaby pomyśleć, że to on ją zabił. Gdzieś w tym kryła się pewność, że ją kochał.

Ładna kobieta była w typie Piscary'ego, miała długie jasne włosy i kościstą twarz. Prawdopodobnie miała niebieskie oczy. Cholera, cholera, cholera. Myśląc intensywnie, jak zminimalizować szkody, zapytała:

- Od jak dawna nie żyje?

- Od kilku minut. Nie więcej. - Donośny głos Kistena wydał się teraz bardziej znajomy. - Próbowałem się

dowiedzieć, gdzie się zatrzymała, i kazać ją zabrać, ale została zabita tu, na kanapie. Piscary... - Spojrzał jej w oczy i szarpnął parę diamentowych kolczyków. - Piscary kazał mi się tym zająć.

Ivy przeniosła ciężar ciała na stopy i usiadła na brzegu kanapy. Kisten nie wpadał zwykle w taką panikę. Był prawą ręką Piscary'ego, nieumarły wampir kazał mu kierować barem, wykonywać swoje polecenia za dnia i sprzątać po nim brudy. Brudy, które miały zwykle metr pięćdziesiąt wzrostu, czterdzieści pięć kilo wagi i blond włosy. Cholera jasna. Piscary nie dał się tak ponieść od czasów, kiedy wyjechała, żeby skończyć liceum na Zachodnim Wybrzeżu.

- Podpisała papiery? - zapytała.

- Myślisz, że denerwowałbym się tak, gdyby to zrobiła? - Kisten zaczął układać włosy drobnej kobiety, jakby to miało w czymś pomóc. Boże, wyglądała na czternastkę, chociaż Ivy wiedziała, że miała koło dwudziestki.

Zacisnęła usta i westchnęła. To tyle w kwestii snu tego ranka.

- Przynies z kubła na plastik opakowanie po pianinie - powiedziała zdecydowanym głosem, a Kisten wstał i naciągnął na dzinsy swoją jedwabną koszulę. - Za osiem godzin otwieramy dla pierwszej gromady Inderlanderów i nie chcę, żeby śmierdziało tu trupem.

Kisten wstał i podszedł do schodów.

- Ruszaj się, jeśli chcesz doczyścić dywan! - krzyknęła Ivy i usłyszała, jak skoczył na podłogę z połowy schodów.

Zerknęła ze znużeniem na porzuconą na kanapie torebkę kobiety, zbyt wyczerpana emocjonalnie, żeby zastanawiać się nad tym, co powinna czuć. Kisten był

prawą ręką Piscary'ego, ale kiedy przychodziło co do czego, to Ivy była mózgiem. Nie chodziło o to, że Kisten był głupi - wręcz przeciwnie - ale przywykł do tego, że to ona dowodzi. Oczekiwał tego od niej. Lubił to.

Zastanawiając się, czy Piscary zamordował dziewczynę specjalnie po to, żeby odpowiedzialność spadła na Kistena, Ivy stanęła z rękami na biodrach i spojrzała na brudne okna i na zamgloną rzekę w porannym świetle. To by było podobne do tego cholernego manipulanta. Gdyby Ivy uległa Artowi, byłaby tego ranka u niego - i nie tylko zrobiłaby posłusznie następny krok, dzięki któremu miała zdobyć dyrektorskie stanowisko, które przeznaczył dla niej Piscary, ale również zmusiłaby tym samym Kistena, żeby sam się wszystkim zajął. Sprawy nie potoczyły się zgodnie z zamysłem Piscary'ego, co przypuszczalnie wprawiło go w zachwyt; był z niej dumny, że się tak opiera, ale oczekiwał jeszcze rozkoszniejszego upadku, kiedy nie będzie w stanie już dłużej walczyć.

Zdeprawowana, wyniszczona, brzydka, pomyślała, przyglądając się buchającym parą kołowcom turystycznym, w których dokładano do kotłów. Czy kiedykolwiek była inna?

Odwróciła się na dźwięk wleczonego plastiku i bez zbędnych gestów czy spojrzeń szybko przeturlali kobietę na folię, zanim puszcza jej zwieracze. Zawinęli ją ciasno, krzyżując jej ręce na piersi jak u egipskiej mumii. Ivy patrzyła na swoje ręce, a nie na niewyraźną twarz pod folią, i próbowała zdystansować się do tego, co robili, kiedy owijali wokół kobiety przyniesioną przez Kistena taśmę klejącą jak lampki na choince bożonarodzeniowej.

Dopiero gdy udało im się zamienić ciało człowieka w przedmiot, Kisten odetchnął, powoli i przeciągle. Ivy później nad nią zapłacze. A potem nad sobą. Ale dopiero wtedy, gdy nikt nie będzie słyszał.

- Chłodnia - powiedziała, a Kisten się wzdrygnął. Ivy spojrzała na niego, nachyliła nad ciałem z rękami wsuniętymi pod ramiona kobiety. - Tylko dopóki nie postanowimy co dalej. Za cztery godziny zjawi się Danny, żeby wyrobić ciasto i naszykować makaron. Nie zdążymy pozbyć się ciała i posprzątać.

Spojrzenie Kistena padło na zakrwawiony dywan. Uniósł but i skrzywił się na widok lepkiej, brązowej podeszwy i śladów prowadzących na dół i z powrotem na górę.

- No tak - powiedział, gubiąc sztuczny brytyjski akcent, a potem przejął od Ivy długi pakunek i sam zarzucił go sobie na ramię.

Ivy była dumna, że tak szybko się pozbiarał. Miał tylko dwadzieścia trzy lata, został prawą ręką Piscary'ego jako siedemnastolatek, kiedy pięć lat wcześniej matka Ivy zginęła w wypadku i zwolniła tym samym posiadłość. Piscary sprawował kontrolę nad Cincinnati, a Kisten musiał tylko po nim sprzątać i dbać o to, żeby był zadowolony. Z łatwością stłumiła cień zazdrości, że Kisten zajął jej upragnioną pozycję.

Brutalna lekcja życia u Piscary'ego postarzyła ją, zanim na dobre zaczęła żyć. Nie zastanawiała się nad tym, co robi, aż było po wszystkim. Kisten nie nauczył się jeszcze oszukiwać samego siebie i żył chwilą, zamiast tak jak ona w kółko przerabiać wszystko w głowie. Reagował

przez to wolniej, bardziej... ludzko. A ona kochała go za to.

- Trzeba się pozbyć samochodu? - zapytała, przejmując dowodzenie nad akcją. Nie zauważyła żadnego auta na parkingu, ale też specjalnie się nie rozglądała.

- Nie. - Kisten schodził już po schodach, a ona szła za nim; dzięki swojej sile wampira bez trudu niósł ciężar. - Przyszła z Piscarym koło północy.

- Prosto z ulicy? - zapytała z niedowierzaniem, ciesząc się, że restauracja była zamknięta.

- Nie. Z dworca autobusowego. Najwyraźniej to jakaś stara znajoma.

Ivy zerknęła na kobietę na jego ramieniu. Miała najwyżej dwadzieścia lat. Jak długo mogli się znać? Piscary nie lubił dzieci, mimo jej wzrostu. Coraz bardziej wyglądało na to, że zaaranżował to wszystko po to, żeby Kisten się usamodzielniał. Nie tylko wszystko zaplanował, ale wybrał kobietę o tajemniczym pochodzeniu, na wypadek gdyby Kistenowi się nie powiodło. Wyższy wampir nie spodziewał się, że Ivy wróci wcześniej, a ona poczuła przyptyw czegoś na kształt miłości do Kistena - gdyby tylko wiedziała, że czułaby to samo bez żądz krwi.

Ruszyła, żeby otworzyć drzwi do kuchni, i dostrzegła grymas na twarzy Kistena.

- Piscary zabił ją z premedytacją - powiedział i poprawił sobie ciało na ramieniu, a Ivy pokiwała, nie chcąc wspominać o roli, jaką sama odegrała w tej lekcji.

Weisnęła sobie za pasek serwetkę i pociągnęła za klamkę do chłodni, przesuwając butem jakąś skrzynkę, żeby zablokować drzwi. Kisten wszedł zaraz za nią w dziwną

mieszanek wilgoci i chłodu, w którym Piscary z uporem przechowywał swoje sery; Ivy przesunęła jagnięcą półtuszę, która rozmrażała się na piątek, izolując ręce za pomocą serwetki, żeby ciepło nie zostawiło śladów, po których od razu poznać, że ktoś coś tu ruszał.

Za podwieszonym stołem był długi rząd skrzyń i właśnie tam Kisten położył ciało kobiety, zakrywając ściereczką niewyraźną ludzką twarz. Ivy przemknęło przez myśl, że już kiedyś widziała tu podobny pakunek. Mieli z Kistenem po dziesięć lat i bawili się w chowanego, kiedy rodzice dopijali wino i kończyli rozmowę. Piscary powiedział im, że Ivy jest jakąś postacią z bajki i kazał iść bawić się na górę, gdzie było pusto. Miała wrażenie, że ciągle bawią się na górze, tyle że teraz ich zabawy były bardziej skomplikowane i mieli nad nimi mniejszą kontrolę.

Kisten spojrzał jej w oczy, a ich głęboki błękit był pełen wspomnień.

- Śpiąca Królowna - powiedział, a Ivy przytaknęła głową. Tak nazwali wtedy ciało. Czując się jak mała dziewczynka, która chowa potłuczony talerz, przesunęła jagnięcą półtuszę do tyłu, żeby częściowo zakryć trupa.

Zmrożona nie tylko niską temperaturą, wyszła za Kistenem, odsunęła skrzynkę przytrzymującą drzwi i oparła się o nie. Popatrzyła na zegar nad drzwiami.

- Zajmę się salonem i schodami, a ty weź windę - powiedziała, nie chcąc ryzykować przypadkowego spotkania z Piscarym. Nie miałaby jej za złe, że pomogła Kistenowi. Nie, fakt, że znów spławiła Arta, tak by go rozbawił, że zaprosiłby ją do siebie do łóżka, a ona poszłaby do

niego z drzeniem, zapominając całkowicie o Kistenie i o tym, co robiła. Boże, ależ siebie nienawidziła. Kisten sięgnął po mop, a Ivy rzuciła jeszcze:

- Weź nową końcówkę, a kiedy skończysz, nałóż z powrotem starą. Będziemy musieli ją spalić razem z dywanem.

- Jasne - powiedział i zacisnął zęby, rumieniąc się. Kiedy nalewał wodę do wiadra, Ivy wzięła nową puszkę sprayu do polerowania stołów w restauracji. Po rozcieńczeniu usuwał resztki wampirzych feromonów, a w pełnym stężeniu rozbijał enzymy krwi, z którymi nie mogła sobie poradzić większość środków czyszczących. Może to była lekka przesada, ale wołała dmuchać na zimne.

Istniało małe prawdopodobieństwo, że ktoś będzie tu szukał tej kobiety i chodziło nie tyle o to, żeby zamaskować jej obecność przed wężącym agentem ISB czy FBI, ale bardziej o to, żeby w restauracji nie czuć było żadnej krwi poza jej własną i Kistena. To mogłoby bowiem wzbudzić wątpliwości, czy nie została naruszona koncesja ogólnorasowa, tak zwana KO. Ivy nie sądziła, żeby jej tłumaczenie, że nikt w lokalu nie został pogryziony - że Piscary wysłał kobiecie krew w swoim prywatnym mieszkaniu - a więc tłumaczenie, że nie naruszono KO, spotkało się ze zrozumieniem. Sądząc po przykrościach, na jakie naraził się Piscary, kiedy ostatnim razem chciał odzyskać KO po tym, jak jakiś głupi wilkołak nawalony siarką wysłał komuś krew, uznała, że Piscary wolałby raczej sąd i więzienie, byle tylko znów nie stracić KO. Ale tak naprawdę Ivy była taka staranna, bo nie chciała, żeby mieszkanie pachniało kimkolwiek poza nią i Kistenem.

Jej myśli kazały jej na niego spojrzeć. Dobrze wyglądał, gdy tak pochylał głowę nad wiadrem, a rozbryzgujące się kropelki lejącej się do wiadra wody mierzwiły mu jasną grzywkę.

Najwyraźniej nieświadomy tego, że mu się przygląda, zakręcił kurek.

- Ale ze mnie dupa - powiedział, patrząc, jak tafla wody się uspokaja.

- To mi się właśnie w tobie podoba – powiedziała zmartwiona, że mógł poczuć się do niczego przez to, że przejęła dowodzenie.

- Ale tak jest. - Nie patrzył na nią, zaciskał tylko ręce na brzegu plastikowego wiadra. - Byłem jak sparaliżowany. Tak strasznie się bałem, co powiesz, jak wrócisz do domu i zastaniesz mnie z trupem dziewczyny, że nie byłem w stanie myśleć.

Ivy dostrzegła w tym komplement, uśmiechnęła się więc i zaczęła grzebać w szufladzie w poszukiwaniu nowej końcówki do mopa.

- Wiedziałam, że jej nie zabiłeś. Czuć było od niej Piscary'ego.

- Cholera, Ivy! - krzyknął Kisten i walnął otwartą dłońią w kurek, wydobywając brzęk metalu. – Powinienem być kimś lepszym! Jestem jego pieprzonym sługusem!

Ivy opadły ręce. Zasunęła szufladę, podeszła do niego i położyła mu dłonie na ramionach. Były aż twarde z napięcia, a Kisten nawet się nie poruszył pod wpływem jej dotyku. Przyciągnęła go do siebie i przycisnęła policzek do jego pleców, wdychając jego strach i zapach krwi kobiety. Zamknęła oczy i poczuła, jak ogarnia ją żądza

krwi. Śmierć i krew nie pobudzały wampirów. Ale strach i możliwość picia krwi, owszem. To co innego.

Objęła go w pasie i wsunęła palce między guziki koszuli w poszukiwaniu mięśni brzucha. Dopiero wtedy Kist pochylił głowę i rozluźnił się pod wpływem jej dotyku. Jej zęby były zaledwie kilka centymetrów od blizny po starej ranie, którą mu zadała. Uderzyła ją odurzająca woń zmieszanych zapachów ich ciał i przełknęła ślinę. Najbardziej podniecająca rzecz na świecie. Przycisnęła się do niego mocno piersiami i odetchnęła głęboko, celowo wciągając w płuca jego zapach, przywołując do siebie macki podniecenia, wyczekując dreszczy wzdłuż kręgosłupa.

- Nie martw się tym - pocieszyła przytłumionym głosem.

- Lepiej byś się nadawała na jego prawą rękę niż ja - powiedział gorzko. - Dlaczego to mnie wybrał?

Miała wrażenie, że problem wcale nie polegał na tym, które z nich było prawą ręką Piscary'ego, ale na tym, żeby odreagować stres. Uległa swoim żądzom, wspięła się na palce i nachyliła się do jego ucha.

- Bo umiesz rozmawiać z ludźmi, sprawiać, że robią to, co chcesz, i przekonywać ich, że to ich własny pomysł. Mnie ludzie się boją.

Odwrócił się, powoli, żeby nie wyrwać się z jej uścisku.

- Prowadzę bar - powiedział, patrząc w dół. - Ty pracujesz dla ISB. Sama powiedz, co ma większą wartość.

Ivy zsunęła mu ręce na pas i przycisnęła go do zlewu.

- Przepraszam za te bzdury o roznoszeniu pizzy - powiedziała szczerze. - Nie prowadzisz baru, robisz roze-

znanie w Cincinnati: co kogo motywuje i co jest gotów zrobić dla innych. A ja? - Skoncentrowała się na kosmyku włosów wystających zza jego koszuli. - Ja się uczę, jak włączyć innym w dupę i wgryzać się w szyję.

Kisten pokręcił samokrytycznie głową.

- Piscary podrzucił mi trupa dziewczyny, a ja siadłem i załamałem ręce. Ty przyszedłeś i od razu wzięłaś się do roboty. A co, jeśli znów zdarzy się coś ważnego, a ja znów to spieprzę?

Przebiegając rękami po gładkiej jedwabnej powierzchni aż do jego ramion, zamknęła oczy i dała się ponieść narastającemu w niej podnieceniu. Mieszało się z poczuciem winy. Była niedobra. Chciała tylko pocieszyć Kistena, ale już to ją podniecało.

Powróciło wspomnienie Arta i tego, do czego o mały włos nie doszło. Między jednym a drugim oddechem mięśnie przy jej zuchwie napięły się, a źrenice rozszerzyły. Cholera. Równie dobrze może się temu poddać. Czując się jak dziwka, otworzyła oczy i utkwiała je w Kistenie. Jego oczy pociemniały równie mocno, jak jej, a w brzuchu poczuła ukłucie zniecierpliwienia. Wypaczona i pokręcona. I taka, i taka. Czy umiała w inny sposób pokazać, że jej na kimś zależy?

- Dasz sobie radę - szepnęła, pragnąc poczuć, jak jej usta zaciskają się na czymś, na czymkolwiek. Delikatna skóra pod jego brodą lśniła od wodnej mgiełki, aż prosząc, żeby jej spróbować. - Ja ratuję twój tyłek. Ty ratujesz mój - powiedziała. Tylko tyle miała mu do zaoferowania.

- Umowa stoi? - zapytał z zagubioną miną. Najwyraźniej wystarczyło.

Pokusa była zbyt silna, więc przyłgnęła do niego mocniej i przycisnęła delikatnie usta do jego szyi, wczuwając się w jego rytmiczne tętno. Czuła się tak, jakby umierała: jakby krzyczała, bo potrzebowali się nawzajem, żeby przetrwać przy Piscarym, serce waliło jej jak szalone w oczekiwaniu na to, co miało zaraz nadejść, a przy tym ogarniała ją rozpacz, że obie te rzeczy były ze sobą powiązane.

- Stoi - szepnęła. Zamknęła oczy i przesunęła zębami po jego skórze, ale nie naruszyła jej, jej palce gładziły czystą miękkość jego włosów.

Kisten zaczął szybciej oddychać, podniósł ją jedną ręką i posadził na blacie, wciskając się jej między nogi. Poczula, że oczy zachodzą mu mgłą, kiedy przesunął ręce po jej biodrze i wsunął je za spodnie.

- Jesteś głodna - stwierdził z niebezpieczną nutką w głosie.

- Jestem bardziej niż głodna - odpowiedziała, zaplatając mu ręce na szyi, jakby chciała go związać. Mówiła władczym tonem, choć tak naprawdę czuła się przy nim bezbronna. Zmorą wampirów było to, że najsilniejsze były zarazem najbardziej zależne. Kisten znał te gierki równie dobrze, jak ona. Pomknęła myślami do Śpiącej Królowny w chłodni i musiała odsunąć od siebie obrzydzenie, które do siebie czuła, bo nie dalej niż dziesięć minut po śmierci kobiety w ich mieszkaniu chciała już czuć, jak wlewa się w nią krew Kistena. Później zajmie się wstrętem do samej siebie. Nadzwyczaj sprawnie umiała zaprzeczać jego istnieniu.

- Art znów cię męczył? - powiedział Kisten z przebiegłym wyrazem na swojej niemal łagodnej twarzy i wsunął jej rękę pod bluzkę. Poczula ciepło bijące od jego palców.

- Bez przerwy... - Stłumiła drzenie, żeby uczucia mogły w niej narastać.

Wolną ręką przesunął po jej ramieniu i obojczyku, aż dotarł do drugiej strony szyi.

- Będę musiał mu napisać list z podziękowaniami.

Ivy otworzyła gwałtownie oczy i przyciągnęła go do siebie, obejmując go nogami i przyciskając. Oderwał ręce od jej talii, zostawiając po nich stygnące ciepło.

- On chce i mojej krwi, i ciała - powiedziała Ivy, czując, jak jej pragnienie Kistena miesza się w niej z pogardą dla Arta. - Ale nic nie dostanie. Mam zamiar doprowadzić do tego, żeby wziął moją krew wbrew mojej woli.

Poczuła oddech Kistena na swojej szyi, a jego ręce na krzyżu.

- Co ci to da?

Niewyraźny, zły uśmiech pojawił się na jej twarzy, kiedy spojrzała przez jego ramię na pustą kuchnię.

- Satysfakcję - wydyszała, czując, jak słabnie. - Uniemożliwia mi awans, żeby zamknąć mi gębę, bo inaczej stanie się pośmiewiskiem całej wieży. - Ivy nie wiedziała jednak, czy dalej może sobie na to pozwalać. Art był silniejszy, niż chciała to przyznać.

- Moja dziewczynka - powiedział Kisten, a ona wstrzymała oddech, gdy przechylił głowę i zaczął delikatnie skubać zębami jej starą bliznę, przeszywając ją cudownym dreszczem zniecierpliwienia. - Ależ z ciebie intrygantka. Przypomnij mi, żebym nigdy nie wchodził ci w drogę.

Stała z zapiętym tchem, nie mogąc mu odpowiedzieć. Przez myśl jej przemknęło, że trzeba załatwić sprawę

z zanieczyszczonym miejscem zbrodni, ale zaraz o tym zapomniała.

- Będziesz musiała poćwiczyć słowo „nie” - wymamrotał Kisten.

- Mm. - Otworzyła oczy i zaczęła ocierać się o niego, czując, że przyciąga ją mocniej do siebie. Pochyliła głowę i zwinęła dłonie, które trzymała na jego plecach, i wpiła się palcami w jego ciało. Wargi Kistena drażniły jej szyję i przesuwwały się coraz niżej.

- Potrafiłabyś odmówić, gdyby robił ci to co ja? - szepnęła Kisten i przesunął zębami po jej nagiej skórze, a dłońmi torował sobie drogę do jej piersi.

Obydwa odczucia zlały się w jej umyśle w jedno i miała wrażenie, jakby to jego zęby muskały jej piersi.

- Tak... - wydyszała podniecona. Podwinął brzeg jej bluzki, a ona chwyciła go za włosy opadające na kark, pragnąc więcej.

- A co, jeśli spełniłby swoją obietnicę? - zapytał, opuszczając głowę, a ona zamarła, czując, jak jej krocze zalewa srebrzysta fala, kiedy Kisten powędrował zębami tam, gdzie przed chwilą trzymał palce. Na to musiała już zareagować.

Z walącym sercem podciągnęła mu głowę do góry. Mogło go to zboleć, ale Kisten wiedział, że się na to zanoszą, i poddał się jej ruchom. Nigdy go nie skrzywdziła. Nie specjalnie.

Rozchyliła wargi i objęła go mocniej udami, aż prawie spadła z szafki. I chociaż wtuliła twarz w jego szyję, wdychała jego zapach i muskała jego stare blizny, nie przegryzła mu skóry. Wyrzeczenie było czymś więcej niż

rozkoszną torturą, czymś więcej niż głęboko zakorzenioną tradycją. Było przetrwaniem.

Prawda była taka, że powoli przestawała już myśleć i tylko utrwalone wzorce zachowań powstrzymywały ją przed tym, żeby zatopić zęby w jego ciele i wyssać to, co utrzymywało go przy życiu. Pragnęła, żeby ogarnęło ją oszalamiające, totalne, natychmiastowe poczucie władzy nad drugim człowiekiem, dzięki któremu miała pewność, że żyje. Ale dopóki jej na to nie pozwoli, musiała czekać wygłodniała. To była gra, śmiertelnie poważna gra, która zapobiegała błędom popełnianym w chwilach uniesienia. Nieumarli mieli własne gry i łamali wszelkie zasady, jeśli stwierdzili, że ujdzie im to na sucho. Ale żywe wampiry przestrzegały zasad, wiedząc, że może to zadecydować, czy w ogóle przeżyją krwawą schadzkę.

Kisten wiedział o tym i napawał się chwilową władzą nad Ivy. Zwykle to ona dominowała, ale nie mogła zaspokoić swoich żądz, dopóki jej na to nie pozwolił, a on był równie bezradny bez jej zgody. Odepchnął umięśnionymi rękami jej usta od szyi i sam przycisnął wargi do jej żyły szyjnej, czując jej rytmiczne pulsowanie. Ivy odchyliła głowę i spojrzała w sufit, zastanawiając się, które z nich podda się i zapyta pierwsze. Niewiedza rozpałała ją, czując tę niepewność, wydała z głębi siebie pomruk.

Opuściła głowę, odszukała jego ucho i poczuła ostry smak diamentu na języku.

- Daj mi - wydyszała, poddając się i nie zważając na to, że jej żądza okazała się silniejsza niż jego.

- Bierz - jęknął, szybciej niż zwykle ulegając zdwojonej mocy ich pożądania.

Dysząc z ulgi, przyciągnęła go bliżej i zaszokowana zetknięciem z nim, zatopiła delikatnie zęby w jego ciele.

Kisten zadrżał, przycisnął ją mocniej i uniósł znad blatu.

Ssała jego krew, wygłodniała, niemal spanikowana, że ktoś im przeszkodzi. Ostry smak przeniknął ją cudowną ulgą. Ich zapachy mieszały się w jej mózgu, a jego krew wpływała do niej, stapiając ich w jedno i wymazując pustkę, którą nieustannie drążyła w niej miłość do Piscary'ego i zaspokajanie jego żądań. Ciepło Kistena wypełniło jej usta, a ona przełknęła, posyłając je w głąb siebie w desperackiej próbie zamroczenia swojej duszy.

Czuła na sobie przyspieszony oddech Kistena i wiedziała, jak wielką sprawia mu rozkosz, wiedziała, że ślina wampira wywołuje ekstazę tak podobną do orgazmu, że zacierała się granica. Jego drżące palce gładziły ją i zaczęły podciągać jej bluzkę, ale wiedziała, że nie starczy na to czasu. Będzie szczytować, zanim zdążą działać coś więcej.

Z zapartym tchem i brutalnością wypływającą z poczucia władzy i żądy krwi, odepchnęła go od siebie i szybko oblizła zęby. Spojrzała mu w oczy, czarne od poszerzonych źrenic. Zobaczył, że Ivy się chwije.

- Bierz - wydyszała, desperacko pragnąc dać mu to, czego potrzebował, czego pożałował. Nie łagodziło brutalności całego aktu, ale tylko w ten sposób mogła zapewnić sobie spokój.

Kisten nie czekał. Wydał z siebie gardłowy pomruk i się nachylił. Wstrząsnęła nią fala gwałtownych uczuć, moment podniecającego bólu przerodził się niemal w jednej chwili w równie silną rozkosz; ślina wampira zamieniła ukłucie kłów w żar namiętności.

- O Boże - jęknęła. Kisten usłyszał ją i wpił się mocniej, posuwając się znacznie dalej niż zwykle. Wydała stłumiony okrzyk podwójnie podniecona jego zębami na szyi i palcami na piersiach. Poruszając się w rytm jego ciała, odciągnęła jego rękę od swojego karku i złapała go za nadgarstek. Nie mogła... tego znieść. Chciała wszystkiego. Wszystkiego i to natychmiast.

Kisten wsysał się w nią, a ona, przepełniona ekstazą, ugryzła go, przecinając stare blizny.

Kisten zadrżał, a jego uścisk zelżał, kiedy obydwoje ogarnęła erotyczna i krwawa ekstaza. Odsunął się od szafki, a ona zacisnęła mocniej nogi wokół jego pasa.

Wyczuła w jego oddechu, że zaraz dojdzie, i szczęśliwa, że akt zakończy się obopólną satysfakcją, wyłączyła myślenie. Wszystko zniknęło, zostało tylko pragnienie, by się nim wypełnić, więc wzięła wszystko, co jej dał, nie było istotne, że on robił to samo. Razem mogli odnaleźć spokój. Razem mogli przetrwać.

Ivy zacieśniła uścisk i głębiej wpiła zęby. Kisten odpowiedział jej głuchym pomrukiem. Obudziło to w niej pierwotne instynkty i zalał ją strach, instynktowny i niepohamowany. Kisten wyczuł go i chwycił ją brutalniej.

Zawyla, a kiedy ból zamienił się w spazmy rozkoszy, zaczęła szczytować, jej puls dudnił dziko pod dłonią Kistena, w jego ustach i w jego ciele. Cały się spiął i wydając ostatni jęk, oderwał od niej usta, osiągając oszołamiający mentalny orgazm, wywołany zaspokojeniem głodu i żądzą krwi.

Nic dziwnego, że była skrzywiona psychicznie, pomyślała, kiedy jej ciało trzęsło się i buntowało z powodu

rozkosznego ataku. Nie ma znaczenia: zła czy nie. Nie była w stanie oprzeć się czemuś tak cholernie przyjemnemu.

- Kist - wydyszała, kiedy ucichły ostatnie spazmy, a ona zdała sobie sprawę, że nadal oplata go nogami i opiera się czołem o jego ramię, a jej ciało usiłuje zrozumieć, co właściwie zaszło. - Wszystko w porządku?

- O tak - powiedział, łapiąc z trudem oddech. - Boże, ależ ja cię kocham, kobieto.

Kiedy objął ją mocniej, przepełniło ją coś, co rzadko wzbudzało w niej pozytywne odczucia. Kochała go bardziej, niż chciała się do tego przyznać, ale nie było sensu planować wspólnej przyszłości, skoro była już ona z góry określona.

Posadził ją z powrotem na szafce, zaczęły mu drżeć mięśnie. Wokół źrenic pojawiła się niebieska obwódka, usta, wciąż zaczerwienione od jej krwi, rozchyliły się, a brwi powędrowały w górę.

- Ivy, ty płaczesz.

Ivy zamrugła, zdziwiona, że miał rację.

- Nie, nie płaczę - zapewniła i przerzuciła nogę, żeby uwolnić go z uścisku. Jej mięśnie zbuntowały się, nieprzygotowane do ruchu.

- Owszem, płaczesz - upierał się, biorąc ściereczkę i przykładając ją do nadgarstka, a potem do szyi. Małe ranki zaczęły się już zasklepiać; ślina wampirów stymulowała regenerację i chroniła przed infekcją.

Odwróciła się i zsunęła z szafki, omal się nie potykając, bo tak bardzo chciała zamaskować swoje emocje. Ale Kisten złapał ją za ramię i odwrócił do siebie.

- Co jest grane? - spytał, a zaraz potem zrobił wielkie oczy. - Cholera, zrobiłem ci krzywdę.

Omam się nie roześmiała, ale stłumiła parsknięcie.

- Nie - zaprzeczyła, a potem zamknęła oczy, szukając odpowiednich słów. Miała je na końcu języka, ale nie mogła ich wypowiedzieć. Kochała Kistena, ale dlaczego umiała mu to okazać tylko za pomocą krwi? Czy Piscary już kompletnie zabił w niej umiejętność pocieszenia ukochanej osoby bez uciekania się do aktu brutalności? Miłość powinna być czuła i delikatna, a nie bestialska i wyrachowana.

Nie przypominała sobie, kiedy ostatnim razem spała z kimś bez krwi. Chyba nie zdarzyło się to od czasu, kiedy Piscary po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę i skrzywił ją psychicznie do tego stopnia, że każdy przejaw troski, miłości czy oddania wyzwał w niej żądzę krwi, której nie było sensu się opierać. Żeby się chronić, okłamywała się, że krew to krew, a seks i krew to sposób, żeby okazać komuś miłość, ale sama nie była już pewna, jak długo jeszcze będzie w stanie w to wierzyć. Krew i miłość do tego stopnia się w niej wymieszały, że nie sądziła, żeby umiała je rozdzielić. A gdyby przyznała, że dzielenie się krwią było dla niej wyrazem miłości, musiałaby też przyznać, że puszcza się za każdym razem, kiedy pozwala komuś zatopić w sobie kły w drodze na szczyt. Czy dlatego chciała zmusić Arta, żeby wziął ją wbrew jej woli? Musiała dać się zgwałcić, żeby zachować zdrowe zmysły?

Kisten wodził wzrokiem po kuchni, a Ivy zauważyła, jak rozchylają mu się płatki nosa, kiedy wdychał ich

zapach. Pewnie będą musieli znosić docinki pracowników, że „dali w kuchni upust wampirycznym żądom”, ale przynajmniej w ten sposób udało im się zamaskować zapach trupa.

- No to o co chodzi? - spytał.

Każdego innego odepchnęłaby i zignorowała, ale Kisten znosił już za wiele jej humorów.

- Chciałam cię tylko pocieszyć. - Spuściła głowę, chowając się za zasłoną włosów. - A i tak skończyło się krwią.

Przygarnął ją do siebie z lekkim westchnieniem i objął powoli i ostrożnie. Zadrżała, kiedy scałował delikatnie ostatnie ślady krwi z jej szyi. Wiedział, że jej szyja była teraz wrażliwa aż do bólu i że będzie tak przez kilka najbliższych minut.

- Cholera, Ivy - szepnął, a jego głos powiedział jej wszystko to, czego sama nie umiała wypowiedzieć. - Jeśli chciałaś mnie pocieszyć, świetnie ci wyszło.

Nie ruszył się, a ona, zamiast się odsunąć, przyjęła jego dotyk.

- Ja też tego potrzebowałem - wyjaśnił, a w miejsce gwałtownego pożądania, które zniknęło, kiedy zaspokoili głód, pojawiło się głębokie zadowolenie, przywołane ich mieszającymi się zapachami.

Uwierzyła mu i pokiwała głową, choć ciągle było jej wstyd. Dlaczego umiem postępować tylko w taki sposób?

4

Ivy okręciła się na krześle i przeturlała między palcami łąę banshee zapakowaną bezpiecznie w plastikową torebkę. Zaczęła się zastanawiać, czy to magia, czy nauka sprawiała, że banshee mogła za pomocą kamienia wyssać z kogoś wystarczająco dużo emocjonalnej energii, żeby go zabić. Skłaniała się raczej ku nauce. Nauka na tyle rozwinięta i skomplikowana, że wyglądała na magię. Rezonowanie fal alfa czy coś w tym stylu, jak w telefonach komórkowych albo w transmisji radiowej. Akta nie były jasne.

Godzina była nieludzka, więc gwar rozmów biurowych wpadających przez otwarte drzwi nie był zbyt głośny. Pracowała dziś na górze, bo o piętnastej trzydzieści była umówiona z banshee, która kiedyś współpracowała z ISB. Plus był taki, że dzięki temu będzie mogła wyjść z pracy przed północą, wciąż jednak było cholernie wcześnie.

Czując, że traci humor, odchyliła się na krześle i wsłuchała w ciszę, codzienne odgłosy były tak spokojne, że aż nie na miejscu. Atmosfera w biurze zmieniła się, spojrzenia w jej kierunku nie były już pełne zawziętości, ale raczej współczucia. Nie wiedziała, jak na to reagować. Najwyraźniej rozeszła się już plotka, że Art chciał ją uwieść dla jej krwi, przez co nie tylko zanieczyściła miejsce zbrodni, ale również omal mu nie uległa. I chociaż okazane jej współczucie mogło być kojące, ona czuła tylko wściekłość, że wzbudza w innych litość. Jak, u diabła,

miała się pozbyć Arta, skoro nie umiała mu odmówić? Teraz to już była kwestia dumy.

Ivy podniosła głowę i spojrzała na tykający zegar ścienny. Art utknął pod ziemią i pocieszała ją myśl, że nie wyjdzie stamtąd przez najbliższe kilka godzin. Najchętniej przebiłaby drania kołkiem. A może tego właśnie chciał od niej Piscary?

Wśród stukotu biurowych klawiatur i szmeru plotek usłyszała swoje imię, wypowiedziane delikatnym, obco brzmiącym głosem. Skupiła się i usłyszała, jak ktoś wskazuje drogę do jej gabinetu. Odłożyła lżę obok pojemnika z kolorowymi markerami i odwróciła się do drzwi w tej samej chwili, w której ktoś przygasił światło.

Już nabierała powietrza, żeby się przywitać, ale na widok stojącej kobiety zawahała się i zapomniała zaprosić ją do środka. Nigdy wcześniej nie spotkała banshee i zaczęła się zastanawiać, czy wszystkie wyglądały równie intrygująco, czy było tak tylko w przypadku Mii Harbor.

Miała na sobie efektowną sukienkę do połowy łydki, uszytą z pasków błękitnego materiału. Gdyby nie była z jedwabiu, wyglądałaby jak szmata. Mankiety długich rękawów opadały na palce, a całość doskonale pasowała do jej drobnej sylwetki. Jej króciutko obcięte włosy były czarne, wystrzępione na dole, ze złotymi pasemkami, i choć kontrastowały z bladą cerą i powiewnym strojem, w dziwny sposób idealnie do nich pasowały. Oczy miała zasłonięte ciemnymi okularami. Ivy poczuła się wielka i niezgrabna przy małej, drobnej, wiecznie młodej kobiecie, która stała w drzwiach; zdziwienie na jej delikatnej twarzy zamieniło się w zrezygnowaną akceptację.

Ivy zdała sobie sprawę, że się na nią gapi. Podniosła się szybko i wyciągnęła rękę.

- Pani Harbor - powiedziała. - Proszę wejść. Jestem agentka Tamwood.

Kobieta podeszła, a sukienka zawirowała jej wokół tydek. Miała chłodną dłoń i silny uścisk, z którego Ivy wyswobodziła się jak najszybciej, byle tylko nie wypadło to niegrzecznie. Sądząc po pewnym uścisku, dała jej jakieś sześćdziesiąt lat, chociaż wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia. Magia czy naturalna długowieczność? - zastanawiała się Ivy.

- Mów mi Mia - powiedziała kobieta i usiadła na wskazanym przez Ivy krześle.

- Mia - powtórzyła Ivy i schowała się znów za swoim biurkiem. Zastanawiała się, czy nie zaproponować, żeby kobieta też mówiła jej po imieniu, ale nie zrobiła tego, więc Mia usiadła sztywno i oficjalnie.

Ivy czuła się dziwnie nieswojo, więc aby pokryć zdenerwowanie, przekartkowała raport. Banshee były niebezpieczne, potrafiły wyssać z człowieka wystarczająco dużo energii, żeby go zabić, podobnie jak wampiry psychiczne. Żeby przetrwać, nie musiały zabijać, do przeżycia wystarczały im naturalne emocje otaczających je ludzi. Nie oznaczało to jednak, że nie popadały w obzarstwo, kiedy wiedziały, że ujdzie im to na sucho. Ivy nie miała nigdy wcześniej okazji do rozmowy z banshee. Rasa była na wymarciu, w miarę jak rosła powszechna świadomość na temat tego z pozoru niewinnego, choć w gruncie rzeczy bardzo niebezpiecznego gatunku Inderlanderów.

Podobnie jak czarne wdowy, banshee zwykle zabijały swoich partnerów, kiedy zaszyły w ciążę. Zdaniem Ivy nie robiły tego celowo; ich mężowie byli ludźmi, więc po prostu tracili vitalność i umierali. Poza tym populacja banshee nigdy nie była liczna - na świat przychodziły tylko dziewczynki, a magia potrzebna do poczęcia dziecka z kimś spoza własnej rasy nie ułatwiała sprawy.

- Stresuje cię moja obecność - stwierdziła Mia z pewnym zadowoleniem.

Ivy zerknęła na nią, a potem znów na dokumenty. Uznała, że nie ma co na siłę udawać stoickiego spokoju, więc oparła się o krzesło i położyła ręce na kolanach.

- Nie będę z pani wysysać emocji, agentko Tamwood - powiedziała Mia. - Nie muszę. Zdenerwowanie i sprzeczne uczucia, które z pani emanują, w zupełności mi wystarczą na cały tydzień.

Cudownie, pomyślała kwaśno Ivy. Szczyciła się tym, że potrafiła ukrywać swoje emocje, nie cieszyła ją więc świadomość, że Mia nie tylko je wyczuwała, ale wręcz zlizywała jak sos z talerza.

- Po co zostałam wezwana? - spytała Mia, przyciskając bladymi dłońmi do kolan małą torebkę ozdobioną niebieskimi koralikami.

Ivy wzięła się w garść.

- Pani Harbor - zaczęła oficjalnym tonem, dostrzegając grymas na twarzy Mii, gdy próbowała się uspokoić. - Chciałabym podziękować za możliwość spotkania. Mam do pani kilka pytań, a ISB będzie wdzięczna, jeśli zechce pani na nie odpowiedzieć.

Mia wydała z siebie westchnienie, od którego Ivy zadrżała - przypominało niesamowite zawroźnienie zatraczonej duszy.

- Która z moich sióstr kogoś zabiła? - zapytała, zerkając na lżę w woreczku.

Mowa, którą przygotowała sobie Ivy, wyleciała jej z głowy. Z ulgą przystała na to, żeby obejść formalności; nachyliła się nad biurkiem i oparła się na przedramionach.

- Szukamy Jacqueline.

Mia wyciągnęła rękę po lżę, a Ivy podsunęła ją w jej stronę. Kobieta odłożyła torebkę, wzięła woreczek i wsunęła biały paznokieć pod zatrzask.

- Ej! - zawołała Ivy, podnosząc się z miejsca.

Mia znieruchomiała i spojrziała na Ivy znad swoich słonecznych okularów.

Ivy wzięła wdech, zamarła w pół błyskawicznego, wampirzego ruchu, którym sięgała już po woreczek, i się cofnęła. Oczy kobiety miały przerażającą bladoniebieską barwę, niemal jak u albinoski, ale to ich bolesna pustka powstrzymała Ivy. Stała nieruchomo, a serce waliło jej jak oszalałe na widok dzikiego, powstrzymywanego żelazną siłą woli głodu, który czaił się w tych oczach. Kobieta hamowała głód, który Ivy ledwie liznęła. Ale Ivy wiedziała już wystarczająco dużo na temat siły woli, żeby zauważyć, że Mia w pełni nad sobą panowała: jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, ciało było sztywne, oddech wyważony, ruchy wykonywane z uwagą, jakby się bała, że jeśli poruszy się zbyt gwałtownie, straci samokontrolę, zerwie otaczającą ją aurę i straci silną wolę.

Ivy była zaszokowana tym, co Mia odważnie w sobie skrywała, pokornie usiadła więc z powrotem na krześle.

Na twarzy Mii pojawił się uśmiech. Rozległ się głośny dźwięk rozrywanego zatrzasku, ale Ivy nie powstrzymała jej nawet wtedy, gdy wytrząsnęła sobie łzę na rękę i dotknęła jej szybkim, delikatnym ruchem języka.

- Znalazła to pani na miejscu zbrodni? - zapytała, a kiedy Ivy przytaknęła, dodała: - Ta łza nie jest aktywna. - Ivy już chciała zaprotestować, ale Mia ją uprzedziła: - Znalazła ją pani w pomieszczeniu śmierdzącym strachem. Gdyby łza była aktywna, nie byłoby ani śladu emocji.

Zaskoczona Ivy usiłowała ukryć swoje emocje. Nie napisała w raporcie, że kiedy weszła do pokoju, cuchnęło tam strachem. Nie miało to chyba większego znaczenia, skoro i tak go zanieczyściła. Być może to był błąd, ale wyglądałoby podejrzanie, gdyby wprowadziła teraz do raportu jakieś poprawki.

Mia wrzuciła łzę z powrotem do woreczka.

- Jacqueline nie jest morderczynią. Żadna z moich sióstr nią nie jest. Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc, agentko Tamwood.

Ivy poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić. Sądząc, że Mia chroni jedną ze swoich, powiedziała:

- Mężczyzna przyznał się, że zamordował ofiarę, ale mówi, że nie wie, dlaczego to zrobił. Sądźmy, że Jacqueline podrzuciła łzę, bo wiedziała, że istnieje duża szansa, że jej zbrodnia zostanie uznana za akt przemocy domowej. Proszę cię, Mio. Jeśli nie znajdziemy Jacqueline, niewinny człowiek zostanie skazany za zamordowanie swojej żony.

Rozległ się głośny trzask zamykanej torebki, a Ivy zaczęła się zastanawiać, jak smakuje czarny kryształ.

- Łza, która ma więcej niż tydzień, przestaje pełnić funkcję przekaźnika emocji - powiedziała Mia. - A ponieważ ta łza należy do Jacqueline - rzuciła torebkę na biurko - musi mieć przynajmniej trzy lata.

Zastanawiając się, jak wytłumaczy, że oryginalne zabezpieczenie zostało rozerwane, Ivy zmarszczyła brwi. Traciła czas. Od razu to mówiła Artowi.

- A skąd pani wie? - spytała ze złością. - Łzy nie są datowane.

Mia uśmiechnęła się do niej zza ciemnych okularów odsłaniając zęby; jej kły były odrobinę dłuższe niż u ludzi.

- Wiem, że ma przynajmniej trzy lata, bo trzy lata temu osobiście zabiłam Jacqueline.

Ivy wstała spokojnie i niespiesznie zamknęła drzwi. Szum fotokopiarki ucichł i Ivy wróciła do biurka w zapadłej ciszy, usiłując zachować obojętny wyraz twarzy. Przyglądała się kobiecie, ale nie umiała nic wyczytać z jej opanowania. Czekwała w milczeniu na wyjaśnienia.

- Nie jesteśmy szczególnie lubianą grupą społeczną - wyznała otwarcie Mia. - Jacqueline zrobiła się beztrojska i wróciła do starych tradycji zabijania ludzi po to, żeby chłonąć ich trupią energię, zamiast zadowolnić się resztkami emocji z otoczenia, na których czerpanie zezwala mam prawo Inderlandu.

- Więc ją pani zabiła. - Ivy wzięła głęboki wdech. Ta kobieta przerażała ją nie na żarty, kiedy z takim spokojem przyznawała się do równie ohydneho czynu.

Mia przytaknęła, a brzeg jej sukienki zdawał się samoistnie falować w nieruchomym powietrzu.

- Sprawujemy nad sobą wewnętrzny nadzór, żeby nie robili tego inni Inderlanderzy. - Uśmiechnęła się. - Rozumie pani.

Ivy pomyślała o Piscarym i opuściła wzrok.

- Nie różnimy się od siebie aż tak bardzo - powiedziała lekko kobieta. - Wampiry też kradną energię psychiczną. Tyle że robią to bardziej niezdarnie, bo muszą używać nośnika w postaci krwi.

Ivy powolnym ruchem głowy przyznała jej rację i odepchnęła poczucie winy. Zasadniczo tylko wampiry wiedziały, że we krwi jest część aury człowieka, ale banshee też o tym wiedziały, bo same się nią żywiły. Była to bardziej wyrafinowana forma drapieżności, która polegała na tym, że wydzierały komuś duszę i oddziały ją od ciała. Człowiek mógł zregenerować znaczną ilość aury, ale jeśli zabrano mu jej zbyt dużo w zbyt krótkim czasie, jego ciało umierało. Ivy zawsze sądziła, że banshee znajdowały się na wyższym szczeblu ewolucji, ale może tak nie było, skoro to wampiry umiały ocenić na podstawie widocznych oznak utraty krwi, kiedy przestać ssać.

- To nie to samo - zaprotestowała Ivy. - Kiedy my się żywimy, nikt nie umiera.

- Umiera, jeśli nie zachowujecie umiaru.

Myśli Ivy powędrowały do ciała w chłodni Piscary'ego.

- Tak, ale kiedy wampir się pożywia, daje tyle samo emocji, co bierze.

Mia pozostawała w bezruchu, ale Ivy i tak cała zeszytywniała, bo drobna kobieta zaczęła najwyraźniej ściągać wszystkie cienie z pokoju i spowijać się nimi.

- Tylko żywe wampiry z duszą dają i jednocześnie biorą - powiedziała. - Dlatego właśnie cierpisz, Ivy.

Ivy była zaszokowana jej głosem, niskim i kpiącym, którym wypowiedziała jej imię.

- Gdybyś była wystarczająco silna, mogłabyś odnaleźć piękno w brzydocie - ciągnęła Mia. - Ale się boisz.

Ivy poczuła, jak ściska się jej żołądek, a skóra lodowacieje. Za bardzo przypominało to jej własne poszukiwana, nawet jeśli nie wierzyła, że to możliwe.

- Nie można odnaleźć miłości we krwi - stwierdziła, zdecydowana nie dać się wytrącić z równowagi i mimowolnie nie nakarmić tej... kobiety. - Miłość jest piękna, a krew to brutalne zaspokajanie brzydkiej żądz.

- A ty nie potrzebujesz miłości?

- Nie w tym rzecz. - Ivy poczuła się dziwnie i złapała za brzeg biurka. - Za pomocą krwi nie da się pokazać, że się kogoś kocha. - Mówiła cicho, ale w środku wszystko w niej wprost krzyczało. Była tak skrzywiona psychicznie, że nie umiała pocieszyć przyjaciela, nie zanieczyszczając tego żądzą krwi. Łączenie potrzeby miłości z potrzebą krwi degenerowało miłość i brukało ją. To, że chciała oddzielić te dwie rzeczy od siebie, było dla niej strasznie ważne, a jednocześnie tak kruche, że prawie się zachłysnęła, kiedy Mia pokręciła głową.

- Nie taka chcesz być - zadrwiła. - Widzę to. Wyływa to z ciebie jak łzy. Okłamujesz samą siebie, twierdząc, że krew i miłość to dwie różne sprawy. Okłamujesz samą

siebie, twierdząc, że zdrowe zmysły można zachować tylko wtedy, kiedy rozdzielili się te dwie rzeczy, zamiast uznać za jedną. Dopiero kiedy to zaakceptujesz, będziesz się mogła wzniesć ponad żądania własnego ciała, będziesz mogła stać się tym, kim naprawdę chcesz być... być z tym, kogo kochasz i kto jest wystarczająco silny, żeby odwzajemnić twoją miłość.

Ivy zamarła zdumiona. Ta drobna kobieta, siedząca naprzeciwko, wydobywała z niej najbardziej rozpaczliwe, najgłębiej ukryte pragnienia, obnażając je przed całym światem. Ivy chciała kontrolować swoją żądzę, ale... tak cholernie dobrze było pozwolić, żeby to ona kontrolowała ją. A jeśli nazwałaby ją miłością, oznaczałoby to, że przez pół życia się puszcza.

Kiedy wpatrywała się w znaczący uśmiezek Mii, naszły ją wspomnienia: wspomnienia dotyku Piscary'ego, jego pochwał, tego, jak wszystko jej odebrał, twierdząc, że to dowód jej oddania i miłości, jej nagłej zgody, szukania sensu w byciu taką, jaką chciał, żeby była. Wszystko było tak żywe, jakby zdarzyło się wczoraj, a nie prawie dziesięć lat temu. Następne lata upłynęły pod znakiem przyjemności, a ona zorientowała się, że im bardziej jest władczą, tym większy czuje głód i tym trudniej jej go zaspokoić. Była to straszna zależność, która kazała jej szukać u Piscary'ego poczucia własnej wartości. I choć nigdy jej u niego nie znalazła, Piscary nadał jej cierpieniu pewną słodycz.

A teraz ta kobieta, która wysysała z innych nieszczęście z tą samą łatwością, co oddychała, chciała, żeby Ivy przyznała, że dychotomia, która utrzymywała ją przy

zdrowych zmysłach, była jedynie pustymi słowami? Że mogła znaleźć piękno w swoich pragnieniach, nazywając je miłością?

- To nie miłość - powiedziała, czując, że ma trudności z oddychaniem.

- To dlaczego opierasz się Artowi? - spytała oskarżycielsko, z cieniem uśmiechu na twarzy i jedną brwią kpiąco uniesioną. - Całe piętro się nad tym zastanawia. Wiesz, że to coś więcej niż oddanie krwi. W ten sposób okazujesz miłość, a jeśli oddasz się Artowi, będzie to oznaczać, że należysz do półświatka; albo raczej, że jesteś dziwką. Brudną, perwersyjną zdzirą, która sprzedaje się za chwilę cielesnej przyjemności i możliwość awansu.

Było to tak bliskie temu, co Ivy sama myślała, że zacisnęła zęby, zadowolona, że drzwi do biura były zamknięte. Poczuła, że źrenice jej się rozszerzają, ale wspomnienie hamowanego przez Mię głodu kazało jej zostać na miejscu. Wiedziała, że Mia ją prowokuje, podsyca jej złość, żeby móc ją potem wychłęptać. Banshee tak właśnie robiły. Często wykorzystywały w tym celu prawdę, a to tylko pogarszało sytuację.

- Nie można okazywać miłości poprzez wysysanie krwi - powiedziała Ivy niskim, zaciekłym głosem.

- A czemu nie?

Czemu nie? To brzmiało tak prosto.

- Bo nie potrafię odmówić krwi - przyznała gorzko Ivy. - Potrzebuję jej. Pragnę jej. Do cholery, chcę zaspokoić swoją żądzę.

Mia się roześmiała.

- Ty mała głupia marudna dziewczynko. Chcesz ją zaspokoić, bo jest związana z twoją potrzebą miłości. Dla mnie jest już za późno. Nie mogę znaleźć piękna w zaspokajaniu własnych potrzeb, bo każdy, kogo pokocha banshee, umiera. Ty możesz, więc kiedy patrzę na twój egoizm, mam ochotę ci przyłożyć. Jesteś tchórzem - rzuciła oskarżycielsko. - Zbyt przerażonym, żeby znaleźć piękno we własnych pragnieniach, bo wtedy musiałabyś przyznać, że się myliłaś. Że przez całe życie oszukiwałaś samą siebie, okłamywałaś się, że to nie ma żadnego znaczenia, więc możesz sobie pobłażać. Jesteś dziwką, Ivy. I wiesz o tym. Przestań się łudzić, że jest inaczej.

Ivy poczuła, że oczy robią jej się czarne z wściekłości.

- Chyba musisz już iść. - Była tak spięta, że potrzebowała całej swojej siły woli, żeby się powstrzymać i nie uderzyć banshee. Mia się podniosła. Była pełna życia i energii, jej gładka piękna twarz zaróżowiła się, oskarżycielski anioł, twardy i nieczuły.

- Możesz wznieść się ponad swoje przeznaczenie - zadrwiła. - Możesz być tym, kim chcesz. Co z tego, że Piscary cię skrzywił. Co z tego, że cię złamał i ukształtował tak, byś stała się łatwo dostępnym źródłem bogatej w emocje krwi. Od ciebie zależy, czy się na to zgodzisz, czy nie.

- Myślisz, że podoba mi się, że taka jestem? – Ivy wstała, bo poczuła, że nie panuje nad swoją wściekłością. - Że podoba mi się każdy, kto ma długie zęby i kto może mnie wykorzystać? Taka się urodziłam, nie mogę się od tego uwolnić. Za późno! Zbyt wielu ludzi oczekuje ode mnie, żebym była taka, jaka jestem, zbyt wielu ludzi zmusza mnie, żebym była taka, jaką chcę mnie wi-

dzieć. - Prawda wychodziła na jaw i doprowadzała ją do wściekłości.

Mia rozchyliła usta, a twarz jej płonęła. Oczy kryły się za okularami słonecznymi, a złote końcówki krótkich czarnych włosów chwytaly światło.

- To wymówka leniwego tchórza - powiedziała, a Ivy cała się spięła i już miała jej powiedzieć, żeby się zamknęła, ale przypomniała sobie powstrzymywany głód w jej oczach. - Przyznaj, że się myliłaś. Przyznaj, że jesteś brzydka i że jesteś dziwką. A potem przestań nią być.

- Ale mi z tym dobrze! - krzyknęła Ivy, nie przejmując się tym, że ktoś może ją usłyszeć.

Mia zadrżała, a jej ciało przeszył dreszcz. Oddychając szybko, złapała się oparcia krzesła. Kiedy podniosła wzrok znad okularów, Ivy zdała sobie sprawę, że powietrze było tak czyste i nieskalane, jakby nigdy nie doszło tu do żadnej kłótni. Miała przyspieszony puls, wciągnęła głęboko powietrze i wyczuła w nim jedynie trochę perfum Mii i bardzo delikatny zapach jej potu. Cholera. Ta zdzira jest naprawdę dobra.

- Nie mówiłam, że to łatwe - dodała cicho Mia, a Ivy zaczęła się zastanawiać, co tak właściwie przed chwilą zaszło. - Zawsze będziesz czuła głód, jak cierń. Każdy dzień będzie gorszy od poprzedniego, aż w końcu zaczniesz myśleć, że nie jesteś już w stanie znieść ani chwili dłużej i wtedy zobaczysz wyzierające z twoich oczu pożądanie, ale jeśli będziesz wytrwała, znajdziesz w sobie siłę woli, żeby przetrwać jeszcze jeden dzień. A następnego dnia staniesz się tym, kim chcesz być. Chyba że jesteś tchórzem.

Tykanie zegara na ścianie przybrało na sile w ciszy niemal tak głębokiej, że słyhać było bicie serca Mii; Ivy stała przy swoim biurku, niezadowolona z uczuć, które ją ogarniały.

- Nie jestem tchórzem - odezwała się wreszcie.

- Nie, nie jesteś - przyznała Mia, przygaszona i cicha. Nasycona.

- I nie brak mi siły woli - dodała głośniejszym głosem Ivy.

Mia wzięła powoli wdech i zacisnęła blade palce na torebce.

- Owszem, brak. - Oczy Ivy zwęziły się, a twarz banshee znów się zmieniła. -Wybacz, że pytam - powiedziała jednocześnie zawstydzona i zdenerwowana. - Ale czy nie chciałabyś ze mną zamieszkać?

Ivy napięła mięśnie brzucha.

- Wynoś się.

Mia przełknęła ślinę i zdjęła okulary, odsłaniając bladoniebieskie oczy - ich źrenice były znajomo czarne, przez co kobieta wyglądała niemal bezbronne.

- Nie pożałujesz. - Spojrzała na Ivy tak, jakby była jej kochanką, a potem oblizała wargi. - Moja krew za twoje emocje. Mogę zaspokoić wszystkie twoje potrzeby, Ivy, i znacznie więcej. Możesz też obudzić we mnie dziecko za pomocą bólu, który w sobie nosisz.

- Wynoś się.

Mia kiwnęła opuszczoną głową i podeszła do drzwi.

- Nie brak mi siły woli - powtórzyła Ivy, kiedy Mia przechodziła przez niewielki gabinet, a jej wstyd mieszał się z wściekłością. Kobieta otworzyła drzwi i zawahała się chwilę, czy się obejrzeć.

- Nie. - Na jej wiecznie młodej twarzy pojawił się lekki smutek
- Nie brak. Ale musisz ćwiczyć. - Wyszła, powiewając sukienką, całe piętro ucichło na dźwięk jej obcasów, a światło z jarzeniówek rozświetliło pasemka w jej włosach.

Ivy podskoczyła z wściekłością do drzwi i zatrzasnęła je z hukiem, a potem opadła z powrotem na krzesło.

- Nie brak mi siły woli - powiedziała na głos, jakby dzięki temu jej słowa miały stać się prawdą. Ale myśl, że może jednak, zagnieździła się już w jej umyśle, więc łatwo było zwątpić w siebie.

Oparła buty o biurko i skrzyżowała kostki. Nie chciała się zastanawiać nad tym, co powiedziała Mia - ani nad tym, co zaproponowała. Przymknęła oczy i wzięła wdech, żeby się uspokoić i zmusić do tego swoje ciało. Nie podobało jej się, że Mia ją wykorzystwała, ale banshee tak właśnie postępowały. To była wyłącznie jej wina, że wdała się z nią w kłótnię.

Wzięła kolejny wdech, tym razem wolniej, żeby rozluźnić ramiona. Jeśli się starała, potrafiła wyprzeć wszystko oprócz tego, na czym chciała się skupić - poświęciła na to znaczną część swojego życia. Przez to jednak szybko wpadała w złość, musiała hamować swój apetyt i bywała nadwrażliwa, ale dzięki temu pozostawała przy zdrowych zmysłach.

Otworzyła w ciszy oczy, a jej wzrok padł na łzę. Uchwyciła się jej myślami, rozpaczliwie próbując skupić się na czymś innym. Na widok rozerwanej torebki poczuła falę obrzydzenia. Jak wytłumaczyć się Artowi z zerwanego zabezpieczenia?

Nachyliła się i czując, jak rozciągają jej się mięśnie, przysunęła do siebie torebkę; nie mogła się pohamować

i wytrząsnęła sobie łzę na rękę. Po chwili wahania przytknęła ją do języka. Nic nie poczuła, żadnego smaku. Z poczuciem winy wrzuciła ją z powrotem, docisnęła zatrzask i rzuciła woreczek na biurko.

Łza miała trzy lata i została znaleziona w pokoju śmierdzącym strachem. Banshee nie była za to odpowiedzialna. Mężczyzna zamordował żonę, z góry wiedząc, jak oczyścić się z zarzutów. Skąd wytrzasnął tę łzę? Łzę, która miała nie mniej niż trzy lata?

Trzy lata. Dużo na zaplanowanie morderstwa własnej żony. Zwłaszcza jeśli było się małżeństwem od zaledwie ośmiu miesięcy, jak wskazywały akta pana Demere'a. Planowanie z wyprzedzeniem.

Ivy nachyliła się, czując przyływ adrenaliny, i pomacała palcami woreczek. Wampiry planowały z takim wyprzedzeniem. Jacqueline była wcześniej notowana. Tylko wampir, który pracował dla ISB, mógł wiedzieć, że nie żyła i że nie mogła oczyścić się z zarzutów. I tylko pracownik ISB miał dostęp do łzy zwiniętej z sejfu ze starymi materiałami dowodowymi. Do łzy, której nikomu nie będzie brakowało.

- Cholera jasna - zakłęła cicho Ivy. Sprawa sięgała samej góry.

Rzuciła łzę i sięgnęła po telefon. Art zesra się do własnej trumny, jak się o tym dowie. Nagle jednak uderzyła ją pewna myśl, zawahała się, słysząc przenikliwe piski sygnału oczekiwania na połączenie.

Mieszkanie było pełne strachu - złości i strachu, które powinny zostać wchłonięte przez łzę, ale nie zostały - strachu, który Art zatuszował ich własnymi emocjami.

Sygnal telefoniczny został przerwany, więc Ivy odłożyła słuchawkę na widełki, a w jej myśli wkraść się kwaśny posmak zdrady. Art wykorzystał ją, żeby zmącić poziomy parapsychologiczne w pokoju. Facet z dochodzeniówki zauważył to po wejściu do środka, ale kiedy zobaczył łzę banshee, uznał, że to robota Ivy, nie wiedząc, że ona dołożyła się tylko do tego, co było tam już wcześniej. Nikt nie dokumentował poziomów parapsychologicznych, dopóki w sprawę nie była zamieszana banshee, a dowiedzieli się o tym dopiero po zanieczyszczeniu miejsca zbrodni przez Ivy.

- Po tym, jak Art wykradł i podłożył łzę - mruknęła głośno. Art, który był tak głupi, że potrafił zgubić własne śliczne kielki w czyimś tyłku.

Wyciągnęła pióro z pojemnika i zaczęła postukiwać nim o biurko, chcąc wszystko zapisać, ale zawahała się z obawy, że może się to obrócić przeciwko niej. Może Art nie był jednak aż taki głupi.

- Motyw... - westchnęła, ciesząc się z przypływu adrenaliny i czując, jakby w jakiś sposób ją oczyszczała. Dlaczego Art miałby brać udział w planowaniu i tuszowaniu morderstwa? Co by z tego miał? Był martwym wampirem i motywowała go wyłącznie chęć przetrwania i żądza krwi.

Krwi? - pomyślała. Czy podejrzany obiecał mu, że zostanie dawcą krwi w zamian za pomoc przy zamordowaniu własnej żony? Nie brzmiało to wiarygodnie.

Kąciki jej ust wygięły się do góry i się uśmiechnęła. Pieniądze. Po śmierci i po tym, jak przestał być potencjalnym źródłem krwi, Art przestał awansować w ISB. Gdy

nie miał już krwi na łapówki, nie mógł iść w górę w wampirzej hierarchii. Utrzymywał się tylko z odsetek z funduszy pośmiertnych, ale zgodnie z prawem nie wolno mu było ruszać podstawowej kwoty. Gdyby podejrzany podzielił się z Artem częścią pieniędzy z ubezpieczenia żony, może wystarczyłoby, żeby Art wspiał się o szczebel wyżej. Fakt, że martwy wampir otwarcie przyznał, że nie ma nic przeciwko temu, żeby wykorzystując Ivy, zyskać wyższą pozycję, tylko utwierdził ją w przekonaniu, że borykał się z problemami finansowymi. Martwe wampiry nie pracowały ciężiej, niż musiały. To, że Art w ogóle pracował, mówiło samo za siebie.

Zdejmując z trzaskiem nasadkę z pióra i nakładając ją szybko z powrotem, niemal ze świstem, Ivy usiłowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszała, żeby Art umarł przedwcześnie. Pracował na tym samym stanowisku już ponad trzydzieści lat.

Upuściła pióro, poderwała się nagle, sięgnęła po panoramę firm i poszukała największej firmy ubezpieczeniowej, która nie byłaby powiązana z jednym z najstarszych wampirzych rodów z Cincinnati. Jeśli będzie musiała, obdzwoni wszystkie. Z bijącym sercem wykręciła numer, żeby za pomocą numeru ubezpieczenia społecznego podejrzanego dowiedzieć się, czy następna wpłata nie przypadała na piętnastego. Ubezpieczenie opiewało na ogromną kwotę i Ivy niecierpliwie naciskała na przycisk z gwiazdką, aż doprowadziła maszynę do cyberzawału i połączyła się wreszcie z kimś żywym.

- Ubezpieczenia Wilko - odezwał się uprzejmy głos.

Ivy wyprostowała się na krześle.

- Mówi agentka Tamwood - powiedziała. – Badam sprawę pana i pani Demere. Mogłaby mi pani powiedzieć, czy w ostatnim czasie podnieśli stawkę ubezpieczenia na życie?

Zapadła cisza.

- Dzwoni pani z ISB? - Zanim Ivy zdążyła odpowiedzieć, kobieta dodała sztywno: - Przykro mi, pani Tamwood. Nie możemy podawać takich informacji bez nakazu.

Ivy uśmiechnęła się paskudnie.

- Nic nie szkodzi. Zaraz po zachodzie słońca zjawię się u państwa z moim partnerem i ze świstkiem, o który pani prosi. To dość pilna sprawa, więc mój partner będzie pewnie bez śniadania, żeby zdążyć do was przed zamknięciem.

- Eee... - odezwał się znów głos, a Ivy poczuła, jak rozszerzają jej się oczy na dźwięk kryjącego się w nim strachu. - Nie ma takiej potrzeby. Zawsze chętnie pomagam ISB. Niech tylko znajdę polisę, o którą pani pyta.

Ivy przycisnęła słuchawkę ramieniem do ucha i zaczęła obgryzać paznokcie, starając się jednocześnie zwęzić źrenice.

- Już mam! - wykrzyknęła nerwowo kobieta. – Zaraz po ślubie państwo Demere'owie wykupili skromną polisę obejmującą ich dwoje... - Kobieta urwała, najwyraźniej zdezorientowana. - Jakieś cztery miesiące temu polisa została podwyższona. Chwileczkę.

Ivy opuściła nogi na ziemię i sięgnęła po pióro.

- Dobrze - powiedziała kobieta, kiedy wróciła. – Już wiem w czym rzecz. Pani Demere skończyła studia.

Miała zostać głównym żywicielem rodziny i chcieli wykorzystać niższe stawki przed jej następnymi urodzinami. Wyplata opiewa na kwotę pół miliona dolarów. - Kobieta zachichotała. - Bardzo optymistycznie. Dyplom z baz danych nie zapewni jej aż tak dobrej posady, żeby uzasadniało to tak wysokie ubezpieczenie.

Ivy poczuła falę adrenaliny i usłyszała trzask pióra.

- Cholera! - zakląła, bo atrament pobrudził jej rękę i spłynął na biurko.

- Wszystko w porządku? - zapytała kobieta, a w jej głosie dało się znów wyczuć niepokój.

Ze wzrokiem wbitym w granatowy atrament na ręce, Ivy wyjaśniła:

- Tak. Właśnie złamałam pióro. - Wyrzuciła je do kosza i otworzyła stopą dolną szufladę, żeby wyjąć chusteczkę. - W interesie waszej firmy leży, żeby przez najbliższe kilka tygodni nie wypłacać żadnego ubezpieczenia - powiedziała i wytarła sobie palce. - Czy mogłaby pani do mnie zadzwonić, jeśli ktoś złoży wniosek o wypłatę?

- Dziękuję, pani Tamwood - odezwała się radośnie agentka ubezpieczeniowa, zagłuszając skrzypienie ołówka. - Bardzo pani dziękuję. Mam pani numer i zrobię dokładnie tak, jak pani mówi.

Zawstydzona Ivy się rozłączyła. Ciągłe walcząc z atramentem, poczuła przypływ podniecenia. Żaden z raportów nie mówił, że Iza była nieaktywna. To dawało jej pewne możliwości. Nie mogła jednak iść do podziemi ze swoimi podejrzeniami; jeśli Art obiecał komuś z dołu dołą, jej podejrzenia nigdzie jej nie zaprowadzą i wyjdzie tylko na marudną zdzirę, która chce wymigać się od

oddania Artowi należnej mu krwi. Chociaż tak właśnie postępowała, nie martwiło jej to tak bardzo, jak się obawiała.

Zgniotła poplamioną atramentem chusteczkę i sięgnęła po telefon. Kisten. Kisten będzie mógł jej pomóc. Może mogliby zjeść razem lunch.

5

Przytłumione głosy ostatnich gości odprowadzanych do drzwi niosły się po dębowych klepkach podłogi, a Ivy zrelaksowała się, czerpiąc z tego znacznie większy spokój, niż chciałyby przyznać. Wyciągnęła swoje długie nogi pod pianinem, wzięła rozmrożony koktajl mleczny i pociągnęła ze słomki, planując jednocześnie upadek Arta. Tuż przed nią, na zamkniętym wieku pianina leżały rozpisane alternatywne plany działania, starannie ułożone na czarnym lakierowanym drewnie. Piętro niżej żywi klienci Piscary'ego szli chwiejnym krokiem do domu, zbliżał się świt. Martwi wyszli jakąś godzinę temu. Aromat przecieru pomidorowego, kielbasy, makaronu i deseru czekoladowego, który ktoś zamówił na wynos, przenikał do góry przez szpary.

Przez ogromne okna wpadało słabe światło, a Ivy oderwała wzrok od kartek ułożonych w precyzyjne stosiki i wyciągnęła swoje ozdobione koronką palce w stronę wysokiego sufitu. O tej porze dnia była zwykle w łóżku –

czekała, aż Kisten zamknie restaurację i wsunie się obok niej, lekko ją podszczypując. Często kończyło się to ekstatycznym aktem wymiany, po którym leżeli zaspokojeni w swoich objęciach i zasypiali w świetle poranka, oblewającego ich skórę ciepłem.

Z zamglonym wzrokiem Ivy zaczęła skubać drapiącą tkaninę koronkowej bluzki i wróciła myślami do Mii. Banshee były znane z tego, że oznaczały kłopoty: często zatrudniały się w jakimś zakładzie produkcyjnym i za pomocą kilku odpowiednio dobranych słów prawdy podburzały przeciwko sobie starych przyjaciół, po czym siadały z boku i chłonęły emocje, podczas gdy wszystko wkoło waliło się w gruzy. Zwykle wykorzystywały w tym celu prawdę i to tylko pogarszało sprawę. Ivy kochała Kistena, ale nazywać to miłością, kiedy brała jego krew? To była brutalna potrzeba. Nie mogło w tym być miłości. Jej wzrok padł na otaczające ją kartki i odsunęła je od siebie, jakby chciała w ten sposób odsunąć swoje myśli podniosła rękę i przesunęła palcem między szyją i kołnierzykiem z drapiącej koronki.

Ivy czuła się jak kiepska imitacja wampirzycy, ubrana w obcisłe džinsy i czarną elastyczną bluzeczkę z wysokim kołnierzem z ażurowej koronki i z dużym głębokim dekoltem. Wizerunku dopełniała para sandałów na płaskim obcasie. Sama niekoniecznie wybrałaby taki strój na okazję wrabiania swojego partnera w morderstwo, ale bardzo przypominał on ubranie Śpiącej Królowny.

Ivy siedziała przy pianinie już od kilku godzin, bo po wspólnym lunchu z Kistenem zadzwoniła i powiedziała, że źle się czuje, rzucając winę na nieświeże sushi.

Kisten nie był przekonany, że wsadzanie Arta do kryminału poprzez podrzucenie mu do mieszkania trupa od Piscary'ego to najlepszy sposób na awans, ale Ivy podobała się nieuchronna sprawiedliwość, jaka się za tym kryła. Gdyby poszła do ISB, nic by jej to nie dało oprócz irytacji, że przeszkadza. Jasne, pan Demere nie pójdzie do więzienia za zabicie żony, ale to nie znaczy, że ujdzie mu to na sucho. Później się nim zajmie, kiedy będzie już sądził, że mu się upiekło.

Zaskoczyło ją, że sprawia jej to przyjemność. Lubiła swoją pracę w ISB, lubiła zaczynać w miejscu, w którym czyjeś plany się nie powiodły, i wyłapywać głupców, którzy podjęli idiotyczne decyzje. Ale znacznie przyjemniej było snuć własną intrygę i samodzielnie kogoś usidlać. Jej miejsce było w zarządzie, ale nie przestawała zadawać sobie pytania, czy rzeczywiście tego chciała.

Tak więc po zapoznaniu się z całą sprawą Kisten niechętnie zapłacił jej gotówką za samochód, a ona mogła iść na zakupy z niewykrywalnymi pieniędzmi. W pierwszym magicznym sklepie, do którego poszła, czuła się zagubiona, ale sprzedawca okazał się miły i pomocny, gdy zobaczył pieniądze.

Palce zmarzły jej od koktajlu, więc odłożyła mokrą szklankę na podkładkę i wyciągnęła amulet nasenny, schowany do jedwabnego woreczka. Chciała kupić eliksir, który mogłaby dolać Artowi do drinka albo wylać go na niego, ale czarownik nie chciał go sprzedać, twierdząc, że to zbyt niebezpieczne dla niewtajemniczonych. Sprzedał jej natomiast amulet o identycznym działaniu, a ona delikatnie pomacała przez woreczek zarys sekwojowego

krążka zawieszona na sznurku, zadowolona z jego skuteczności. Mężczyzna trzykrotnie przypominał, żeby upewniła się, że na miejscu będzie ktoś, kto wyjmie jej amulet z ręki, bo w przeciwnym razie będzie spała przez dwa dni, zanim czar sam zaniknie, z przyczyn bezpieczeństwa.

Drugi metalowy amulet miał jej zapewnić iluzję blond włosów i odjąć około dwudziestu centymetrów wzrostu, upodabniając ją tym samym do Śpiącej Królowy. Nie miała pojęcia, jakim cudem czarownikom z ISB udawało się zarabiać pieniądze, skoro dwa zaklęcia kosztowały ją tyle co jej samochód, i zaczęła się zastanawiać, czy czarownik nie podbił ceny tylko dlatego, że była wampirzycą.

Od niemal dwóch godzin siedziała tu i rozpisывała różne plany, i powoli zaczynała czuć odrętwienie. Wieża ISB powinna już być o tej porze pusta, a Art powinien być w domu. Zadzwoił do niej na komórkę krótko po zachodzie słońca, żeby wy badać, dlaczego go unika, a ponieważ w ręce trzymała swoje amulety, zgodziła się na randkę. O wschodzie. U niego.

Otwierała i zamykała ze wzburzeniem pióro i wyobrażała sobie, że Art spędził pewnie czas w biurze, przechwalając się, jaki to z niego gość, skoro ma na dziś takie plany. Jej wzrok padł na skórki przy paznokciach, zabarwione na fioletowo od złamanego wcześniej pióra, więc tym razem je odłożyła.

Na dźwięk skrzypienia na schodach serce podskoczyło jej do gardła. Nie mówiła Piscary'emu o swoich planach, a tylko on i Kisten mogli wchodzić na górę. Nagle jednak jej

wzrok powędrował na okno i zganiała samą siebie. Piscary nie przychodził na górę, gdy do wschodu było tak blisko.

Postanowiła pozostać tyłem do schodów i spróbować ukryć niepokój, gasząc lampę biurkową i porządkując papiery, ale Kisten chyba nie dał się nabrać - kiedy podniosła głowę, szczyrzył się do niej zza rudawej brody. Uniosła brwi i zmierzyła go wzrokiem, od lśniących eleganckich butów przez garnitur w prążki po poluzowany krawat.

- W kogo usiłujesz się zamienić? - zapytała ostro, bo rzadko widywała go w garniturze, a tym bardziej w krawacie.

- Przepraszam, kochanie - powiedział wciąż z tym brytyjskim akcentem. - Nie chciałem cię przestraszyć.

Nachylił się, żeby objąć ją w pasie i delikatnie uściskać, ale ona zignorowała go i udawała, że jest zajęta swoimi papierami.

- Nie podoba mi się twój akcent - powiedziała i choć częściowo dała upust swojemu niezadowoleniu. Poczula od niego czyjś zapach i to jeszcze bardziej ją rozzłościło. - I wcale mnie nie przestraszyłeś. Już od połowy schodów czuć było ciebie i jakąś dziwkę. Kto to był? Ta mała blondyneczka, która przychodzi tu po każdej wypłacie, żeby się do ciebie mizdrzyć? Wcześniej przyszła. Dopiero czwartek.

Kisten oderwał od niej palce i odsunął się o krok. Spuścił głowę i podniósł kartkę.

- Ivy...

Mówił cicho i prosząco, ale ona zacisnęła tylko zęby.

- Zrobię to.

- Ivy, on jest nieumarły. - Usiadł z cichym plaśnięciem na stołek przy pianinie. - Jeśli popełnisz błąd... Oni są cholernie silni. Kiedy wpadają we wściekłość, nie bawią się w litość.

Obydwoje aż za dobrze zdawali sobie z tego sprawę. Czują, że puls jej przyspieszył, ale twarz pozostała niewzruszona.

- Nie popełnię błędu - zapewniła i nabazgrała coś na kartce.

Kisten wyjął jej z ręki pióro i położył na stosie papierów.

- Masz do dyspozycji tylko dwa zakłęcia i element zaskoczenia. Jeśli ma choć cień podejrzenia, że chcesz go zdradzić, obezwładni cię i wyssie ci krew. I nikt nic na to nie powie, skoro poszłaś tam, żeby wyeliminować go z gry. Nawet Piscary.

Ivy wyswobodziła palce z jego uścisku, jakby w ogóle jej to nie wzruszało.

- Nie zabije mnie. Jeśli to zrobi, pozwę go za bezprawne zakończenie życia.

Wyraźnie zmartwiony Kisten otworzył pianino. Padające na niego światło wydobywało blade blizny.

- Nie chcę, żeby coś ci się stało - powiedział i rozłożył palce, jakby chciał jednym uderzeniem wydobyć całą oktawę, ale nie wydał żadnego dźwięku. - I nie chcę, żebyś umarła. Nie będzie wtedy z ciebie żadnego pożytku.

Zadrzała jej powieka, a ona siłą woli powstrzymała to drganie. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, Art będzie naprawdę wściekły. Jeśli coś pójdzie nie tak, Art będzie naprawdę wściekły, a do tego zrobi jej krzywdę.

- Ja też nie chcę umrzeć - przyznała i podkuliła stopy pod ławą.

Kisten zagrał akord i zmodyfikował go do tonacji molowej, ale zafalszował. W rozświetlonym pokoju rozbrzmiało echo, a Ivy skłęła samą siebie za to, że była tak uzależniona od krwi, że był to decydujący czynnik w jej życiu. Mia powiedziała, że trzeba tylko poćwiczyć mówienie „nie”. Ivy zawsze gardziła żywymi wampirami, które nie piły krwi, twierdząc, że sprzeciwiały się wszystkiemu, czym były. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy nie dlatego właśnie to robiły.

Dziwny akord ucichł, Kisten podniósł stopę z pedału i sięgnął po niebieską jedwabną sakiewkę.

- Ostrożnie - ostrzegła Ivy, łapiąc go za nadgarstek. - Jest już aktywny i powali cię szybciej niż tequila.

Kisten uniósł ciemne brwi i powiedział:

- To? - Ivy go puściła. - Jak działa?

Starając się zatuszować zdenerwowanie, Ivy nachyliła się nad papierami.

- Zdejmie mi Arta z karku. - Kisten trzymał amulet za sznurek jak szczura. Najwyraźniej on też nie przepadał za magią czarowników. - Jest nieszkodliwy - powiedziała, odkładając planowanie na ostatnią chwilę. - Przywieź tylko Śpiącą Królową, jak do ciebie zadzwonię.

Kisten odchylił się i pomacał po przednich kieszeniach spodni.

- Mam telefon przy sobie. Włączyłem wibracje. Dzwon do mnie. Dzwon do mnie często.

Ivy pozwoliła sobie na uśmiech. Odłożyła na bok pióro, wstała i ostrożnie wsunęła amulet do sakiewki, którą

wsadziła do kieszeni. Kisten okręcił się na ławie, żeby nie tracić jej z oczu, a ona tymczasem wsunęła fiolkę ze słoną wodą między uwydatnione przez top piersi. Mężczyzna ze sklepu magicznego nalegał, żeby ją wzięła, bo mogła spełnić drugą funkcję, szybko i trwale łamiąc zakłęcie senne, jeśli poleje się wodą amulet. Musiała poruszyć ramionami, aż zimna fiołka się ogrzała. Kiedy podniosła głowę, Kisten szczerzył się w uśmiechu.

- Jak wyglądam? - spytała i się zaprezentowała.

Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie.

- Mm, zabójczy strój, maleńka - powiedział, grzejąc ją oddechem w brzuch, bo ciągle siedział na stołku przy pianinie. - Fajna bluzka.

Naprawdę? - Zamknęła oczy i pozwoliła, żeby ich mieszające się zapachy rozbudziły w niej żądzę krwi. Rozgarnęła gwałtownie rękami jego włosy, a on przesunął palcami po jej pośladkach, a ustami tuż poniżej linii biustu; Ivy zaczęła się zastanawiać, czy miłość, odnaleziona we krwi, warta jest tego, żeby okłamywać samą siebie, pozwalać, żeby inni mówili jej, kim jest i zamieniali ją w takiego potwora. Poczula, że zaczyna się wahać, i wyrwała się z jego uścisku.

- Muszę iść.

Kisten skrzywił się ze zmartwienia, przeczesał sobie ręką włosy, żeby je rozprostować, a Ivy zorientowała się, że ma ochotę poprawić mu krawat. A może raczej - zerwać go z niego.

- Przebiorę się i też już idę - powiedział. - Wino jest na dole na szafce.

- Dzięki. - Wzięła torbę z ubraniami na zmianę i się zawahała. Chciała go spytać, czy jego zdaniem można

znaleźć miłość w dzieleniu się krwią, ale się wstydziła. Stukając głośno sandałami o drewnianą posadzkę, podeszła do schodów, czując się tak, jakby nigdy nie miała tu już wrócić. Albo że jeśli wróci, będzie zmieniona nie do poznania.

- Spalisz te papiery? - zawołała i usłyszała w odpowiedzi:

- Już o tym pomyślałem.

Goście wyszli już z restauracji, a gdy mijała bar, dobiegały ją przyjemne, ciche rozmowy kelnerów. W kuchni ktoś włączył muzykę, która zagłuszała odgłosy mycia naczyń, wszyscy rozkoszowali się chwilą pomiędzy wyjściem Piscary'ego i końcem pracy. Jak dzieci zostawione w domu samopas, śmiali się i droczyli ze sobą. To były ulubione chwile Ivy, często leżała w łóżku i przysłuchiwała się tym odgłosom, nie zdradzając nigdy nikomu, że słucha. Dlaczego, do diabła, nie mogła się przyłączyć? Dlaczego wszystko w jej życiu było tak cholernie skomplikowane?

W przelocie złapała butelkę najtańszego wina Piscary'ego i przybiła piątkę roznosicielowi pizzy, z którym minęła się w drzwiach dostawczych. Nie dało się nie zauważyć, że atmosfera w kuchni różniła się diametralnie od atmosfery w wieży ISB. W biurze czuć było litość; w kuchni lekkie wyczekiwanie.

Tego popołudnia, zaraz po otwarciu, cały personel wie, że w chłodni jest trup. Wiedzieli też, że Kisten jest w kiepskim nastroju. A po jej zmianie harmonogramu domyślili się, że coś planuje. Może Kisten miał rację.

Wino powędrowało do torby, którą przypięła do bagażnika motocyklu. Wskoczyła na siodełko i przekręciła

kluczyk, zamykając oczy, gdy poczuła pod sobą moc silnika; nałożyła kask. Pomachała do drugiego roznosiciela, który właśnie się zjawił, i włączyła się do wzmożonego ruchu. Niedługo zrobi się luźniej: w Cincinnati zaczną dominować ludzie i aż do południa będą je mieli tylko dla siebie, dopiero wtedy zaczną się pojawiać pierwsi Inderlanderzy.

W kasku Ivy czuła się odizolowana od wszystkiego, we włosach czuła znajome szarpanie wiatru. Żyła, była wolna, a płynny ruch ziemi obracającej się pod nią napełniał ją spokojem, który tak trudno było jej znaleźć. Westchnęła, żałując, że nie może po prostu skierować się na drogę międzystanową i odjechać. To się nigdy nie zdarzy. Jej żądza krwi podąży za nią, a bez opieki Piscary'ego, którą sprawował jako jej mistrz, wpadłaby w łapy pierwszego martwego wampira, na jakiego by się natknęła. Nie było szansy na ucieczkę. Nigdy. Przypomniała jej się propozycja Mii i rozważyła ją w myślach, ale zaraz potem odrzuciła, bo była to powolna, przyjemna droga do samobójstwa.

Kiedy przejeżdżała przez most do Cincinnati, zaczęło wschodzić słońce. Była spóźniona. Art albo będzie wściekły, albo wciąż rozpromieniony po przemowie dnia w męskim klubie. Przemknęła jej myśl, że jest dziwką, ale zaraz potem ją stłumiła. Nie miała zamiaru się sprzedawać, żeby wspiać się po korporacyjnej drabinie. Będzie w stanie opierać się Artowi na tyle długo, żeby go obezwładnić, a potem przygwoździ mu tyłek do ściany i wykorzysta jako drabinę.

Z bijącym sercem skrzyła ostro w prawo, lawirując między samochodami, aż dojechała do placu Fontann.

Plac był pusty i udało jej się znaleźć miejsce do parkowania w pobliżu wjazdu do garażu podziemnego. Kiedy gasiła silnik, dopadło ją zdenerwowanie. Chwila przed małym lusterkiem, czerwona szminka i była gotowa. Odłożyła kask na siedzenie, sięgnęła po swoją torbę i ruszyła w kierunku oświetlonego prostokąta z udawaną pewnością siebie. Nie miała powodu do zdenerwowania. Zaplanowała wszystko wystarczająco starannie.

Rozejrzała się ukradkowo, żeby się upewnić, że nikt jej nie widzi, i sięgnęła po zaczarowane srebro, które miało zmienić jej wygląd. Wyciągnęła maleńką szpilkę z amuletu wielkości zegarka, żeby zainkantować maskaradę, wyrzuciła szpilkę i przełożyła metalowy amulet przez głowę. Nie musiał dotykać skóry, wystarczyło go tylko założyć. Czarownik powiedział, że amulet działał za pomocą jej własnej aury, ale ją naprawdę mało to obchodziło, byle tylko sprawował się, jak trzeba.

Oblało ją dziwne uczucie i wzdrygnęła się, gdy jej sandały zachrzęściły na ulicznym żwirze. Amulet nie mógł sprawić, że będzie wyglądać dokładnie jak Śpiąca Królowna - to było wbrew prawu, jak została chłodno poinformowana - ale uzupełniony o ubranie, fryzurę i krok, zapewniał wystarczające podobieństwo.

Zmrużyła oczy w jasnym słońcu, wyszła na chodnik i poszła na przystanek autobusowy. Magia czarowników była naprawdę potężna i Ivy zaczęła się zastanawiać, czy nikt nie dostrzegł kryjącego się w niej potencjału, czy też nikogo to nie obchodziło, skoro czarownicy nie starali się przejąć kontroli nad czymkolwiek poza samymi sobą i spokojnie próbowali wmieszać się między ludzi.

Kiedy dotarta na przystanek, autobus właśnie podjeżdżał - dokładnie tak, jak to sobie wyliczyła - wsiadła jako trzecia, wrzuciła żeton, znalazła sobie miejsce i położyła obok torbę, żeby nikt przypadkiem nie usiadł obok. Miała przejazdówkę, ale żeton zapewniał jej większą anonimowość.

Po drodze obserwowała mijane miasto, biurowce ustępowały miejsca wysokim, wąskim domom z brudnymi podwórkami wielkości buicka. Ivy rozluźniła zaciśnięte zęby, bo ogródki zrobiły się ładniejsze, farba świeższa, a domy liczniejsze. Kiedy dotarta do bloku Arta, na miejscu zardzewiałych, poobijanych samochodów pojawiły się najnowsze drogie modele. Minęła dom Arta, przejechała dwa skrzyżowania dalej i dopiero wtedy zasygnalizowała kierowcy, że chce wysiąść. Nie było tam przystanku, ale kierowca zatrzymał się, przepuszczając wściekłych ludzi spieszących się do pracy. Podziękowała mu cicho i wsiadła.

Zaczęła iść, zanim zdążyły się za nią zamknąć drzwi. Wymachując wolną ręką, mocno stukała obcasami, że zwrócić na siebie uwagę. Rozgrzała się i zaczęła roić mniejsze kroki, żeby dopasować je do niższego wzrostu. Wystukiwany rytm był nienaturalny, a Ivy opuściła głowę, gdy usłyszała, że ktoś odpala samochód, jakby nie chciała, żeby ją widziano.

Przy domu Arta zawahała się i udawała, że sprawdza adres. Budynek był mniejszy, niż się spodziewała, chociaż bardzo zadbane. Jej rodzice mieli skromną willę zbudowaną za zarobione przez pradiadka na kolei pieniądze, a szykowne podziemne apartamenty zostały dobudowane dopiero po tym, jak pradiadek zwrócił na

siebie uwagę Piscary'ego. Art nie mógł mieć zbyt dużej sypialni; dwupiętrowy dom miał w podstawie tylko piętnaście na dziesięć metrów.

Ivy przelożyła torbę przed siebie i weszła po eleganckich stopniach. Trzydzieści lat temu dom należał do przedstawicieli klasy wyższej i zrozumiała nagle, dlaczego Art potrzebował pieniędzy. Dochód z odsetek w chwili jego śmierci wystarczał, żeby zapewnić mu życie na poziomie klasy wyższej - w latach siedemdziesiątych. Inflacja spychała go jednak w dół drabiny socjoekonomicznej. Musiał znaleźć sposób, żeby wspiać się wyżej, zanim w ciągu następnych stu lat popadnie w biedę.

Do drzwi była przyczepiona karteczka. Zdjęła ją z śmiechem z szyby i rzuciła w krzaki, żeby mogli ją znaleźć spece od medycyny sądowej.

- Spóźniłam się? - mruknęła, rozważając, czy drzwi frontowe są podłączone do mikrofonu. Nastroiła głos na wysoki ton i zawołała: - Art, przyniosłam wino. Mogę wejść?

Nie było odpowiedzi, więc otworzyła drzwi i weszła do skromnego salonu. Zasłony były zaciągnięte, ale świeciło się dla niej światło. Weszła do nieskazitelnie czystej kuchni z suchym zlewem. Tam też były skórzane zasłony ukryte za lekką tkaniną, która miała je zamaskować. Skórzane zasłony nie mogły ochronić martwego wampira przed słońcem, ale zgodnie z miejskimi rozporządzeniami nie wolno było zabijać okien deskami. Kolejna karteczka na drzwiach w środku zapraszała ją na dół.

Usta ułożyły jej się w uśmiech i zaczęła żałować, że nie zaplanowała wszystkiego na wieczór, żeby nie musiała

bawić się w przebieranki. Zgniotła karteczkę i rzuciła ją na wypłowiałe linoleum. Zdjęła srebrny amulet i zadrżała, kiedy coś rozrywało jej aurę. Włosy straciły słomiany odcień, a Ivy zawiesiła naszyjnik na klamce, żeby Kisten wiedział, gdzie jest.

Zapukała i otworzyła drzwi, za którymi znajdowały się wiodące w dół schody i zza których dobiegała muzyka. Chciała się wściec, ale Art się postarał i dowiedział, co lubi - mroczny jazz. Jej stopa napotkała kremowy dywan, połyskujący w przytłumionym świetle. Ivy podniosła torbę i zawołała:

- Art?

- Zamknij drzwi - warknął gdzieś z ukrycia. - Słońce już wzeszło.

Ivy zeszła o trzy stopnie niżej, zamknęła drzwi i odnotowała, że były grube jak drewniane wieko trumny, wzmocnione stalą i wyposażone w metalową zasuwę. Po wewnętrznej stronie wisiał zegar, a także strona z almanachu, kalendarz i lustro. Jej matka miała u siebie coś podobnego.

Ivy znów chciała go skrytykować, ale wszystko wyglądało profesjonalnie i fachowo. Żadnych widoczków z zachodem słońca czy cmentarzem. Jedyne związane z nią adnotacja na kalendarzu mówiła: „Randka z Ivy”. Żadnych wykrzykników, żadnych serduszek, żadnych oznak radości. Dzięki Bogu.

Sprawdziła, czy ma w kieszeni amulet nasenny i fałszywy eliksir w dekolcie. Stresowała się, że musi zdać się na magię czarowników. Nie lubiła jej. Nie rozumiała jej. Nie miała pojęcia, że magia czarowników jest tak wszech-

stronna, a tym bardziej tak potężna. Dysponowali swoim małym sekrecikiem i chronili go w ten sam sposób, jak wampiry swoją siłę: otwarcie się z nim obnosili i poddali regulacjom prawnym, które, kiedy przychodziło co do czego i tak nic nie znaczyły.

Stukając głośno sandałami o drewniane stopnie, zeszła na dół i dostrzegła cień Arta, który podszedł do wylotu schodów. Wyczuła słaby zapach wybielacza, który wzmógł się, kiedy weszła do środka. Na widok Arta zachowała obojętny wyraz twarzy, zadowolona, że Art ciągle ma na sobie swoje codzienne ubranie. Gdyby był ubrany w stylu Hugh Hefnera i trzymał w ręce kieliszek wódki, chyba zaczęłaby wrzeszczeć.

Zignorowała jego spojrzenie i rozejrzała się po podziemnym apartamencie. Był luksusowy i wygodny, z niskim sufitem. Dom był stary, a w mieście panowały surowe wytyczne co do tego, ile gruzu można wydobyć spod budynku. Znajdowali się w pokoju, który najwyraźniej pełnił funkcję salonu, a wyłożony boazerią korytarz prowadził prawdopodobnie do tradycyjnej sypialni. Jej wzrok powędrował do rozpalonego gazowego kominka i poczuła, że unosi brwi.

- Wysusza powietrze - powiedział. - Chyba nie liczyłaś na romantyzm, co?

Z ulgą zrzuciła torbę na kanapę. Z ręką na biodrze odrzuciła włosy do tyłu, zadowolona, że znów są czarne.

- Art, przyszedłem tu z jednego powodu, a jak skończę, sprzątam po sobie i wychodzę. Romantyzm zupełnie zniszczyłby twój wizerunek w moich oczach, więc może po prostu zrobimy, co trzeba, i miejmy to już za sobą?

Oczy Arta pociemniały.

- Dobrze.

Wszystko potoczyło się szybko. Art wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie. Ivy instynktownie wsunęła dłoń między niego i siebie, gdy znalazła się przy jego piersi. Serce waliło jej jak oszalałe, wpatrywała się w niego, widząc, że się zawahał, bo jej nieskrywane przerażenie wyraźnie go podnieciło. Było dla niego jak narkotyk, a Ivy wiedziała, że znieruchomiał, żeby dłużej delektować się tą chwilą. Wściekła się na siebie, kiedy poczuła własną żądzę krwi, oszalamiającą i niepohamowaną. Nie chciała jej. Umiała powiedzieć „nie”. Jej wola była silniejsza niż instynkt.

Zacisnęła zęby, a on uśmiechnął się i obnażył kły na widok jej żrenic, rozszerzonych wbrew jej woli. Rozchyliła usta i wypuściła powietrze. Każdym nerwem czuła dzikie pragnienie, by narzucić mu swoje żądze. Mia nie miała racji. W tym nie mogło być miłości, nie mogło być czułości. Kiedy Art przyciągnął ją mocniej do siebie i delikatnie przesunął zębami po jej szyi, poczuła, że cała sztywnieje ze zniecierpliwienia, chociaż starała się nad nim zapanować. Skup się, Ivy, pomyślała, a jej puls przyspieszył w obliczu sprzecznych emocji. Przyszła tu po to, żeby stać się gwoździem do jego trumny, a nie dać się samej do niej wcisnąć.

Wiedział, że nie powie mu „tak”, dopóki nie doprowadzi jej na skraj wytrzymałości, kiedy jej żądza krwi zacznie za nią decydować. I choć w myślach powtarzała sobie „nie”, chwyciła go za ramiona i zamarła, kiedy przesunął ręką wzdłuż jej bioder i wsunął ją badawczo między jej uda.

Mruknął głucho, a ją przeszył dreszcz. Jego dłonie zrobiły się zaborcze, pożądliwe. A ona pragnęła, żeby to uczucie narastało, mimo że nienawidziła się za to.

Jak to możliwe, że wszystko stało się tak szybko? - pomyślała. Czy przez cały czas tego pragnęła i tylko droczyła się sama ze sobą? A może Mia miała rację, twierdząc, że opierała się Artowi dlatego, że gdyby mu uległa, dowiodłaby, że może znaleźć miłość w brzydocie, ale była zbyt wielkim tchórzem, żeby się na to zdobyć?

Art delikatnie zahaczył zębami o koronkę na jej kołnierzyku i rozdarł ją; Ivy wstrząsnął dźwięk rozrywanego materiału. Drażnił jej skórę zębami, obiecywał, a ona zaczęła myśleć tylko o tym, jak doprowadzić do tego, żeby zatopił w niej kły, żeby wypełnił ją cudownym uczuciem, które pokarże jej, że wciąż żyje i może odczuwać radość, nawet jeśli miałyby za to zapłacić szacunkiem do samej siebie.

Art stał w milczeniu, przyciskał ją do siebie, a pożądliwy nacisk jego ust, jego palców, jego oddechu pobudzał w niej każdą komórkę. Nie rzucił na nią czaru, nie musiał. Była gotowa stać się wszystkim, czego pragnie, i tylko jakaś niewielka jej część krzyczała w niej, zagłuszana przez pragnienie, by mu się oddać, a w zamian dostać ekstazę, chociaż wiedziała, że to wszystko nie było prawdziwe.

Oderwał palce od jej talii i stanowczo zaczął posuwać się nimi w górę aż do brody, odchylił jej głowę.

- Oddaj mi się - szepnął, wsuwając palce w jej włosy. - Należysz do mnie. Oddaj... mi się.

Mówił z trudem, jakby rozszarpywany żądzą, którą rozpałiło w nim jej własne, pełne udręki pragnienie. Myśl, że

kupuje sobie w ten sposób puste emocje, urosła w niej jak bańka, która pękła w jej głowie. Mia powiedziała, że potrafi wznieść się ponad swoją żądzę. Mia gównie wiedziała, nie miała pojęcia, jaka przyjemność się za tym kryje. Ivy pragnęła jego krwi, a on pragnął jej. Co za różnica, jak się będzie czuła rano? Równie dobrze może być jutro martwa i nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Ale nagle przypomniała sobie utajony głód w oczach Mii i uznała, że był znacznie silniejszy niż jej własny. Przypomniała sobie pogardę w głosie Mii, kiedy nazywała ją małą, marudną dziewczynką, która mogłaby mieć wszystko, gdyby tylko odważyła się żyć w zgodzie z potężniejszym pragnieniem miłości. Nawet jeśli musiałyby je splamić żądzą krwi.

Serce Ivy waliło jak oszalałe, kiedy próbowała znaleźć w sobie siłę, żeby wyrwać się z jego objęć, ale to, co mógł jej dać, było zbyt kuszące. Nie potrafiła. Wszystko to tkwiło w niej zbyt głęboko. Taka była. Ale chciała czegoś więcej, do cholery. Chciała uciec od brzydoty tego, kim naprawdę była.

Tocząc wewnętrzną walkę, poczuła usta Arta na swoich, poczuła, jak odrywa wargi od jej szyi i przyciska je do jej ust. Przepelnił ją słonawy, elektryzujący smak krwi, ale to nie była jej krew. Art przeciął sobie wargę i rozpałił w niej oszalamiające pragnienie.

Dyszac ciężko, odsunęła się od niego. Na tym koniec.

Zatoczyła się do tyłu, grzebiąc w poszukiwaniu fiołki. Z pociemniałymi oczami Art złapał ją za nadgarstek i odsłonił małą szklaną buteleczkę. Ivy stała z wyciągniętą ręką, czerwieniąc się.

Art skulił się z bólu, który poczuł, kiedy musiał się od niej odsunąć, i otarł usta z krwi. Puścił ją, a ona zrobiła krok w tył. Trzymał w dłoni fiolkę.

- Co to jest? - spytał podejrzliwie, ale i z rozbawieniem, kiedy odkręcił zakrętkę i powąchał zawartość.

- Nic - powiedziała autentycznie przestraszona, chociaż ciało aż bolało ją przez to, że przerwali.

Art zaciągnął się jej strachem, oczy jeszcze bardziej mu poczerniały, a uśmiech stał się bardziej drapieżny.

- Czyżby?

Przerażona, że wyrzuci fiolkę i znów zacznie się do niej dobierać, pogrzebała w kieszeni i wyjęła prawdziwy amulet, zainkantowany, ale uśpiony w jedwabnej sakiewce.

Art spojrział na niego, ale zanim zdążył pomyśleć, Ivy rzuciła się na niego. Zataczając ręką szybki łuk, oblał ją zawartością fiołki. Ciężkie krople, ogrzane ciepłem jej ciała, spadły na nią jak smagnięcie batem. Adrenalina buzowała w niej tak, że aż bolała ją głowa, ale zmusiła się, żeby rozluźnić mięśnie. Przewróciła się, jakby wpadała na ścianę, upadając w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stał Art. Dywan palił ją w policzek, a ona westchnęła omdlewająco.

Usłyszała, jak po drugiej stronie pokoju Art szura nogami po dywanie, chcąc się dowiedzieć, co się właściwie stało. Ivy spowolniła oddech i zaczęła udawać, że straciła przytomność. Musiało się udać. Jeśli nie, będzie miała tylko krótką chwilę na ucieczkę.

- Wiedziałem, że będziesz czegoś próbować - powiedział Art, podszedł do barku i coś sobie nalał. Nieumarli

nie musieli pić, ale alkohol miał zdezynfekować jego rozciętą wargę.
- Nie jesteś wcale taka sprytna, jak twierdził Piscary - dodał wśród głośnego pobrzękiwania butelki o kieliszek. - Naprawdę sądziłaś, że nie każę cię śledzić podczas zakupów?

Ivy napięła mięśnie brzucha, kiedy elegancki but wsunął się pod jej ciało i przewrócił ją na plecy. Pilnując, żeby ciało było zwiotczałe, lekko przymykała oczy i czuła, jak uderza plecami o dywan. Mógł ją teraz ugryźć, ale strach i pożądanie nadawały jej krwi tak cudowny posmak, że będzie raczej czekać, aż odzyska przytomność. Z bijącym sercem rozluźniła palce i pozwoliła, żeby wypadła z nich sakiewka. Skoro nie sprawdziły się rozwiązania siłowe, mogła zadziałać ciekawość.

- Jestem martwy od czterdziestu dwóch lat - powiedział gorzko.
- Nie przetrwasz tyle, jeśli będziesz taka głupia. - Zawahał się lekko i dodał: - A to, do cholery, do czego miało służyć?

Ivy usłyszała, jak podnosi jedwabną sakiewkę i wytrząsa z niej amulet na dłoń. Napięła mięśnie i poderwała się na nogi, kiedy usłyszała jego westchnienie. Art jeszcze stał, ale jego wzrok powoli się rozmazywał, ona zaś wyciągnęła szybko rękę i zacisnęła jego zwiotczające palce na amulecie, żeby się nie wyślizgnął.

Upadł z westchnieniem, a ona padła razem z nim, nie chcąc, żeby rozluźnił uścisk. Uderzyli o dywan, a ona boleśnie przygniotła sobie rękę.

- Przetrwasz, jeśli będziesz głupi i jeśli będziesz mieć szczęście - powiedziała. - A twoje szczęście się wyczerpało, Artie.

Ivy podwinęła pod siebie nogi i siadła wygodniej, wciąż zaciskając rękę na palcach Arta. Zahaczyła stopę o rączkę swojej torby leżącej przy kanapie i podsunęła ją bliżej. Otworzyła ją jedną ręką i wyciągnęła metalowy pasek w plastikowej osłonce, którym ISB wiązało czarowników czakramowych, żeby uniemożliwić im ucieczkę poprzez przeskoczenie do innego czakramu. Art nie potrafił używać magii czakramowej, ale dzięki paskowi amulet nie wyleci mu z ręki. Na dźwięk zatraskującego się plastiku, który przytrzymywał amulet w jego dłoni, Ivy się rozluźniła.

Odetchnęła i wstała. Wzięła rozmach i go kopnęła. Mocno.

- Drań - powiedziała i starła sobie z szyi jego ślinę. Utykając, podeszła do wieży i ją wyłączyła. Nigdy już nie będzie w stanie słuchać Skylark. Pogrzebała w torbie, wyciągnęła telefon i poszła na schody. Trzy stopnie od szczytu odrygłowała drzwi. Nacisnęła szybkie wybieranie i nasłuchując, zaczęła zdejmować z siebie paskudną bluzeczkę.

- Ivy? - odezwał się Kisten, a ona przytrzymała sobie telefon ramieniem przy uchu.

- Jest nieprzytomny. Przywieź ją - powiedziała.

Nie czekając na odpowiedź, przerwała połączenie, rozbudzona przez napływ adrenaliny. Roztrzęsiona, zrzuciła z siebie ubrania, przebrała się w swoje skórzane spodnie i dzianinową bluzkę, starła z szyi zapach Arta za pomocą jednorazowej chusteczki odświeżającej, którą wrzuciła do worka na śmieci, strzepniętego z głośnym chrzęstem grubego plastiku. Przez chwilę zastanawiała się nad

koronkową bluzką, ale po chwili ją też wyrzuciła. Sandały powędrowały do torby.

Przykucnęła przy Arcie na bosaka. Odchyliła jego wargi od dziąseł i za pomocą jednorazowego zakraplacza do oczu zassała trochę krwi ze śliną, wlewając dobre pół centymetra do pustej fiołki po słonej wodzie. Gdy skończyła, otworzyła wino, usiadła przy wysokim kominku i grzejąc plecy w posykujących płomieniach, wzięła porządny łyk. Wino było gorzkie, więc skrzywiła się i tym razem upiła trochę mniej. Wszystko było dobre, byle tylko pozbyć się z ust męczącego smaku krwi Arta.

Wpiła palce w dywan i spojrzała na wampira, który leżał zimny i bezradny. Magia zrobiła swoje. Boże, czarownicy mogliby stać się poważnym zagrożeniem dla polityki Inderlandu, gdyby tylko się nią zainteresowali.

Na dźwięk kroków na górze wyprostowała się i odłożyła na bok butelkę. To Kisten dudnił na schodach z wielkim pudłem kartonowym w rękach. Ivy spojrzała na niego raz, a potem jeszcze raz. Przebrał się w szary kombinezon fabryczny, ale nie w tym rzecz.

- Masz na sobie czar - powiedziała, a on zaczerwienił się pod swoją nową jasną grzywką. Był też niższy, a jej nie bardzo to odpowiadało.

- Zawsze mnie zastanawiało, jak bym wyglądał jako blondyn. A wizerunek robotnika tylko pomoże. - Postawił ze stęknieniem pudło ze Śpiącą Królewną. - Boże Wszechmogący - jęknął, kiedy się wyprostował i spojrzał na Arta z amuletem przywiązany do ręki. - Śmierdzi tu jak w tanim hotelu, krwią i wybielaczem. Dostał cię?

- Nie. - Ivy podała mu wino, nie chcąc się przyznać, jak niewiele brakowało.

Kisten zaczął pić, grdyka mu podskakiwała; odetchnął głośno i odsunął od siebie butelkę. Miał jasne oczy i uśmiechał się szeroko. Dla Kistena to tylko niezły żart, pomyślała przygnębiona Ivy. Zadziałała w ostatniej chwili. Gdyby nie powaliła Arta, powiedziała mu „tak”, chociaż tego nie chciała. Mia miała rację. Musiała więcej ćwiczyć.

- Gdzie chcesz ją położyć? - spytał radośnie Kisten.

Wzruszyła ramionami.

- W wannie?

Najwyraźniej w świetnym humorze, podniósł pudło i poszedł do wyłożonego boazerią korytarza.

- Jezu Chryste! - krzyknął słabo zza ściany. - Widziałaś jego łazienkę?

Ivy była zmęczona, ale podniosła się z kominka i ominęła wzrokiem rozłożonego na podłodze Arta.

- Nie.

- Włożę ją do jacuzzi.

- On ma jacuzzi? - To by wyjaśniało zapach chloru; Ivy poszła, żeby zobaczyć je na własne oczy, a brwi powędrowały jej w górę na widok małej wanny znajdującej się w jednej linii z podłogą. Kisten odkręcił wodę i chociaż nie była jeszcze ciepła, maleńkie bąbelki zawirowały w sztucznym prądzie. Wkładając tam Śpiącą Królową, narobią bałaganu, ale dzięki temu zmyją z niej wszelki ślad po Piscarym i zamaskują to, że przez dobę była w chłodni. Nie mówiąc już o tym, że trudniej się pozbyć trupa ociekającego wodą niż suchego. Art nie był na tyle

bystry, żeby mu się to udało, zanim do jego drzwi zapuka ISB.

Kisten zamilkł z szacunkiem i nie wyjmując kobiety z pudła, zaczęli odwijać ją z folii i taśmy. Ivy rozbierała ją z zaciśniętymi zębami i podawała poszczególne sztuki odzieży Kistenowi, który rozpylał na nich zabrany z baru roztwór rozkładający enzymy, żeby usunąć zapach Piscary'ego. Butelka, która znalazła się w dłoni Ivy, była ciężka, ale z pomocą Kistena spryskała kobietę ze szczególnym uwzględnieniem otwartych ran.

Spojrzała z niepokojem w oczy Kistena i w milczeniu wsadzili Śpiącą Królownę do wody, zakleszczając ciało między brzegiem wanny a barierką. Kisten zabrał się do sprzątania, a Ivy poszła po wino i kieliszek.

Starannie starła z kieliszka swoje odciski, a potem zacisnęła na nim kilkakrotnie rękę Śpiącej Królowny i dodała kilka odcisków ust. Nalała trochę wina do ust kobiety, potem do kieliszka, który odstawiła na wyciągnięcie ręki. W żołądku kobiety nie będzie wina, podobnie jak w organizmie Arta nie będzie jej krwi, ale to była gra pozorów, a nie fakty. Poza tym musiała tylko usunąć wszelkie ślady po Piscarym.

Kisten przyniósł fiolkę ze śliną Arta, a Ivy przykucnęła przy wannie, wzięła jałowy wacik i pomazała otwarte rany kobiety. Kiedy skończyła, wstała i razem spojrzeli na ciało.

- Ładnie się uśmiechała - powiedział wreszcie Kisten, zerkając ukradkowo na Ivy. - Dajesz radę?

- Nie, nie daję - odpowiedziała Ivy, czując pustkę w środku. - Ale ona i tak nie żyje, prawda? Nie możemy jej bardziej skrzywdzić.

Kisten zamyślił się chwilę, podniósł karton i wyszedł. Ivy zabrała masywne nożyce, które zostawił, i wsadziła je sobie za pasek. Popatrzyła na kobietę i nachyliła się, żeby odgarnąć włosy z jej zamkniętych oczu. Z ust wyrwało jej się impulsywne „dziękuję” i zdenerwowana podniosła się na nogi.

Czując mdłości, wycofała się z pomieszczenia. To było straszne. To, co zrobiła, było straszne, i nie chciała już nigdy tego robić. Żołądek skurczył się jej na widok Kistena stojącego nad Artem i zmusiła się, żeby wyglądać na obojętną i niewzruszoną. Rozerwany karton i folia były już w worku na śmieci, razem z całą resztą.

- Na pewno nie chcesz, żebym go zaniósł na górę? - zapytał. - Uznaliby to za samobójstwo.

Ivy pokręciła głową, sprawdziła podeszwy butów kobiety i ustawiła je przy schodach.

- Wszyscy będą wiedzieli, że ja to zrobiłam, ale dopóki nie będzie na to twardych dowodów, uznają, że po prostu byłam kreatywna. I tak nikt go nie lubił. Ale jeśli go zabiję, będą musieli przeprowadzić dokładniejsze dochodzenie.

Pod wieloma względami plan był naprawdę perfekcyjny. Art zostanie oskarżony o morderstwo popełnione przez Piscary'ego i wyląduje w więzieniu. Ona będzie mogła napisać własną półroczną ocenę. Nikt nie będzie jej przez jakiś czas bruździł, jeśli nie będzie chciał znaleźć w swojej łazience trupa. Nie będzie jej można lekceważyć. Ta myśl wcale nie ucieszyła jej tak bardzo, jak się tego spodziewała.

Kisten chyba to zauważył, bo dotknął jej ręki, chcąc sprawić, żeby na niego spojrzała. Zamrugła na widok

koloru jego włosów i faktu, że był od niej niższy, nawet jeśli to była tylko iluzja. Bo to była cholernie dobra iluzja.

- Świetnie sobie poradziłaś - pochwalił. - Piscary będzie pod wrażeniem.

Ukryła swoją twarz, schylając się, żeby podnieść taśmę klejącą. To że Piscary będzie z niej dumny, też nie wzbudzało w niej wcześniejszych emocji. Przez chwilę syk propanowego kominka zagłuszał dźwięk rozwijanej taśmy, którą owinęła wokół nadgarstków i kostek Arta. Taśma go nie unieruchomi, ale musieli tylko dostać się na schody.

- Gotowy? - spytała Ivy, wrzucając taśmę do torby i wyciągając kozaki.

Kisten skończył usuwać ostatnie odciski palców.

- Zrobione.

Ivy przysiadła na kominku i sznurując buty, rozejrzała się po pokoju. W miarę jak woda się ogrzewała, nasilał się zapach chloru i maskował odór martwego ciała dziewczyny. Ivy zapragnęła chwili samotności z Artem. Bo czemu by nie, do cholery? Zasłużyła na moment triumfu. Na to, żeby mu powiedzieć, że przyłapała go na tuszowaniu morderstwa.

- Zaczekaj na mnie w samochodzie - powiedziała. - Zaraz przyjdę.

Kisten uśmiechnął się szeroko bez szczególnego zdziwienia.

- Masz dwie minuty - powiedział. - Sekunda dłużej oznacza, że z nim baraszkuje.

Parsknęła i klepnęła go w tyłek, kiedy ruszył po schodach z jej torbą i workiem na śmieci. W jego jasnych wło-

sach połyskiwało światło, a Ivy patrzyła za nim, aż zniknął w plamie porannego słońca. Odczekała jeszcze chwilę, aż doszedł ją niewyraźny odgłos odpalanego silnika i dopiero wtedy odwróciła dłoń Arta i rozcięła nożycami zapięcie. Wsadziła nożyce za pasek, cofnęła się o krok, wysunęła z jego dłoni amulet i włożyła go do sakiewki.

Przez jedną straszną chwilę sądziła, że go zabiła, a jej strach musiał przeniknąć do powietrza, bo Art wzdrygnął się, a jego oczy poczerniały na jej widok. Spróbował się ruszyć i wtedy dostrzegł taśmę na nadgarstkach i kostkach. Zachichotał, podciągnął się do pozycji siedzącej i oparł o kanapę, a Ivy się zaczerwieniła.

- Piscary ma o tobie zbyt wysokie mniemanie - powiedział protekcyjnie. - Musi przejrzeć na oczy i zobaczyć cię taką, jaką jesteś: małą dziewczynką, bawiącą się z chłopcami, którzy są dla niej za duzi.

Napiął ramiona, a Ivy zmusiła się, żeby zachować spokój. Ale taśma nie rozerwała się, więc Ivy zgięła się w pasie i spojrzała mu w oczy.

- Nic ci nie jest?

- Nie zyskasz przez to przyjaciół, ale nie, nic mi nie jest.

Zadowolona, że nie zrobiła mu krzywdy, wyprostowała się, chwyciła butelkę wina i wzięła jeszcze jeden łyk, czując, jak ogień z kominka grzeje ją w nogi.

- Byłeś niegrzecznym chłopcem, Art - powiedziała i wysunęła biodro.

Spojrzał na nią i znieruchomiał, kiedy zorientował się, że ma na sobie swoje zwykłe skórzane spodnie i spandeks. Z jego twarzy natychmiast zniknęło opanowanie.

- Dlaczego jacuzzi jest włączone? Jaki dziś dzień? Kto tu był?

Znów szarpnął za taśmę i zaczął ją rozdzierać. Ivy odłożyła butelkę, podeszła bliżej i chuchnęła na niego winem, żeby zdmuchnąć jego jedwabiste czarne loki. Nie miało znaczenia, czy ktoś zorientuje się, że tu była. Cała wieża ISB wiedziała, gdzie poszła dziś rano.

- Smutno mi - powiedziała. - Przyszłam tu, żeby poprawić nasze stosunki, a co znajduję? Inną dziewczynę.]

Art poruszył ramionami i napiął mięśnie.

- Co ty, do cholery, zrobiłaś, Ivy?

Nachyliła się nad nim z uśmiechem.

- Rzecz nie w tym, co zrobiłam, Artie. Rzecz w tym, co znalazłam. Musisz ostrożniej się obchodzić ze swoimi ciasteczkami. Po całym domu walają się okruszki.

- To nie jest śmieszne - warknął, a Ivy podeszła do schodów.

- Nie, nie jest - powiedziała świadoma, że taśma trzyma się tylko siłą jego ignorancji. - Masz martwą dziewczynę w wannie, Artie, a ja spadam. Sprawa skończona. Nie potrzebuję już twojego poparcia, żeby przejść do wydziału arkanów. Wylądujesz w pudle. - Poczula uderzenie adrenaliny, kiedy odwróciła się i dotknęła stopą pierwszego stopnia. Art nie mógł wejść na schody, bo groziło mu to śmiercią. Ivy prawie liczyła na to, że jednak to zrobi.

- Ivy! - krzyknął Art, a ona odwróciła się na dźwięk rozrywanej taśmy.

Zawahała się z bijącym sercem. Była bezpieczna. Udało się.

- Popeliłeś jeden błąd, Art - powiedziała, wdychając jego gniew. - Nie powinieneś być próbować wykorzystać mnie do zatuszowania zabójstwa tamtej czarownicy - powiedziała, a z Arta odplynęła cała krew. - Wkurzyłeś mnie tym. - Posłała mu całusa, odwróciła się i irytująco powolnym krokiem zaczęła wchodzić po schodach.

- To nie przejdzie, Ivy! - krzyknął, a jej skoczyło ciśnienie na dźwięk rozrywanej taśmy, ale doszła już na samą górę i było zdecydowanie za późno. Uśmiechnęła się i weszła do jego kuchni. Art utknął z trupem na dole aż do zachodu słońca. Jeśli wezwie kogoś na pomoc, żeby zabrał ciało, tylko szybciej się pograży. Anonimowy telefon od zaniepokojonego sąsiada w ciągu pół godziny sprowadzi kogoś do jego drzwi.

- Nie bierz tego do siebie, Art - powiedziała. - Biznes to biznes. - Poszła zamknąć drzwi, żeby nie zaszkodziło mu światło. - Naprawdę - dodała i zatrzasnęła drzwi, słysząc jego wściekły wrzask.

Zabrała swoją torbę z miejsca, w którym zostawił ją Kisten, i wolnym krokiem wyszła przez frontowe drzwi na stromy podjazd wiodący na ulicę. Kisten czekał na nią, a ona wsunęła się na siedzenie obok kierowcy i rzuciła na tył torbę. Wyobrażała sobie furię pod ziemią i cieszyła się, że mogła po prostu wyjść. Nie miało znaczenia, czy ktoś ją widział. Miała tu być.

- Dwie minuty, co do sekundy - powiedział Kisten i nachylił się, żeby dać jej buziaka. Ciągłe miał na sobie amulet kamuflujący, a Ivy przyłapała go na tym, jak przygląda się sobie i swoim włosom. - Wszystko w porządku, kochanie? - spytał ze swoim nowym akcentem i poprawił grzywkę.

Ivy opuściła szybę i wystawiła rękę na zewnątrz; Kisten ruszył i oblało ją światło słoneczne. Wciąż rozbrzmiewało w niej wspomnienie, że nie umiała powiedzieć Artowi „nie”, a także powab żądz krwi. Odmowa okazała się niemożliwa, jednak powstrzymała go - i siebie samą. Było ciężko, lecz w pewien melancholijny sposób sprawiało jej to przyjemność. Nie przypominało to cudownie powalającej ekstazy, ale raczej promień słońca, którego początkowo się nie zauważa, a który ogarnia coraz większym ciepłem, aż człowiek zaczyna czuć się... dobrze.

- W porządku - powiedziała i zmrużyła oczy w porannym słońcu. - Cieszę się z tego, kim dzisiaj jestem.

6

Ivy postawiła pusty karton na biurku i usiadła przy nim, okręcając się na krześle, dopóki ktoś nie przeszedł obok jej otwartych drzwi. Przybrała bardziej profesjonalną minę i rozejrzała się po gabinecie. Uniosła brwi i wyciągnęła ulubione pióro z pojemnika, a potem wyrzuciła puste pudło na korytarz. Głuche stuknięcie uciszyło gadanie, a ona się uśmiechnęła. Mogli sobie to wszystko zostawić. Chciała tylko swoje ulubione pióro. No i parę grubszych skórzanych spodni. I aktualny plan miasta. Przydałby się komputer, ale nie pozwolą jej zabrać tego, którego używała do tej pory. Jakies naprawdę wygodne buty. Okulary - lustrzane.

Delikatne pukanie do otwartych drzwi kazało jej podnieść głowę i uśmiechnąć się bez obnażania zębów.

- Rat - powiedziała przyjaźnie. - Przyszedłeś się pożegnać?

Postawny agent wszedł do gabinetu z szarą teczką zwiniętą w rękę.

- Wygrałem zakład - powiedział, pochylając głowę. - Mam tu, hm, twoje przeniesienie. Jak się masz?

- To zależy. - Nachyliła się nad biurkiem i z fałszywą skromnością zagryzła palec. - Co o mnie mówią?

Roześmiał się.

- Że jesteś zła. Przez jakiś czas wszyscy będą unikać twojego spojrzenia. - Skubiąc sobie brwi, zrobił jeszcze krok. - Jesteś pewna, że nie chcesz pracować w arkanach? Nie jest jeszcze za późno.

Puls Ivy przyspieszył, gdy poczuła pokusę żądy krwi, której, jak wiedziała, nie będzie umiała się oprzeć.

- Nie chcę już pracować w arkanach – powiedziała i spuściła wzrok. - Muszę się wydostać z podziemi. Pobyć trochę na słońcu.

Agent nachylił się, a koperta w jego ręce przypominała listek figowy.

- Wkurza ich twój bunt. To nie camarilla Piscary'ego, to biznes. Na najniższym poziomie odbyła się dziś rano narada na twój temat.

Ogarnął ją strach, który szybko opanowała.

- Nie mogą mnie zwolnić. Nie ma żadnych dowodów, że miałam cokolwiek wspólnego z tą dziewczyną w wannie Arta.

- Nie. Jesteś czysta. I przypomnij mi, żebym zawsze był po twojej stronie. - Uśmiechnął się szeroko, ale jego uśmiech szybko zgasł. - Skazałaś miejsce zbrodni, ale już prawie to sobie odpuścili. Powinnaś ucichnąć na jakiś czas, robić, co ci każą. Masz przed sobą całe życie, obecne i pośmiertne. Nie spapraj go przez pierwsze pół roku pracy tutaj.

Ivy skrzywiła się i ominęła go spojrzeniem, wpatrując się w biuro za drzwiami.

- Już zrzucają moją degradację na karb popełnionego... błędu. Nie mogą mnie karać dwa razy za to samo. - Prawda była taka, że została zdegradowana za to, że nie zgodziła się przejść do wydziału arkanów. Jak dla niej wszystko było okej.

- Publicznie - powiedział i zaniepokoił ją tym. - To, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami, to odrębna sprawa. Popelniasz błąd - upierał się. - Na dole będą mogli wykorzystać twoje zdolności.

- Masz na myśli zastrzyk świeżej krwi? - Rat skrzywił się, a ona wyciągnęła rękę i oparła się o siedzenie doskonale zdając sobie sprawę, że siedząc, kiedy on stoi, pokazuje, kto jest górą. - Tak czy inaczej. Nie dam sobą manipulować, Rat. Wolę już niższą pensję i pracę w miejscu, gdzie przez jakiś czas nie będę musiała sobie zaprzętać tym głowy.

- Gdyby to było takie proste. - Rat rzucił jej teczkę na biurko, jakby chciał w ten sposób coś jej powiedzieć. - Aha, pomyślałem sobie, że będziesz chciała zerknąć na akta swojej nowej partnerki.

Ivy, zaniepokojona, wyprostowała się płynnym ruchem.

- Hola, hola. Zaraz. Zgodziłam się przejść na górę, ale nikt nie mówił o partnerce.

Rat wzruszył ramionami, a mundur napiął się pod jego szerokimi barkami.

- Nie mogą obniżyć ci pensji, więc będziesz robić na dwa fronty i opiekować się przez rok nowicjuską. Dwuletni staż w naukach społecznych i trzy lata ściągania zaczarowanych kotów z drzew. Zarząd chce, żeby znalazła się pod opieką kogoś z większą, hm, wiedzą teoretyczną, zanim wezmą ją na gońca, więc możesz z nią robić, co chcesz, Ivy. Tylko nie daj się jej zabić. Kochamy cię taką, jaka jesteś.

Ostatnie zdanie wypowiedział z jawnym sarkazmem, a Ivy z płonąłą twarzą odsunęła od siebie teczkę.

- To ona nie jest nawet pełnoprawnym gońcem? Za dużo pracy włożyłam w studia, żeby niańczyć dzieciaki. Nie ma mowy.

Rat zachichotał i z powrotem podsunął jej teczkę palcem z grubym kłykiem.

- Jest mowa. Skoro nie chcesz iść do arkanów, gdzie twoje miejsce.

Ivy prawie warknęła. Nienawidziła swojej matki. Nienawidziła Piscary'ego. Nie, nienawidziła władzy, jaką nad nią mieli. Przysunęła powoli do siebie teczkę i ją otworzyła.

- O Boże - westchnęła, zerkając na zdjęcie i myśląc sobie, że gorzej już być nie może. - Czarownica? Dali mi czarownicę na partnerkę? Co za idiota to wymyślił?

Rat roześmiał się, zmuszając Ivy, żeby oderwała wzrok od zdjęcia dziewczyny. Ivy odchyliła się do tyłu i starała

się za bardzo nie krzywić. Choć najwyraźniej miała to być kara, może wcale nie będzie tak źle. Czarownicy nie będzie zależało na jej krwi, a ulga, jaką da jej to, że nie będzie musiała z tym walczyć, wystarczy, żeby zrekompensować dodatkowy wysiłek, którego będzie wymagać tak słaba partnerka. Czarownica? Śmiali się jej prosto w twarz. Cała wieża śmiała się jej prosto w twarz.

- Mówisz, że zarząd nie chce jej puścić samej. Co jest z nią nie tak? -zapytała, a Rat położył jej wielką dłoń na ramieniu i zmusił, żeby wstała.

- Nic - odpowiedział z uśmiechem. - Jest impulsywna, to wszystko. To boskie połączenie, Ivy. Zanim minie tydzień, będziecie już najlepszymi przyjaciółkami: wspólne zakupy, objadanie się czekoladą, babskie wypadki do kina po pracy. Spodoba ci się! Uwierz mi.

Ivy zdała sobie sprawę, że zaciska zęby i siłą rozluźniła szczękę, zanim nabawi się bólu głowy. Jej partnerka była dziwaczką. Dali jej do pary typową babę, która chciała być posłańcem. To będzie piekło. Rat roześmiał się, a ona, nie widząc specjalnego wyboru, przysunęła do siebie teczkę, wcisnęła ją sobie pod ramię i podeszła z Ratem do drzwi, porzucając swój dawny gabinet i jego bezpieczne ściany w zamian za boks z przeszpanowymi ściankami i lurowatą kawę.

Ale to tylko na rok. Nie będzie chyba aż tak źle?

KELLY ARMSTRONG

W OBJĘCIACH CHAOSU

*Alexandrowi i Marcusowi,
dzięki którym moje życie jest chaotyczne,
ale w pozytywnym sensie*

1

To jakie historie opisujesz? - zapytał i zionął mi w twarz oparami szampana. - „Chłopiec-nietoperz na uniwersytecie”? „Grobowiec Elvisa odnaleziony na Marsie”? - Roześmiał się, nie czekając nawet na odpowiedź. - Boże, nie mogę uwierzyć, że ludzie w ogóle kupują te szmatławce. Ale oczywiście ktoś musi, bo inaczej nie miałybyś pracy.

Na usta cisnęła mi się zwykła śpiewka o tym, jak to tabloidy są źródłem rozrywki, a nie informacji, że to historyjki, przy których można się pośmiać, zanim stawi się czoło horrorom z codziennych gazet. Zachowałam to jednak dla siebie i zmusiłam do uśmiechu.

- Robiłam kiedyś reportaż o posłańcu piekieł - powiedziałam tak lekkim tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć. - To odpowiednik chłopca-nietoperza z „True News”. Opisywałam, jak kończył przedszkole. Słodko wyglądał z maleńkim biretem na rogach...

Skrzyżowałam palce pod serwetką i modliłam się o znajome spojrzenie, skrzywienie ust, szeroko otwarte oczy gorączkowo szukające drogi ucieczki. Ucieczka byłaby tak łatwa - zatłoczona gala w muzeum, wszyscy w strojach wieczorowych - no, Douglas, powiedz po prostu, że musisz iść do toalety i niby przypadkiem zapomnij, gdzie mnie zostawiłeś...

Douglas odchylił głowę i się roześmiał.

- Posłaniec piekiel kończy przedszkole? To się nazywa zabawna praca. A wiesz, jaka jest główna atrakcja w pracy? Partyjka golfa z innymi wiceprezesami.

To właśnie był problem z facetami takimi jak Douglas - nie byli źli. Nudni, nieokrzesani i niemal odrażający - owszem, ale nie tak beznadziejni, żeby można ich było z czystym sumieniem zostawić. Tak więc czekało się z nadzieją, że to oni stwierdzą, że randka okazała kompletnym niewypałem, i spróbują urwać się wcześniej.

Kolacja to był błąd. Powinnam była nalegać, żebyśmy spotkali się tutaj, na przyjęciu. Gdyby sprawy nie ułożyły się najlepiej, byłibyśmy skazani na siebie tylko przez dwie godziny. Ale on najpierw zaprosił mnie na kolację, a moje usta, chociaż jednocześnie myślałam: Nie!, zachowały się jak należy, zachowały się uprzejmie i powiedziały: „Jasne, świetny pomysł”.

Spędziłam sama przy stoliku czterdzieści pięć minut, odpierając pełne współczucia spojrzenia kelnerów, mówiące: „Wystawił cię”, i patrząc, jak wysycha mi sałatka na talerzu. Potem zjawił się Douglas... i przez godzinę musiałam wysłuchiwać narzekań na przyczynę jego spóźnienia, to jest na jakąś korporacyjną katastrofę, zbyt złożoną, żeby mógł ją pojąć taki laik jak ja. Dopiero kiedy znaleźliśmy się tutaj, na otwarciu nowego skrzydła muzeum, zapytał, czym się właściwie zajmuję.

- Więc jaka jest najdziwniejsza historia, o jakiej pisałaś? - spytał.

Roześmiałam się.

- Och, sporo by się znalazło. W zeszłym tygodniu na przykład dowiedziałam się o UFO...

- A co z gwiazdami? - przerwał mi. - Brukowce przecież o tym piszą, prawda? Plotki o gwiazdach? Jaką miałaś najlepszą historię?

- Hm, żadną. „True News” pisze czasem o sławach, ale ja jestem dziewczyną od „niesamowitych opowieści”, głównie od zjawisk paranormalnych, chociaż...

- Paranormalnych? Jak duchy? - Znów nie zczekał na odpowiedź. - Dom naszego bractwa na studiach był podobno nawiedzony. Frederic i ja, twój szwagier i ja byliśmy w tym samym bractwie, ale twoja mama chyba ci o tym wspominała. W każdym razie pewnego wieczoru...

Moja biedna mama. Zredukowana do roli swatki, która wśród kolegów ze studiów męża mojej siostry wyszukuje potencjalnych partnerów dla swojej najmłodszej pociechy. Już dawno wyczerpała repertuar wszystkich kawalerów do wzięcia, których sama знаła.

- Nie musisz umawiać mnie na randki, mamo – powiedziałam jej ostatnim razem, jak setki razy wcześniej. - Naprawdę sama sobie radzę.

- Z randkami: tak. Ze związkami: nie. Przysięgam, Hope, robisz wszystko, żeby znaleźć sobie faceta, którego nie będziesz chciała znać po pierwszym weekendzie. Tak, wiem, masz dopiero dwadzieścia sześć lat i żadna z ciebie stara panna, a ja nie mówię, że powinnaś się już ustatkować, ale naprawdę trochę stabilizacji ci nie zaszkodzi, dziecko. Wiem, że masz złe doświadczenia w tym względzie...

- A czego się spodziewasz? - miałam czasem ochotę powiedzieć. Wybrałaś mi ojca demona. Oczywiście to nie

było fair. Mama nie wiedziała, kim był ojciec. Urodziłam się dziewięć miesięcy po rozstaniu rodziców i dorastałam przekonana, podobnie jak inni, że byłam „pożegnalnym strzałem” ojca, zanim uciekł z pielęgniarką.

Dopiero kiedy miałam osiemnaście lat, zaczęłam podejrzewać coś innego, gdy uświadomiłam sobie, że nie czułam się inna tylko z powodu młodzieńczej alienacji.

Douglas zakończył swoją opowieść o nawiedzonym domu studenckim, a potem spytał:

- To jakie wykształcenie musi mieć dziennikarka brukowca? Przecież nie kończy się po to dziennikarstwa.

- Kończy.

Był łaskaw się zarumienić.

- Ojej... ale nie musiałaś, prawda? No bo przecież to nie jest prawdziwy reportaż.

Przyglądałam się jego twarzy w poszukiwaniu oznak protekcjonalności. Nie było ich. Był palantem, ale nie miał złych zamiarów. Cholera. Straciłam kolejną wymówkę. Miałam przynajmniej kilka koleżanek, które nie potrzebowałyby żadnego usprawiedliwienia, żeby zakończyć taką randkę. Po prostu by ją przerwały i się zmyły. Dlaczego więc ja nie potrafiłam tego zrobić? Byłam półdemonem, na litość boską. Mogłam być tak paskudna, jak tylko miałam ochotę.

Rozejrzałam się po sali. Gala odbywała się w holu głównym, który - jak przypominały nam dyskretnie rozmieszczone tabliczki - można było również wynająć na wesela, bankiety czy imprezy firmowe. W rogu grało trio jazzowe, tuż przy przenośnym parkiecie tanecznym, który był na tyle mały, że równie dobrze mógł służyć za scenę dla

występów solowych. Jakby organizatorzy wiedzieli, że nie zebrali się tu wielbiciele tańca, ale czuli się zobowiązani zapewnić jakieś rozwiązanie. Większość gości pochodziła ze świata wielkiego biznesu, więc głównym celem spotkania były pogawędki i nawiązywanie kontaktów, przy okazji można było poprawić swoje samopoczucie, pławiąc się w roli mecenasa sztuki. W sali porozstawiano duże repliki artefaktów, takich jak posągi i urny, które przypominały gościom, gdzie są i po co... chociaż wydawało się, że dzieła sprawdzały się lepiej jako wieszaki i podpórki.

- Stół wygląda wspaniale - powiedziałam. - To losoś z wody?

- Mam nadzieję, że dziki, ale dzisiaj nigdy dość ostrożności. W zeszłym tygodniu jadłem kolację z klientem, który tydzień wcześniej był w pięciogwiazdkowej restauracji w Nowym Jorku i podano mu łosia z hodowli. Czy ludzie nie czytają gazet? Równie dobrze można jeść kolcobrzucha, a to mi przypomina, jak byłem w Tokio...

- Zaczekaj moment - wtrąciłem. - Wezmę coś do jedzenia i zaraz wracam.

Poderwałam się, zanim zdążył mnie zatrzymać.

Idąc do baru, byłam w pełni świadoma spojrzeń kierujących się w moją stronę. Cudowne uczucie dla kobiety... pod warunkiem że spojrzenia są pełne podziwu i zazdrości, a nie ze zdumieniem utkwione w sukience i mówiące: „Co ona do cholery na siebie założyła?”

To była wina sukienki. Krzyczała do mnie z drugiego końca sklepu, kanarkowożółta na wieszaku wypełnionym czernią, oliwkową zielenią i granatem. Promień słońca pośród nocy. Tak sobie to wyobrażałam - będę

torować sobie drogę pośród ciemności w tej zmysłowej, jaskrawożółtej sukience. Promień słońca? Wyglądałam jak banan na obcasach.

Najsmutniejsze, że to nie była moja pierwsza katastrofa odzieżowa. Ale jeszcze gorsze było to, że nie mogłam w żaden sposób usprawiedliwić swojego braku wyczucia. Moja matka regularnie pojawiała się w lokalnych gazetach, świeciła przykładem kobiety nienagannie wychowanej i nienagannie ubranej. Moja siostra opłaciła sobie studia prawnicze, pracując jako modelka. Nawet moi dwaj bracia byli na corocznej liście „najlepiej ubranych kawalerów”, dopóki po ślubie nie zostali zdyskwalifikowani. Nie miało to żadnego znaczenia. Cała moja rodzina mogła wtedy wybrać się ze mną do sklepu i powtarzać mi w kółko, że żółty to najgorszy kolor dla osoby o ciemnych włosach i ciemnej karnacji, a ja i tak wyszłabym z tą sukienką, zaślepiona swoimi słonecznymi mrzonkami.

Przynajmniej niczym się nie oblałam. Zatrzymałam się w pół kroku i spojrzałam na siebie. Nie, na razie brak plam i dopóki będę trzymać się białego wina i potraw bez sosów, powinno być dobrze.

Wzięłam talerz i rozejrzałam się po stole. Na środku była pieczona kaczka, wokół niej gotowany łosoś, marynowane krewetki na lodzie, truskawki w czekoladzie... Nie byłam głodna, ale na truskawki w czekoladzie zawsze znajdzie się miejsce. Kiedy wyciągnęłam po nie rękę, mój wzrok zasnuł się mgłą.

O Boże. Tylko nie teraz.

Próbowałam odzyskać wzrok, skoncentrować się na chwili obecnej, na szwedzkim stole, na zapachu perfum

unoszącym się w sali, na delikatnych jazzowych nutach, skpić się, zakorzenieć się w...

Wszystko zasnęła czerń. Obrazy, zapachy i dźwięki przemykały obok mnie z wielką siłą i prędkością jak ciosy. Las, wrzask sowy, piaszczysto-iglasty zapach mokrej ziemi, dudnienie pędzących nóg, błysk czarnego futra, warczenie, błysk zębów, ostry smak...

Odbiłam się od swojej wizji tak szybko, że musiałam złapać się brzegu stołu, żeby utrzymać równowagę. Przełknęłam ślinę i poczułam krew, jakbym ugryzła się w język.

Wzięłam głęboki oddech i otworzyłam oczy. Na środku stołu nie było pieczonej kaczki, ale świeżo zabita, rozdarta na strzępy. Zakrwawione pióra leżały rozrzucone na lodzie, krewetkach i łososiu, dymiące wnętrzości wylewały się na biały obrus.

Okręciłam się na pięcie, wpadłam na stojącego za mną mężczyznę i wytrąciłam mu z ręki talerz. Schyliłam się, żeby go złapać, ale moja magiczna bransoletka zaczepiła się o jego rękaw i niemal pociągnęłam go za sobą na ziemię. Talerz roztrzaskał się o podłogę, a odłamki porcelany poszybowały we wszystkich kierunkach.

- Ojej, strasznie przepraszam - powiedziałam.

Cichy śmieszek.

- Nic nie szkodzi. Będę zdrowszy bez dodatkowej porcji cholesterolu. Mój lekarz będzie pani wdzięczny.

Próbowałam wyplątać bransoletkę z jego rękawa. Mężczyzna wyciągnął rękę, musnął moją dłoń i wyswobodził mnie wprawnym ruchem.

Zaraz potem spojrzałam na niego po raz pierwszy i jęknęłam w duchu. Nie dość, że zrobiłam z siebie

idiotkę, to oczywiście musiałam wybrać kogoś takiego jak on, kto wyglądał, jakby nigdy nie zrobił z siebie idioty. Wysoki, ciemny, przystojny, był wcieleniem elegancji, szpecił go tylko odrobinę jastrzębi wyraz twarzy. Każda odpowiedź na wyjąkane przeze mnie przeprosiny była dowcipna i urocza. Każdy ruch, od kiedy się wyswobodziliśmy, był płynny i pełen gracji. Po takim facecie spodziewasz się, że będzie mówił z czystym brytyjskim akcentem i zamawiał martini – wstrząśnięte, niemieszane.

Podbiegła do nas grupka kelnerów, żeby posprzątać, przeprosiłam go po raz ostatni, a on uśmiechnął się i równie szczerze, jak za pierwszym razem zapewniał, że nic się nie stało. Jego spojrzenie już się zamgliło, jakby odpłynął myślami i jakby w ciągu pięciu minut miał o mnie całkowicie zapomnieć... a w tych okolicznościach nie miałam nic przeciwko temu.

Kiedy szłam z powrotem do Douglasa, replika Big Bena na środku sali wybiła pełną godzinę. Dziesiąta? Już? Nie, to by się zgadzało... skoro Douglas spóźnił się prawie godzinę na kolację, nie mogliśmy przyjechać na galę wcześniej niż o wpół do dziewiątej.

Podeszłam do niego szybko.

- Zaraz...

Przerwał mi dyskretnym skinieniem głowy w kierunku gorsetu mojej sukienki.

- Masz plamę - szepnął.

Spuściłam głowę i zobaczyłam plamę z sosu marinara wielkości dziesięciocentówki tuż przy lewej piersi. Efekt uboczny katastrofy przy szwedzkim stole. Naturalnie.

Skoro wkoło latało jedzenie, musiałam przyjąć je na siebie i to w najgorszym możliwym miejscu.

Podziękowałam mu i spróbowałam zetrzeć plamę serwetką. Z dziesięciocentówki zamieniła się w ćwierćdolarówkę, więc zasłoniłam ją paskiem torebki.

- Chciałam powiedzieć, że zaraz się zacznie pokaz nowych eksponatów - powiedziałam. - Bardzo chciałabym go zobaczyć, poza tym to dobra okazja, żeby poznać ludzi, pogadać... - Oszczędzić sobie kolejnych dwóch godzin twoich opowieści z życia korporacji.

- Skoro o tym mowa, widziałas, kto tam jest? - Wskazał grupkę ludzi w średnim wieku, wciśniętą między urnę z brązu a byka z terakoty. - Robert Baird - szepnął nabożnie.

Zamilkł, jakby czekał, aż padnę na kolana i uderzę czołem w podłogę.

- Prezes Baird Enterprises - wyjaśnił.

- Skoro go znasz, chyba moglibyśmy...

- Nie znam, ale na pewno ty go znasz... może nie osobiście, ale jego żona i twoja matka są razem w radzie fundacji Reyersona i...

- Pomyślałeś sobie, że mogłabym cię przedstawić.

- Mogłabyś? Dziękuję, Hope. Jesteś nieoceniona.

- Jasne, po pokazie...

Za późno. Douglas już zmierzał w stronę Bairdów. Westchnęłam, poprawiłam pasek od torebki i poszłam za nim.

2

Trzydzieści minut później było po pokazie, goście wracali na salę, rozprawiając o nowych ekspozycjach... a ja utknęłam z Douglasem i Bairdami. Skoro zapewniłam mu już audiencję, nie zamierzał pierwszy się stamtąd ruszać.

Zaczęłam się zastanawiać, czy zauważyłby, gdybym sobie poszła. Może mogłabym się wymknąć i obejrzeć sobie wszystko sama...

Douglas objął mnie w pasie i oparł się o mnie, jakby chciał odciążyć trochę swoje nogi. Stłumiłam jęk irytacji, zaprezentowałam swój najlepszy uśmiech mówiący: „Mój Boże, ależ to interesujące”, i zrobiłam to, co z pewnością zrobiła już godzinę temu każda osoba towarzysząca w naszej grupce: wyłączyłam się.

Kiedy myśli innych krążyły pewnie wokół przyziemnych spraw, takich jak rozszady w planie dnia dzieci, przyszłotygodniowa proszona kolacja albo raport, który trzeba napisać w pracy, moje myśli powędrowały prosto w mroki ludzkiego cierpienia, zła i chaosu. Nie mogłam nic na to poradzić. Gdy tylko przestaję myśleć o czymś konkretnym, mój umysł zamienia się w niezwykle czuły odbiornik chaosu, nastawiony na częstotliwość wszystkich problemów w pobliżu.

W przeciwieństwie do wizji przy szwedzkim stole, nie były to żadne zaćmienia umysłu. Raczej coś w rodzaju półsnu, kiedy tuż przed zaśnięciem jesteś ciągle świadomy, ale świat marzeń sennych zaczyna już przesłaniać

rzeczywistość. Pierwsze, co zobaczyłam, to kobieta siedząca u stóp pani Baird, z kolanami podciągniętymi pod wieczorową suknię, z rozmazanym makijażem, z ramionami podskakującymi w niemym szlochu.

Kiedy zjawa zniknęła, poczułam, że moje spojrzenie wędruje w lewo, i wiedziałam, że gdzieś w holu, w jakimś spokojnym miejscu zobaczę skuloną, szlochającą kobietę. Może dostała przez telefon złą wiadomość, a może zobaczyła rękę swojego męża zakradającą się na udo innej. Nigdy nie znalazłam przyczyn, tylko skutki.

- Dziś wieczorem - syknął mi do ucha męski głos. - Musi to zrobić dziś wieczorem, kiedy w biurze nikogo nie będzie.

Nawet nie spojrzałam w bok. Pozwoliłam za to, by podświadomość zaprowadziła mnie do dwóch mężczyzn stojących po drugiej stronie sali przy drzwiach. Jeden z nich kręcił głową. Twarz drugiego, który mówił szybko, była napięta.

Głosy ucichły, a ich miejsce zajęły inne - słowa wściekłości, oskarżenia, jęki, szlochy, wieża Babel zjednoczona językiem chaosu. Migały obrazy nakładające się na rzeczywistość, wypalające się na moich siatkówkach, niekończąca się parada chaosu w każdej postaci, od żalu po wściekłość, od smutku po zazdrość i nienawiść. Widziałam to wszystko, słyszałam, czułam i przeżywałam. A co było najgorsze? Chociaż mój umysł się buntował i reagował przerażeniem, współczuciem albo złością, moja dusza opijała się tym jak najszlachetniejszym szampanem, pławiąc się w smaku słodczy, bąbelkach gryzących w język i w rozkosznym, wirującym w głowie upojeniu.

Każdy półdemon dziedziczy swoją moc po ojcu. Niektórzy potrafią wzniecać ogień, inni zmieniać pogodę, jeszcze inni przesuwać przedmioty siłą woli. Ja miałam to.

Od sześciu lat zmagalam się ze swoją coraz potężniejszą mocą, wrodzonym radarem chaosu, pragnieniem chaosu. Jak większość samoświadomych ćpunów, walczyłam z uzależnieniem, wiedząc, że może mnie zniszczyć, a jednak nie potrafiłam przestać za nim gonić. Lata ponurych nastrojów, ponurych dni i jeszcze bardziej ponurych myśli. A potem... wybawienie.

Dzięki coraz bogatszej siatce kontaktów z innymi półdemonami, odszukał mnie ktoś, kto mógł mi pomóc. Nie powiem, że byłam zaskoczona. W kwestii wsparcia społecznego nic nie przebije świata nadnaturalnego. Większość ras setki lat temu powołała jednostki specjalne, takie jak sabaty czarownic, watahy wilkołacze, zgromadzenia czarowników. Kiedy żyjesz w świecie, który nie ma pojęcia o twoim istnieniu, i lepiej, żeby tak pozostało, społeczność to konieczność we wszystkim: od szkolenia po opiekę medyczną.

Półdemony uważane są często za najmniej „uspołecznioną” rasę, ale nie mogę się z tym zgodzić. Być może nie mamy jednostek specjalnych i własnej policji ani nie zwołujemy posiedzeń, ale lokalne społeczności półdemonów nów obejmują wszystkich w regionie, czego nie można powiedzieć o innych rasach. Ponieważ jesteśmy pozbawieni wsparcia rodziny, inaczej niż u ras dziedzicznych, półdemony nieustannie szukają sobie podobnych, a kiedy już ktoś cię odnajdzie, otwiera się przed tobą świat wzajemnego wsparcia. Kiedy więc zadzwoniła do mnie półde-

monica, którą znałam tylko przez wspólnych znajomych, nie byłam zaskoczona. A kiedy poprosiła, żebym spotkała się z kimś, kto może zdoła mi pomóc udoskonalić moc i zachować nad nią kontrolę, nie powiedziałam nie.

Umówiłam się na lunch w ulicznej kawiarence, miejscu publicznym i zacisznym jednocześnie, co od razu mnie uspokoiło. Na miejscu zastałam przy stoliku drobnego jasnowłosego mężczyznę koło trzydziestki, ubranego z codzienną elegancją, jak inni w lokalu. Subtelnie przystojny, dobrze wychowany, ze szczerym uśmiechem i ciepłym spojrzeniem brązowych oczu, Tristan Robard od pierwszego uścisku dłoni sprawił, że poczułam się przy nim swobodnie. Zamówiliśmy dzbanek sangrii, porozmawialiśmy o miejscowych imprezach i poświęciliśmy pierwszą połowę posiłku na wzajemne poznanie się. Dopiero potem, jakoś w połowie lunchu, Tristan popatrzył mi w oczy znad sałatki i powiedział:

- Słyszałaś kiedykolwiek o radzie międzyrasowej?

Zawahałam się, a on się roześmiał.

- Przydałaby im się lepsza nazwa, co? Rada Sumeryjska. Wielka Gildia albo coś w tym stylu. To właśnie problem z prostotą. Jeśli nie nazwiesz się w jakiś wymyślny sposób, nikt nie zapamięta, kim właściwie jesteś. Postaraj się o dobrą nazwę, chwytliwe hasło, ładne logo... - Uśmiechnął się szeroko. - A wtedy będą kojarzyć, kim jesteś, a co ważniejsze, przypomną sobie o tobie, kiedy będą cię potrzebować.

- Czy to nie... To rada delegatów, prawda? Przywódców różnych nadnaturalnych ras, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych...

- Dokładnie. Wiesz, czym się zajmuje ta rada?

Skrzywiłam się.

- Niestety, obawiam się, że słabo się orientuję. - Uśmiechnęłam się. - Jak sam powiedziałaś, przydałby się im lepszy plan marketingowy. Mają pomagać nadnaturalnym, tak? Ogólny nadzór, rozwiązywanie konfliktów między grupami...

- Chronić i służyć, to motto rady, a przynajmniej takie by było, gdyby je miała. Problem w tym, że od jakichś dwudziestu lat coraz bardziej usuwają się w cień i nikt nie wie, że w ogóle istnieją, więc nikt nie zgłasza im żadnych problemów. Próbują to teraz zmienić, a najpierw chcą zwiększyć zasięg. Mówiąc krótko: przeprowadzają rekrutację.

- Masz na myśli nowych delegatów?

Roześmiał się.

- Nie, te pozycje są już obsadzone, a poza tym to za wysokie progi dla ciebie czy dla mnie... przynajmniej na razie. Ale pracujemy nad siecią „oczna na ziemi”, nadnaturalnych, którzy będą chcieli dla nas pracować, wypatrywać problemów i pomagać je rozwiązać.

Zacisnęłam dłoń na serwetce, usiłując zachować obojętny wyraz twarzy. Pomoc w namierzaniu problemów? Czy ktokolwiek lepiej nadawał się do tego zadania? Gdybym mogła pomagać - wykorzystywać swoją moc w dobrym celu - o Boże, proszę...

Wydaje mi się, że przez następną minutę nie oddychałam, czekając, aż Tristan zacznie mówić dalej.

- Najbardziej potrzeba ludzi, którzy zawodowo zajmują się rozwiązywaniem problemów, takich jak funkcjo-

nariusze porządku publicznego, pracownicy społeczni albo... - Popatrzył mi w oczy i uśmiechnął się. - Dziennikarze. Idealny kandydat powinien nie tylko mieć odpowiedni zawód, ale też należeć do rasy, której zdolności mogą się okazać przydatne: wilkołaków lub wampirów ze względu na ich zdolności tropicielskie albo na przykład - wyszczerzył się w jeszcze szerszym uśmiechu – być półdemonem wyczuwającym kłopoty.

- Chcesz powiedzieć... - Słowa utknęły mi w gardle.

- W imieniu rady, Hope, chciałbym zaproponować ci pracę.

I tak to się zaczęło. Od osiemnastu miesięcy pracowałam dla rady za pośrednictwem Tristana. Dotąd nie miałam na tyle szczęścia, żeby osobiście podziękować delegatom, ale dziękowałam im poprzez wykonywaną pracę, wkładając całe serce w każde, choćby najprostsze zadanie.

Tristan załatwił mi pracę w „True News”. Nie było to może najbardziej prestiżowe stanowisko dla dobrze rokującej dziennikarki, ale wiedziałam, że jest pomocne dla rady, a to liczyło się bardziej niż moje ambicje zawodowe. Brukowce natykają się niekiedy na prawdę i zwykle ma to związek z kłopotami: nieostrożny wampir, wściekły półdemon, żądny władzy czarownik. Jak się dowiedziałam od Tristana, moja moc była szczególnie wyczulona na problemy nadnaturalne. Wykorzystywałam więc pracę w gazecie, żeby je tropić.

Byłam w tym dobra. Cholernie dobra. Więc po roku rada dołożyła do moich obowiązków rolę łowcy głów. Nadnaturalnym wicherzycielom często udaje się zbiec.

Wyposażona w odpowiednie wskazówki, potrafiłam odszukać nadnaturalnych, nawet jeśli akurat nie wywoływali chaosu. Kiedy wkraczali na mój teren, potrafiłam wyczuć winowajców i wezwać posiłki.

Rada płaciła mi za to, i to niemało, ale pieniądze wcale nie były w tym najlepsze; najlepsza była możliwość zaspokajania pragnienia chaosu bez poczucia winy. Żeby służyć radzie, musiałam doskonalić swoje moce, a w tym celu musiałam ćwiczyć. Miałam przed sobą daleką drogę - ciągle jeszcze odbierałam przypadkowe wizje, takie jak ta głupia kaczką, która pewnie widziała, jak pies rozszarpuje jej matkę albo coś równie bzdurnego. Ale rozwijałam się, a przy okazji miałam pełne prawo nurzać się w otaczającym mnie chaosie.

Kiedy więc mój umysł zaczął błędzić podczas rozmowy, zajęłam się właśnie tym - ćwiczeniami. Skupiłam się na wylapywaniu konkretnych dźwięków i obrazów, wydobywając je na pierwszy plan i zatrzymując, kiedy pojawiał się zagrożenie, że rozmyją się pod wpływem silniejszych sygnałów.

Zajęłam się bardzo przyziemną sprzeczką małżeńską, parą, która przerzucała się z sykiem zarzutami: „Nigdy mnie nie słuchasz” i „Dlaczego zawsze to robisz?” Klótnią z rodzaju tych, jakie w chwilach stresu zdarzają się w każdym związku... a przynajmniej tak twierdzi moje rodzeństwo i przyjaciele - bo związki, jak zauważyła mama, nie są moją mocną stroną. W moim życiu jest zbyt wiele do ukrycia, więc koncentruję się na przyjaciółach, rodzinie, pracy i zleceniach od rady, i staram się zapomnieć o tym, czego mi brak. Kiedy jednak słyszę takie bezsen-

sowne spory, które psują wspólny romantyczny wieczór, nie jestem wcale przekonana, że czegokolwiek mi brak.

To właśnie banalność tej kłótni sprawiała, że stanowiła ona idealny obiekt do ćwiczeń. Nawet na tego typu uroczystości było jednocześnie przynajmniej kilka silniejszych źródeł chaosu, a mój umysł usiłował sprowadzić mnie na manowce, jak szczeniak, który ciągnie za smycz w nieznanym parku.

Koncentrowanie się na kłócącej się parze było trudne i ...

- Nie wolno panu tu wchodzić. - Usłyszałam szorstki głos. - Goście nie mają wstępu do tej strefy.

Opędziłam się od tego głosu jak od natrętnego komara. Wróciłam do swojej pary. Mąż marudził, że żona zamówiła na kolację rybę, chociaż wiedziała, że nie cierpi jej zapachu.

- I właśnie dlatego zamówiłam ją sobie w restauracji - warknęła. - Żeby nie zasmrodzić całej kuchni podczas gotowania i...

- Co do...?

Ten sam szorstki głos, tym razem piskliwy ze zdenerwowania. Poderwałam głowę, puls mi przyspieszył, ciało napięło się w wyczekiwaniu, jakby mój mentalny pies gończy właśnie trafił na trop świeżego steku.

- Nie! Błagam!

Jęk zamienił się w krzyk. Pojedyncza sylaba, ułamek sekundy, po którym krzyk zamarł, a ja znieruchomiałam, wyężając słuch.

Wyrwałam się ze swoich myśli i zaczęłam identyfikować źródło chaosu. Kolejny wstrząs, tym razem zbyt

mroczny, zbyt mocny nawet dla mnie, jak ostatni łyk szampana, kiedy wypileś już za dużo i żołądek sprzeciwia się gwałtownie, a słodycz nabiera kwaśnego posmaku.

- Hope? - Ręka Douglasa zsunęła się z mojej talii, a on nachylił się i szepnął mi do ucha: - Wszystko dobrze?

- Łazienka - wymamrotałam. - Szampan.

- Poczekaj, zaprowadzę cię...

Odrząciłam go z uśmiechem. Ruszyłam sama przez salę na chwiejnych nogach, z nadzieją że się nie zataczam. Kiedy znalazłam się na korytarzu, szok mentalnego wstrząsu zastąpiła dziwnie spokojna ciekawość.

Po kilku krokach zaczęłam się zastanawiać, czy nie wychwytywałam „wspomnień chaosu. Często wyczuwałam silne pozostałości wibracji dawno minionych wydarzeń, jak z tą kaczką na stole. Ciągłe się uczyć rozróżniać pozostałości od bieżących źródeł, ale zawsze nękają mnie wątpliwości.

Doszłam na koniec korytarza do miejsca, w się rozwidłał. Z prawej strony wyczuwałam ślady źródła, które mną wstrząsnęło. Ale wylapywałam też inne, świeższe źródło problemów z lewej.

Uwaga instynktownie poszybowała w lewo. Znów ten mój szczeniak chaosu, znacznie bardziej zainteresowany wiewiórką hasającą w pobliżu niż starym tropem królika. Podałam się impulsowi, w dziewięćdziesięciu procentach przekonana, że to, co wtedy poczułam, było tylko wspomnieniem.

3

Rozejrzałam się i minęłam znak przypominający gościom, że ta strefa jest wyłączona z gali. Inaczej mówiąc: zakaz wstępu, tyle że ubrany w ładniejsze słowa, żeby nie urazić żadnego z obecnych lub przyszłych dobroczyńców muzeum.

W miarę jak milkły za mną odgłosy przyjęcia, stukanie moich obcasów stawało się coraz głośniejsze. Zatrzymałam się, schowałam do wnęki przy drzwiach i zdjęłam buty. Potem, z paskami pantofli przywiązanymi do torebki, wychyliłam się z wnęki, rozejrzałam, wysunęłam ostrożnie i cicho ruszyłam korytarzem.

Byłam już prawie na samym końcu, kiedy nagle od ściany odbiła się smuga światła latarki. Wycofałam się szybko z bijącym sercem. W sąsiedniej sali rozległy się kroki strażnika, a po chwili ucichły. Znow zaczęłam iść.

Na końcu korytarza zajrzałam do sąsiedniej sali. Sygnał chaosu był teraz silniejszy, jak przywołujące mnie wycie syreny. Dochodził z końca innego ciemnego korytarza. Weszłam do sali i zobaczyłam mruganie czerwonej lampki. Kamera dozorowa. Cholera!

Znow wybiegłam na korytarz. Pochyliłam się prawie do samej podłogi i zaczęłam posuwać naprzód, byłam zbyt nisko, żeby kamera mogła mnie wychwycić. Wystawiłam głowę, żeby odnaleźć źródło światła. Było na obiektywach kamer przymocowanych do gablot wystawowych.

Zmrużyłam oczy i wyznaczyłam sobie w myślach bezpieczną ścieżkę przez salę. Ciągle pochylona, z twarzą

odwróconą od kamery, ruszyłam naprzód. Nie było to łatwe: poruszałam się w niemal całkowitej ciemności w obcym pomieszczeniu najeżonym przeszkodami - bezcennymi przeszkodami. Ale upajałam się każdym lęklwym uderzeniem serca. Jakaś część mnie chciała wznieść się ponad to wszystko, odrzucić jako kłopotliwą - a nawet niemądrą - część mojej pracy: przekradanie się przez ciemne korytarze, ukrywanie przed ochroną. Zrzuciłam to na karb dorastania w świetle, który ceniał dystans i chłód emocjonalny. Ale dzięki temu te emocje były jeszcze cenniejsze, kuszący powab zakazanego, a przynajmniej niestosownego.

Udało mi się dotrzeć do następnego korytarza. Tym razem byłam na tyle przewidująca, że się rozejrzałam, zanim do niego weszłam. Przydałoby mi się więcej praktyki w tego typu sprawach. Moje misje pościgowe często wymagały pewnej ostrożności i zdolności szpiegowskich. Kolejnych umiejętności, które z przyjemnością doskonaliłam.

Wyjrzałam zza rogu i zobaczyłam następny korytarz, szeroki i zachęcający, z podłogą wyłożoną wykładziną i z ławkami. Ściana po lewej stronie była udekorowana obrazami i grafikami. Prawa nie potrzebowała ozdób - była to pochyła szyba z widokiem na leżącą niżej galerię ze specjalnymi eksponatami. Oglądałam tam kiedyś Tutanchamona, pozostałości z „Titanica”, mumie z torfowiska, a ostatnio - opierzone dinozaury. Obecnie, jeśli dobrze sobie przypomielałam, wystawiano w niej gościnnie kolekcję biżuterii.

Korytarz widokowy na drugim piętrze ciągnął się wzdłuż dwóch ścian znajdującej się pod nim galerii.

Przez szybę zobaczyłam, że coś się porusza przy sąsiedniej szklanej tubie. Błady owal twarzy. Cofnęłam się, ale twarz pozostała w tym samym miejscu, lekko tylko podrygując, jakby ktoś mył szybę. Dozorca? Czy mój radar problemów znów szwankował? Naprawdę więcej poćwiczyć.

Od szyby po drugiej stronie odbiło się światło. Znów się cofnęłam, oczekując widoku strażnika z latarką. Ale nagle mój wzrok przyzwyczaił się do mroku na tyle, że zobaczyłam ciemną postać poniżej bladej twarzy, a światło, które odbiło się od szklanej tafli, padło na dłoń w czarnych rękawiczkach.

Stłumiłam śmiech. A więc to wyłapałam: nie dozorcę ani znudzonego imprezowicza wałęsającego się po niedozwolonych miejscach, ale złodzieja przyłapanego na gorącym uczynku. Ze wzrokiem utkwionym w niedoszłym rabusiu sięgnęłam do torebki.

Musnęłam palcami dwa przedmioty, które Tristan kazał mi zawsze przy sobie nosić: pistolet i parę kajdanek. Nawet tego wieczoru tak się martwił o moje bezpieczeństwo, że zanim poszłam na kolację, kazał mi spotkać się z kimś z ochrony, przekazać mu pistolet i kajdanki, i odebrać je potem na sali galowej, żebym ominęła w ten sposób ochroniarzy przy wejściu. Przesadzał, ale miło, że się o mnie troszczył.

Postępując zgodnie z potajemną procedurą Tristana z pistoletem i kajdankami, przewracałam oczami, ale teraz znalazłam się w sytuacji, w której obie te rzeczy mogły mi się przydać. Dzięki temu mój wieczór mógł stać się trochę bardziej ekscytujący. Ale nie. Zatrzymywanie

złodzieja nie należało do moich obowiązków bez względu na to, jak bardzo mnie to kusilo. Wyciągnęłam więc telefon komórkowy, żeby wezwać policję. Zrobiłam nieoczekiwany dobry użytek ze swoich mocy.

Tymczasem złodziej wychodził na krawędź przez dziurę, którą wyciął w szkle. To ciekawe. Jak zamierza zejść na dół? Spuści się na linie czy spadnie na dół jak Tom Cruise w *Mission Impossible*? Ciekawość kazała mi zatrzymać palce na przyciskach telefonu. Zobaczą tylko, jak to robi, a potem się wycofam.

Mężczyzna skoczył.

Stłumiłam westchnienie. Boże, do podłogi było co najmniej dziesięć metrów. Czy on oszalał? Na pewno złamnie sobie...

Wylądował na nogach z taką lekkością, jakby zeskoczył z półmetrowego murku.

Schowałam telefon. Żaden człowiek nie mógłby wykonać takiego skoku, nie w taki sposób. Wiedziałam już, dlaczego wyczułam tak wyraźny zwiastun kłopotów z tak daleka. Nadnaturalny złodziej. Ostatecznie okazało się, że to była robota dla mnie.

Mężczyzna przeszedł przez jasno oświetloną galerię. Stał plecami do mnie i zajął się zabezpieczeniami.

Kim on był? Gdybym chociaż wiedziała, jakiej jest rasy. Kiedy po raz pierwszy podążyłam za paranormalnym tropem dla „True News” bez wsparcia rady, skończyło się poparzeniami drugiego stopnia po spotkaniu ze strasznie wkurzonym półdemonem ognia. To była moja wina. Podpalał opustoszałe budynki, więc co ja sobie wyobrażałam? Że niby jaką demoniczną mocą dysponował?

Popatrzyłam z góry na mężczyznę. Żadnych wskazówek. Zero. Półdemony, wiedźmy, czarownicy, wilkołaki, wampiry - nie dało się tego stwierdzić po wyglądzie. A przynajmniej tak słyszałam, jeśli chodzi o wampiry i wilkołaki. Nigdy nie spotkałam przedstawiciela żadnej z tych ras, bo obie były bardzo rzadkie.

To mógł być wampir. Wśród wampirów było sporo złodziei - wrodzona ostrożność połączona z niezniszczalnością zachęcały do wyboru tego rodzaju profesji.

Kiedy mężczyzna zajmował się zabezpieczeniami, rozważyłam w myślach kilka innych możliwości, żeby nie dać się zaskoczyć. Moje wewnętrzne bazy danych były pełne wiadomości o nadnaturalnych, głównie takich, jakich nigdy nie spotkałam i pewnie nigdy nie spotkam.

Czasem, kiedy ślęczałam nad zdobytymi pokątnie publikacjami, czułam się jak nadgorliwy rekrut, przetrawiający tabele balistyczne dotyczące broni, której nigdy nie użyje, i podręczniki taktyczne opisujące sytuacje, w których nigdy się nie znajdzie. Tak, byłam zapaleńcem i pochłaniałam wszystko, żeby stać się „jak najlepsza”. Rada zainwestowała we mnie i odmieniła moje życie i niech mnie cholera, jeśli nie dam z siebie wszystkiego, co mam do zaoferowania.

Po zablokowaniu zabezpieczeń, mężczyzna podszedł do gabloty i za pomocą kilku zwinnych ruchów zgarnął trzy sztuki biżuterii tak łatwo, jakby zgarniał słodycze ze sklepowej półki. W jego gestach było coś znajomego. Kiedy się odwrócił, a jego twarz rozjaśniły reflektory z wystawy, zakląłam cicho. To był ten sam mężczyzna, na którego wpadłam przy szwedzkim stole.

Skłęłam samą siebie - byłam o kilka centymetrów od, nadnaturalnego i się nie połapałam. Mogłam to zwalić na tę głupią wizję z martwą kaczką i na związaną z tym dezorientację, ale nie powinnam szukać sobie wymówek. Musiałam być ponad to.

Mężczyzna wcisnął biżuterię do wewnętrznej kieszeni marynarki i przeszedł przez salę. Wyjęłam pistolet z torebki i zaczęłam się skradać, przykucając, żeby nie było mnie widać zza szklą. Kiedy wróci do wyciętego okienka, ja...

Zaraz, jak wespnie się z powrotem? Nie zostawił żadnej liny... co znaczy, że nie ma zamiaru wychodzić tą samą drogą, którą wszedł. Cholera!

Wystawiłam głowę nad parapetem i zobaczyłam go przy drzwiach. Były od wewnątrz zabezpieczone pionowymi metalowymi prętami - dodatkowa ochrona ukryta przed mijającymi je ludźmi, którzy widzieli tylko zamknięte drzwi.

Mężczyzna wsunął jedną rękę w rękawicze przez kraty i nacisnął klamkę. Drzwi uchyliły się lekko, wszystkie elektroniczne zabezpieczenia musiał odłączyć wcześniej. Świetnie, ale wciąż pozostawała kwestia metalowych prętów...

Mężczyzna złapał za najbliższy pręt, napiął rękę i pociągnął. Gapiłam się, jak robi wystarczająco duży otwór, żeby przez niego przejść i...

Obudź się, dziewczyno! Zaraz ucieknie.

Zamknęłam rozdziawioną buzię i skulona puściłam się biegiem. Przypomniałam sobie plan muzeum. Na pierwszym skrzyżowaniu powinny być tylne schody na poziom główny. Schody prowadziły do wyjścia awaryjnego, ale

można było z nich korzystać bez uruchamiania alarmu przeciwpożarowego, co było uprzejmością wyświadczoną tym zwiedzającym, którzy wiedzieli, jak się poruszać po muzeum i nie chcieli zwracać do głównych schodów ani do windy.

Ale nawet jeśli otwarcie drzwi nie uruchomi alarmu przeciwpożarowego, może uruchomi jakiś inny? Może sygnał w pomieszczeniu ochrony? Nie mogłam się nad tym zastanawiać. Dotarłam do drzwi, szybko rozejrzałam się w poszukiwaniu kamer, nie dostrzegłam ich, pchnęłam drzwi i rzuciłam się w dół po schodach.

4

Złomoczącym sercem zmusiłam się i zwołam na tyle, żeby najpierw wyrzeć przez drzwi na poziom główny. Wychodziły na ciemny korytarz. W zasięgu wzroku nie było żadnych kamer. Założyłam buty, wepchnęłam magiczną bransoletkę do torebki i wyszłam na korytarz.

Idąc szybko korytarzem, nadawałam ostatnie szlify swojemu planowi. Czy był to dobry plan? Oczywiście, że nie. Na to potrzebowałabym czasu. Najlepsze, co mogłam zrobić, to skoncentrować się na nim, na jego sytuacji, na jego niewątpliwej chęci, żeby wydostać się z muzeum, zanim ktoś odkryje kradzież.

I rzeczywiście, wyrzałam zza następnego rogu i zobaczyłam jak rabuś wychodzi na jasno oświetlony główny

korytarz wiodący do drzwi wyjściowych. Bezczelny drań wychodził jakby nigdy nic głównym wejściem. Nie bardzo się nawet spieszył.

Ale ja owszem. Pobiełam korytarzem i zawołałam:

- Przepraszam!

Nie zwolnił... ani nie przyspieszył, kiwnął tylko głową trzem kobietom w szatni. Przyspieszyłam kroku. Doszedł już do drzwi i się zatrzymał, żeby przepuścić starszą parę, która właśnie wychodziła.

Ostatnie kilka kroków przebyłam biegiem. Wtedy mnie dostrzegł - to na pewno zasługa żółtej sukienki. Uśmiechnął się przyjaźnie i skinął głową. Pamiętał mnie. Jestem przekonana, że w swoim zawodzie musiał zapamiętywać wszystkich, którzy mogliby go później rozpoznać.

- Moja bransoletka. - Dyszałam ciężko, jakbym biegła za nim z sali bankietowej. - Magiczna, moja magiczna bransoletka zaczepiła się...

- Powoli. - Dotknął palcami mojej ręki i zmarszczył brwi z uprzejmym zainteresowaniem. - Może zejdziemy z drogi.

Z palcami wciąż na mojej ręce, zaprowadził mnie do bocznego korytarza, nie dalej niż metr, dość daleko od drzwi, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności, ale nie na tyle, żeby wzbudzić mój niepokój. Cholernie gładko... i cholernie spokojnie jak na faceta z kieszeniami wypchanymi kradzionymi klejnotami.

- Moja bransoletka przyczepiła się do pańskiej marynarki - powiedziałam. - W kolejce do bufetu...

- Tak, pamiętam. Ale nie pękła, prawda? - Zmarszczył mocniej brwi. - Staralem się uważać, więc mam nadzieję

- Zniknęła. Zorientowałam się zaraz potem i cały czas pana szukałam. Musiała zaplątać się w pańską marynarkę albo wpaść panu do kieszeni albo...

- Albo, co najbardziej prawdopodobne, spaść na podłogę. Przykro mi, ale jeśli rzeczywiście by się gdzieś zaplątała - uniósł ręce i odsłonił rękawy - już dawno by spadła, a nie ma jej. - Tym razem demonstracyjnie sięgnęłam do kieszeni. - Tutaj. Musi być gdzieś na podłodze.

- Nie ma. Sprawdziłam dosłownie wszędzie.

Rzucił mi poirytowane spojrzenie.

- W takim razie trzeba założyć, choć ta myśl budzi moją odrazę, że ktoś ją znalazł i nie zamierza oddać.

Budzi odrazę? To niesamowite, że mówił to z zupełną powagą. Ale z drugiej strony podejrzewałam, że pewnie mógł powiedzieć wszystko z zupełną powagą.

- Chce pan powiedzieć, że ktoś ją ukradł? - spytałam.

- Możliwe, chociaż biorąc pod uwagę listę gości, zdaję sobie sprawę, że ciężko w to uwierzyć.

- Ależ wierzę w to - powiedziałam nieco ostrzejszym tonem. - Chciałam uwierzyć panu na słowo, ale pańskie wnioski dowiodły, że nie miałam racji. Bransoletka nie wpadła sama do pańskiej kieszeni, prawda?

Pokrył swoje zaskoczenie wybuchem śmiechu.

- Chyba ktoś tu wypił o jedną lampkę szampana za dużo. Co niby miałbym zrobić z... tego typu tanią błyskotką?

Zaciął się na słowach „tania błyskotka”. Ten mężczyzna potrafił produkować kłamstwa z tak szczerą miną, że nawet anioł dałby się nabrać, ale kłamstwo związane z jego własną specjalizacją sprawiło, że się zawahał. Nawet

w tym krótkim momencie, kiedy odplątywał moją bransoletkę, zorientował się, co to było - cenna pamiątka, zaklęcie robione specjalnie na zamówienie. Byłam zaskoczona, że nie spróbował jej zwinąć w chwili zamieszania.

Mężczyzna mówił dalej:

- Poza tym, o ile dobrze sobie przypominam, to pani na mnie wpadła.

- Potknęłam się o pana... i jestem pewna, że to wcale nie był przypadek.

- Sądzi pani, że to ja...?

Na korytarz wyjrzał ochroniarz.

Mężczyzna ściszył głos.

- Zapewniam panią, że nie ukradłem pani bransoletki i byłbym wdzięczny, gdyby nie oskarżała mnie pani publicznie tak pochopnie...

- Uważa pan, że to jest publiczne oskarżenie? - Minęłam go, kierując się do głównego holu. – Zaraz będzie publiczne. Dogonimy ochroniarza, da mu się pan przeszukać, a jeśli nie będę miała racji...

Złapał mnie za rękę mocnym uchwytem, który zelżał nieco, kiedy się do niego odwróciłam.

Zmusił się do uśmiechu.

- Wolałbym na koniec wieczoru nie fundować sobie rewizji. Może pomogę pani jej poszukać, a jeśli jej nie znajdziemy, dobrowolnie poddam się przeszukaniu.

Udałam, że się zastanawiam, po czym kiwnęłam głową.

- Ostatnim razem widziałam ją, kiedy odplątał ją pan ze swojej marynarki - powiedziałam. - Potem poszłam do szatni po apaszkę, żeby zasłonić to. - Pokazałam mu plamę po sosie. - I zauważyłam, że bransoletka zniknęła. Może... -

zamilkłam - Kiedy szukałam szatni, weszłam do niewłaściwego pomieszczenia. - Było ciemno i otarłam się o coś.

- Świetnie. Zaczniemy więc tam.

Poszliśmy mrocznym korytarzem, z sali za nami dobiegała muzyka i odgłosy rozmów, a ja modliłam się, żeby drzwi były otwarte. Pomieszczenie, o którym pomyślałam, to składzik dozorca, który odkryłam w czwartej klasie razem z najlepszą przyjaciółką schowałyśmy się przed naszym nauczycielem, jak nas przyłapał, że wymykamy się z wystawy ceramiki na wystawę poświęconą broni i zbrojom. Moja wina. Uwielbiałam tę galerię nawet bardziej niż mumie i dinozaury. Wspaniała starożytna broń, wśród której lubiłam się zatrzymywać, zamykać oczy, choćby była ósma rano, i wsłuchiwać się w szcęk metalu o metal, wachać zapach krwi i potu, widzieć stojące dęba konie, czuć nienawiść, strach, panikę... i swoją własną duszę, jak się unosi, żeby się nimi poić.

W tamtym okresie, dzięki Bogu, nie widziałam nic złego w swoich „fiksacjach”, nikt z mojego otoczenia również - pod wpływem mojej matki wszyscy kładli to na karb krwawej dziecięcej wyobraźni.

Druga wizyta w składziku w ogóle nie miała demonicznego charakteru, wiązała się tylko z młodzieńczą burzą hormonów. Znalazłam się tam z przystojnym chłopakiem i na lekcji w muzeum w dziesiątej klasie mroczny składzik miał dla mnie dużo większy urok nawet niż wystawa militarna.

Miałam plan awaryjny na wypadek, gdyby drzwi były zamknięte, ale naprawdę liczyłam na to, że...

- To tu - powiedziałam.

Skinął na drzwi.

- Tu?

Kiwnęłam głową, a on sięgnął do klamki. Wsunęłam rękę do torebki, skrzyżowałam palce i...

Drzwi się otworzyły.

- Wygląda na składzik dozorca - ocenił. - Jak daleko...?

Przystawiłam mu do pleców lufę pistoletu. Mężczyzna zeszywniał, jakby uczucie nie było mu obce. Mógł w tym momencie wzywać pomocy albo po prostu krzyknąć, ale z mojego doświadczenia wynikało, że żaden nadnaturalny nie lubi zwracać na siebie uwagi. A może nasze moce dodają nam pewności siebie w sytuacjach, w których inni panikują. Bez względu na powód, postąpił tak, jak się tego spodziewałam - westchnął, a potem wszedł do składzika. Zapaliłam światło i zamknęłam za nami drzwi.

Kiedy znaleźliśmy się w środku, mężczyzna odwrócił się do mnie i uśmiechnął.

- Ładnie. Znakomita pułapka i przyznaję, że dałem się nabrać. Mam złote spinki od mankietów, więc proszę je sobie wziąć, jeśli łaska, a jak woli pani gotówkę, w portfelu jest kilka stów. Obawiam się jednak, że nie mam żadnych kart płatniczych ani kredytowych.

- Wydaje mi się, że ma pan coś znacznie cenniejszego. Proszę sprawdzić wewnętrzną kieszeń marynarki. Z lewej strony.

W jego niebieskich oczach pojawiło się zaskoczenie, ale pokrył je śmiechem.

- I znów dobra robota. I znów się poddaję i proponuję okup. Proszę sobie wybrać nagrodę.

Sięgnął do kieszeni.

- E-e. Ręce na wierzchu - powiedziałam. - Nie chcę żadnej z pańskich „nagród”, ale sądzę, że muzeum chętnie je przyjmie.

- Ach, ochrona muzeum, jak sądzę. Jestem jednak przekonany, że uzna pani moją ofertę za bardziej... lukratywną niż poklepywanie po plecach, które zaproponuje pani w zamian muzeum.

- Niezły chwyt. Nie jestem...

- Przekupna? Jestem pod wrażeniem. Na pewno pani przełożeni również będą. Widzi pani, wynajęli mnie, żebym przetestował zabezpieczenia. Nie poinformowali o tym zespołu, bo was również chcieli przetestować, waszą wydajność i o ile to możliwe, uczciwość. Przewyższyła pani ich oczekiwania i osobiście zgłoszę panią do premii...

- Proszę sobie darować. Nie pracuję w ochronie muzeum.

Uśmiechnął się do mnie niewyraźnie, wciąż niewzruszony.

- A więc to areszt obywatelski? Godne podziwu, ale policja nie będzie raczej zadowolona, gdy zostanie wezwana do muzeum, w którym testuje się system bezpieczeństwa, więc proponuję, żeby się pani namyśliła... i mam też nadzieję, że ma pani pozwolenie na broń, bo...

- Nie będę wzywać policji. Jak zapewne pan wie, osoby naszego pokroju mają własne sposoby, żeby radzić sobie z problemami i lepiej rozwiązywać je wewnątrz.

Zwykle to wystarczało, ale mężczyzna uniósł tylko brwi w udawanym zdziwieniu.

- Osoby naszego pokroju?

- Osoby, które potrafią skoczyć dziesięć metrów w dół i gołymi rękami wygiąć metalowe kraty.

- Ach tak. Mogę to wyjaśnić...

- Nie wątpię, że pan może. Proszę to jednak zostawić dla rady.

Uniósł brwi.

- Rady? Nie ma pani chyba na myśli...

Pobrzękiwanie kajdanków, które wyciągnęłam z torebki, zagłuszyło jego ostatnie słowa. Usłyszałam już dość. Nie miał nic istotnego do powiedzenia, ale gadałby nadal, w każdy możliwy sposób, aż straciłabym czujność albo byłabym tak zdezorientowana, że bym go uwolniła.

- Nosi pani kajdanki w torebce? - Roześmiał się. - Może kiedyś uda nam się wyjaśnić to nieporozumienie, będziemy mogli lepiej się poznać...

Zagłuszyłam go, otwierając z trzaskiem kajdanki. Westchnął tylko i wyciągnął przed siebie ręce w niezwykle pomocnym geście. To również było typowe. Jak dotąd „aresztowałam” tylko czworo nadnaturalnych, ale z nich zachowało się dokładnie tak samo, poddało się i pozwoliło zabrać do aresztu. Rada słynęła ze sprawiedliwości i nawet przestępcy jej ufali. Co do czwartego aresztowania, to była wiedźma... odsunęłam od siebie wspomnienie. Dostałam wtedy lekcję - nie każdy nadnaturalny łatwo się poddaje.

- Powiedziała pani: rada - zagadnął, kiedy zapinałam kajdanki. - Nie chodzi chyba o radę międzyrasową prawda?

- Miał pan już z nią jakieś doświadczenia? Co za niespodzianka.

- A pani jest... delegatką?

- Jestem chyba na to trochę za młoda, nie sądzi pan? - powiedziałam i sprawdziłam kajdanki.

- Nie, nie sądzę - mruknął. - A więc jest pani...

- Agentką kontraktową.

Uniósł wysoko brwi.

- Agentką? Chyba nie spodziewa się pani, że w to uwierzę?

A więc to tak. Może i nie stawia fizycznego oporu, ale z pewnością zechce skorzystać - pomimo swojej nadludzkiej siły - z broni, która najwyraźniej była jego ulubioną. Wyjęłam z torebki apaszkę.

Mężczyzna ciągnął:

- Być może dla innych ta historyjka jest przekonująca, ale obawiam się, że bez względu na to, dla kogo pani pracuje, ci ludzie nie doceniają mojej wiedzy na temat rady międzyrasowej. Rada nie zatrudnia...

Uniosłam apaszkę.

Popatrzył na nią.

- Już jestem skuty i mogę panią zapewnić, że nie trzeba mnie w żaden inny sposób wiązać.

- A ja myślę, że trzeba.

Wepchnęłam mu apaszkę do ust. Zrobił wielkie oczy. Popatrzył na mnie i zmrużył powieki. Nagle, wydając z siebie odgłos przypominający niemal warknięcie, odwrócił wzrok i pozwolił, żebym zawiązała mu chustkę.

- Proszę tu poczekać - poleciłam. - Muszę zadzwonić.

5

Ostatnie spojrzenie, czy mój więzień jest bezpieczny, potem jeszcze jedno - tym razem za drzwi - i już mogłam wyjść na korytarz. Nie miałam odwagi zbytnio się oddalać, bo nie byłam pewna, jaką mocą dysponuje ten mężczyzna.

To nie był wampir. Samsonowy pokaz z metalowymi kratami podważył tę teorię. Wbrew niektórym legendom wampiry wcale nie dysponowały nadludzką siłą. Stawiałam na to, że należał do najbardziej zróżnicowanej rasy - mojej własnej. Nie przypominałam sobie podgatunku półdemona z akurat takim zestawem zdolności, ale nasza rasa jest bardzo różnorodna, pełna wielu rzadkich i słabo udokumentowanych typów, takich jak mój własny.

Wiedziałam jedno. To spotkanie nie było przypadkowe i nie mogłam sobie darować, że nie zorientowałam się w chwili, kiedy Tristan wręczył mi wejściówki na galę. Jasne, często tak robił - dostawałam fenomenalne bonusy i czasem było mi głupio je przyjmować. Mówiłam Tristanowi, a za jego pośrednictwem i radzie, że nie potrzebuję do pracy żadnych dodatków motywacyjnych. Ale on mnie zapewniał, że wszystko jest za darmo, jak te wejściówki na galę, które były podarunkiem od wdzięcznego nadnaturalnego i by się zmarnowały, gdybym z nich nie skorzystała. A jednak już po raz drugi zdarzało się, że Tristan mnie gdzieś wysyłał, a ja „natykałam się” na nadnaturalnego przestępcę i przyłapywałam go na gorącym uczynku.

Sprawdzali mnie. Rada chciała się przekonać, jak skuteczne jest moje wyczucie chaosu i chyba nie mogłam jej za to winić, ale kiedy wybrałam numer, nie potrafiłam się pohamować i naskoczyłam na Tristana.

- Dobra, dobra - powiedział ze śmiechem. - Koniec testów. Ale czy możesz nas winić, Hope? Jesteś półdemonem Expisco! A my jesteśmy jak dzieci, które dostały nową zabawkę i ekscytują się jej możliwościami. I jak zwykle przerosłaś samą siebie. Karl Marsten złapany przez początkującą agentkę półdemona.

- A więc rada szukała tego faceta?

- Tak i dlatego muszę ci przypomnieć, że nie powinnaś samodzielnie zdejmować celów. Po to zapewniamy ci wsparcie. Jesteś dla nas zbyt cenna.

- Nie było wielkiego ryzyka. Może i ma nadnaturalną siłę, ale nie próbował nawet się stawiać - zamilkłam. - Ale te kajdanki wystarczą, prawda? Mówiłeś, że są specjalnie dla nadnaturalnych.

Chwila wahania.

- Skułaś go?

- A więc nie wystarczą? Tak czy inaczej, jest jeszcze w tym składziku. Drzwi są zamknięte, a...

- Nie rozerwie kajdanek, Hope. To nie problem, Myślałem, że wiesz, nie wiedziałaś? Zwykle poznajesz, kim są.

- Czasami. Ale tym razem nie miałam wizji...

O nie, miałam. Kiedy stałam w kolejce do stołu, a on był za mną, miałam wizję lasu, futra, kłów i krwi.

- To wilkołak - powiedziałam.

- I to bardzo niebezpieczny. Musisz go spacyfikować.

- Muszę? Skoro jest taki niebezpieczny, nie chcesz, żebym zaczekała...

- Nie ma czasu. Chociaż wydaje się czarujący, Marsten to wilkołak, najbardziej brutalny i nieprzewidywalny gatunek nadnaturalnych, a teraz na dodatek został osaczony, więc stał się dziesięć razy niebezpieczniejszy. Jeśli wie, że to rada go złapała, zrobi wszystko, żeby uciec: zabije każdego na swojej drodze.

Przełknęłam ślinę.

- Dobra, a jak się pacyfikuje wilkołaka?

- Unieruchom go. Ogłusz go. Postrzel go, jeśli będzie trzeba. Nie potrzebujesz do tego srebrnych kul.

- Wiem.

- Nie zabijaj go, tylko...

- Unieruchom. Zrozumiałam.

Rozłączyłam się po tym, jak Tristan obiecał, że posiłki są już w drodze.

Wróciłam pod drzwi, złapałam jedną ręką za klamkę, a drugą trzymałam pistolet wciąż schowany w torebce. Przekręciłam klamkę i...

- Przepraszam bardzo!

Upuściłam pistolet do wnętrza torebki i odwróciłam się, widząc, że w moją stronę idzie siwy ochroniarz.

- Co pani robi w tym pomieszczeniu?

W pomieszczeniu? Ach, w tym pomieszczeniu, tym, które właśnie desperacko zastawiałam. Puściłam klamkę i się odsunęłam. W środku z łoskotem spadła na podłogę miotła. Strażnik odwrócił się do drzwi i zmrużył oczy.

- Przepraszam - powiedziałam. - Chyba za mocno pchnęłam. To nie szatnia?

Coś uderzyło o metalowe wiadro. Potem rozległo się stukotanie, jakby gwoździe spadały na linoleum. O Boże. Zamienił się w wilka. No pewnie, że zamienił się w wilka. A co innego miałby zrobić osaczony wilkołak?

Ochroniarz złapał za klamkę. W ułamku sekundy oczami wyobraźni zobaczyłam, jak otwiera drzwi, a wilk rzuca mu się do gardła...

Złapałam za klamkę i ją przytrzymałam.

- Zacięły się, widzi pan? - Pokazowo szarpnęłam za klamkę. - Ten hałas, usłyszałam go i chciałam otworzyć drzwi. Ale się zacięły.

- Pewnie są zamknięte na klucz.

- Yyy, nie, nie sądzę...

- Dozorca ma klucze.

- No to pewnie ma pan rację - przytaknęłam szybko - Pewnie są zamknięte. Może pójdzie pan po dozorcę. Ja tu zaczekam.

Ochroniarz już odchodził, ale nagle zatrzymał się i odwrócił.

- Ale może najpierw ja spróbuję. Może jednak się tylko zacięły...

Cofnęłam się do drzwi tak szybko, że uderzyłam w nie głową. Ochroniarz podtrzymał mnie.

- Obcasy - wymruczałam. - Ciągle się o nie potykam.

Zrobiłam krok i ugięłam kolano. Skrzywiłam się, a mężczyzna chwycił mnie za rękę.

- Moja kostka. Chyba ją skręciłam.

- Musimy zabrać panią do...

- Proszę - powiedziałam przez zaciśnięte zęby, ciągle skrzywiona. - Zaczekam tu.

- Dobrze, tylko niech najpierw zobaczę, co z tymi drzwiami.

Odwrócił się do drzwi, a ja nie miałam pojęcia, co robić. Mogłam chyba tylko paść na kolana i wyć z bólu. Sięgnął do klamki. No dobra, czas na wpadkę...

Zanim strażnik zdążył jej dotknąć, klamka się przekręciła. Drzwi się otworzyły. Ktoś z nich wyszedł. Karl Marsten, w ubraniu.

- Ale wstyd - powiedział z autoironicznym uśmiechem. - Mógłbym przysiąc, że to toaleta, a potem drzwi się zacięły. Dziękuję. Wybawił mnie pan od jeszcze większego wstydu, gdybym musiał wzywać pomocy.

Uścisnął dłoń ochroniarza. Potem odwrócił się do mnie, wymruczał podziękowania, skinął głową, uśmiechnął się i oddalił korytarzem. Chciałam iść za nim.

- Proszę pani? Czy chce pani, żebym wezwał lekarza?

- Lekarza? A, tak. Moja kostka. Nie, mój... chłopak... jest lekarzem. Tylko...

Rozejrzałam się po korytarzu. Ochroniarz wyciągnął rękę w kierunku bankietu, Marsten oddalał się w przeciwną stronę. Cholera. Zmusiłam się do bladego uśmiechu i podziękowań i zawróciłam, od czasu do czasu utykając.

Gdy weszłam do sali, Douglas ciągle rozmawiał z Bairdami. Chciałam ruszyć prosto do drzwi po przeciwnej stronie, żeby dogonić Marstena, ale Douglas mnie zawołał. Podeszłam.

- Przepraszam - powiedziałam. - Właśnie... spotkałam starego znajomego. Zostań z Bairdami. Pójdę tylko porozmawiać...

- Znajomego? - zainteresował się. - Gdzie pracuje?

- Jest muzykiem. Klasycznym. Gra w filharmonii.

Zrzedła mu mina.

- Aha, no to idź. - Kiwną w stronę Bairdów. - Ja sobie poradzę.

No jasne, że tak, pomyślałam, oddalając się szybko. Poza tym czuję się świetnie. Dzięki za troskę.

Doszłam do rogu, za którym zniknął Marsten, ale już go nie było. Włączyłam swój mentalny radar, żeby go namierzyć, zanim zbiegnie z biżuterią. Tak, z tego co mówił Tristan, miałam znacznie większe zmartwienie niż skradzione klejnoty, ale... może byłam naiwna, ale Marsten nie zachowywał się jak osaczona dzika bestia. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że zacznie rozszarpywać niewinnych uczestników bankietu w oszalałej próbie dotarcia do wyjścia, zwłaszcza że nie wyczuwałam żadnych sygnałów chaosu, które by coś takiego sugerowały.

Tristan bywał czasem strasznie nadopiekuńczy. Jak sam powiedział, byłam dla nich cenna. Półdemony Expisco należą do rzadkości, a takie, które chcą pracować po stronie dobra, są jeszcze większą rzadkością. Rozumiałam więc, dlaczego Tristan zachowywał się w taki sposób - nie narażał mnie, trzymał z dala od innych agentów, bywał też nadwrażliwy w przypadku takich jak Marsten. Jednak rozumieć nie znaczy akceptować. Znałam swoje słabe punkty, których miałam wiele, i byłam ostrożna. Ale zgubiłam Karla Marstena i za cholerę nie

zamierzałam usiąść na tyłku i czekać, aż zjawi się wsparcie i znów go odszuka.

Zaprzągnęłam więc do pracy swoje rozwijające się zdolności łowcy głów. Oczyściłam umysł i przywołałam obrazy, które zobaczyłam przy szwedzkim stole: las, bieg, futro, kły. Jednocześnie z marnym skutkiem próbowałam nie krytykować się zbyt za to, że od razu nie załapałam znaczenia tej wizji.

Nie wiedziałam zbyt wiele o wilkołakach. Podobnie jak wampiry były rzadkie i trzymały się razem. W przeciwieństwie zaś do wampirów, miały własną policję, więc rada nie miała powodu, żeby się nimi zajmować. Znalazłam tylko jednego półdemona, który spotkał kiedyś wilkołaka... i wcale nie był taki pewien, czy to rzeczywiście był wilkołak. Miałam więc usprawiedliwienie, dlaczego pochopnie nie uznałam: „Tak, to wilkołak!” Ale tak naprawdę sama nie przyjmowałam usprawiedliwień.

Po jakiejś minucie mentalnego skanowania wychwyciłam częstotliwość Marstena. Była słaba i niewyraźna, co oznaczało, że Marsten nie sprawiał kłopotów. Jeszcze nie.

Skupiłam się na sygnale i podążyłam za nim. Poszłam jednym, potem drugim korytarzem, omijając galę, a w końcu trzecim - tym samym, na który trafiłam poprzednio po wyjściu z przyjęcia. Znowu doszłam do rozwidlenia. Trop Marstena prowadził w lewo, w stronę resztek chaosu, który śledziłam, kiedy moją uwagę odwróciła kradzież. Kierował się do tylnego wyjścia.

Wciąż koncentrując się na jego tropie, poszłam następnym korytarzem, skręciłam - i zderzyłam się z falą chaosu.

Marsten. Cholera! On...

Nie, odpowiedział spokojny głos, gdzieś w głębi mnie. To nie on. Chodzi o miejsce. Coś tu się stało. Niedawno.

Uderzyły mnie dwie fale chaosu, obydwie pochodzące stąd. Musiały być ze sobą powiązane. Odsunęłam od siebie obrazy związane z wilkołakiem i skoncentrowałam się na nowym sygnale. Znowu pojawił się głos, szorstki głos, który mówił komuś, że nie powinno go tu być. Błaganie. A potem krzyk.

Gdy tym razem poczułam uderzenie fali, zachwiałam się tylko na obcasach. Była zaledwie w połowie tak silna jak pierwszy cios, który powalił mnie wcześniej na sali bankietowej, chociaż teraz byłam najwyraźniej na miejscu wydarzenia. Miałam nauczkę, jak oddzielać pozostałości od bieżącego chaosu, zamknęłam oczy i zaczęłam się okręcać, żeby odnaleźć dokładne miejsce.

Tam, za następnym rogiem. Ruszyłam szybko w tamtym kierunku i weszłam w ścianę czerni. Skuliłam się, bo wokół rozbrzysnęły obrazy. Zaśnił metal. W świetle latarki błysnęło ostrze. Latarka upadła z łoskotem na podłogę. Błaganie. „Nie! Proszę!” Ostrze poszybowało w dół. Ręce podskoczyły do góry. Trysnęła krew.

Zatrzymałam wizję w tym miejscu i ciężko dysząc, z bijącym sercem, uchwyciłam się tej ostatniej myśli... i zaczęłam się zastanawiać, dlaczego właśnie tej.

Trysnęła krew.

Krew.

Pogrzebałam w torebce w poszukiwaniu kluczy, wyjęłam je i zapaliłam kieszonkową latarkę. Omiotłam słabym światłem ściany. Jest. Krople krwi, niewidoczne w niemal kompletnej ciemności.

6

Czy krople krwi były jeszcze mokre? Już wyciągałam rękę, żeby ich dotknąć, ale szybko ją cofnęłam. Patrz, a nie dotykaj, głupia. Stałam na palcach i przysunęłam latarkę do plam. Zalśniły. Jeszcze mokre, ale już wysychały. Poświeciłam na podłogę i zobaczyłam słabe smugi krwi, które zauważono by dopiero rano, po zapaleniu świateł... albo gdyby ktoś się zorientował, że jest o jednego strażnika mniej.

Gdzie zatem było...? Idź za śladem.

Zatrzymałam się przy drzwiach kilka metrów dalej. Z chusteczką na ręce przekręciłam klamkę.

Trochę się spodziewałam, że zza drzwi wypadnie na mnie trup. Chyba naoglądałam się za dużo horrorów. Za drzwiami był gabinet. Poświeciłam dokoła latarką. Nic. Kiedy drzwi zaczęły się za mną zamykać, przytrzymałam je i wykręciłam klamkę, żeby nie zatrzasnęła się w środku. Uspokojona, zamknęłam delikatnie drzwi i podeszłam na środek pomieszczenia.

Idąc, wyczułam kłopoty. Tak, to musiało być właściwe miejsce. Gdzie zatem był...?

Za biurka wystawał czubek buta. Podeszłam tam szybko. Biurko ustawiono pod oknem, a za nim kryła się szeroka wnęka na kable od komputera i w nią morderca wcisnął ciało. Jeden bok biurka był przy sąsiedniej ścianie, a drugi przy metalowej szafce na dokumenty, musiałam więc wdrapać się na blat, żeby tam zajrzeć.

Poświeciłam latarką w szparę i zdławiłam krzyk.

Miałam ochotę uciec, ale się powstrzymałam. W takim przypadku rada na pewno będzie oczekiwać raportu, musiałam więc porządnie się przyjrzeć.

We wnętrzu, twarzą do góry, leżał mężczyzna. Jego oczy wpatrywały się we mnie, szeroko rozwarte, z przerażeniem mówiącym: „To nie może być prawda”. Koszula jego uniformu ziała dziurami, była poszarpana na brzegach, cała w strzępach - to na pewno nie był nóż. Ciało prześwitujące przez dziury zostało... zmiażdżone. Przeżute. Wyglądało, jakby...

Na ustach zacisnęła mi się czyjaś dłoń.

- Znalazłaś zgubę? - syknął głos.

Zrobiłam wykop do tyłu. Trafiłam, ale wokół szyi zacisnęła się druga ręka i ściągnęła mnie ze stołu. Okręciła mnie, a ja znalazłam się naprzeciwko pary niebieskich oczu tak zimnych i twardych, że serce aż poskoczyło mi do gardła. Karl Marsten.

- Myślisz, że przechodząc obok, nie wyczułbym zapachu ciała?
- Jego głos był równie zimny i twardy, jak oczy, nie został ślad ogłady i uroku. - Lepiej byś zrobiła, gdybyś pozwoliła mi wtedy wyjść frontowymi drzwiami.

Zamachnęłam się pięścią i wsadziłam mu ją w brzuch. Bez trudu złapał moją dłoń i ją ścisnął. Do oczu napłynęły mi łzy bólu. O Boże, ale jesteś głupia, głupia...

Przysunął do mnie twarz, a ja czułam pustkę w głowie.

- Puszczę cię - obiecał spokojnie. -Ale jeśli zaczniesz krzyczeć, zmiażdżę ci palce. Rozumiemy się?

Powściągnęłam łzy i kiwnęłam głową. Odsonił mi usta i poluzował uchwyt drugiej dłoni na tyle, żeby ustał

pulsujący ból, ale ciągle zaciskał ją tak mocno, że nie miałam nawet odwagi poruszyć palcami.

- Zadam to pytanie tylko raz - powiedział. - Dla kogo pracujesz?

- Dla, mówiłam ci już, dla...

- Rady międzyrasowej - przerwał. - Czyżby? To powiedz mi, proszę, który delegat cię zatrudnił?

- Skontaktował się ze mną reprezentant...

- Który delegat?

- On nie jest delegatem. Pracuje dla nich.

Wypuścił powietrze, jakby poirytowany.

- No dobrze. Których delegatów poznałaś?

- Żadnych. Kontaktuję się tylko ze swoim pośrednikiem.

Przerwał mi wybuchem ponurego śmiechu.

- Świetnie cię przeszkolili, co? Jestem pewien, że ta bajeczka doskonale się wcześniej sprawdzała, ale raczej nie wypali z kimś, kto sam zna radę międzyrasową, zna większość delegatów i wie, bez cienia wątpliwości, że rada nie ma pracowników, rekrutów ani „agentek”.

Z korytarza dobiegł nas głos. Marsten odwrócił się lekko i stracił czujność na tyle, żebym zdążyła wsadzić mu swój cienki obcas w piszczel i wykręcić rękę.

Spróbował mnie złapać. Zaczęłam kopać i jednocześnie wbijać paznokcie w jego twarz. Odsunął się. Pobiegłam do drzwi, otworzyłam je i popędziłam korytarzem.

Ułamek sekundy na decyzję: biec w stronę głosów czy w przeciwną? Gdybym pobiegła do nich, może byłabym bezpieczniejsza, ale nie mogłam - nie chciałam - narażać innych. Już raz nie doceniłam Marstena.

Puściłam się korytarzami. Podeszwy Marstena skrzypiały za mną, bo zdążył już wypaść z gabinetu. To mi przypomniało, że był w płaskich butach od garnituru, a ja w szpilkach - nie miałam szans mu uciec.

Złapałam za pierwszą klamkę, na jaką się natknęłam. Zamknięte.

Rzuciłam się do drzwi po przeciwnej stronie korytarza. Zaciśnęłam palce na klamce i zobaczyłam, że Marsten już biegnie w moim kierunku. Klamka się przekręciła. Drzwi się otworzyły. Wpadłam do środka i zatrzasnęłam je.

Zatrzasnąwszy zamek, wiedziałam już, że równie dobrze mogłam oszczędzić sobie fatygi. Był to słaby zamek do drzwi wewnętrznych, który każdy silniejszy mężczyzna mógł rozwalić, nie mówiąc już o wilkołaku.

Odruchowo sięgnęłam do torebki, ale nie miałam jej na ramieniu. Musiała spaść, kiedy Marsten ściągnął mnie z biurka. Brak torebki, brak pistoletu.

Marsten zwolnił kroku i zaczął iść. Oczywiście, że tak; nie musiał się spieszyć. Zamknęłam się w gabinecie bez drugiego wyjścia, bez okien, bez drogi ucieczki.

Zablokować drzwi.

Oddział posiłkowy rady był w drodze. Mogłabym zatrzymać Marstena na tyle długo, żeby wezwać Tristana...

Kroki zatrzymały się przy drzwiach. Klamka się przekręciła.

Ktoś się roześmiał - dźwięk rozległ się bardzo blisko - i klamka przestała się obracać. Pijacki chichot. Głos, coraz bliżej.

Złapałam za metalową szafkę na dokumenty. Ani drgnęła. Szafka pod drukarką? Jakby naprawdę mogła zatrzymać wilkołaka.

- Och - odezwał się ktoś przy drzwiach. – Nie zauważyliśmy pana.

- Na ten korytarz ma wstęp tylko obsługa – powiedział Marsten.

- No tak, my tylko...

- Zabłądziliśmy - zachichotała kobieta.

- Sugeruję zatem, żeby państwo zawrócili, poszli do końca korytarza i kierowali się głosami z sali bankietowej. Nie da się nie trafić.

Rozejrzałam się za czymś, czym można by zablokować drzwi, ale wszystko, co było wystarczająco duże, było też dla mnie za ciężkie do przesunięcia. Za drzwiami mężczyzna mówił Marstenowi, żeby zajął się własnymi sprawami, ale jego towarzyszka zaczęła się już oddalać i wołać, żeby i on szedł. Nie miałam czasu, żeby dzwonić do Tristana. Musiałam...

Mój wzrok padł na kanał wentylacyjny nad biurkiem.

Litości. Naoglądałaś się zdecydowanie za dużo filmów.

Uciszyłam swój wewnętrzny głos i wdrapałam się na biurko, gdy tymczasem Marsten groził, że wezwie ochronę. Chociaż się cieszyłam, że para odwróciła jego uwagę, modliłam się, żeby już sobie poszli, zanim Marstenowi odechce się spławiać ich w dyskretny sposób. Kiedy kobieta namawiała przymilnie swojego towarzysza do odejścia, szybko odkręciłam klapę od szybu wentylacyjnego za pomocą ćwierćdolarówki z talerza z monetami na biurku.

- Idę, idę - wybełkotał mężczyzna, a potem rzucił cicho na pożegnanie jakieś przekleństwo pod adresem Marstena.

Kiedy jego kroki zaczęły cichnąć, pociągnęłam za klapę. Jedna strona się oderwała. Pociągnęłam znowu, ale druga część trzymała.

Kroki były już prawie niesłyszalne. Miałam spocone dłonie i zaczęłam szukać lepszego chwytu. Klapa odskoczyła z brzękiem, który na pewno poniósł się po całym muzeum. Wsunęłam ją do kanału, złapałam za jego brzegi, podciągnęłam się i zdołałam wdrapać do środka do wysokości piersi. Poczułam, że utknęłam, tułów miałam w środku, ale wystawał mi tyłek, wymachiwałam nogami, ręce trzęsły mi się z wysiłku i nie starczało mi już siły, żeby wciągnąć resztę ciała.

Cholera jasna! Trzy razy w tygodniu chodziłam na siłownię i nie stać mnie było na nic więcej?

Klamka się przekręciła.

Cholera, cholera, cholera! Nigdy mi się...

- I jeszcze jedno, dupku - rozległ się dudniący głos mężczyzny z końca korytarza.

Ostatnie pchnięcie, wzmocnione przyływem ulgi i udało mi się wciągnąć resztę ciała do szybu.

- Chodź, Rick! - zawołała kobieta. - Mam sama wracać na bankiet?

Wierciłam się i kręciłam, żeby wciągnąć nogi do środka i obrócić ciało tak, aby znaleźć się twarzą do wylotu kanału wentylacyjnego. Wysunęłam klapę spod siebie, wsunęłam palce za listewki i wsadziłam ją na miejsce w tym samym momencie, w którym klamka przekręciła się, a zamek odskoczył.

Marsten otworzył drzwi, szybko - jakby spodziewał się, że będę stała za progiem z jakimś ciężkim zszywaczem.

Staął w szeroko otwartych drzwiach, omiatając spojrzeniem pokój i poruszając nozdrzami.

Poruszał nozdrzami... Wilkołak... Wywęszy mnie.

Cholera jasna! Spróbowałam się okręcić. Uderzyłam ramieniem o metal. Głuchy trzask, ale usłyszał go. No pewnie, że go usłyszał.

Wilkołak. Wyostrzony węch, wyostrzony słuch, wyostrzona siła...

Wiedziałam to wszystko, czemu więc ciągle o tym zapomniałam, aż było za późno? Nie miałam szans. Nie miałam żadnych szans i przyjdzie mi zapłacić za swoją pychę.

- Ułatwmy to sobie - powiedział, znów nakładając maskę grzeczności. - Chyba nie chcesz się bawić ze mną w chowanego. Mam nad tobą przewagę, a poza tym źle toleruję frustrację. Omińmy więc całą tę zabawę. Jeśli czujesz się bezpieczniej w swojej kryjówce... – Rozejrzał się po pokoju. - Możesz tam zostać. Wystarczy, że mnie słyszysz.

Odwrócił się powoli, szukając mnie, chociaż mówił, że nie będzie. Drań.

Uniosłam ramiona, żeby znów wybać, ile mam miejsca. Za ciasno. Mogłam się obrócić przy otwartym wlocie, ale bez dodatkowej przestrzeni byłam zablokowana. Nie, nie zablokowana. Mogłam iść tyłem. Dziwacznie, powoli i pewnie głośno, ale gdyby było to konieczne, tak zrobię. On ledwie się tu zmieści - o ile w ogóle - więc i tak będę się poruszać szybciej od niego.

- Kimkolwiek jesteś, nie o ciebie mi chodzi - ciągnął. - A więc nie mam szczególnej ochoty robić ci krzywdy. Masz więc wybór. Powiedz mi, dla kogo pracujesz,

A ja przepuszczę cię przez te drzwi. Jeśli odmówisz współpracy, użyję cię jako taranu. A nie chciałabyś się znaleźć w takim położeniu.

Siedziałam nieruchomo i cicho.

- Nie mam całej nocy - powiedział. - Ani ty. Kiedy usłyszę, że idą twoi wspólnicy, a pewnie stanie się to niebawem, wywęszę cię i wybór sam się dokona. Wtedy stąd wyjdiesz, jeśli twój przełożony zechce negocjować.

Nie odezwałam się. On się przemieścił, poruszając nozdrzami, ciągle mnie szukając. Nagle zatrzymał się i uśmiechnął. Podniósł głowę do szybu wentylacyjnego.

- Ach, tu jesteś.

Szybki skok i był już na biurku. Pociągnął za pokrywę, a ja się cofnęłam. Przesunęłam się jakieś półtora metra i moje ramiona uderzyły w ścianki szybu, które mnie zablokowały. Kiedy próbowałam dalej się cofać, on zająztał do środka i uśmiechnął się, a jego zęby zaśniły w mroku.

- Chyba zapędziłaś się w kozi róg.

Zaczęłam się wiercić, ale szyb stał się węższy i im dłużej się ruszałam, tym mocniej się klinowałam.

- Powiesz mi, dla kogo pracujesz?

- Już powiedziałam - warknęłam.

- A ja ci powiedziałem, że nie jestem głupi - mówił spokojnym głosem, bez śladu wcześniejszej zimnej furii. - Widać, że jesteś bystrą, młodą kobietą, która całkiem niezłe podejmuje decyzje, jak udowodniłaś wcześniej. Dlaczego więc upierasz się przy tej bajeczce... Oszczędź sobie. Wiem, dla kogo pracujesz i cokolwiek powiesz, nie zmienię zdania na ten temat, ani ty nie zdradzisz swoich mych.

Podniósł dłoń do ust i otarł je, szukając wzrokiem mojego spojrzenia.

- To nie ty zabiłaś tego ochroniarza, prawda? - powiedział.

- Zabiłam...? - Zazgrzytałam zębami. - Oboje wiemy, kto i co, go zabiło, więc nie próbuj nawet zwać na mnie.

- Ta plama na twojej sukience. Pewnie mi powiesz, że to nie krew?

Parsknęłam.

- To sos marinara z cholernych małży, które wywaliłeś na mnie w kolejce do bufetu.

- Wywaliłem?

Otarł znów usta i warknął. A może tak mi się tylko wydawało, bo po chwili zobaczyłam, że błyszczą mu oczy i zdałam sobie sprawę, że się śmieje.

- No dobra. Słuchaj. - Wyciągnął rękę do szybu. - Wyjdź stąd. Sądzę, że oboje mamy problem i lepiej, żebyśmy zaczęli szukać rozwiązania, zanim zjawią się tu twoi „wspólnicy”.

- Naprawdę sądzisz, że jestem aż taka głupia?

Przechylił głowę, jakby się nad tym zastanawiał.

- Głupia? Młoda, owszem. Zuchwała, owszem. Naiwna, być może. Ale głupia? Nie. Nie głupia. Jesteś...

Hałas na korytarzu. Otwierane i zamykane drzwi. Marsten odwrócił się i zmrużył oczy, jakby namierzał coś, czego ja nie słyszałam. Spojrzał na klamkę i zaklął cicho.

- Nie dało się zamknąć, co? - powiedziałam. - Tak to jest, jak się coś rozwali. Zwykle już takie zostaje.

Uciszył mnie, złapał kratkę od szyby i nałożył ją z powrotem na miejsce. Potem zajął przez listewki i szepnął:

- Jeśli chcesz się przekonać, czy kłamię, a myślę, że chcesz zostać tam i siedź cicho.

7

Marsten zeskoczył z biurka i był już w połowie drogi do drzwi, kiedy te się otworzyły. Weszło dwóch mężczyzn z bronią. Siły bezpieczeństwa rady. Znałam obydwu z wcześniejszych operacji.

Podczołgałam się do przodu, gotowa wypchnąć pokrywę. Zatrzymałam się nagle, opierając o nią ręce. Nie musiałam podsłuchiwać, żeby wiedzieć, że Karl Marsten gada bzdury. Słyszałam stek kłamstw, jakie mi zaserwował, kiedy skonfrontowałam się z nim po raz pierwszy po kradzieży. Powie wszystko, żeby tylko się stąd wydostać - żeby wykorzystać mnie do tego, by się stąd wydostać. Ale lepiej było tu siedzieć, w ukryciu i w milczeniu, bo to była idealna pozycja, żeby obserwować Marstena i pilnować czy nie kombinuje. A przynajmniej tak sobie tłumaczyłam.

Wszedł jakiś mężczyzna. Miał około trzydziestu pięciu lat, był średniego wzrostu i drobnej budowy, miał jasnobrązowe włosy i delikatne, niemal kobiece rysy. Tristan, mój pośrednik z rady.

- Ach, Karl - powiedział. - Nie wiedziałem, że jesteś mecenasem sztuki.

- Tristan Robard - odezwał się Marsten. – Mógłbym powiedzieć, że się tego spodziewałem, ale bym skłamał. Po naszym ostatnim spotkaniu myślałem, że masz dość rozumu, żeby zostawić mnie w spokoju. Ale chyba cię nie doceniałem.

Tristan zmrzążył oczy.

- Muszę ci jednak zwrócić honor – ciągnął Marsten. - Przygotowałeś całkiem niezłą zasadzkę. I ta twoja młoda agentka. Dobra robota. Piękna, młoda kobieta zastawia najbardziej kuszące sidła i wygląda na to, że nawet ja nie jestem na nie odporny - zamilkł.
- Nie interesując gdzie ona jest?

- Jakoś specjalnie się o nią nie martwię.

Marsten się uśmiechnął.

- Och, ale powinieneś. Jest jeden problem z wystawianiem pięknych, młodych kobiet na przynętę. Są równie kuszącymi zakładniczkami.

- Czyli ją masz.

Marsten pokiwał głową, a ja już otwierałam usta, żeby zawołać i powiedzieć Tristanowi, że jestem bezpieczna...

Tristan się uśmiechnął.

- Jak już mówiłem, jakoś specjalnie się o nią nie martwię.

Mrugnąłam zdumiona, ale szybko się otrząsnęłam. No jasne, że Tristan musi tak mówić. Był wprawnym negocjatorem. Nie da Marstenowi odczuć, że trzyma w ręku kartę przetargową.

- Nie sądzę, żeby twoi przełożeni pochwalali taką postawę - powiedział Marsten. - Oj, ale twoi przełożeni nie

mają z tym nic wspólnego, prawda? To osobiste porachunki. Mały chłopczyk rzuca się do ataku, bo duży, zły wilk go zawstydził.

Tristan zacisnął szczęki.

- Nie zawstydziłem cię, Tristanie. Sam to zrobiłeś. Zaproponowałeś mi pracę, a ja odmówiłem, z szacunkiem i uprzejmie. Ale to nie wystarczyło, bo ty już zdążyłeś obiecać, że się tym zajmę. Skoro odmówiłem, musiałeś jakoś wyjaśnić, że się przeliczyłeś, a jak wiadomo, nie było takiej możliwości, więc zacząłeś mnie ścigać. Ja z przyjemnością uznałem sprawę za niebyłą: odrzucona propozycja biznesowa to żaden powód do niesnasek, ale ty zacząłeś mnie ścigać. I to był twój błąd.

Tristan zaśmiał się z napięciem.

- Mój błąd? To ty jesteś na muszce i raczysz mi mówić o błędzie? Do końca pełen złudzeń.

Marsten wrzucił tylko ramionami.

- Skoro tak twierdzisz.

Zrobił krok naprzód, jakby miał z nimi iść. Nagle stanął.

- Przypuszczam, że chciałbyś, żebym ci powiedział, gdzie ukryłem ciało tego ochroniarza, którego zabiłeś. Plan awaryjny jak mniemam?

Tristan nic nie powiedział, wyciągnął tylko telefon komórkowy. Spojrzenie Marstena powędrowało ku szybowi wentylacyjnemu, a potem znów do Tristana.

- A więc nie wierzyłeś, że dziewczyna poradzi sobie z zadaniem. Gdyby jej się nie udało, miałbyś w odwodzie rozszarpanego strażnika, odnalezionego tam, gdzie skradziono biżuterię, ładna opowiadka, którą mógłbyś przekazać radzie międzyrasowej.

Tristan uśmiechnął się tylko ze spojrzeniem utkwionym w telefon, na którym odczytywał wiadomość.

- Myślę, że to raczej Wataha byłaby zainteresowana tą opowieścią.

- No tak, oczywiście. Wataha wilkołaków. Sprytny plan, który nawet by może wypalił... gdybym od ponad dwóch lat sam nie należał do Watahy.

Tristan podniósł głowę.

Marsten się roześmiał.

- Nie za dobrze odrobiłeś pracę domową, co? To było widać po tej niedorzecznej historii, którą opowiedziałeś dziewczynie. Pracuje jako agentka dla rady międzyrasowej? Jestem pewien, że Aaron, Paige, Adam i pozostali delegaci byliby zachwyceni, gdyby wiedzieli, że mają zespół tajnych agentów, którzy działają w ich imieniu.

Marsten spojrzał Tristanowi w oczy i się uśmiechnął.

- Zaskoczony, że znam ich imiona? W twoją opowiestkę pewnie prędzej uwierzyliby ci, którzy nie znają delegatów. Mógłbym dorzucić kilka innych nazwisk, w tym wilkołaków, ale wątpię, żebyś je znał, a oni nie byliby mi wdzięczni za to, że zmniejszyłem twoją niewiedzę.

Zamilkł, odchylił głowę i udał, że się głęboko namyśla.

- Aha, ale mam jeszcze jedno nazwisko, które być może uznasz za niebywale interesujące. Wiesz pewnie, kim jest mąż Paige Winterbourne. To niemożliwe, żebyś był aż takim ignorantem.

Tristan zeszywniał.

- Aha, czyli wiesz. Bardzo miły młody człowiek. W zeszłym roku pracowałem trochę dla niego. Bardzo przyjemny. - Marsten zmarszczył brwi. - Słyszałem jednak

Że jego ojciec bywa trochę mniej przyjemny. Przyzwoity szef, na pewno... chyba że się dowie, że jeden z jego podwładnych buduje za jego plecami swoją własną małą siatkę szpiegowską.

- Nie zrobiłem niczego za plecami Benicia. Doskonale wie o moim przedsięwzięciu. I jest pod wrażeniem.

- Ach tak? A więc to robota usankcjonowana przez Zgromadzenie? Zabawne, mógłbym przysiąc, że załatuje osobistymi porachunkami. No ale cóż ja mogę wiedzieć? Zgromadzenie zabija wilkołaka z Watahy... to nie powinno przysporzyć wielkich problemów. Przynajmniej tak sądzę, jeśli Zgromadzenie się o tym nie dowie.

Tristan skinął na strażników.

- Zabierzcie go stąd.

Odwrócił się, a Marsten ruszył za nim. Nagle odezwał ze strażników:

- Szefie? A co z dziewczyną?

- Ach, nie martwiłbym się o nią - powiedział Marsten. – Jest zaradna. Na pewno się stąd uwolni, o ile już tego nie zrobiła. Ale ten ochroniarz? To problem. Powinieneś...

Tristan odwrócił się gwałtownie.

- To Hope jeszcze żyje?

- Tak ma na imię? Oczywiście, że żyje. Nie sądziłeś chyba, że ja... - Marsten pokręcił głową. - Przypuszczam jednak, że skoro mam z tobą do czynienia, nie powinienem zadawać takich pytań. Co zaskakujące, uważam, że najlepsi zakładnicy to żywi zakładnicy. Tak, Hope ma się dobrze i jak już mówiłem, pewnie sama się uwolni, nie ma więc potrzeby...

- Gdzie ona jest?

- Pytanie brzmi: gdzie jest martwy ochroniarz? Dziewczyna sama się o siebie zatroszczy. Ochroniarz, co smutne, nie ma...

- Gdzie ona jest?

Marsten zamilkł i poskrobał się w brodę, jakby zdał sobie sprawę, że pod wpływem jego gadaniny Tristan nie przestanie na nim wymuszać, żeby mnie wydał. Jestem pewna, że miał jakieś bardziej egoistyczne powody, żeby tego nie chcieć, ale i tak byłam mu wdzięczna, że próbował. Nie miałam pojęcia, jak spojrzę Tristanowi w oczy teraz, kiedy znałam już prawdę.

O Boże... prawdę.

Żołądek podskoczył mi do gardła. Wrobili mnie. Cały ten czas siedziałam tu i przysłuchiwałam się kolejnym faktom, przetwarzałam je w głowie, ale nie docierały do mnie. Nie pozwalałam, żeby do mnie dotarły...

- Jest w składziku dozorczy - oświadczył Marsten. - Skuta własnymi kajdankami, co uznałem za stosowne. Mogę cię tam zaprowadzić...

- Zaczekasz tutaj. Wrócę po ciebie, kiedy z nią skończę.

Kiedy ze mną skończy? Co miał na myśli, mówiąc...?

Odsunęłam od siebie tę myśl. Marsten wyjaśniał Tristanowi, jak dojść do składu, który wcześniej sama wykorzystałam, a ja zaczęłam obmyślać plan ucieczki. Tak ucieczki. Może miałam paranoję i Tristan chciał tylko powiedzieć, że wróci zaraz po tym, jak mnie uwolni. Ale życie Marstena było w niebezpieczeństwie. I to ja go naraziłam.

Tristan wyszedł z jednym strażnikiem. Kiedy zniknął, drugi wycofał się w stronę biurka z pistoletem ciągle wycelowanym w Marstena i usiadł na blacie.

Odsunęłam delikatnie pokrywę. Marsten spojrzał do góry, ale odwrócił wzrok, zanim strażnik coś zauważył, a potem machnął palcami, dając mi do zrozumienia, żebym została na miejscu.

Tak cicho, jak tylko potrafiłam, wsunęłam pokrywę do szybu i położyłam ją obok siebie. Marsten spojrzał mi w oczy i pokręcił głową, jakby machanie nie było wystarczająco zrozumiałe.

Kiedy złapałam za brzeg wnętrza, rzucił mi ostatnie spojrzenie i odchrząknął.

- Pracujesz dla Corteza, jak mniemam - odezwał się do strażnika, jego głos wypełnił małe pomieszczenie.

Strażnik nie odpowiedział.

Oceeniłam odległość między nami, wysunęłam nogi do przodu i przykucnęłam.

- Słyszałem, że Zgromadzenie trochę się na to krzywi - ciągnął Marsten. - Że pracownicy biorą dodatkowe zlecenia z zewnątrz. Niby wie, że pracujesz dla wiceprezesa, więc można się spierać, czy to jest dorabianie na boku, ale podejrzewam, że pan Cortez nie będzie aż tak chętny, żeby dostrzec różnicę.

Podparłam się o brzeg wlotu do kanału.

Marsten ciągnął:

- Wiceprezes wykorzystujący zasoby Zgromadzenia dla osobistych porachunków? Idę o zakład, że Cortez chętnie by się o tym dowiedział i sownie wynagrodził...

Skoczyłam. Marsten uskoczył w bok, poza zasięg strzału. Zwaliłam się strażnikowi na plecy. Wydał z siebie głuche westchnienie i ruszył do przodu. Marsten przechwycił pistolet. Potem mi go rzucił. Ten ruch mnie zaskoczył i chociaż spróbowałam złapać broń, nie zdążyłam i tylko uderzyłam w nią ręką w locie. Pistolet odbił się rykoszetem od biurka i spadł za nie.

Marsten przyduślił strażnika, który zaczął się szarpać. Podciął mu nogi i rąbnął jego głową o szafkę na dokumenty. Kiedy ciało strażnika osunęło się bezwładnie, Marsten spojrzał na mnie, ciągle przycupniętą na biurku ze wzrokiem wbitym w niego.

- Nie martw się - powiedział. - Nie zabiłem go.

Poczułam ostatnie liźnięcia chaosu. Przeszył mnie dreszcz i przewróciłam w zachwycie oczami. Marsten uniósł brwi. Zamieniłam dreszcz na stosowniejsze drżenie ze strachu.

- Jesteś pewien? - spytałam. - Wygląda...

- Nic mu nie jest. - Marsten uklęknął przy strażniku i wyciągnął z kieszeni moje kajdanki. - Naprawdę szkoda, że muszę je na niego zmarnować. - Znów pogrzebał w kieszeni i rzucił mi moją apaszkę. - Skoro tak dobrze ci z nią poszło ostatnim razem...

Związaliśmy strażnika. Potem Marsten pokazał mi, żebym podeszła do drzwi, a sam sprawdził, czy dobrze zawiązałam. Musnęłam palcami klamkę, ale on odsunął mnie na bok.

- Chciałam najpierw się rozejrzeć – powiedziałam.

- Nie musisz. Słyszę ich. - Rozejrzał się dokoła. – Do szybu. - Złapał mnie za rękę i popchnął w stronę biurka. - Wejdz głową naprzód. Powinnaś się przecisnąć.

- Ty pierwszy - powiedziałam.

- Nie ma czasu. Po prostu...

- Ty pierwszy.

Popatrzył na mnie tak, jakby się zastanawiał, czy nie wepchnąć mnie tam siłą, a potem z cichym pomrukiem wskoczył na biurko. Złapał brzeg szybu, z łatwością się podciągnął i wszedł do środka, po czym zatrzymał się we wlocie z wystającym tyłkiem.

- Bardzo tu wąsko - powiedział. - Nie jestem pewien, czy dam radę...

- Spróbuj - zachęciłam i go popchnęłam.

Przecisnął się do środka, potem sięgnął ręką między nogami i pomógł mi wciągnąć się na górę. Trzasnęły drzwi. Nie było czasu nakładać pokrywy. Wsunęłam nogi do środka, oparłam się na rękach i kolanach i ruszyłam za nim.

8

W filmach bohaterowie uwięzieni w budynkach przemysłowych sami wybierają kanały wentylacyjne na drogę ucieczki. Kanały są czyste, obszerne, dźwiękoszczelne i można nimi dojść wszędzie, gdzie się chce, coś w rodzaju labiryntów dla chomików, tyle że dla osaczonego bohatera, który musi uciekać. Nie wiem, gdzie Hollywood zaopatruje się w swoje kanały wentylacyjne, ale na pewno nie u tych samych dostawców co muzeum.

Czołgaliśmy się naprzód, co kilka kroków uderzając ramionami w boczne ścianki. Huk niósł się po całym przewodzie. Czułam, że zdzieram sobie skórę z kolan, kiedy przesuwam nimi po nitowaniach, i wyobraziłam sobie ciągnącą się za mną smugę krwi. A kurcz? Kichnęłam już przynajmniej pięć razy i za każdym razem udawało mi się rąbnąć głową o strop kanału.

- Oddychaj przez usta - szepnął Marsten, a jego głos poniósł się echem po ciemnym tunelu.

Jasne, to był sposób na kichanie, ale wtedy czułam smak kurzu oblepiającego mi język. Czy muzeum by splajtowało, gdyby od czasu do czasu szarpnęło się na czyszczenie kanałów?

Zaczęłam pełzać i wpadłam twarzą w tyłek Marstena... kolejny raz.

- Ostrzegaj mnie, jak się zatrzymujesz – mruknęłam... kolejny raz.

Stłumiony śmiech.

- Na następnym rozstaju ty pójdziesz pierwsza, to nie będziesz miała takich problemów. Ja owszem... ale raczej nie będę narzekać.

- Ty nie masz wymówki. Wilkołaki dobrze widzą w ciemności.

- Czuję, że ostatnio mam z tym trochę problemów.

- A mnie się wydaje, że świetnie sobie radzisz, - Ubodłam go głową w tyłek. - A teraz ruszaj.

Potem rzeczywiście zamienialiśmy się miejscami - trzy razy - bo trzy razy trafiliśmy na ślepy zaułek.

- Wychodzę najbliższym wyjściem – powiedział Marsten przy czwartej nawrotce.

- Bezdyskusyjnie.

Wybiliśmy, a właściwie on wybił następną kratkę wentylacyjną, uderzając w nią pięściami i zrzucając ją z hukiem na podłogę. Wygląda na to, że nie tylko ja zaczynałam czuć się klaustrofobicznie.

Marsten wygrzebał się na zewnątrz. Ja też próbowałam, ale moja sukienka zahaczyła o nit i wypadłam głową naprzód, widząc, jak podłoga zbliża się do mnie z ogromną prędkością...

Marsten mnie złapał i postawił na nogi. Odzyskałam równowagę i odetchnęłam głęboko czystym – stosunkowo – powietrzem.

- No i po dwóch tysiącach dolarów - mruknął i spojrzał na siebie.

Obydwa łokcie marynarki były rozdarte, a przód koszuli pokryty brudem, podobnie jak jego twarz, ręce i niemal każdy kawałek odsłoniętej skóry. Pajęczyny w jego ciemnych włosach wyglądały jak siwe pasemka. Miał porysowane buty i spodnie zniszczone na kolanach. Kiedy przyglądał się zniszczeniom, wyglądał tak żałośnie, że musiałam stłumić parsknięcie. A przynajmniej spróbowałam je stłumić. W pewnym sensie.

- Nie rzyj - powiedział. - Sama nie wyglądasz lepiej.

- Tylko że ja się tym nie przejmuję.

Marsten się otrzepał, a ja rozejrzałam się dokoła. Byliśmy w laboratorium, z mikroskopami, stalowymi stołami i czymś, co wyglądało jak pojemniki pełne kości, które na wpeł odarto z ciała. W innych okolicznościach ciekawość kazałaby mi przyjrzeć się temu dokładniej. Dziś jednak interesowało mnie tylko jedno: drzwi wyjściowe.

Kiedy skierowałam się w ich stronę, Marsten złapał mnie za rękę.

- Nie możesz tak wyjść - stwierdził.

- Daj spokój. Moje życie jest zagrożone. Naprawdę myślisz, że przejmuję się tym, jak wyglądam? Jak chcesz zostać tu i poprawiaj kreację, ja wychodzę najbliższym wyjściem.

Zacisnął dłoń, kiedy spróbowałam się wyrwać. Pociągnęłam mocniej. Marsten też ścisnął mnie mocniej.

Popatrzyłam na niego.

- To...

- Boli. Tak, wiem. Ale będzie bolało znacznie bardziej, jak Tristan cię złapie.

- Nie wiemy...

- Czy chce cię zabić? Nie poszedł do tego składziku, żeby pogratulować ci świetnie wykonanej roboty, Hope. Chce mnie widzieć martwym, a żeby załatwić to bez narażania się na nieprzyjemne reperkusje, musi po posprzątać. Czyli sprzątnąć ciebie, a potem strażników.

- Zabije cztery osoby, dlatego że go zawstydziłeś?

- Chodziło o coś więcej.

- Co zro...?

- Bez względu na to, co zrobiłem, to było już po tym, jak się zemścił, że odrzuciłem jego ofertę. To nie ma znaczenia. Dla człowieka pokroju Tristana Robarda zabicie czterech osób, żeby pomścić zranione ego, jest jak najbardziej na miejscu.

Przyjrzał się mojej twarzy, po czym pokręcił głową.

- Nie wierzysz mi? W porządku. Ale przynajmniej zaufaj mi na tyle, żeby nie wychodzić przez te drzwi i nie

weryfikować mojej teorii. Myślisz, że obstawił wszystkie wyjścia?

- Hm... tak, na pewno, ale jest mnóstwo innych wyjść. Wiem, jak się tu poruszać.

- To dobrze. Ale jeśli zaczniemy łązić po korytarzach w takim stanie, wzbudzimy podejrzenia u innych. Jeśli nie u Tristana i jego ludzi, to u strażników albo jakiegoś przestraszonego gościa...

- Który zrobi zamieszanie i zaalarmuje Tristana. No dobra. Doprowadźmy się więc do porządku.

Marsten spisał swój smoking na straty. Żaden problem. Zbliżała się północ i w miarę jak przyjęcie dobiegało końca, i tak pozbywano się marynarek i krawatów. Jego koszulę trzeba było tylko lekko przetrzeć. Moja sukienka miała się całkiem dobrze, była lekko rozdarta pod pachą i miała smużkę krwi na spódnicy. Po zdjęciu rajstop, przetarciu brudnych butów i zakrwawionych kolan mokrym ręcznikiem papierowym, wyglądałam okej... przynajmniej poniżej szyi. Nie było żadnych lusterek, a niewyraźne odbicie na stole ze stali nierdzewnej nie okazało się specjalnie pomocne.

- Chodź - powiedział Marsten. - Umyję ci twarz, tak jak ty umyjesz moją.

Zmoczył papierowy ręcznik w laboratoryjnym zlewie i do mnie podszedł. Uniosłam twarz. Zbliżył ręcznik do mojego policzka, potem strząsnął pajęczyny z moich włosów. Kiedy skończył, uśmiechnął się, ujął luźny kosmyk włosów i owinał go sobie wokół palca. Zobaczyłam kątem oka, że to coś więcej niż „luźny kosmyk”. Była to duża garść włosów, która pół godziny temu była zaczesana do góry w kok.

Jęknęłam.

- Jest bardzo źle?

- Jesteś trochę... potargana. Bardzo seksownie.

Podniosłam do góry rękę i zakląłam. Przynajmniej połowa włosów była rozsypana. Fryzura nie do naprawienia bez szczotki i lustra... i półgodzinnej stylizacji przed lustrem. Wyjęłam garść wsuwek i potrząsnęłam włosami, pozwalając, żeby opadły mi na plecy.

- Mm... bardzo seksownie.

- Wyhamuj, chłopcze. Ratujemy się ucieczką, pamiętasz? - Przeszłam palcami włosy. - Lepiej?

Drapieżny uśmiech.

- Zdecydowanie. Wyglądasz, jakbyś właśnie wygrzebała się z pościeli.

- Cholera, nie o to mi chodziło.

Złapał mnie za rękę, kiedy próbowałam przyglądnąć sobie rozwichrzone włosy.

- Jest dobrze. Potargane, ale tak, jakby miały tak wyglądać.

Wziął mnie pod brodę i przyłożył mi do twarzy wilgotny ręcznik. Potem znów znieruchomiał.

- Co znowu? - spytałam.

Cichy śmieszek.

- Tak sobie tylko pomyślałem, że nigdy nie widziałem kobiety, która wyglądałaby tak pięknie cała brudna i w pajęczynach. Kłopoty ci służą.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo - mruknęłam.

- Nie, na pewno nie wiem, ale mam wielką nadzieję, że się o tym przekonam. - Pogłaskał mnie palcem po policzku.

- Uciekamy, pamiętasz jeszcze? Zostawmy sobie pochlebstwa i rzewne spojrzenia na potem.

- Proponujesz randkę?

- Randka! - Podskoczyłam tak gwałtownie, że wytrąciłam mu z ręki papierowy ręcznik. - Przepraszam. Moja randka. Douglas. Będzie mnie szukać. Muszę mu powiedzieć...

- Co mu musisz powiedzieć? Nie martw się, wilkołak wzięł mnie na zakładniczkę, ale już wszystko dobrze... tylko że ściga mnie obłąkany czarownik ze Zgromadzenia?

Podniosłam na niego wzrok.

- Mówię poważnie. Będzie się martwił...

- To niech się martwi. Z tego, co zauważyłem, to dopiero... która, pierwsza, najwyżej druga randka, a ty nie wyglądałaś na strasznie zakochaną...

- To miły facet. W pewnym sensie. Nie jest zły.

Brwi Marstena poszybowały w górę.

- To twoje kryterium doboru partnerów?

- Wiesz, o co mi chodzi. Będzie się martwił, więc nie mogę tak po prostu wyjść i go zostawić. Poza tym, jeśli moja mama się dowie, że porzuciłam faceta, z którym mnie umówiła...

- Twoja mama umawia cię na randki w ciemno? Z takimi facetami? - Kąciki jego ust się wygięły. - Mama nie bardzo cię lubi, co?

- Moja mama... - zamilkłam i zaczęłam jeszcze raz: - Moja mama jest w porządku i właśnie dlatego nie narażę jej na taki wstyd. Już i tak za często to robię.

Twarz Marstena złagodniała.

- Dobrze. Chociaż cię rozumiem, zapominasz...

- O tym, że uciekamy? - Odetchnęłam głęboko. - Masz rację. Muszę... Wymyślę coś później. Przepraszę mamę. Zrekompensuję to Douglasowi.

- Nie wydaje mi się, żebyś była mu cokolwiek winna - urwał. - Jeśli będziemy musieli przejść przez salę bankietową, możesz mu powiedzieć. Wyjaśnisz, że musisz wyjść i będziecie kwita.

Kiwnęłam głową i zaczęliśmy znów doprowadzać się do porządku.

Wyciągałam Marstenowi pajęczyny z włosów i nagle coś sobie przypomniałam.

- Pistolet. Powinnam była wziąć pistolet.

- Nie przejmowałbym się tym. Z mojego doświadczenia wynika, że pistolety przydają się tylko jako straszaki. W walce? Równie dobrze mógłbym postrzelić się we własną nogę. Lepiej w ogóle z nich zrezygnować.

- Łatwo mówić, kiedy ma się nadludzka siłę, nadludzkie zmysły, kły, pazury...

Znów na mnie spojrzał w chwili, gdy ściągałam z niego kolejną pajęczynę.

- A ty jesteś... Jak to się mówi? Nadnaturalna, tak?

- Tak, ale nie każdy z nas ma swoje systemy obronne. Jak myślisz, po co noszę pistolet?

- Jaka jest więc twoja...?

- Skoro mowa o pistolecie, on też został w mojej torebce, razem z bransoletką. Cholera.

- Z bransoletką, dziedzictwem, jak mniemam.

- A więc nie uznałeś jej jednak za tanie świedelko. A mimo to nie próbowałeś jej zwinąć. Zdumiewasz mnie.

Spojrzał na mnie spode łba i się podniósł.

- No co? - spytałam. - Uraziłam cię? Powinno być mi wstyd. Bo ta biżuteria w twojej kieszeni po prostu sama się tam znalazła, co? Cholerne wystawy muzealne. Ekspozycje same wskazują...

- Punkt dla ciebie. - Wstał i przyglądał sobie włosy. - Ale nie, twoja bransoletka jest bezpieczna. Cenna czy nie, dla ciebie jest więcej warta niż dla mnie. To... – Sięgnął do marynarki i przełożył klejnoty do kieszeni spodni. - Jest cokolwiek warte tylko dla ubezpieczalni. Co zapewne mnie nie usprawiedliwi, ale... - Wzruszył ramionami. - Co do twojej bransoletki, skoro jest tam, gdzie pistolet, a ty pewnie będziesz się czuła z nim bezpieczniej, proponuję, żebyśmy zrobili pierwszy postój w tym gabinecie, o ile Tristan już sobie stamtąd poszedł.

Pokręciłam głową.

- Tak, chcę ją z powrotem, ale muszę chyba mieć nadzieję, że moja torebka wciąż tam będzie, kiedy to wszystko się skończy.

- Dopilnuję, żebyś później dostała ją z powrotem.

Później? Miałam nadzieję, że nie planował tu wracać i ukraść czegoś jeszcze. Nie, już wychodził, kiedy go zatrzymałam.

Złapał mnie za łokieć i podprowadził do drzwi.

- Chodźmy, zanim nas znajdą.

Minęło kilka chwil, zanim zorientowałam się, gdzie jesteśmy. Typowa trasa zwiedzania nie obejmowała wizyty w laboratoriach, więc odczułam bolesny brak oznakowań.

Wiedziałam, że jesteśmy na pierwszym piętrze, co było pomocne, tyle że na pierwszym piętrze mieściły się głównie biura i laboratoria, co już nie było pomocne. Sprawy nie ułatwiał też brak okien. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, że budynek jest ich całkowicie pozbawiony. Dobre dla bezpieczeństwa i konserwacji eksponatów, ale nie za dobre dla tych, którzy muszą jak najszybciej zakończyć swoją wizytę.

- Tam - szepnęłam do Marstena. - To sala multimedialna. Byłam tam w zeszłym miesiącu, jak robiłam reportaż.

- Jesteś dziennikarką?

Skinęłam głową, nie wspomniałam jednak o tym, że opisywałam historię „starożytnej klątwy”, która według zapewnień byłego pracownika muzeum była przyczyną jego opryszczeni. Ta myśl przywołała następną. Czy to wszystko znaczy, że nigdy więcej nie będę musiała wysłuchiwać żadnej głupawej historyjki o klątwie?

Ta możliwość wywołała we mnie panikę. Lubił to, co robiłam. Kiedy przeszłam już fazę: „Jestem za dobra na takie rzeczy”, sprawiało mi prawdziwą przyjemność podążanie śladem UFO albo posłańca piekła, znacznie większą niż kiedykolwiek odczuwałam, opisując strzelaniny samochodowe i skandale polityczne. Ale jeśli przestanę pracować dla rady i nie będę już tamować nadnaturalnych wycieków...

Czy kiedykolwiek tamowałam wycieki? Czy pomagałam innym nadnaturalnym przetrwać pod przykrywką? A może maskowałam tylko bajzel narobiony przez Zgromadzenie?

Żołądek mi się ścisnął. O Boże, co ja narobiłam? Myślałam, że jestem...

Przestań. Nie teraz.

Spojrzałam na Marstena.

- Jesteśmy w północno-wschodnim skrzydle, najbliżej głównego wyjścia, którego nie możemy użyć, wiem, ale musi być jakieś wyjście ewakuacyjne...

- Jest jedno po zachodniej stronie, chyba jakieś piętnaście metrów od głównego.

- Świetnie. Będę wypatrywać znaków, a ty nasłuchuj, czy nie mamy towarzystwa.

Znaleźliśmy wyjście. Marsten ruszył w jego stronę, ale ja zawołałam:

- Może włączyć się alarm.

- Jestem gotów zaryzykować.

Deptalam mu po piętach, bardzo chciałam się już stamtąd wydostać.

Każdy włoszek na moim ciele stanął na baczność i zatrzymałam się nagle, rozchylając usta i sycząc mimowolnie. Złapałam Marstena za tył koszuli.

- To pułapka - powiedziałam.

- Mówiłem już...

- Ale nie alarmowa. Pułapka pułapka. Magiczna. Muszą mieć wiedźmę albo czarownika... - Zatrzymałam. - Mówiłeś coś wcześniej o czarowniku Zgromadzenia. Miałeś na myśli Tristana, tak?

Marsten kiwnął potakująco, a ja zamrugałam. Kolejny niewybaczalny błąd. Tristan udawał, że jest półdemonem, ale nigdy nie widziałam, żeby korzystał ze swoich talentów,

ani nawet nie spytałam go, jakimi mocami dysponuje. Gdybym wiedziała, że jest czarownikiem, bardziej nieufnie podszłabym do jego historyjki o „pracy dla rady”.

Radzie międzyrasowej przewodziły wiedźmy, a wiedźmy i czarodzieje mieli ze sobą naprawdę niewiele wspólnego. Zgromadzenie było wielkim osiągnięciem czarodziejów - była to potężna korporacja pełna nadnaturalnych i zarządzana przez czarowników. Nie wiedziałam zbyt wiele o Zgromadzeniu - każdy półdemon, którego znałam, trzymał się od niego z daleka i radził, żebym postępowała podobnie, ale gdybym wiedziała, kim jest Tristan, miałabym przynajmniej pojęcie, dla kogo naprawdę pracuję.

- Co to za pułapka? - spytał Marsten.

Pokręciłam głową.

- Nie mam pojęcia. Mogę tylko stwierdzić, że tam jest i że wpadniemy w kłopoty.

Zauważyłam, że się skrzywił i powiedziałam:

- To moja tak zwana moc. Wykrywanie chaosu. Jak mówiłeś: kłopoty mi służą.

- Twoja „moc”? Więc jesteś półdemonem?

Kiedy przytaknęłam, jeszcze mocniej zmarszczył brwi.

- Muszę przyznać, że moja wiedza na temat demonów jest żadna, ale zawsze miałem wrażenie, że wszystkie są z lekka chaotyczne. Karmią się chaosem albo coś w tym stylu.

- Demony tak. Półdemony nie. Półdemony dziedziczą moc po ojcu, ale bez jego skłonności do chaosu. Ja jestem szczęściarą i należę do jedyne go typu, u którego jest dokładnie odwrotnie.

Podeszłam do drzwi i przyjrzałam się im.

- Mogę ci tylko powiedzieć, że ktoś rzucił zaklęcie na drzwi, a wiem o zaklęciach tyle samo co ty o demonach. Może tylko da sygnał Tristanowi... a może w jednej chwili zajmiemy się ogniem.

- Nie za bardzo mam ochotę zakończyć wieczór w płomieniach, proponuję więc, żebyśmy tego nie sprawdzali.

- Zgoda - zamilkłam na chwilę. - Jestem pewna, że pozostałe nieobstawione wyjścia to też pułapki. Więc co teraz?

- Pominiemy „ucieczkę” i wykorzystamy inny rodzaj obrony: ukryjemy się. Najpierw odzyskamy twój pistolet, a potem znajdziemy sobie jakieś bezpieczne miejsce i spróbujemy wziąć ich na przeczekanie. W końcu ktoś się zorientuje, że zniknął strażnik, i podniesie alarm.

- A dla Tristana zrobi się za gorąco, żeby tu zostać.

- Albo wystarczająco gorąco dla nas, żeby w całym zamieszaniu wymknąć się głównym wyjściem.

Dotarliśmy do korytarza obok holu, przy którym znajdowały się biura, Marsten kazał mi zaczekać, a sam poszedł na zwiady. Kiedy wrócił, widać było, że nie ma dobrych wieści.

- Tristan zostawił strażnika - szepnął. - Albo na wypadek, gdybyśmy wrócili, albo żeby nikt nie odkrył miejsca zbrodni.

- Może usuwają ciało. Pozbywają się go.

Pokręcił głową.

- Tristan chce, żeby w końcu ktoś je znalazł. To jego plan awaryjny.

- Ale mówiłeś... - urwałam. - Kłamałeś, tak? O tym, że należysz do Watahy Wilkołaków.

- Nie... do końca. Jestem kimś w rodzaju quasi-członka. Ale Alfa, przywódca Watahy, wie, że nie jestem ludożercą. Moja reputacja pod tym względem jest nieskazitelna.

- Czym się więc martwisz?

- Niektórzy członkowie... w przeszłości naraziłem się Watasze i chociaż zmieniłem się od tego czasu...

- Atrament na twoim ułaskawieniu jeszcze nie wysechł i nie możesz ryzykować.

- Dokładnie.

- I dlatego próbowałeś przekonać Tristana, żeby zajął się ciałem.

- Nie, chciałem odwrócić jego uwagę od ciebie - zamilkł. - Ale rzeczywiście miałem też inny cel.

- No dobra, to może teraz się tym zajmiemy? Wywabimy strażnika Tristana, schowamy ciało w bezpieczniejszym miejscu, żeby później się go pozbyć, no i odzyskamy mój pistolet.

Marsten uśmiechnął się półgębkiem.

- Jak na amatorkę, jesteś w tym zadziwiająco dobra.

- Mam to w genach, pamiętasz?

- Ale zakładam, że wolisz obezwładnić strażnika niż go zabijać.

- Najlepiej tak. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby tak zupełnie przejść na stronę zła.

Uśmiechnął się szeroko.

- Zobaczmy więc, co da się zrobić.

9

Oparłam się o ścianę, zamknęłam oczy i się skoncentrowałam. Strażnik był nadnaturalny, prawdopodobnie był półdemonem. Po chwili wyłapałam jego aurę, ale była zbyt daleko, żeby mógł się czaić w pierwszym gabinecie, tam gdzie ciało.

- Jest w drugim, prawda? - szepnęłam, kiedy wrócił Marsten. - W pomieszczeniu, z którego uciekliśmy.

Brwi Marstena poszybowały w górę.

- Mam w pakiecie radar wyłapujący nadnaturalnych.

- Tak? Ale wcześniej mnie nie wyczułaś. - Uśmiechnął się. - Nawet po tym, jak na mnie wpadłaś.

- Wyczułam. Dlatego właśnie na ciebie wpadłam. - Pozbyłam się chęci udzielenia wyjaśnień. - Ciągłe się uczę. Do pakietu nie dorzucają instrukcji obsługi.

- Hm, ale tym razem dobrze ci poszło. Strażnik jest w drugim biurze.

- Dobrze, no to...

- Ja się nim zajmę. Ty tu zostań.

Dostrzegł moją minę i westchnął lekko.

- No to chociaż trzymaj się z boku. Jak mówiłaś, jestem do tego lepiej przystosowany. Jeśli chcesz, możesz osłaniać tyły, ale...

- Nie daj się wziąć na zakładnika.

- Jasne

Marsten zaczął wychodzić, ale odwrócił się znów w moją stronę.

- Idzie.

Przyłożył mi palec do ust, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Zmrużył oczy i wsłuchał się w kroki. Po chwili popchnął mnie w przeciwnym kierunku i pospiesznie zaprowadził do korytarza obok. Ledwie schowaliśmy się za róg, a do opuszczonego właśnie przez nas korytarza wszedł strażnik.

Marsten przycisnął mnie do ściany, ciągle nasłuchując, i przywierając do mnie, jakby się spodziewał, że strażnik wyjdzie zza rogu i otworzy ogień.

Kroki ucichły. Strażnik wychodził. Dzięki temu na pewno łatwiej będzie dostać się do biura.

Marsten już się chciał ode mnie odsunąć, ale nagle znieruchomiał.

- Dobrze było? - spytał przytłumiony kobiecy głos. Chichot. - Jestem trochę wstawiona...

- Było świetnie, skarbie.

Marsten się skrzywił, bo rozpoznał napotkaną wcześniej parkę szukającą prywatności. Chyba znaleźli to, o co im chodziło.

Jakieś trzy metry dalej otworzyły się drzwi. Marsten zaklął i spojrzał na róg, ale było już za późno na ucieczkę - istniało ryzyko, że zobaczy nas oddalający się strażnik. Ale gdybyśmy tu zostali, para mogłaby go poznać, a jeśli mężczyzna znów stanie się agresywny, strażnik nas usłyszy.

Marsten nakrył mi wargi swoimi ustami. Przycisnął mnie do ściany i wsunął mi ręce we włosy, zasłaniając nimi nasze twarze. Pocałował mnie, a ja poczułam ukłucie zawodu. Oczywiście całował rewelacyjnie. Pierwszorzędnie i idealnie, jak wszystko, co robił. Dla większości

kobiet rewelacyjny pocałunek to powód do radości. Ale dla mnie? Wolę namiętne obmacywanki i pocałunki entuzjastycznego, nawet jeśli trochę mniej doświadczonego kochanka .

Mężczyzna za nami się roześmiał.

- Wygląda na to, że nie tylko my chcieliśmy się trochę rozerwać. Kochani, tam jest puste biuro.

Marsten uniósł rękę w geście podziękowania. Para odeszła, a ja całowałam go jeszcze jakieś pięć sekund, po czym się odsunęłam.

- Poszli sobie - powiedziałam.

Marsten się skrzywił, jakby zaskoczony - i zawiedziony - że to zauważyłam. Wyszarpnęłam mu z rąk moje włosy.

- Dobra, droga wolna - dodałam. - Możemy iść.

Parsknął krótkim śmiechem.

- Chyba muszę poćwiczyć całowanie.

- Nie, masz to opanowane do perfekcji.

- Powiedziała z entuzjazmem nauczycielki oceniającej kartkówkę z matematyki...

- Pięć plus. A teraz chodźmy. Zanim znów ktoś tu przyjdzie.

Doszliśmy bezpiecznie do biura. Tym razem drzwi były zamknięte, ale Tristan nie rzucił na nie ostrzegawczego zaklęcia. Musiał uznać, że już tu nie wrócimy. Zamek zabezpieczał tylko przed myszkującymi gośćmi albo szukającymi prywatności parami.

Marsten pociągnął mocno za klamkę i szarpnięciem otworzył drzwi.

- Znajdę swoją torebkę. - Weszłam szybko do środka. - A ty wyciągnij ciało.

- Tak jest.

Pstryknęłam światło i rozejrzałam się dokoła. Nigdzie nie było widać torebki. Musiała spaść...

- Nie ma - powiedział Marsten.

- Nie, na pewno gdzieś spadła... – Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że schyla się pod biurko. - Masz na myśli ciało?

Pokiwał ponuro głową. Odsunął biurko od ściany i spojrzał na mnie.

- Szukaj torebki. Ja poszukam trupa.

Wskoczył na biurko, wsunął się do szczeliny za nim, schylił się i zniknął. Ja wróciłam do poszukiwania torebki. Zajrzałam pod biurko, obok niego, między biurko i szafkę na dokumenty - w każde miejsce, w które mogła wpaść torebka, kiedy Marsten ściągał mnie z blatu.

On tymczasem przeskoczył znów nad biurkiem, przykucnął i zobaczył, że go obserwuję.

- Co? - spytałam, kiedy znieruchomiał.

- Muszę obwąchać podłogę.

- No to obwąchuj.

Znów się zatrzymał, jakby próbował znaleźć odpowiednio dostojny sposób, by to zrobić. Westchnęłam i odwróciłam się, żeby zapewnić mu trochę komfortu.

Chwilę później stwierdził:

- Nic. Musieli go wynieść.

- To znaczy, nie wyczuwasz tropu. A przynajmniej tropu strażnika. A co z pomocnikiem Tristana?

- Wątpię. Mogę spróbować, ale ciężko mi będzie w ciele człowieka, bez schodzenia na podłogę, blisko tropu.

- A w publicznym miejscu jest ci jeszcze ciężej.

Kiwnął na mnie, żebym dalej szukała torebki i zabrał się do sprawdzania drugiej strony pokoju.

Znów się odezwał.

- Mimo to spróbuję węszyć. Znam kilka sztuczek.

- O, a więc wy dostajecie instrukcję obsługi.

- Większość wilkołaków tak.

- No tak. Większość z was ma to dziedzicznie. A więc twój ojciec...?

- Wychowywał mnie i nauczył wszystkiego, co muszę wiedzieć na temat węszenia. - Uśmiechnął się przelotnie. - Chociaż zwykle po drugiej stronie czekał jakiś diamentik albo dwa.

- Ojciec wychował cię na złodzieja?

Spojrzał na mnie chłodno.

- Ojciec przygotował mnie do zawodu odpowiedniego dla wilkołaka spoza Watahy, który nie może zostać w jednym miejscu, bo zaraz rzuca się na niego Wataha albo inne kundle.

- Wataha nie pozwala...?

Uciszył mnie machnięciem ręki i nieco ochłonął z gniewu.

- Wszystko się już zmieniło. Przynajmniej częściowo, Ale w czasach mojego ojca życie nomady było koniecznością, a kradzież to ułatwiała.

- Więc ci coś powiem. Ty nie czepiaj się mojej mamy, że umawia mnie na randki w ciemno, a ja nie będę czepiać się twojego taty, że nauczył cię kraść.

Roześmiał się.

- Umowa stoi. Nie tykamy naszych rodziców, którzy mają dobre zamiary, ale czasem kiepsko im wychodzi. Co do twojej torebki...

- Nie ma jej, prawda? Tristan albo jego pomocnik znaleźli ją, kiedy po sobie sprząтали, i zabrali, żeby zatrzeć po mnie wszelki ślad.

- Tak myślę. A co do ciała...

- Billy?

Na korytarzu rozległ się głos. Obydwoje znieruchomieliśmy i odwróciliśmy się do zamkniętych drzwi.

- Billy? Jesteś tam? - Potem ciszej. – Cholerny dzieciak.

To był strażnik, który szukał swojego zamordowanego kolegi. Marsten kiwnął na mnie, żebym schowała się za biurkiem i obydwójce wskoczyliśmy na nie w tym samym momencie, w którym otworzyły się drzwi.

- Wy! - powiedział strażnik.

Światło latarki odbiło się od naszych pleców. Marsten objął mnie ramieniem w dziwnym, urwanym objęciu. Obejrzelśmy się za siebie i zobaczyliśmy tego samego starszego strażnika, który „pomagał” mi otworzyć składzik. Wbił w Marstena gniewne spojrzenie.

- Znów się pan zgubił w drodze do toalety? – zakpił. - Tu jest więcej miejsca niż w składziku, ale tej młodej damie na pewno będzie wygodniej w hotelu. Znajdą państwo dwa zaraz na tej samej ulicy.

- Eee, no tak, oczywiście - wyjąkał Marsten. – My nie... to znaczy chcieliśmy pochodzić po muzeum, pozwiedzać...

- Tak, już ja wiem, co pan chciał zwiedzać. - Kiwnął, żebyśmy zeszli z biurka. - Daleko państwo zaszli od wystawy z dinozaurami.

Usłuchaliśmy go i zaczęliśmy udawać, że schodzimy z biurka i wstajemy. Strażnik przypatrywał się wciąż Marstenowi, jakby zniesmaczony tym, że mężczyzna dość zamożny, żeby kupić bilety na taką galę, nie może zapłacić za hotel.

- Trzy bramy stąd jest Holiday Inn - powiedział, kiedy go mijaliśmy. - Ale pani na pewno bardziej spodobałby się Embassy, który...

Zatrzymał go ruch przy drzwiach. Wszedł jeden z pomocników Tristana. Otworzył zamasyżycie prawe skrzydło drzwi dlatego nie zauważył strażnika pod ścianą. Jego uwaga - i pistolet - były wymierzone w nas.

- Wydawało mi się, że słyszałem jakieś głosy - powiedział, a strażnik stanął za nim, zdumiewająco cicho jak na mężczyznę jego postury. - Dobrze, że wróciłem. Tristan będzie...

Strażnik wcisnął lufę pistoletu między łopatki młodszego mężczyzny.

- Nie zauważyłeś mnie, co? - zarechotał, a tamten zeszywniał. - Mała rada, chłopcze. Zawsze przed wejściem sprawdzaj pomieszczenie. A teraz rzuć broń.

Młodszy mężczyzna okręcił się, podnosząc broń z palcem na spuście. Strażnik zrobił wielkie oczy i zamarł. Nawet jeśli jako były policjant miał kiedyś refleks, zniknął on przez te wszystkie lata ściągania dzieciaków z eksponatów na wystawie dinozaurów i łapanie złodziei amatorów.

Strażnik cofnął się niepewnie, jakby zapomniał, że ciągle ma w ręce pistolet. Marsten rzucił się na plecy pomocnika Tristana. Ja niestety nie poszłam w jego ślady. Boże, jak bardzo tego żałowałam. Ale prawda była taka, że stałam tylko, znieruchomiała z przerażenia jak strażnik. Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy, nie starczyło nawet czasu, żebym wyczuła napływający chaos, nie starczyło nawet czasu, żeby Marsten wykonał swój półtorametrowy skok. Młodszy mężczyzna odwrócił się do starszego i wystrzelił.

Marsten uderzył napastnika w bok i odepchnął go w tym samym momencie, w którym syk tłumika zawisł w powietrzu, a strażnik padał na ziemię z krwawą dziurą w piersi, ja zaś zatoczyłam się do tyłu od eksplozji chaosu.

Upadłam na podłogę i przez chwilę nie mogłam się ruszyć, byłam jak porażona wysokim napięciem. Jeśli wiązała się z tym jakaś przyjemność, nie czułam jej. Leżałam tak, dysząc i czując pustkę w głowie. Nagle kolejny wystrzał wyrwał mnie z szoku i poderwałam się, młócąc nogami i rękami, jakby znów mnie poraziło. Marsten nachylał się nad pomocnikiem Tristana, który leżał bezwładnie, z wykręconą szyją i pustym wzrokiem.

- Kula - powiedziałam. - Trafiła cię...?

Marsten wskazał na dziurę po kuli w ścianie, ale nie odezwał się, siedział tylko przykucnięty, plecami do mnie, nabierając powietrza krótkimi, urywanymi haustami.

Podbiegłam do starszego strażnika. Gdy tylko przyłożyłam palce do jego szyi, wiedziałam, że jest martwy. Krwawa plama na jego piersi pokrywała teraz połowę jego koszuli i ciągle się powiększała.

Kiedy tak patrzyłam na niego z góry, znów zobaczyłam, jak podkrada się z roziskrzonym wzrokiem do pomocnika Tristana, wyobrażając sobie, jak będzie wszystkim opowiadał, że własnoręcznie zatrzymał uzbrojonego mężczyznę. Znów usłyszałam jego rechot i głos: „A widzisz jeszcze coś potrafię”, kiedy przykładał pistolet do pleców młodszego mężczyzny. Włosy na rękach stanęły mi dęba i potarłam je, żeby opanować dreszcze, niezdolna oderwać spojrzenie od ciała.

Moje pierwsze morderstwo. Po raz pierwszy byłam świadkiem śmierci. A zaledwie godzinę wcześniej, zaglądając za biurko, zobaczyłam swojego pierwszego trupa poza zakładem pogrzebowym.

Aż do dzisiejszego wieczoru nigdy nawet nie widziałam zwłok, a mimo to roiłam sobie, że jestem kimś w rodzaju tajnej agentki. Co powiedział Marsten, kiedy go zapytałam, czy uważa mnie za głupią? Naiwna, być może, ale nie głupia. Być może naiwna? Dobry Boże, czy mogłabym być bardziej naiwna? Przystawiłam pistolet rabusiowi wilkołakowi. Miałam szczęście, że Marsten nie zrobił mi tego, co właśnie stało się z pomocnikiem Tristana, i nie skrzył mi karku.

- Muszę ukryć ciała - powiedział cichym głosem. - Możesz poczekać w następnej sali, jeśli wolisz.

- Nie, posprzą... - Wzięłam głęboki wdech. – Posprzątam.

I tak właśnie zrobiłam. Uprzątnęłam miejsce zbrodni. Kiedy zorientowałam się, ale tak naprawdę, co właściwie robię, krew ostygła mi w żyłach.

O nie, teraz zaczynasz się martwić. Dotychczas bawiłaś się w tajną agentkę, a kiedy naprawdę robisz coś nielegalnego, zaczynasz się bać.

Odsunęłam tę myśl. Tak, byłam przerażona, i tak, byłam największym cholernym głupcem.

Dość tego.

Kiedy ścierałam dowody zbrodni i patrzyłam, jak Marsten chowa ciała w kanale wentylacyjnym - bardzo przydatnym kanale wentylacyjnym - potrafiłam myśleć tylko o tym, co się stanie z moją rodziną, jeśli mnie złapią. Wstyd, zażenowanie, poniżenie, ale przede wszystkim całe to zdumienie i żal w duchu: „Dlaczego nie zrobiliśmy nic więcej, żeby pomóc”. I co miałabym im powiedzieć? „Nie, nie, to nie tak. No bo myślałam, że pomagam nadnaturalnym i radzie międzyrasowej, ale tak naprawdę pracowałam dla korporacji czarowników, a potem ten wilkołak...” Za bardzo kochałam swoją rodzinę, żeby udzielać im takich wyjaśnień.

- Jest czysto - mruknął Marsten tuż za moją głową. Kiedy chciałam przetrzeć jeszcze raz kafelki, złapał mnie za rękę. - Jest czysto, Hope.

- Wynocha, wredna plamo - powiedziałam, próbując się uśmiechnąć.

- Na twoich rękach nie ma krwi.

- Nie byłabym tego taka pewna – powiedziała cicho.

Pomyślałam o wszystkich sprawach, którymi się zajmowałam, o wszystkich nadnaturalnych „przestępcach”, na których donosiłam. Widziałam tę wiedźmę,

tak przerażoną, że nie mogła nawet rzucić zaklęcia, która prosiła mnie - wręcz błagała - żebym jej nie wydawała, zaklinając się, że to nie rada jej chce, ale Zgromadzenie...

- Hope? - Marsten złapał mnie za ramię, a jego uścisk był wystarczająco mocny, żeby odegnać tę wizję.

- Przepraszam - mruknęłam. - To tylko... widma.

- Bez względu na to, co zrobiłaś, byłaś przekonana, że...

- To nie ma znaczenia, prawda? Liczą się czyny, a nie intencje. Ignorancja nie jest wymówką. Tak zawsze powtarzał mój profesor od etyki. Ignorancja nie jest...

Zagryzłam wargę tak mocno, że się zraniłam, po czym podniosłam się na nogi.

- A więc nie ma pistoletu, nie ma ciała, ale kolejny strażnik padł trupem - urwałam. - Trzech strażników, powinnam... - Otrząsnęłam się z tej myśli. - Jeden z pomocników Tristana. Jeden cel z trzech osiągnięty. Nie za dobrze nam idzie, co? To co dalej? Wracamy do naszego planu i szukamy kryjówki?

Kiwnął głową.

- Spróbujemy.

Nie zabrzmiało to przesadnie optymistycznie, ale zważywszy na nasze dotychczasowe szczęście, nie mogłam go winić.

10

Omówiliśmy różne możliwości i postanowiliśmy schować się na jednej z mniej „ekscytujących” wystaw - wystawione tam eksponaty raczej nie przyciągną znudzonych balowiczów, zwiedzających na własną rękę. Uznaliśmy, że ceramika albo tekstylia to najlepszy wybór.

Obydwa kierunki wymagały przejścia przez salę bankietową, ale mieliśmy ominąć ją tylnym korytarzem, zamiast paradować przez sam środek. Widok dwóch trupów przekonał mnie, że to nie była pora na zamartwianie się o przerwana randkę.

Skierowaliśmy się szybko do korytarza okrążającego salę bankietową, a potem skręciliśmy w lewo. Przebiegliśmy między potężnymi szkieletami na wystawie dinozaurów i przechodziliśmy już do skrzydła grecko-rzymskiego, kiedy nagle wychwyciłam nadnaturalną aurę.

Złapałam Marstena za rękę i powiedziałam mu o tym. Zaczął nasłuchiwać kroków i węszyć.

- Tristan i drugi pomocnik - powiedział. – Idą tam, gdzie my. Jest jakieś inne...

Zamilkł i odpowiedział sobie na pytanie, spoglądając na otwarte drzwi na końcu korytarza. W drzwiach stało czterech mężczyzn bez krawatów i marynarek. Za nimi widać było więcej gości.

- Moglibyśmy zawrócić - zaproponowałam.

- Za późno - odparł i poprowadził mnie do grupki.

- Przetniemy salę prosto w stronę głównych drzwi - powiedziałam, kiedy ruszyliśmy. - Stamtąd pierwszy korytarz w lewo zaprowadzi nas do ceramiki.

Przecisnęliśmy się obok pijanych mężczyzn, którzy nie mieli ochoty nas przepuścić - albo byli za bardzo wstawieni. Kiedy znaleźliśmy się w sali, ruszyłam prosto w kierunku naszego celu. Mijając stół szwedzki, dostrzegłam Douglasa, niecałe trzy metry od nas, wciąż pogrążonego w rozmowie z Bairdami.

Na mój widok Douglas zamrugał i spojrzał obok siebie. No ładnie. Ja się martwiłam, że mnie szuka, a on pewnie w ogóle nie zauważył, że zniknęłam.

Marsten złapał mnie za rękę, żeby odciągnąć mnie od Douglasa, ale ja odsunęłam go i ruszyłam sama w nowym kierunku. Douglas uniósł tylko brwi w uprzejmym zapytaniu. Wskazałam na stół szwedzki, on uśmiechnął się, kiwnął głową i odwrócił znów do Bairdów.

- Nie przejmuj się mną - mruknęłam. - Ja sobie tylko tędy przechodzę, a mordercy depczą mi po piętach. Nie, nie, wszystko w porządku. Wracaj do swoich spraw. Nic mi nie jest.

Stojący obok Marsten zachichotał:

- Twoja matka wie, jak ich dobierać, co?

Przewróciłam oczami, a wzrok Marstena poszybował do drzwi; zobaczyłam, że Tristan i jego pomocnik przeciskają się obok pijanej czwórki. W tej samej chwili Douglas odwrócił się i uniósł palec, przywołując mnie do siebie. Pewnie chciał, żebym przyniosła mu coś ze stołu.

Kiedy się zawahałam i już miałam mu pomachać, Marsten złapał mnie za tył sukienki i nieomal zwałił z nóg.

Zacząłam się cofać, jak najszybciej mogłam, żeby się nie przewrócić, a Marsten tymczasem pociągnął mnie do dużej grupy ludzi, chowając przed Douglasem.

- Idzie - syknął mi do ucha, kiedy zasypywałam przeprosinami grupę gości, w którą się wcisnęliśmy.

Pomocnik Tristana obchodził od tyłu stół szwedzki, poruszając się na tyle szybko, na ile mógł, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Nie miałam pojęcia, jak nas wypatrzył w sali pełnej ludzi.

Kiedy oderwaliśmy się od grupki, Marsten popchnął mnie, niezbyt delikatnie, w stronę głównych drzwi. Wypadłam przez nie, on za mną, po czym skręciliśmy w lewo w kierunku wystawy.

Za rogiem zrównał ze mną i wyciągnął coś w moją stronę. Marynarkę od smokingu, którą prawdopodobnie zwinął w locie z jakiegoś krzesła na sali.

- Masz - powiedział, kiedy nie wykonałam żadnego ruchu. - Załóż to.

Chciałam mu powiedzieć: „Ale nie jest mi zimno”, ale zważywszy na okoliczności, taka odpowiedź musiałaby zabrzmieć idiotycznie. Zadowoliliam się więc równie idiotycznym spojrzeniem: „He?”

- Twoja sukienka - powiedział.

Moja...? O cholera. Moja kanarkowożółta sukienka. Jakim cudem Tristan dostrzegł nas w takim tłumie? Hm, pomyślmy. Kiedy kupowałam tę sukienkę, oczyma wyobraźni widziałam siebie jako latarnię świecącą pośród czarnej nocy. No to miałam za swoje.

Marsten zaprowadził mnie za następny róg.

- Nie - powiedziałam. - Ceramika jest w innym...

- Wiem. Zawracamy. Nie spodziewa się tego. A teraz włóż to.

Wzięłam marynarkę i wbiegliśmy do sali pełnej greckich amfor. Marynarka zakryła moją krótką sukienkę i bez trudu się nią owinęłam... mogłabym się nią owinąć dwukrotnie. Rękawy zakrywały mi palce.

- Trochę przyduża - szepnęłam.

- Nie, to ty jesteś trochę przymała. A teraz chodź.

Złapał mnie za rękę i zatrzymał w miejscu. Zanim zdążyłam coś powiedzieć, z daleka dobiegł mnie odgłos kroków - coraz szybszych. Marsten wepchnął mnie w szparę między dwiema stelami i sam wcisnął się za mną.

Kiedy na sali rozległa się tylko jedna para kroków, zmrużył oczy, a jego palce zacisnęły się na mojej talii. Wsłuchał się w kroki z napięciem na twarzy i błyskiem lodowatej wściekłości, który widziałam w jego oczach już wcześniej.

Co Tristan mówił o osaczonych wilkołakach? Że są dziesięć razy niebezpieczniejsze od każdego innego nadnaturalnego. Patrząc na Marstena, wiedziałam, że Tristan miał rację i wiedziałam dlaczego: żaden drapieznik dobrowolnie nie postawi się w roli ofiary.

Kiedy więc Marsten przysunął usta do mojego ucha, wiedziałam, co chce powiedzieć.

- Zaczekaj tu.

Otworzyłam buzię, ale jedno spojrzenie w jego oczy wystarczyło, żebym ją zamknęła. Miał rację. Dużo się zmieniło od ostatniego razu, kiedy bez przekonania próbował mnie odwieść od próby wmieszania się w niebezpieczną sytuację. Zginęło dwóch ludzi i mogłam

się już przekonać, że to nie była żadna zwariowana komedia o napadzie rabunkowym z bronią w ręku. Chociaż bardzo chciałam pomóc Marstenowi i powstrzymać Tristana, to nie była pora, żeby szukać rozgrzeszenia za przeszłe błędy.

Kiwnęłam więc głową i pozwoliłam, żeby wymknął się w ciemność beze mnie.

Kroki zatrzymały się, jakby nasz prześladowca przystanął, żeby się rozejrzeć. Czy to był Tristan, czy jego pomocnik? Żałowałam, że nie potrafiłam tego stwierdzić, ale wierzyłam, że nos Marstena potrafił. To była ogromna różnica - zmierzyć się z czarownikiem albo z półdemonem... zakładając, że tym właśnie był pomocnik Tristana.

Powinnam była bardziej się postarać i spróbować rozpoznać rasę strażnika, kiedy go wiązaliśmy. Musiałam więcej poćwiczyć.

Ale po co? Nie jesteś przecież...

Uciszyłam swój wewnętrzny głos i skoncentrowałam się na słuchaniu. Kiedy mężczyzna znieruchomiał, na sali zapanowała cisza, ale Marsten poruszał się tak, by jej nie zakłócić. Widziałam jego przesuwającą się białą koszulę.

Białą koszulę? Czemu nie oddałam mu marynarki? Powiedziałam sobie, że na pewno wie, co robi, i modliłam się, żeby miała rację.

Naciągnęłam na siebie ciaśniej marynarkę i wysunęłam się na tyle, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Jakies pięć metrów dalej, przy połączonym posągu Ateny stał strażnik, którego wcześniej ogłuszyliśmy i skuliśmy kajdankami.

Patrzył w drugą stronę, stał profilem do mnie... a plecami do Marstena.

Marsten podkradał się ze wzrokiem utkwionym w strażnika i jakby instynktownie omijał przeszkody. Bezszelestnie stawiał stopy, najpierw pięty, potem palce. Strażnik potoczył wzrokiem wokół siebie, ja cofnęłam się szybko, ale Marsten tylko zamarł w bezruchu.

Strażnik zrobił trzy kroki, po czym zajrzał za następny posąg. Marsten trzymał się jakieś półtora metra za nim, tak blisko, że dziwiłam się, że strażnik nie czuje jego oddechu na swoim karku.

Marsten zrobił ostatni krok. Spiął się i skoczył. W ostatniej sekundzie strażnik się odwrócił, za późno na strzał, ale wystarczająco szybko, żeby wytrącić Marstena z trajektorii lotu.

Marsten w ostatniej chwili skorygował skok i mocno i szybko uderzył strażnika w rękę trzymającą broń. Strażnik syknął, częściowo z bólu, a częściowo z wściekłości, i rzucił się za pistoletem, który poturlał się po podłodze.

Marsten odepchnął strażnika kopniakiem. Ten wpadł na wazę pełną replik zwojów. Wyciągnął rękę, a z jego palców posypały się iskry i wiedziałam już, jaką ma moc. Ogień.

Jego ręka zacisnęła się wokół zwoju. W tym samym momencie, w którym otwierałam usta, żeby krzykiem ostrzec Marstena, papier zajął się ogniem. Strażnik zamachnął się płonąca pochodnią na Marstena, który już szykował się do skoku, szarżując prosto na niego.

Zwój trafił go w policzek i Marsten się przewrócił. Strażnik wyrzucił papier, już niemal zwęglony, i rzucił się na

Marstena, zdrową ręką szukając jego gardła. Marsten wbił pięść w brzuch strażnika. Mężczyzna, przewracając się złapał Marstena za rękę; ten się wyrwał, ale widziałam, że strażnik wypalił na jego białym rękawie odcisk dłoni.

Dopiero kiedy obaj na siebie naskoczyli, przeciwstawiając pełną nadnaturalną siłę atakowi ogniowemu, otrząsnęłam się z odurzenia chaosem i zorientowałam, że ja też mam broń - naładowany pistolet, który leżał zapomniany niecałe sześć metrów dalej.

Wyszłam więc z ukrycia. Zamiast podbiec przez środek sali do pistoletu, zaczęłam się skradać w cieniu od eksponatu do eksponatu. I choć muszę przyznać, że bałam się strażnika, który mógłby mnie zobaczyć i uznać za łatwiejszy cel, jeszcze bardziej się bałam, że Marsten zauważy moje wyjście z ukrycia, i nawet jeśli się nie przestraszy, to na pewno straci czujność.

Inne pytanie, czy Marsten w ogóle mógł stracić czujność. Walczył z pełną determinacją kogoś, kto ma wprawę. Nie tego się spodziewałam. Ale czy mnie to zaskoczyło? Nie. Widziałam już u niego to spojrzenie, kiedy pozbył się pozorów uprzejmości, i miałam nadzieję, że nigdy więcej nie znajdę się pod jego ostrzałem.

Kiedy oni walczyli, ja okrążyłam salę. Pistolet' wpadł pod makietę Pompejów. Udało mi się dostać za niski stolik, wciągnęłam brzuch. Sięgnęłam do wąskiej szpary, aż zaklinowało mi się ramię, po czym zaczęłam przesuwając palcami po podłodze, ale nie namacałam nic poza papierkami po gumie i kurzem.

Zajrzałam pod stolik wystawowy. W słabej poświacie oświetlenia ewakuacyjnego dostrzegłam pistolet, lufa

była skierowana w moją stronę i leżała kilka centymetrów od moich palców. Zaczęłam się wiercić, wyciągać i skręcać, aż w końcu musnęłam palcem lufę. Jeszcze jeden ruch i udało mi się wsunąć do niej palec. Na pewno to nie najbezpieczniejszy sposób postępowania z naładowanym pistoletem, ale dzięki temu udało mi się przesunąć go o kilka centymetrów, na tyle żeby złapać go trochę pewniej i wyciągnąć.

Zaciskając rękę na kolbie, wyobraziłam sobie, jak wyskakuję zza stołu, celuję do strażnika i dekoncentruję go na tyle, żeby Marsten mógł dokończyć dzieła.

Przykucnęłam, złapałam mocniej pistolet i poderwałam się do góry...

Marsten siedział przy bezwładnym ciele, przyglądając się przypaleniom na swojej koszuli. Spojrzał na mnie. Stałam w pozie Brudnego Harry'ego, z wyciągniętym pistoletem, rozwianym włosom, tonąc w za dużej marynarce. Marstenowi zadrgały usta.

- Mam... hm... pistolet.

- Widzę.

- A ja widzę, że opanowałaś, eee, sytuację. Więc...

Nie dokończyłam zdania, opuściłam pistolet i wyszłam zza stołu, nie zwracając uwagi na jego z trudem powstrzymywany śmiech.

- Stań na straży, to gdzieś go ukryję - powiedział, gdy do niego podeszłam.

Spojrzałam z góry na martwego strażnika i odsunęłam od siebie początkowe ukłucie żalu i wątpliwości: Czy naprawdę musieliśmy go zabijać? Rozwiązania typu: „Tylko go obezwładnimy”, już dawno przestały wystarczać.

Raz go obezwładniliśmy i skuliśmy kajdankami, a mimo to nas ścigał, gotowy zabijać. Dobre usprawiedliwienie, ale co, gdybym rzeczywiście wyskoczyła zza tego stołu i musiała zrobić coś więcej, niż tylko odwrócić uwagę? Czy umiałabym pociągnąć za spust?

Od roku nosisz przy sobie pistolet i nie wiesz, czy byłabyś w stanie strzelić? Co ty sobie wyobrażałaś? Że to dodatek do stroju?

- Hope?

Marsten nadal kuczał przy ciebie i jednocześnie dotykał mojej nogi, by łagodnie przywołać mnie do rzeczywistości.

- Jeśli nie czujesz się na siłach... - zaczął.

- Na straży. Robi się.

11

Płonący zwój nie uruchomił alarmu przeciwpożarowego, a stęknienia i odgłosy walki nie były na tyle donośne, żeby zwabić tu gości. Kiedy Marsten chował martwego strażnika, skupiłam się na dwóch wyjściach, obserwując, wyczuwając i nasłuchując. Wyłapałam nadnaturalną aurę w chwili, kiedy Marsten podniósł głowę.

- Kroki - powiedział. - Nadnaturalny?

Kiwnęłam głową.

- Czy idą...?

- Stamtąd - wyjaśnił. - Z tego samego kierunku co my.

Zerknęłam na dalsze wyjście, ale nie musiałam pytać, żeby wiedzieć, że Marsten nie zamierza uciekać. Został tylko Tristan, a kiedy się zorientuje, że stracił obydwu pomocników, nie odejdzie. Wezwie posiłki.

- Schowaj się tam, gdzie byłaś. Trzymaj pistolet w pogotowiu, ale...

Zmrużył oczy, odwracając się w stronę zbliżających się kroków.

- Więcej niż jedna osoba - mruknął. - To pewnie goście. Możesz to stwierdzić?

Skupiłam się, ale serce waliło mi mocno, przypominając z każdym rozrywającym zebra uderzeniem, że kroki są coraz bliżej i że nie mogę się guzdrać. Moje moce załamały się pod presją i nie umiałam wyłapać już ani jednej wibracji.

- Nieważne - szepnął Marsten, kiedy mu to powiedziałam. - I tak ich zaraz zobaczymy.

W chwili, kiedy wypowiadał ostatnie słowa, naszym oczom ukazał się Tristan w obstawie dwóch kolejnych strażników. Marsten zaklął, ale ugryzł się w język. Wepchnął mnie do naszej kryjówki między stalami. Tym razem, kiedy usłyszeliśmy kroki na sali, Marsten pozostał w bezruchu. Jeden przeciwnik ujdzie, dwóch być może, ale trzech naraz? Tylko w razie konieczności.

Kiedy przechodzili przez salę, Tristan odsunął telefon od ucha i się nachmurzył.

- Russel nadal nie odpowiada? - spytał jego towarzysz.

Tristan pokręcił głową.

- Spróbuję zadzwonić do Mike'a. Może on poszuka Russella.

Marsten i ja spojrzeliśmy po sobie, a potem na miejsce w którym Marsten ukrył ciało Mike'a – niecały metr od nas. Tristan wybrał numer, Marsten cały się spał, ja zaczęłam wygrzebywać z kieszeni pistolet, a potem wychyliłam się i zobaczyłam, że Tristan idzie dalej z telefonem przy uchu. Mijały sekundy. Rozłączył się.

- Wibracje - szepnął Marsten.

To by miało sens, że ustawili telefony na wibracje. Nic szybciej nie zdradzi twojej kryjówki niż *Cwałowanie Walkirii* rozlegająca się w korytarzu, do którego nikt nie ma wstępu.

Kiedy cała trójka wyszła, wycofaliśmy się drugim wyjściem, przez główny korytarz do skrzydła „bioróżnorodności”, znanego jako galeria wypchanych futrzaków. Po drugiej stronie znajdowała się wystawa ceramiki. W połowie sali bioróżnorodności doszły nas urywki ożywionego monologu dobiegającego z galerii ceramiki. Zakulisowe zwiedzanie o północy.

Marsten skrzywił się w kierunku głosów, jakby rozważał przyłączenie się do nich i szukanie schronienia w tłumie. Wszystko jego zdaniem zależało od tego, czy Tristan będzie unikał publicznej konfrontacji. Po chwili pokręcił głową i popchnął mnie do wąskiej wnęki między kolumną a dioramą afrykańskiej sawanny.

Kiedy tam weszłam, wysunął mnie z niej, sam wszedł tyłem i schylił się, przysiadając na wentylatorze. Pokazał, żebym się odwróciła i siadła mu na kolanach. Posłuchałam i wiedziałam już, dlaczego wybrał taką pozycję - ekspozycja z surykatkami zasłaniała nas przed przypadkowymi świadkami.

Kiedy siedziałam mu już na kolanach, objął mnie dla utrzymania równowagi... a przynajmniej takiej udzieliłam mu wymówki. Prawdopodobnie musieliśmy się przygotować na długie czekanie. Kiedy wszystko ucichło, z trudem zaczęłam odsuwać od siebie wszystkie niechciane myśli, wszystkie oskarżenia i żale do samej siebie, z którymi będę musiała uporać się później. Serce waliło mi w piersi, wypełniając pustkę wspomnieniami ucieczki, walki, tych cudownych wybuchów chaosu, od których moje serce biło jeszcze szybciej.

Kiedy rozkoszowałam się wspomnieniami, przedarła się do mnie inna wizja: sęp krążący nad głowami, ocean wysokich, suchych, szeleszczących traw, powiew wiatru niosący boski zapach piżma, pomruk w moim brzuchu, ogon drżący z niecierpliwości...

Marsten poruszył się i niechcący musnął moje stwardniałe sutki, a ja jęknęłam i zaczęłam szybciej oddychać.

Zarechotał.

- Widzę, że jednak nie jesteś na mnie tak całkiem odporna.

- Co?

Położył mi rękę pod lewą pierś i przycisnął ją, wyczuwając, jak serce mi wali pod jego dotykiem. Kiedy jego palce znów sięgnęły do mojego sutka, jęknęłam cicho.

- Przepraszam - powiedziałam. - To nie z twojego powodu.

Kolejny rechot.

- Skoro chcesz sobie wmawiać, że...

Zamknęłam oczy i zobaczyłam czającą się lwicę, drgający zad łani, ślinę ciekącą ze zniecierpliwienia. Czulałam

jej podniecenie, jej przyspieszony puls i mój własny odpowiadający jej. Znów jęknęłam, czując, jak ręka Marstena przesuwają się w górę do mojego ramienia.

Zawahał się.

- Albo masz strefy erogenne w dziwnych miejscach albo masz rację. To nie ja, prawda?

Otworzyłam oczy.

- To... - Kiwnęłam w kierunku wystawy. – Wyczuwam różne rzeczy, z przeszłości... chaos.

Kolejne muśnięcie moich twardych sutków.

- I taki jest efekt?

- Mm, tak. - Znów zamknęłam oczy. - Dziwne wiem...

- Właściwie to nie, a przynajmniej nie dla mnie. Mam przestać?

- Mm, nie.

Cichy śmieszek. Rozpiął moją sukienkę i zsunął mi ją z ramion razem ze stanikiem. Na nagich piersiach poczułam falę chłodnego powietrza i zadrżałam, oparłam się o niego, a jego ręka powędrowała do moich piersi, usta do szyi, a język zaczął sunąć po wrażliwej skórze za uchem, wywołując kolejne dreszcze. Znów się przesunęłam, więc objął mnie wolną ręką w pasie i poprawił sobie na kolanach. Poczułam na pośladkach jego twardniejący członek i napałam na niego delikatnie. Marsten jęknął głucho i przesunął wargi na moje ucho.

- Powiedz mi, co widzisz - szepnął.

Kiedy się zawahałam, położył mi wolną rękę na nodze, podciągnął sukienkę i zaczął drażnić palcami wewnętrzną stronę mojego uda. Przesunął palcem wzdłuż brzegu

majtek, a potem wsunął go pod nie. Rozchyliłam nogi, żeby go wpuścić, ale on tylko mnie drażnił.

- Powiedz mi - powtórzył.

- To... polowanie.

- Mm. - Chichot i pomruk. - Nie ma jak polowanie. Co widzisz?

Powiedziałam mu, na początku opornie wyrzucając słowa, potem coraz szybciej, kiedy jego palce wsunęły się we mnie i poruszały wprawnie, a on przycisnął się do nie, zachęcając mnie, kiedy zwalniałam, podsycając moim podnieceniem swoje. Kiedy lwica skoczyła na ofiarę, poczułam pierwszą falę orgazmu...

Marsten przestał nagle.

- To ciągle nie ja, prawda?

- C-co?

Przesunął ustami po mojej szyi.

- To strasznie próżne z mojej strony, ale jeśli mam cię , uwieść chcę być źródłem twojego podniecenia, a nie tylko biernym odbiorcą.

- Nie wydajesz mi się wcale taki bierny.

Roześmiał się, ale pokręcił głową z palcami na moim udzie.

Odwróciłam głowę, żeby na niego spojrzeć.

- A więc zostawisz mnie w takim zawieszeniu?

Zawahał się, a potem pokręcił głową.

- To nie byłoby uprzejme z mojej strony, prawda?

- Wcale.

- Hm.

Ciągle nie mógł się zdecydować, szarpał za brzeg moich majtek.

- No i...? -spytałam.

- Usiłuję podjąć decyzję...

- Ja się zgadzam.

Roześmiał się.

- Wątpię i wątpię, żebyśmy mieli na myśli to samo pytanie.

- To znaczy...?

- Kontrola. Na przykład: jak mogę ci dogodzić, a jednocześnie nie dogodzić sobie z tobą.

Wstałam, po czym usiadłam na nim okrakiem, obejmując go rękami za szyję.

- A co, jeśli sama ci to zaproponuję?

Marsten mruknął z głębi gardła, wyciągnął po mnie ręce, przyciągnął do siebie, zadarł mi spódnice, a ja tymczasem zaczęłam rozpinać mu spodnie...

Rozległ się alarm, tak nagle i gwałtownie, że omal nie spadłam z jego kolan.

Rozejrzałam się. Z korytarza napływał dym. Przypomniałam sobie znów demona ognia, który sięgnął do wazy ze zwojami, a z palców leciały mu iskry. Kilka z nich musiało wpaść do środka i rozniecić ogień.

Z innych sal dobiegły nas krzyki ludzi, którzy usłyszeli alarm, poczuli dym i zareagowali tak, jakby budynek zamienił się w *Płonący wieżowiec*. Poczulałam pierwsze liźnięcie chaosu i zadrzałam, a potem odcięłam się od niego.

Marsten objął mnie ramieniem i przyciągnął znów do siebie stanowczym gestem, mrużąc cicho. Odwróciłam się przodem do niego, objęłam go rękami za szyję, poszukałam ustami jego ust i zaczęłam pławić się w cha-

osie narastającym wokół nas. Płonący budynek? Kogo to obchodziło? Musiałam ugasić znacznie pilniejszy pożar.

Marsten znów mruknął, tym razem bardziej ochryple, i oderwał ode mnie usta.

- Naprawdę żałuję, że to ja muszę podnieść tę kwestię, ale...

- W budynku się pali?

- Niestety.

Wsunęłam ręce pod jego koszulę.

- Jak szybko może spłonąć?

Wydał z siebie cichy, rozbawiony pomruk i przywarł do mnie.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie kusi, żeby to sprawdzić. Ale muszę pamiętać, że działasz pod wpływem czegoś innego.

- Czegoś innego niż ty, to chciałeś powiedzieć.

- To też.

- Próżność - zawyrokowałam i dźgnęłam go palcem w pierś.

Podniósł mnie w pocałunku mocnym, głębokim, splatającym języki i palącym w kroczu, a potem postawił na ziemię.

- Czas iść - powiedział i ruszył przez salę.

- Flirciarz.

Uśmiechnął się do mnie przez ramię.

- Chcę tylko, żebyś miała o czym myśleć, kiedy wreszcie znikną nam z drogi wszystkie przeszkody.

Doszliśmy do głównego korytarza i przekonaliśmy się, że jest pełen ludzi. Marsten zawahał się, po czym wziął

mnie za rękę i powiódł prosto w sam środek tłumu. Tłum poniósł nas ze sobą i zanim się zorientowałam, włosy targała mi chłodna, wieczorna bryza. Podniosłam głowę i dopiero wtedy, na widok gwiazd migocących w poświacie miasta, uwierzyłam, że naprawdę się udało.

Wydostaliśmy się. Byliśmy wolni.

Nawet jeśli Tristan i jego pomocnicy tu byli, będą patrzeć z przerażeniem, jak z muzeum wylewa się nieprzerwany potok białych koszul i czarnych marynarek, ale nigdzie nie będzie widać żółtej sukienki. Tłum był tak gęsty, że nawet gdybym nie zakryła sukienki, raczej i tak by mnie nie zauważyli.

Wozy strażackie i taksówki walczyły o miejsce przy chodniku, a ponad zgłębkiem imprezowiczów nawołujących zagubionych małżonków i przyjaciół unosiły się dźwięki syren i klaksonów. Kilku taksówkom udało się porwać paru pasażerów, a wkrótce potem policja zagroziła cały obszar.

Daliśmy się ponieść tłumowi na drugą stronę ulicy, gdzie taksówki już zmieniały szyki. Marsten nagle wzmocnił uścisk i uskoczył w bok, omal nie wpychając mnie na siwowłosą kobietę z balkonikiem. Popatrzyłam na niego, ale nagle przez wrzawę przedarł się głos.

- Hope? Hope!

- Nie oglądaj się - mruknął mi do ucha i poprowadził nas w kolejne skupisko ludzi. - Udawaj po prostu, że nie...

- Hope?

Douglas wepchnął się między jakąś parę. Uśmiechnął się do mnie. Stałam przed nim przemoczona, z rozwia-

nymi włosami, ubrana w marynarkę, zbiegła z płonącego budynku, ale on tylko się uśmiechnął, jakbym właśnie wróciła od stołu.

- Bairdowie zaprosili nas na drinka - powiedział.

Gapiłam się na niego, jego słowa nie docierały do mnie i byłam pewna, że się przesłyszałam i jakimś cudem harmider wokół nas zamienił: „O Boże, nic ci nie jest?” w zaproszenie na pożarowe afterparty.

- Mu-mszę iść - wydusiłam wreszcie. - Ga-gazeta. Pożar. Muszę...

- Ach, musisz to opisać, tak? - Uśmiechnął się i puścił do mnie oko. - Za przyczynę podałbym samospalenie.

- Myślałam raczej o demonach ognia - mruknęłam.

- Jasne. To inna sprawa. Nie będę cię więc zatrzymywał. Baw się dobrze i się nie przepracowuj.

Marsten pociągnął mnie znów do tyłu, a Douglas zaczął przeciskać przez tłum. Doszliśmy do chodnika, Marsten zatrzymał młodego mężczyznę i wepchnął mnie przez otwarte drzwi taksówki, po czym sam wgramolił się do środka i zatrzasnął za nami drzwi.

Popatrzył na mnie.

- Twój adres?

Podalam go.

Do kierowcy odezwał się jednak słowami:

- Proszę jechać na wschód.

- Ale Riverside jest przy rzece - powiedziałam. - Czyli na północ.

Marsten nie wyprowadził kierowcy z błędu, ale tylko podniósł szybę pomiędzy przednimi i tylnymi siedzeniami i zapiął pas.

- Dla bezpieczeństwa powinnaś spędzić noc gdzie indziej. Może u matki? Jest w mieście?

- Tak, ale jeśli coś mi grozi, na pewno nie będę jej wplątywać, bez względu na to, czy ryzyko jest duże, czy nie.

- Przyjaciółka, rodzeństwo, kuzyni...

Pokręciłam głową.

- To samo. To mój problem, więc póki go nie rozwiążę, nie chcę ich w to mieszać. Powinniśmy znaleźć jakiś hotel albo motel pod miastem i odpocząć trochę, zanim wymyślimy, jak to rozwiązać, bo Tristan raczej nie da za wygraną i nie odpuści.

- Nie. No dobrze. Znajdziemy hotel, a ja się upewnię, że jest bezpieczny. A jak wrócę...

- Wrócisz? A gdzie się wybierasz?

Poklepał się po kieszeniach, w których miał klejnoty.

- Muszę się tym dziś zająć. Nie powinno mi to zabrać więcej niż godzinę...

- Akurat wystarczy, żeby wysledzić Tristana i go zabić. - Kiedy Marsten odwrócił się do mnie gwałtownie, powiedziałam: - Może i jestem niemądra, ale nie tak głupia, a po tym wieczorze już nie taka naiwna. Można to zakończyć, tylko zabijając Tristana, więc to właśnie chcesz zrobić. Dlatego powiedziałeś, że „później” odzyskasz moją bransoletkę, później, czyli jak opuścisz budynek, a potem wrócisz po Tristana.

Zawahał się i przyglądał mojej twarzy, a po chwili kiwnął głową.

- Już dwa razy próbowałem się usunąć, ale on nie chciał tego tak zostawić. I chociaż nie lubię zawracać so-

bie głowy kimś takim jak Tristan Robard, nie mogę znów odejść.

- Dlatego poprosiłeś o mój adres, prawda? Bo sądzisz, że on tam właśnie się uda. Bo teraz to ja jestem największym zagrożeniem, mogę powiadomić Zgromadzenie o jego ponadprogramowej działalności.

Marsten przytaknął.

- Cóż, wiesz, że nie pojedę do żadnego hotelu. – Uniosłam rękę, żeby uprzedzić jego sprzeciw. - Czy jak dotąd ci zawadzałam?

- Nie, ale...

- I nie będę. Nie mam szans... - Pokręciłam głową. - Umówmy się, że nie będę już więcej wystawiać się na pośmiewisko ani narażać ciebie i ci przeszkadzać. Ale Tristan chce mnie, a jeśli pokażesz się w moim domu sam, będzie wiedział, że coś się święci.

Przez chwilę tylko mierzyliśmy się wzrokiem, potem jednak kiwnął głową i podał kierowcy mój adres.

12

Mieszkam w domu wychodzącym od tyłu na rzekę i otoczonym parkiem. Nietypowa kwatery dla dwudziestoparoletniej reporterki brukowca. Oficjalnie dom jest własnością mojej matki. Mówię „oficjalnie”, bo od strony formalnej należy właśnie do niej... choć to kwestia dyskusyjna.

Mama kupiła ten dom, kiedy byłam na dziennikarstwie, niedaleko stąd. Twierdziła, że to inwestycja, ale kiedy skończyłam szkołę, postanowiła mi go oddać. Uniwersytet to była prawdziwa walka - nie pod względem naukowym, ale osobistym, bo miałam wtedy najgorszy okres w swoim życiu, musiałam stawić czoło swoim demonicznym mocom. Myślę, że dom był prezentem od mamy z okazji ukończenia studiów... a także nadzieją na stabilizację dla córki, która boleśnie jej potrzebowała.

Uwielbiałam ten dom, uwielbiałam jego okolice, uwielbiałam swój przepiękny „ogród” nad rzeką z jego krętymi leśnymi ścieżkami - moim schronieniem, ilekroć go potrzebowałam, a bywało tak raczej często. Zgodziłam się więc tam zamieszkać w roli swoistego zarządcy nieruchomości, dbać o budynek i opiekować się inwestycją mamy. Nie zgodziłam się jednak na przeniesienie aktu własności i uparłam się, że będę pokrywać wszystkie opłaty i koszty utrzymania - chociaż sam podatek od nieruchomości mógł mnie nieomal zrujnować. Dzięki Bogu miałam dwa etaty.

Dwa etaty? Kiedy taksówka wysadziła nas na trawniku, spojrzałam na swój ukochany dom i uświadomiłam sobie, że nie pracuję już na dwa etaty, a przypuszczalnie nawet nie na jeden.

Oczywiście matka mogłaby mi pomóc i opłacić rachunki - i chętnie by to zrobiła. Ale ja naprawdę nie chciałam do tego dopuścić.

Zafundowałam mamie wystarczająco dużo bezsennych nocy, starczy jej na całe życie. Często mnie zastanawiało, czy w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że moje problemy wynikały z tego, co kiedyś zrobiła, z tego krótkiego, poroz-

staniowego spotkania, za które nikt nie mógł jej winić. Nawet jeśli nie rozumiała prawdziwej natury moich kłopotów, myślę, że i tak czuła się winna, a tego nie chciałam. Chciałam być silna, niezależna i usatkwowana, móc ją zapraszać na obiad, za który sama zapłacę, i mówić: „Widzisz, mamo, dobrze sobie radzę”. I udało mi się to osiągnąć, naładować pewnością siebie, którą zapewniała mi praca dla rady.

- Lepiej wejdźmy do środka - szepnął Marsten, kiedy taksówka odjechała.

Rozejrzał się dokoła, płatki jego nosa rozchylały się, ciało było napięte, jakbyśmy właśnie wpadli w pułapkę... i pewnie właśnie tak było. To zdecydowanie niewłaściwy czas, żeby zamartwiać się zgliszczami, jakie zostały z mojego życia. Jak będzie po wszystkim, powinnam chyba być wdzięczna, że w ogóle mam jeszcze jakieś życie do odbudowania.

- Niezłe zabezpieczenia - szepnął Marsten, kiedy oryglowałam podwójny zamek. - Czy pozostałe drzwi i okna...?

- Też są antywłamaniowe. W każdym pokoju jest też czujka ruchu. Moja mama jest bojaźliwa.

Szybko poszłam wyłączyć alarm. Cały czas działał. Gdyby Tristan był tu przed nami, przepłoszyłby go widok zabezpieczeń. Sąsiedzi w tej okolicy raczej nie ignorowali wyjącego alarmu. Woleli poczekać, aż sami odłączymy system.

- Co teraz? - spytałam, kiedy Marsten otwierał drzwi wejściowe.

- Zapal kilka lamp i trzymaj się z dala od okien. Czy tam z tyłu jest otwarta przestrzeń?

- Park - powiedziałam. - A właściwie las.

- Dobrze. W takim razie tam spróbuję go dorwać. Z dała od zabudowań. Zostaniemy tu trochę, damy mu czas na dojazd i na wejście do domu. Potem zmienię strój i wywiodę go do lasu.

- Zmienię strój? - Na usta już cisnęły mi się słowa: Ale nie mam dla ciebie nic innego do ubrania, gdy nagle zdałam sobie sprawę, co miał na myśli. - Zmienisz się w wilka?

Kiwnął głową.

- Zdecydowanie najlepszy sposób na załatwienie tego typu spraw. Łatwiej węszyć, łatwiej walczyć i... - Uśmiechnął się szybko.
- Łatwiej się zamaskować, gdyby ktoś mnie zobaczył.

Pstryknęłam światło w salonie i w przedpokoju.

- A co z telewizorem? - spytałam. - Też włączyć?

Uniósł brwi.

- Wymknęliśmy się śmierci, schroniliśmy się w twoim domu... i mamy oglądać telewizję?

- A czego będzie spodziewał się Tristan? - Podążyłam za jego spojrzeniem na schody prowadzące na drugie piętro. - Ach, no tak. Że będziesz chciał się przespać.

- I pewnie na tym się skończy - mruknął. - Chyba że podpalę dom. Jednak z punktu widzenia Tristana, mamy za sobą straszny wieczór, uratowałam ci życie...

- Tak?

- Tak się umówmy. Zabierasz mnie na górę...

- Ach tak, seks z wdzięczności - zamilkłam. - Ale gdybym naprawdę chciała się z tobą kochać z wdzięczności, nie ciągnęłabym cię na górę. Pewnie nie udałoby się nam

nawet przejść przez próg. Popchnęłabym cię tylko na ścianę, rzuciła na kolana...

Przerwał mi z głuchym pomrukiem.

- Proponuję, żebyś przystopowała w tym miejscu, chyba, że chcesz wcielić ten plan w życie.

- Ależ wcieliłabym go w życie... gdybyś mi je ocalił. - Odwróciłam się od barierki i weszłam na schody. - Ale ty i tak byś mi na to nie pozwolił. Zero seksu, dopóki to ciebie nie pragnę, pamiętasz? Zero seksu pod wpływem chaosu. Zero seksu z wdzięczności. To twoje zasady.

Mrukną coś i ruszył za mną po schodach.

Posłuchałam sugestii Marstena i pierwsze, co zrobiłam, to zdjęłam sukienkę... co w rzeczywistości nie wyglądało aż tak interesująco. Jak słusznie zauważył, szpilki i zmysłowa żółta sukienka nie są najlepszym strojem dla nocnego komandosa. Marsten sprzątał, a ja w tym czasie włożyłam dżinsy, podkoszulek i adidas. Potem przeszliśmy do mojej sypialni. Tak, mam oddzielną garderobę. Dom ma trzy sypialnie - usiłuję tylko efektywnie gospodarować przestrzenią. Naprawdę.

Weszłam do swojej ciemnej sypialni i zapaliłam światło, po czym się skrzywiłam.

- Przepraszam - powiedziałam. - Mam bałagan. Nie spodziewałam się towarzystwa.

- Biedny Doug. - Marsten podszedł do niezaścielonego łóżka, rzucił się na nie i podskoczył na nim na próbę. - Chyba nie za często z niego korzystasz.

- Jestem wybredna. Przykro mi.

Drapieżny uśmiech.

- Niepotrzebnie. Lubię wybredne. – Podciągnął się na nogi. - A właściwie nie, zwykle nie lubię wybrednych, ale tym razem chyba lubię.

Zerknął przez okno, a potem objął mnie w pasie, nachylił się i pocałował. To był powolny pocałunek, lekki i zrelaksowany, bez wprawy i artyzmu włożonego w nasz pierwszy.

- Rozstawiasz scenografię? - mruknęłam i kiwnęłam w stronę okna.

- To dobra wymówka. - Znów mnie pocałował, a potem westchnął. - Naprawdę jesteś odporna, co?

- Odporna? - Dostrzegłam jego spojrzenie i przewróciłam oczami. - Daruj sobie. Naprawdę jesteś próżny, co?

- Już się do tego przyznałem. Nic na to nie poradzę, przywykłem, że odwzajemnia się moje zainteresowanie.

- Aha.

- Nawet mi się nie zrewanżujesz?

Cofnęłam się i usiadłam na brzegu łóżka.

- Dlatego, że mówisz, że jestem dla ciebie atrakcyjna mam postawić sobie za punkt honoru prawienie ci komplementów? No dobrze, owszem, masz pewien urok.

Skrzywienie ust.

- Aha.

- Nie wystarczy? No dobrze, spróbuję jeszcze raz. Myślę, że jesteś najbardziej boskim facetem, jakiego widziałam, i z trudem trzymam łapy przy sobie... no, wszystko wygląda trochę inaczej, kiedy w pobliżu jest mocne źródło chaosu.

Jęknął, przyciągnął mnie do siebie i znów pocałował.

- Wystarczy - powiedziałam i wyslizgnęłam się z jego objęć. - Przyznałam, że jesteś...

- Uroczy.

- Powiedziałaś, że masz swój urok.

- To znaczy, że uważasz, że jestem uroczy.

- Nie, no tak, jesteś uroczy, ale wcale nie to uważam za urocze.

Roześmiał się i pokręcił głową.

- No dobrze, w takim razie uważasz, że jestem atrakcyjny.

- Owszem, jesteś, ale nie, nie to uważam za szczególnie atrakcyjne.

Odsłonił zęby w przelotnym uśmiechu i podszedł bliżej.

- Mój dowcip?

Cofnęłam się i wzruszyłam ramionami.

- Dość dowcipny, ale nie aż tak, jak ci się wydaje.

- Auć. - Uśmiechnął się niemal z autoironią. - No to musi chodzić o mój niezaprzeczalny dobry gust.

- Bo umiesz wybrać porządny smoking? – Parsknęłam. - A do wyboru masz jeden kolor i jakieś dwa czy trzy kroje.

Udał, że jest zaszokowany.

- Chcesz powiedzieć, że nie uważasz, że jestem nieodparcie wytworny, czarujący...

- Tam, gdzie dorastałam, chłopcy uczyli się wytwornych manier już w kołysce.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- A więc bez względu na to, co ci się we mnie podoba, nie ma to nic wspólnego z tym... - Ogarnął ruchem ręki swoją postać. - Z moim niezwykle gustownym wizerunkiem.

- Nie. Przykro mi.

- To dobrze.

- Dobrze?

- Bardzo dobrze.

Zamknął mi usta pocałunkiem. Wtedy przeszły mnie dalekie wibracje.

- Już są - szepnęłam.

Marsten wyrwał przez okno, zasłaniając mnie swoim ciałem i przyglądając się ciemnej ulicy.

- Są po drugiej stronie ulicy - mruknął i odwrócił się z powrotem do mnie. - Pewnie dopiero przyjechali. Na trzy odwracamy się i rzucam cię na łóżko.

Tak zrobił. Kiedy tylko spadłam na materac, przeturlałam się na koniec łóżka i opuściłam na podłogę. Marsten zrobił to samo. Wyczołgaliśmy się na korytarz, na dół po schodach i do tylnych drzwi, w samą porę chowając się za kuchennymi szafkami, bo już rozległy się pierwsze kroki na tyłach. Strażnik sprawdził drzwi, zajrzał do środka i odszedł.

- Szybko - mruknął Marsten. - Zaraz wrócą. Tedy najlepiej się im włamać.

Wyślizgnęliśmy się przez drzwi i nacisnęłam klamkę, żeby znów zamknąć je na zamek. Ale Marsten złapał mnie za rękę.

- Chcemy, żeby wiedzieli, że tędy wyszliśmy – szepnął.

Pokonałam pochyloną trasę między krzakami, drzewem i altanką, prowadząc go przez swój maleńki ogródek, a potem w dół niewielkiego wzgórza do pobliskich lasów. Marsten znalazł dla mnie kryjówkę. Upewnił się, że mam pistolet, i ostrzegł, żebym pod żadnym pozorem nie ruszała się z miejsca. Potem podał mi wizytów-

kę z portfela i powiedział, że jeśli nie wróci za godzinę, mam pójść w jakieś publiczne miejsce, zadzwonić pod ręcznie wypisany numer i o wszystkim opowiedzieć.

Chwilę później już go nie było.

Zostałam sama. Chociaż chowając się w krzakach, czułam się bezsilna, wiedziałam, że gdybym starała się pomóc, naraziłabym nas tylko na pewniejszą śmierć. Ukryłam się więc i zaczęłam nasłuchiwać.

Słuchałam, jak wśród ciężkich kroków i gardłowych pomruków Tristana i jego pomocników milknie delikatna kołysanka nawoływań świerszczy i żab. Słuchałam, jak pomruki ustępują rozkazom i przekleństwom. Słuchałam, jak dudniące kroki rozdzielają się i podrywają do biegu. Słuchałam, jak noc rozdziera krzyk, który urwał się wraz z błysnięciem kłów.

Tym razem to nie moja wyobraźnia wyrabiała nadgodziny. Naprawdę widziałam błysk tych kłów, czułam zapach wypadających wnętrzności, czułam gorącą krew rozbryzgującą się mi na twarzy, ale te wizje nie przyniosły nawet przez chwilę cudownej rozkoszy chaosu. Z każdym okrzykiem, z każdym wrzaskiem, z każdym stłumionym wystrzałem z pistoletu zyskiwałam pewność, że Marsten został ranny. Wizja śmierci nawiedziła mnie dwukrotnie, ale ciągle słyszałam uderzenia wielu stóp i głosy. Mój Boże, ilu ich było? Jak on w ogóle...

Kolejny strzał. A po nim odgłos, który złamał moje postanowienie: przesywający skowyt bólu.

13

Wyszłam z ukrycia, ale powstrzymałam chęć, by rzucić się na oślep w kierunku hałasu, w stronę triumfalnych śmiechów. Złapałam mocno pistolet i zaczęłam przemykać chyłkiem w cieniu, aż doszłam wystarczająco blisko, żeby zobaczyć snop światła latarki przecinający ciemny las. Światło zatrzymało się, a ja podążyłam za nim wzrokiem.

Na końcu oświetlonego pasa leżała czarna sterta nieruchomego futra. Obok niej stał strażnik z opuszczoną bronią.

O Boże. Boże, nie...

Wśród futra coś błysnęło, w świetle latarki Tristana odbiło się niebieskie oko. Skierowało się w bok i podążyło za Tristanem. Zrobiłam kolejne trzy kroki, aż ciemne futro zamieniło się w potężnego wilka, który leżał na brzuchu z pochyloną, ale nie opartą na ziemi głową, ze skulonymi uszami i obnażonymi zębami, i obserwowałam nadchodzącego Tristana. Futro na ramieniu Marstena było zmierzwiłone od krwi. Strażnik celował w jego głowę, a ja nie potrafiłam stwierdzić, czy Marsten leżał ze względu na ten pistolet, czy ze względu na to, że był zbyt poważnie ranny, żeby się podnieść.

- Hope!

Głos Tristana rozległ się tak głośno i niespodziewanie, że aż podskoczyłam. Zdradził mnie tylko leciutki szelest suchych liści, ale Marsten i tak zastrzygł uchem w moją stronę. Poruszył nozdrzami. Potem warknął cicho, a ja wiedziałam, że to warczenie było skierowane do

mnie. Równie wyraźnie jakby krzyczał, chciał mi dać do zrozumienia: Wynoś się stąd, do cholery.

- Hope! - zawołał znów Tristan. - Wiem, że tam jesteś,

Marsten odwrócił gwałtownie pysk, kiedy zaszeleściły krzaki po drugiej stronie polany. W ciemności pojawił się czubek czyjejś głowy. Tristan kiwnął na strażnika, żeby został przy Marstenie.

- Hope! Nie wydaje ci się, że już dość dzisiaj narozrabiałaś? Dwóch zabitych i jeden w kolejce? A wszystko dlatego, że nie potrafiłaś zrobić, co do ciebie należy, i złapać jednej osoby, do tego złodzieja. Czy nie do tego się zobowiązałaś? Że będziesz nam pomagać usuwać takie męty jak Karl Marsten?

Kiedy Tristan usiłował poczuciem winy zmusić mnie do zdradzenia swojej kryjówki, rozejrzałam się w poszukiwaniu lepszej pozycji. Nie miał zamiaru wypuścić Marstena - bardziej chodziło mu o to, żeby się na nim zemścić, niż o to, żeby mnie uciszyć - więc nie byłam aż taka głupia i nie przeszło mi nawet przez myśl, żeby mu się pokazać. Marsten żył i będzie żył, dopóki Tristan mnie nie dopadnie.

Gdybym tylko znalazła sobie lepsze miejsce, z lepszym widokiem, mogłabym jakoś pomóc Karlowi. Ciągle miałam pistolet.

No tak, pistolet... broń, z której nigdy nawet nie skorzystałaś.

Co za różnica. Był to jednak jakiś plan, innego nie miałam.

Kiedy Marsten szukał kryjówek, zawsze pilnował, żebym miała osłonięte plecy. Jeśli nie masz osłoniętych

pleców, każdy może się do ciebie podkraść od tyłu. Gdzie zatem mogłabym bezpiecznie...?

Podniosłam głowę. Drzewa.

Kiedy Tristan znów mnie zawołał, podbiegłam do najbliższego pnia, złapałam się najniższej gałęzi i przywołam swojego wewnętrznego urwisa. Po kilku minutach leżałam na brzuchu na grubym konarze jakieś dwa metry nad ziemią. Idealnie. W ciemności ktoś mógł przejść dokładnie przede mną.

- Hope! Masz trzydzieści sekund na to, żeby się pokazać, albo wpakuję kulkę w łeb temu kundlowi.

Tak, jasne. Odetniesz sobie jedyną drogę, żeby się do mnie dostać. Akurat.

Mój widok na polanę nie był zbyt doskonały. Widziałam głowy i tułowia, ale nic poniżej pasa, Marstena też nie. Posunęłam się dalej na gałęzi. Och, tam był, ciągle u stóp pomocnika, z zadartą głową patrzył spode łba na Tristana.

Tristan podszedł do niego i opuścił lufę pistoletu. Marsten cały się spiął. Strażnik położył mu nogę na karku, żeby go przytrzymać, ale zrobił to bez przekonania. Wszystko aż się we mnie skręciło, kiedy zdałam sobie sprawę, że Marsten był poważnie ranny – musiało tak być, skoro strażnik tak nieostrożnie z nim postępował.

- Hope? Ostatnia szansa.

Palec Tristana przesunął się na cyngiel i chociaż powtarzałam sobie, że to tylko podstęp, że wcale nie zamierzał pociągnąć za spust, te zapewnienia zmywała fala zwątpienia. Tristan pragnął śmierci Marstena, nie wyjdzie z tego lasu, dopóki go nie zabije, więc czemu nie miałby zrobić tego teraz...

- Zaczekaj! - wyrzuciłam z siebie, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Tristan uśmiechnął się i opuścił pistolet.

- Grzeczna dziewczynka.

Jezu Chryste. I co teraz? Siedź na miejscu i myśl. Szybko. I graj na zwłokę.

- Chcę negocjować - powiedziałam. – Popełniłam błąd.

- Tak, Hope, popełniłaś.

Tristan opuścił broń i skinął na jednego ze strażników, żeby spróbował wyśledzić, skąd dochodzi mój głos.

- E-e. Nie wyjdę. Jeszcze nie teraz.

Tristan kiwnął brodą, pokazując strażnikowi, żeby wycofał się tyłem.

- I nie każ mu się do mnie podkradać - zawołałam, mój głos niósł się w ciszy. - Wyczuję go, wiesz o tym? Jeśli się zbliży, zrobię to, czym grozisz Karlowi. Wpakuję mu kulkę w łeb.

- Ach, kulkę - powiedział Tristan ze śmiechem. – Z twojego pistoletu, jak sądzę. - Sięgnął do kieszeni. - Może z tego?

Odkręciłam tłumik i strzeliłam z pistoletu strażnika w ziemię.

- Nie, z tego.

- A więc masz pistolet. Wspaniale. Byłoby jeszcze lepiej gdybyś umiała go używać. Ale nie uczą strzelania na zajęciach dla niedosłyszących pisarek, co?

Roześmiałam się.

- Naprawdę sądzisz, że dałabym sobie wcisnąć pistolet i nie nauczyła się go obsługiwać? Jestem zapaleńcem,

Tristan, pamiętasz? W godzinę po tym, jak dostałam od ciebie pistolet, byłam już na strzelnicy. I owszem, w klubie West Hills jest strzelnica. Doskonała. Spodobałoby ci się tam... o ile by cię wpuścili.

Tristan cały zeszytywniał. Trafiłam w słaby punkt, co? Gdybym tylko miała pomysł, jak to wykorzystać...

- Popęłniłam błąd - powiedziałam. - Karl mnie oszukał.

Tristan się uśmiechnął.

- Chyba raczej oczarował.

- Nie, okłamał mnie. - Rozejrzałam się dookoła, gadając byle co i jednocześnie szukając ratunku dla Marstena. - Powiedział, że nie pracuję dla rady. Powiedział, że pracuję dla Zgromadzenia.

Jeden ze strażników rzucił Tristanowi zdezorientowane spojrzenie i szepnął:

- Dla Zgromadzenia?

Nie wiedzieli...

Dwaj poprzedni strażnicy byli zaznajomieni z planami Tristana, ale ci nie mieli pojęcia, o czym mówię. Marsten twierdził, że Tristan chciał się zemścić z pobudek osobistych i Zgromadzenie nigdy by nie pochwaliło morderstwa. Dwaj poprzedni strażnicy o tym wiedzieli, dorabiali na boku razem z Tristanem. Ale ci dwaj nie wiedzieli. Ciekawe.

Znów się odezwałam:

- Nie wiem, co chcesz zyskać, zabijając mnie, Tristan. - Wyciągnęłam wizytówkę, którą dał mi Marsten. - Dzwoniliśmy już pod...

Zerknęłam spod zmrużonych powiek na wizytówkę. Wcześniej tylko odnotowałam nazwisko - Cortez – a pa-

miętałam też, jak Marsten mówił, że pracował dla syna Benica Corteza, dla tego, który nie należał do Zgromadzenia. Więc tego imienia się spodziewałam. Ale kiedy zobaczyłam, co naprawdę było tam wydrukowane, serce zabiło mi mocniej.

Odrzuciłam wizytówkę. Ręcznie wypisany numer telefonu. O Boże, czy był prawdziwy? A co, jeśli nie?

- Hope? Mówiłaś coś?

Miałam już oświadczyć, że zadzwoniłam do człowieka z wizytówki i powiedziałam mu o wszystkim. Ale to by nic nie dało. Gdybym rzeczywiście do niego zadzwoniła, tych ludzi by tu nie było.

Myśl... myśl...

- Dla kogo tak naprawdę pracuję, Tristan? - spytałam. - Kto zlecił tę robotę?

Tristan spojrział słoszony na swoich pomocników.

- Zgromadzenie Corteza, Hope. Sama już to powiedziałaś.

- Tak, ale... mam mętlik w głowie. Wy dwaj. Kiedy wezwał was Cortez, jaką zbrodnię Karła podał?

Strażnicy spojrzeli po sobie.

- Moment - powiedziałałam. - To nie Cortez wydał rozkaz, co? Rozkaz wyszedł bezpośrednio od Tristana. A zatem o jakiej zbrodni Karła mówił?

- To złodziej - wycodził Tristan przez zęby, wpatrując się jednocześnie w las, jakby chciał namierzyć mój głos.

- No, dobrze... ale był złodziejem przez całe życie, prawda? A przed nim jego ojciec. A teraz, ni z tego, ni z owego, Cortez stwierdza nagle, że trzeba go z tego powodu zabić? Zaraz po tym, jak Karl wstępuje do Watahy.

Zaraz po tym, jak Wataha dołącza do rady międzyrasowej. Czy mamy tu do czynienia z jakimś kryzysem dyplomatycznym? Myślałam, że Cortez bardziej uważa z takimi rzeczami.

Strażnicy odwrócili się do Tristana ze zmrużonymi oczami, ciągle jednak oczekując od niego jakiegoś logicznego wytłumaczenia.

- Ja nie kwestionuję wydawanych mi rozkazów - powiedział Tristan.

- Może, ale ja tak. Zadzwońię do Corteza. Mam jego wizytówkę. - Odczytałam numer, żeby wiedzieli, że mówię prawdę. - I chociaż na pewno połączę się z jakimś lokajem, pewnie zaoszczędzę trochę czasu, jak skorzystam z numeru z drugiej strony wizytówki. Numeru samego Benicia Corteza.

- Skąd ona ma... - zaczął jeden ze strażników.

- Nie ma, ty... - Tristan zdusił obelgę. - Gra na zwłokę. Ty chyba naprawdę jesteś małą, naiwną dziewczynką, co Hope? Skąd wzięłaś numer Benicia Corteza? Z książki telefonicznej?

Drugi pomocnik zarechotał, ale pierwszy wyjął komórkę.

- Dobra - powiedział. - Podaj mi numer, a ja zadzwonię.

Tristan uśmiechnął się w moim kierunku.

- Tak, Hope. Podaj mu numer.

Powstrzymałam chęć, żeby wyrecytować szybko numer, a zamiast tego wydukałam cyfry, jakbym wymyślała je na poczekaniu. Skąd Marsten miał ten numer? A co jeśli ktoś mu go dał dla żartu? Zerknęłam na niego z góry, żeby wy badać reakcję, ale powieki mu opadały, jakby z trudem zachowywał przytomność.

Moje wahanie, kiedy dyktowałam numer, wywołało uśmiech na twarzy Tristana i nie starał się nawet powstrzymać strażnika, oparł się tylko o drzewo i czekał porażkę.

Strażnik wybrał numer i dziesięć sekund później podniósł głowę.

- Pan Cortez?

Tristan zachichotał i pokręcił głową.

- Mówi Bryan Trau - powiedział strażnik. - Agent specjalny, jednostka siedemnasta. Przepraszam, że pana niepokoję, ale mamy mały problem.

Tristan poderwał się tak szybko, że omal się nie przewrócił. Wyciągnął rękę i pokazał strażnikowi, żeby oddał mu telefon, strażnik jednak tylko się odsunął. Tristan sięgnął po broń, ale przystopował, bo drugi strażnik uniósł pistolet z wyraźną groźbą.

Strażnik wyjaśnił sytuację, a ja mogłabym przysiąc, że widziałam, jak Tristan się poci. Skończył mówić, wysłuchał kogoś, powiedział: „Tak, proszę pana”, i wyciągnął rękę z telefonem.

- Pan Cortez chciałby z tobą porozmawiać.

Tristan zrobił krok w tył i wyglądał tak, jakby był gotów rzucić się do ucieczki. Nagle jego wzrok padł na Marstena i w tym samym momencie musiało do niego dotrzeć, że to jedyny sposób, żeby się z tego wywinąć – wyeliminować jedyną osobę, która mogłaby potwierdzić całą tę historię. Uniósł pistolet.

Rozległ się strzał.

Nie myślałam. Zeskoczyłam z drzewa. Kiedy zaczęłam spadać, mój mózg krzyknął: „Ty idiotko!”, i zobaczyłam,

że w ręce ciągle trzymam pistolet. Udało mi się odrzucić go na bok, zanim wylądowałabym na nim i strzeliła sobie w brzuch.

Uderzyłam mocno o ziemię, ale się pozbierałam, złapałam pistolet i pobiegłam. Kiedy dobiegałam do polany usłyszałam:

- Tak, proszę pana. - Cisza. - Nie żyje.

Wpadłam na polanę i zobaczyłam strażnika klęczącego przy jakimś ciele. Ciele Tristana. W ręce trzymał pistolet.

- Tak, proszę pana, to ja. Powiedział pan, że wykona jakiś ruch... - Cisza, po czym strażnik pokiwał głową i spojrzał na mnie. - Już tu jest.

Strażnik wyciągnął do mnie telefon. Zawahałam się i wzięłam go od niego.

- Czy to ta młoda kobieta, która była z Karlem? - spytał jakiś głos. Przyjemny głos. Spokojny i uważny, jakby męczyzna wcale nie został obudzony w środku nocy.

Zadał mi kilka pytań na mój temat, spytał, czy jestem ranna i co się wydarzyło, mówił łagodnym, ale zaniepokojonym głosem, niemal dobrotliwym, nie takim, jakiego spodziewałabym się po głowie najpotężniejszego Zgromadzenia. Po zadaniu kilku pytań, powiedział:

- Ma pani za sobą bardzo długi wieczór i przykro mi, że musiała pani przez to wszystko przejść, ale mogę panią zapewnić, że pan Robard przekroczył swoje uprawnienia. Ponieważ jednak był moim pracownikiem, biorę na siebie pełną odpowiedzialność za jego zachowanie i zrobię, co w mojej mocy, żeby naprawić tę sytuację, a najpierw zapewnię opiekę Karlowi. Czy jest ciężko ranny?

O Boże, byłam tak zszokowana, że nawet tego nie sprawdziłam. Rzuciłam przeprosiny i podbiegłam do Marstena. Był już tam drugi strażnik i doglądał nieprzytomnego. Marsten został postrzelony w ramię i cały bok miał mokry i lepki. Przez ten czas, kiedy tu leżał, musiał ciągle tracić krew.

Pan Cortez zapewnił mnie, że lekarz z jego oddziału regionalnego zaraz będzie w drodze. Potem rozłączył się, żebym mogła pomóc strażnikowi założyć opaskę uciskową na ranę Marstena i czekać.

14

Strażnicy zabrali Marstena do mnie do domu i zostawili mnie tam z nim, żebym zaczekała na przybycie lekarza, sami zaś wrócili na polanę, żeby ją uprzętać. Nie zdążyli wyjść nawet z ogrodu, kiedy zjawił się lekarz. Oczyszczył i opatrzył ranę, zostawił antybiotyk i środki przeciwbólowe i powiedział mi, żebym zadzwoniła, jeśli stan Marstena się pogorszy.

Dwaj strażnicy wstąpili w drodze powrotnej, żeby mnie powiadomić, że wszystko posprząтали. Przynieśli mi też coś - moją torebkę, którą Tristan zostawił w samochodzie. Ciągle była w niej bransoletka, a także portfel i pistolet. Wszystko jak trzeba, tak jak obiecał Cortez.

Zostawiłam Marstena w salonie na kocu. Znalazłam drugi koc i go nakryłam. Marsten wyglądał oczywiście

absurdalnie, potężny wilk na podłodze w salonie z różwo-białą dzierganą chustą wepchniętą pod pysk. Przynajmniej nie przyniosłam mu poduszki... chociaż się nad tym zastanawiałam.

Położyłam się na kanapie nad nim i zamierzałam czuwać do czasu, kiedy się obudzi, ale w ciągu kilku minut sama zasnęłam.

Obudził mnie dźwięk odkręconej wody. Marstena nie było.

- Na gorze! - powiedział, kiedy go zawołałam.

Weszłam po schodach. Był w łazience, drzwi były lekko uchylone.

Zatrzymałam się kilka kroków przed nimi.

- Potrzebne ci ubrania. Zaraz ci...

- Już znalazłem i się ubrałem... prawie. A przynajmniej założyłem to, co z nich zostało. Ale gdybym mógł jeszcze... - mruknął. - Ten bandaż lepiej pasował, kiedy byłem wilkiem.

- Poczekaj, mogę...

Zaczęłam otwierać drzwi, ale się zatrzymałam, bo zdałam sobie sprawę, że może on nie chce mojej pomocy. Marsten otworzył kopniakiem drzwi na oścież i szybko narzucił koszulę.

Roześmiałam się.

- Czujesz się skrępowany? - Wskazałam ręką na koszulę. - W ubraniu nie będę ci mogła poprawić bandaża.

Zawahał się, po czym pozwolił koszuli opaść. Jego pierś i ramiona były upstrzone bliznami. Spiał się, jakby tylko czekał, aż coś powiem albo jakoś zareaguję. Wzię-

łam bandaż i jodynę z apteczki i zaczęłam poprawiać opatrunek.

- Zgromadzenie przysłało lekarza - powiedziałam. – Nie jestem pewna, czy dobrze się spisał. Nie wyglądał na takiego, co się zna na wilkołakach.

- W porządku. Znam kogoś, kto się zna. - Zerknął na mnie. - W takim razie nie wymyśliłem sobie tego. Skontaktowałaś się z Beniciem Cortezem.

Przytaknęłam.

- I takie są efekty. Tristan nie żyje, ty żyjesz, cały bałagan jest uprzątnięty, a Cortez obiecał zająć się ewentualnym skutkami ubocznymi. Co, oczywiście, kazało mi się zastanowić, dlaczego, skoro miałaś ten numer, od razu z niego nie skorzystałaś. Chyba znam odpowiedź, ale mam nadzieję, że się mylę.

- Pewnie się nie mylisz – mruknął.

Popatrzyłam na niego.

- Chociaż Cortez wydawał się taki miły, domyślałam się, że nie został tym, kim jest, odgrywając Świętego Mikołaja. Nie uprzątnął tego wszystkiego za nas w prezencie, prawda?

Marsten pokręcił głową.

- Jesteśmy jego dłużnikami. Nie powiedział tego, bo w takiej sytuacji byłoby to nie na miejscu, ale wystawi nam rachunek. - Potarł swoje ramię, poprawił bandaż i skrzywił się, po czym spojrzał na mnie. - Jak odrzuciłem ofertę Tristana, Benicio zjawił się u mnie i złożył mi propozycję osobiście. Był znacznie bardziej przekonujący...

- Groził ci?

Marsten się roześmiał.

- Benicio Cortez nie grozi. Wie, że lizak jest znacznie bardziej motywujący niż klaps w tyłek. Złożył mi lukratywną ofertę, a kiedy z pełnym szacunkiem ją odrzuciłem, w przeciwieństwie do Tristana przyjął to do wiadomości, ale dał mi swoją wizytówkę na wypadek, gdybym „potrzebował pomocy”.

- A teraz ja przyjąłem tę pomoc w twoim imieniu i przeze mnie masz dług do spłacenia. Boże, tak mi przykro...

- Gdybym nie chciał, żebyś skorzystała z tej propozycji, nie mówiłbym ci o niej. Mając do wyboru śmierć albo dług u Benicia Corteza, lepiej zostać z długiem, niezależnie od tego, jak nieprzyjemny może się okazać. W końcu upomni się o niego, ale na razie możesz wracać do swojego życia, do swojej pracy w gazecie, pod warunkiem że tego właśnie chcesz.

- Tak. - Usiadłam na brzegu szafki. – Chciałabym... może się oszukuję, że mogłabym robić coś na własną rękę...

- Nadal możesz monitorować i zgłaszać problemy. Tym razem prawdziwej radzie. Mają kogoś, kto robi dla nich coś takiego, inną reporterkę, i wiem, że przydałaby się jej pomoc.

Wzruszyłam ramionami, bo nie wiedziałam, czy to wystarczy ani czy mogłabym zaoferować coś więcej, jeśli w ogóle miałam cokolwiek więcej do zaoferowania.

Marsten stanął przede mną, nachylił się, położył mi ręce na biodrach i oparł się o szafkę.

- To na początek - mruknął. - Nie spiesz się, zacznij od tego. Obawiam się tylko, że jedyna wada to płaca...

A raczej jej brak. Prawdziwa rada to nie grupa siwowłosych filantropów. Większość delegatów jest niewiele starsza od ciebie, więc w dużej mierze ich działalność jest nieodpłatna.

- To nie ma znaczenia. Nigdy nie chciałam, żeby Tristan-mi płacił. Dostaję wystarczającą zapłatę... – urwałam i wzruszyłam ramionami. - No wiesz...

- W walucie chaosu.

Policzki mi zapłonęły.

- Wiem, że to brzmi okropnie, pomagać innym dlatego, że coś z tego mam...

Objął mnie i nachylił się bliżej.

- Potrzebujesz wentyla. Myślisz, że tego nie rozumiem? - Sięgnął do kieszeni i wyjął klejnoty. - To mój wentyl. Sposób na regularny zastrzyk adrenaliny bez konieczności rozszarpywania nieznanym w ciemnych zaułkach. A w twoim przypadku nie chodzi tylko o chaos. Zachowujesz równowagę. Łączysz dobre impulsy ze złymi. A ja? - Wyszczерzył się w uśmiechu. - Bardziej skłaniam się ku tym drugim. - Błysnął oczami. - Choć nie jest to nieodwracalne.

Roześmiałam się.

- Coś mi mówi, że stawianie sobie takich wyzwań byłoby zabawne, ale bezowocne.

- Wyzwania są potrzebne.

Pokręciłam głową.

- Jeśli jesteś zadowolony z tego, jaki jesteś, to każdy, kto ciebie zapragnie, będzie musiał to zaakceptować.

Przesunął palcami po mojej brodzie.

- Wiem, że to nie będzie łatwe.

- Nie, ale jeśli będziesz szukać wytrwale, na pewno w końcu znajdziesz kogoś, kto zechce spróbować. Wiesz, moja mama świetnie wyszukuje partnerów na randki...

Warknął i mnie pocałował. Kiedy się odsunął, przesunął językiem po wargach, jakby smakował nasz pocałunek.

- Zaczynasz tracić odporność - mruknął. – Jednak ciągle jest dużo do zrobienia. - Znow się do mnie nachylił. - Spytałbym, czy mogę zostać na jakiś czas, ale domyślam się, że mi odmówisz. Może się zawahasz, lecz w końcu odmówisz. Więc zamiast tego spytam, czy mogę wrócić.

Uśmiechnęłam się.

- Tak, możesz wrócić.

- Dobrze. A nawet lepiej, tak właściwie.

- Lepiej?

- Zdecydowanie.

Roześmiałam się i pokręciłam głową.

Marsten się cofnął.

- Powinienem już iść. Czeka mnie wizyta u lekarza i muszę pozbyć się pewnych rzeczy... niekoniecznie w tej kolejności. I wykonam dla ciebie kilka telefonów, dopilnuję, żeby zamiana starej pracy na nową poszła gładko.

- Dzięki. Doceniam to. - Złapałam go za rękę i spojrzałam mu w oczy. - Naprawdę, Karl.

Nachylił się, żeby mnie pocałować, ledwie musnął mnie wargami, ale było to bardzo... przyjemne. Odsunął się, wycofał w stronę drzwi i już miał wyjść, gdy nagle się zatrzymał.

- Jestem dla ciebie za stary.

- Za stary na co? Żeby wpaść znów z wizytą?

Dramatyczne westchnienie. Pokręcił głową i wyszedł z łazienki. Z holu dobiegło mnie jego mruczenie:

- Robię z siebie głupka.

- Będzie ci z tym do twarzy - zawołałam za nim.

W odpowiedzi usłyszałam rechot. Uśmiechnęłam się i wsłuchiwałam się w odgłos jego kroków dobiegający ze schodów, przez kuchnię do tylnych drzwi, za którymi zamilkły. Potem wzięłam głęboki wdech. Jedno życie się skończyło. Drugie nadchodzi. Czy byłam na nie gotowa?

Taką miałam nadzieję.

LORI HANDELAND

*RANDKA
Z NIEBOSZCZYKIEM*

1

W dniu, w którym zmarł, Eric Leaventhall miał randkę, której nie mógł odwołać, więc poszedł. Co z tego, że był już martwy.

Szkoda tylko, że to ze mną był umówiony.

Okazało się, że idąc na randkę po śmierci, mógł zapewnić sobie to, czego potrzebował.

Pożywienie.

Nie bardzo rozumiecie? Ja też nie rozumiałam.

Może powinnam zacząć od początku. Ale nie do końca wiem, kiedy to właściwie było. Pewnie wtedy, gdy postanowiłam zalogować się na www.prawdziwamilosc.com.

Brzmi pretensjonalnie? Być może. Ale liczyłam na to, że mężczyzna, który wybrał serwis o takiej nazwie, okaże się choć trochę dojrzały od innych - że przynajmniej nie będzie mu chodzić tylko o to, żeby przelecieć supermodelkę, i że zaczął już myśleć o życiu poważniej. Jako agentka literacka, powinnam była wiedzieć, że taka semantyka była równie martwa, jak wiara w istnienie drugiej połówki.

Co do randki, zaczęła się nawet niezłe. Spotkaliśmy się w barze niedaleko mojego biura. W nowym lokalu w stylu *Seksu w wielkim mieście*, co powinno mnie z miejsca ostrzec. Jeśli nie przed całą tą aferą z demonem, to

przynajmniej przed nadziejami, jakie Eric wiązał z tym wieczorem. Nie chodziło mu o prawdziwą miłość.

Ja też nie byłam całkowicie szczerą. W swoim profilu napisałam, że pracuję w branży „wydawniczej”. Zdążyłam się już przekonać, że najszybszy sposób na stos rękopisów od niedoszłych sław to zdradzić komukolwiek poza najbliższą rodziną, czym tak naprawdę się zajmuję.

Oczywiście niektórzy sami się domyślali, kiedy tylko mówiłam, jak się nazywam. Moja matka była jedną z najlepszych agentek, ale zmarła i zostałam sama. Czy poszłam w jej ślady, żeby spróbować odzyskać choć odrobinę szczęścia, które dawała mi za życia?

Na sto procent.

Jednak to wcale się nie sprawdzało. Lubiłam czytać, ale nie lubiłam sprzedawać. Niestety z magisterką z cywilizacji starożytnych mogłam poza tym chyba tylko uczyć, a wątpię, żebym i w tym się sprawdziła. Dzieci jakoś mnie przerażały.

Nie wiedząc, co ze sobą począć - w życiu zawodowym i osobistym - postanowiłam poszukać bratniej duszy, o której zawsze marzyłam. Jak na ironię, pierwszy kandydat nie miał nawet duszy.

Powinnam była się domyślić zamiarów Erica już w chwili, kiedy zobaczyłam w sieci jego zdjęcie. Był zabójczo przystojny - „zabójczo” to właściwe słowo, chociaż wtedy nie był jeszcze martwy. Ale na Boga, czego taki facet jak on mógł chcieć od takiej kobiety jak ja?

Jednego i tylko jednego. Jak idzie to okropne powiedzenie: wszystkie kobiety po ciemku są takie same?

Nie jestem wiedźmą, ale jestem niska i trochę przy kości, mam długie czarne włosy, które za mocno się kręczą, ciemne oczy i oliwkową cerę w spadku po sycylijskich przodkach ojca albo po żydowskich mojej mamy. Sami wybierzcie. Nazywam się Mara Naomi Elizabeth Morelli, więc nikt nie weźmie mnie za nordycką lalunię, nawet gdybym chciała za nią uchodzić.

W każdym razie mówcie mi Kit. Każdy mnie tak nazywa. Nigdy nie byłam w stanie zdzierzyć całej tej Mary Naomi Elizabeth.

A co do randki - jeśli nie z piekła rodem, to przynajmniej z miejsca bardzo mu bliskiego.

Z Manhattanu.

Bogacz, blondyn, przystojniak - Eric był ucieleśnieniem marzeń każdej dziewczyny. Nie był specjalnie wysoki, co mi się podobało, bo wysocy mężczyźni zawsze mnie stresowali; miał równe białe zęby i błękitne oczy. Do tego był chirurgiem. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Tak się cieszę, że przyszedłś - powiedział, a jego uśmiech stopił chłód wczesnowiosennego wieczoru.

Eric zaprowadził mnie do stolika na uboczu, przytrzymał mi krzesło, musnął palcami moje włosy. Jasne, za bardzo się spoufalał, za szybko otarł się kolanem o moją nogę, zbyt żywo interesował się moją pracą, przyszłością i całą moją osobą. Ale ja byłam samotna, zagubiona i nieszczęśliwa, a tu leciał na mnie taki świetny facet.

- Co powiesz na to, żebyśmy przenieśli się do ciebie? - mruknął Eric, gładząc mnie po dłoni.

Zawahałam się, nie wiedząc, jak odmówić. Nigdy nie byłam amatorką seksu na pierwszej randce; w ogóle nie byłam amatorką seksu. Może i byłam wyszczekana, odrobinę sarkastyczna - zasługa mojej matki – ale w obecności mężczyzn robiłam się nieśmiała. Myśl, żeby rozebrać się przed obcym mężczyzną - cóż, taka myśl nie przychodziła mi zbyt często do głowy.

Jednak nagle naszło mnie dziwne uczucie, że tego wieczoru spotkałam mężczyznę, na którego czekałam całe życie.

- Dobrze - zgodziłam się.

Czy ja naprawdę to powiedziałam?

Dorastałam wśród opowieści matki o miłości od pierwszego wejrzenia. Jeden rzut oka na mojego ojca - katolika włoskiego pochodzenia z klasy robotniczej – wystarczył, żeby poślubiła go wbrew woli swojej bogatej żydowskiej inteligentnej rodziny.

Żyli szczęśliwie aż do jej śmierci. Byłam wtedy na ostatnim roku studiów i nie wiedziałam, co zrobić ze swoim życiem.

I nagle - bach - moja matka umiera na tętniaka mózgu. Niespodziewanie życie okazało się strasznie krótkie. Jej praca nie została zakończona, a ja nie miałam żadnych innych pilnych planów. Zająłam więc jej miejsce i dwa lata później ciągle tam byłam.

Ojciec nigdy się nie pozbierał po jej śmierci. Zmarł tej zimy. Czulałam się bez niego strasznie zagubiona, pusta w środku. Co z pewnością przyspieszyło moje nagłe poszukiwania prawdziwej miłości.

Wyszliśmy z Erikiem pod ramię z baru i ruszyliśmy spacerkiem w stronę Chelsea.

Miałam mieszkanie na Dwudziestej Czwartej. Mama była naprawdę bardzo dobrą agentką. W latach małżeństwa zarobiła trzykrotnie więcej niż mój tata elektryk. Odkładali pieniądze w banku i nigdy mi o tym nie mówili. Tak więc po śmierci taty omal się nie udławiłam na widok sumy zgromadzonej na jego rachunku, który należał teraz do mnie.

Wydałam te pieniądze na mieszkanie, niedaleko mojego biura przy Piątej Alei. Skoro chciałam być godna reputacji swojej matki, musiałam pracować ciężiej i dłużej niż inni. Skrócenie czasu dojazdów do pracy wydawało mi się najlepszym sposobem na zainwestowanie spadku.

Eric objął mnie w pasie. Westchnęłam i oparłam mu głowę na ramieniu.

- Jest tak miło - mruknęłam.

- Będzie jeszcze milej, obiecuję.

Jego ręka zsunęła się niżej i spoczęła na moim obfitym pośladku, ściskając go lekko. Wsunął mi kciuk między nogi, a ja podskoczyłam.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy w ciebie wejdziesz. Umrzesz z rozkoszy, skarbie.

Skarbie?

Ups. Będę musiała to ukrócić. Gadał jak sprzedawca używanych samochodów usiłujący wcisnąć mi auto, którego nie chcę.

Znów pogmerał kciukiem, a ja postanowiłam, że później nadejdzie czas na czułe słówka. Kto by pomyślał,

że męski kciuk może być taki podniecający. Oczywiście nigdy w życiu nie byłam aż tak podniecona.

Eric musiał czuć coś podobnego, bo wepchnął mnie między dwa budynki, przycisnął do ściany i przywarł do mnie ustami, trochę za mocno. Poczulałam smak krwi, bo zębami rozciąłam sobie wargę, i wzdrygnęłam się, kiedy on ją zlizął.

Powinłam być wściekła, zniesmaczona, lekko przestraszona. Czulałam się jednak... pożądana. Coś, czego nigdy wcześniej nie zaznałam. Jasne, odrobina zdrowego rozsądku, która mi pozostała, mówiła, że zwariowałam, ale w tamtej chwili nie potrafiłam się tym zbyt przejąć.

Ciało Erica odgradzało mnie od ciemności, a jego sztywny członek napierał na mnie zbyt wysoko, żeby na coś się to zdało. Musiałabym wdrapać się na niego i objąć go nogami w pasie, gdybym chciała sobie ulżyć. Zastanawiałam się, czy tego właśnie nie zrobić, kiedy znieruchomiałam na dźwięk zapalanej zapalniczki.

W zaułku był ktoś jeszcze.

Oderwałam usta od Erica. Jego wargi zsunęły się w dół mojej brody i przylgnęły do szyi. Spojrzałam ponad jego ramieniem na mężczyznę, który czał się w ciemnościach. Blask papierosa nie ujawnił twarzy. Widziałam tylko zarys jego sylwetki i ciemną karnację.

- Eric - szepnęłam.

Nadal zasypywał pocałunkami moje piersi, po czym| zatrzymał się przy dekolcie nowej czarnej sukienki, jak dziecko szukające piersi. Sutki stwardniały mi z niecierpliwości, chociaż błysk oczu w ciemnościach przeszywał moją skórę dreszczem niepokoju.

- Tam ktoś jest - powiedziałam głośniej.

- To co - mruknął Eric, walcząc ze spodniami. – Musze cię przelecieć, bo zwariuję.

To wreszcie mnie otrzeźwiło. Mogłam być zauroczona, podniecona, szalona, ale z pewnością nie dałabym się ponieść tak bardzo, żeby pozwolić obcemu facetowi pieprzyć mnie w bocznej uliczce na oczach innego.

- Nie - zaprotestowałam.

Zignorował mnie, podciągnął sukienkę i zsunął mi rajstopy. Usłyszałam trzask przebijanego palcem nylonu. Wzdłuż nogi poleciało mi oczko, a jednocześnie czułam pulsowanie członka na brzuchu.

Zaczęłam się wyrywać, ale chociaż zdążyłam się już trochę wystraszyć, nadal go pragnęłam. A to przerażało mnie najbardziej.

- Umrzesz ze szczęścia, skarbie - mruknął. – Wszystkie umierają.

Na ramieniu Erica spoczęła czyjaś dłoń.

- Powiedziała „nie”, *hibrido*.

Mimo że słowa były ostre, zostały wypowiedziane lekkim tonem, z południowym akcentem. Głosem, który mógłby mnie prześladować do końca życia.

Eric wzdrygnął się, ale jego ramiona zasłaniały wszystko prócz niego samego. Nie powstrzymała go ani dłoń na ramieniu, ani groźba.

Sprawę załatwiła jednak sól.

Nie wiedziałabym, czym Eric dostał w twarz, gdyby trochę nie spadło też na mnie. Drobinki paliły mnie w oczy jak ogień piekielny.

Eric wydał z siebie na wpół warknięcie, a na wpół wrzask, i odsunął się ode mnie tak gwałtownie, że łopatkami przejechałam po ceglanej ścianie.

Odwrócił się, a drugi mężczyzna do niego strzelił.

Prosto w głowę.

2

Strzał był głuchy - tłumik, pomyślałam - a mimo to jego dźwięk odbił się od ścian i poniósł echem po całej uliczce. Spięłam się na myśl o rozbryzgiwanej krwi i zacisnęłam powieki.

Nic się nie wydarzyło.

Kiedy znów otworzyłam oczy, byłam sama.

Ani śladu Erica. Ani śladu nieznajomego. Ani śladu krwi. Co u licha?

Wyszłam na główną ulicę. Wyglądało na to, że nikt nie usłyszał wystrzału, a nawet jeśli, to nie przejął się nim specjalnie i szedł dalej, pogrążony w transie tak typowym dla nowojorczyków. Turyści byli zbyt zaabsorbowani gapieniem się w górę. Albo byli oszołomieni neonami, albo usiłowali odnaleźć drogę do hotelu, kierując się wieżowcami - przypominało to orientowanie się według gwiazd w miejscach, w których je widać.

Z nadmiaru adrenaliny kręciło mi się w głowie, byłam równie zdezorientowana co przestraszona, więc cofnęłam się do zaułka i wtedy go zobaczyłam.

Tylko cień, skrawek ciemności na tle światła, wychodzący na ulicę na sąsiednim skrzyżowaniu.

Nie myślałam; rzuciłam się biegiem. Gdyby zniknął w tłumie, co bym zrobiła? Jak miałabym udowodnić, że w ogóle cokolwiek się stało? Nie zastanawiałam się nad tym, dlaczego uważałam, że będę musiała cokolwiek udowadniać.

Wypadłam z uliczki, a ktoś gwałtownie złapał mnie w pasie. Siła rozpędu sprawiła, że chodnik uciekł mi spod stóp. Z gardła wydobył mi się jakiś zdławiony dźwięk, ale nie miałam dość powietrza w płucach, żeby krzyknąć.

Nawet gdybym miała, i tak by to nic nie dało, bo mężczyzna zakrył mi usta ręką i zaciągnął z powrotem do załka. Chyba dziś nie miałam szczęścia.

- Dlaczego mnie śledzisz? - spytał.

- A jak myślisz?

Poruszyłam ustami, ale słowa były zniekształcone, Mężczyzna się spiął i mocno przycisnął do mnie całym ciałem.

- Jeśli zabiorę rękę, obiecujesz, że nie będziesz krzyczeć?

Ponieważ krzyk jak dotąd nie bardzo się sprawdził, pokiwałam głową, a ręka się odsunęła.

- Strzeliłeś w głowę mojemu chłopakowi!

- Jakiemu chłopakowi?

Zamrugałam.

- Facetowi w uliczce.

- Jakiemu facetowi?

- Ericowi Leaventhallowi. Szczupły, blond włosy, przystojny.

Mężczyzna parsknął.

- Co to ma znaczyć?

Nie zadał sobie trudu, by mi odpowiedzieć, za to ciągle trzymał mnie w powietrzu, stopy zwisały mi gdzieś w okolicy jego kolan. Był o tyle wyższy, o tyle postawniejszy, o tyle silniejszy, że poczułam się bezbronna. I chociaż powinno mnie to zdenerwować, tylko dziwnie zirytowało.

- Byłbyś tak miły?

Zamachnęłam się stopami, trafiając go w piszczel, a on postawił mnie na ziemi, ale cały czas obejmował w pasie ramieniem. Ani go nie widziałam, ani nie mogłam uciec.

- Nie było żadnego mężczyzny - powiedział.

- Oczywiście, że był. Postawił mi drinka. On... On...

Przesunęłam językiem po wardze i poczułam wyraźne zgrubienie w miejscu, w którym skaleczyłam się zębami, kiedy Eric mnie pocałował. Nie zwariowałam.

Za to ten facet owszem.

- Puszczaj - rozkazałam.

Dziwne, ale posłuchał, a ja odsunęłam się od niego i odwróciłam.

Pierwsza moja myśl: co za wstyd. Był zbyt przystojny na szaleńca. Tak jakby uroda i szaleństwo wzajemnie się wykluczały.

Równie ciemnoskóry co Eric bladej, równie postawny co Eric szczupły. Był ogromny, mocny, miał gęste włosy, a na twarzy cień przynajmniej dwudniowego zarostu. Jego ubrania wyglądały tak, jakby w nich spał, i to często, ale nawet wcześniej nie mogły być nowe.

Jego niebieska koszula wyblakła niemal do białości od ciągłego prania. Guziki były rozpięte aż do mostka,

a spod spodu wystawał fragment tatuażu, chociaż nie byłam w stanie rozpoznać, co przedstawiał. Dżinsy też były stare, buty zdarte i brudne, a czarna skórzana kurtka stanowiła istny relikwium.

Miał tak samo ciemne oczy jak ja, ale dłuższe rzęsy. Czy zawsze musi tak być? Wysokie kości policzkowe, ładny kształt nosa. Nie byłam pewna, ale miałam wrażenie, że błysnął mi też kolczyk. Nic udziwnionego ani dyndającego, mały lśniący srebrny kolczyk przebijający jeden płatek ucha.

Mężczyzna tak bardzo różnił się od wszystkich, których do tej pory spotkałam - był tak egzotyczny i dziki - że musiałam sobie powtarzać, że właśnie zamordował z zimną krwią chłopaka, z którym się umówiłam. Tyle że...

Gdzie krew?

Jego zdaniem nie było nawet chłopaka.

W ten sposób wróciłam do odwiecznego pytania - czy to on oszalał, czy ja?

- Był ze mną mężczyzna - powiedziałam. - A ty go zabiłeś.

- Nawet jeśli, nie powinnaś sobie tym zawracać swojej ślicznej małej główki.

Zmrużyłam oczy, ale on mnie zignorował.

- To najszybszy sposób, żeby takiego odstrzelić - ciągnął.

- Innymi słowy, to Eric zawracał sobie czymś swoją małą śliczną małą główkę? Ale czym?

- Nie znam żadnego Erica. Szedłem uliczką. Stałaś przyciśnięta do muru. Myślałem, że się naćpałaś.

- Ja...

Urwałam, bo przypomniałam sobie, co robiłam. Nawet się zawstydziałam. Dlaczego obściskałam się z nieznajomym? Dlaczego prowadziłam go do siebie do domu? Takie zachowanie było mi zupełnie obce.

Kiedy Eric nie był już przyssany do moich ust, nie potrafiłam wytłumaczyć, dlaczego tak mnie zafascynował.

- Był tu - powtórzyłam. - A ty go zastrzełeś.

Mężczyzna zaklął pod nosem, puścił długą, niezrozumiałą wiązanekę po hiszpańsku, która skojarzyła z Rickym Ricardo.

- Chodź - warknął i ruszył w kierunku, z którego przyszłam.

Na drugim końcu uliczki zatrzymał się, uklęknął i popatrzył na ziemię.

- Nie ma krwi, nie ma ciała. - Podniósł głowę. - Nie było strzelaniny, nie było faceta.

Przykucnęłam obok i gapiłam się na asfalt, który był poplamiony, ale nie krwią.

- Mam cię gdzieś zaprowadzić? - spytał.

Nie odpowiedziałam, tylko podeszłam do muru. Opierałam się o niego w tym miejscu. Eric stał tutaj. Szalony mężczyzna z pistoletem stał tam, więc ...

Przyjrzałam się uważniej cegłom i znalazłam dziurę po kuli.

- Aha! - Wsadziłam w nią palec i spojrzałam z triumfem na mężczyznę.

- Co „aha”?

- Dziura po kuli. Zastrzełeś go. - Zmarszczyłam brwi, przypominając sobie, że nie ma krwi ani ciała. - A przynajmniej strzełeś do niego. Nie trafileś.

Podszedł do mnie, a potem wsadził palec w kilka innych dziur.

- Wielu innych też nie trafiło.

Odsunęłam rękę, raczej zła niż przestraszona.

- Wiem, co się stało.

- Słuchaj, *chica*, nie widziałem żadnego faceta.

- Nie jestem wariatką. I nic nie biorę.

- Może powinnaś.

Spiorunowałam go wzrokiem, a on podniósł ręce w obronnym geście.

- To znaczy, lekarstwa. Potrzebujesz pomocy.

Może i tak. Zdecydowanie tak, jeśli nie tylko wyobraziłam sobie Erica, ale nawet jego morderstwo. Czy tęskniłam za tatą bardziej, niż mi się wydawało?

Sfrustrowana schowałam ręce do kieszeni sukienki. Musnęłam palcami jakiś papier i przypomniałam sobie o czymś. Wydrukowałam ostatni e-mail od Erica.

Wyciągnęłam kartkę i podsunęłam ją mężczyźnie pod nos.

- Nie jestem szurnięta, oto dowód.

Zmrużył oczy, przeczytał liścik i się skrzywił. Potem wyjął pistolet i wycelował go we mnie.

Dlaczego nie umiem odpuszczać?

- Idziemy. - Wskazał lufą w stronę ulicy.

- D-dokąd?

- Do ciebie.

Pokręciłam głową.

- Nie sądzę.

- Nie jesteś tu od sądenia.

- Czy to porwanie?

- A jakie masz pierwsze skojarzenie?

Gdybym nie była taka przerażona, może bym nawet uznała, że jest zabawny.

Stracił cierpliwość i złapał mnie za rękę.

- Albo zabierzesz mnie do siebie, albo ja zabiorę ciebie do mnie.

Raczej nie obchodziło mnie, gdzie mieszka. U siebie znajdę się przynajmniej w znajomym otoczeniu i będę miała nadzieję na ucieczkę.

- Do mnie - mruknęłam. - Na Dwudziestą

Uniósł brwi. Najwyraźniej znał te okolice. Świetnie. Teraz jeszcze będzie chciał pieniędzy poza... tym, czego chciał.

Mój porywacz objął mnie lewą ręką za ramiona, a ja cała się spięłam i chciałam się odsunąć, ale mi na to nie pozwolił. Zamiast tego przyciągnął mnie bliżej, wsunął prawą rękę pod kurtkę i przycisnął mi pistolet do żeber. Chyba obędzie się bez wzywania pomocy. Najwyraźniej miał już w tym wprawę.

- Kim jesteś? - spytałam, kiedy wyszliśmy na ulicę.

- Chavez.

- To twoje imię czy nazwisko?

- Jedno i drugie.

- No tak.

Wzruszył ramionami, przez co otarł się o mój bok i przesunął pistoletem po mojej skórze. Wzdrygnęłam się, a on objął mnie ciałniej.

- *Relaje* - mruknął głosem, który byłby uwodzicielski, gdyby nie należał do uzbrojonego porywacza. - Nie chcę cię skrzywdzić, *chica*.

- To po co to robisz?

- Przy mnie będziesz bezpieczniejsza. Obiecuję.

Parsknęłam w odpowiedzi i mogłabym przysiąc, że on też się zaśmiał. Kiedy jednak na niego spojrzałam, udał, że kaszle.

W oblewającym nas z góry świetle neonów jego twarz przypominała rzeźbę na zachodnim zboczu góry. Zero emocji - zero poczucia humoru, zdecydowanie zero współczucia. Jak niby miałabym być przy nim bezpieczniejsza? W tej chwili najbardziej przerażający w moim życiu był on.

- Jak się nazywasz? - spytał.

Rozważałam, czy nie zignorować tego pytania, ale skoro włókł mnie do domu, i tak by się dowiedział. I czy faktycznie chciałam, żeby zwracał się do mnie per „chica” głosem, który przywodził na myśl tequilę w upalną noc?

- Kit - powiedziałam, choć niezbyt uprzejmie.

- Co to za imię: Kit?

- Ksywka. Moje pełne imię jest dłuższe niż twoja... - urwałam, a on spojrzał na mnie z góry.

- Ręka - dokończyłam, a jemu zadrgały usta.

- Od czego to skrót?

- Tata nazywał mnie...

Głos mi się nagle załamał, co mnie zawstydziło. Śmierć taty była zbyt świeża, zbyt bolesna, zbyt osobista, żeby rozmawiać o tym z porywaczem.

- Kitek - rzucił Chavez.

Przystanęłam.

- Skąd wiedziałeś?

- Pasuje.

Nikt oprócz mojego ojca nigdy nie uważał, żebym przypominała kociaka. Dziwne i niepokojące, że ten nieznajomy też to dostrzegł.

Szliśmy dalej w milczeniu. Co jakiś czas nie mogłam się powstrzymać i musiałam na niego zerknąć. Był całkowicie obcy; powinnam się bać. Jednak jego obecność zamieniła mój strach w fascynację. Zwłaszcza kiedy rozwiały mu się włosy, zaświeciła latarnia, a jego załśnił.

Maleńki srebrny krzyżyk. Dziwne.

Opuściłam głowę, zorientowałam się, gdzie jesteśmy, i zatrzymałam się, wskazując kiwnięciem brody na budynek po przeciwnej stronie ulicy.

- To tu.

Skrzywił się.

- Macie portiera.

- No i?

- Niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby dawać mu jakieś znaki. Powiedz, że jestem twoim chłopakiem.

- Jasne. Ni z tego, ni z owego wracam do domu z takim facetem.

- A co jest ze mną nie tak?

- Poza bronią? Skórą? Kolczykiem i...

Urwałam, bo nie chciałam wspominać o tatuażu. Nie byłam pewna, czy go ma, a nie chciałam, żeby sobie pomyślał, że gapię się na jego klatę.

- Zabijaniem - dokończyłam.

- Nikogo nie zabiłem. - Zmrużył oczy. – Na razie. Jeśli oboje będziemy mieć szczęście, dostanę, co chcę. i za kilka dni przestanę cię niepokoić.

- Za kilka dni? - krzyknęłam, strasząc kilku przechodniów.

- Cii! - Przyciągnął mnie bliżej do siebie. - Nie zrobię ci krzywdy, pod warunkiem że będziesz współpracować.

- Wszyscy porywacze psychopaci tak mówią, a zaraz potem kogoś zabijają..

- Masz duże doświadczenie z porywaczami psychopatami?

- Chyba zaczynam go nabierać.

Zacisnął usta.

- Nie jestem szalony.

- To samo mówią wszyscy szaleńcy

Popatrzył w niebo, jakby szukał tam wsparcia. Z jakiegoś powodu to mnie uspokoiło. Jeśli wierzył w Boga, nie mógł być do końca zły.

- Powiem ci wszystko, co będziesz chciała wiedzieć. - Chavez przeniósł wzrok z nieba na moją twarz. – W środku.

Ponieważ i tak nie miałam specjalnego wyboru, a on miał pistolet, przesłam razem z nim przez ulicę.

3

Zawsze umiałam się odprężyć u siebie w domu, chroniona przez dwa zamki i najwyższej klasy system alarmowy, nie mówiąc już o tym, że mieszkałam na dziesiątym piętrze.

Ponieważ jednak Chavez zajmował zdecydowanie za dużo miejsca w moim śnieżnobiałym salonie, zaczęłam powątpiewać, czy w najbliższym czasie uda mi się zrelaksować.

- Chcesz drinka? - spytałam.

Uniósł swoje ciemne brwi, a ja miałam ochotę cofnąć to pytanie. To nie było spotkanie towarzyskie.

- Nie piję - powiedział.

Tym razem to ja wyglądałam na zaskoczoną. Chavez zdecydowanie wyglądał na takiego, który pije. Oczywiście pozory zawsze mylą.

Eric z kolei wyglądał na dżentelmena, ale zmył się i zostawił mnie w ciemnej uliczce z maniakiem wymachującym bronią. Wychodzi na to, że to nie był ten jedyny.

Tak sądzisz? - zapytał mój coraz bardziej sarkastyczny wewnętrzny krytyk.

Zaczęły mnie piec oczy, podrażnione szklami kontaktowymi. Zakładałam soczewki tylko na randki - innymi słowy, raczej sporadycznie - na co dzień wołałam okulary.

- Idę do łazienki - poinformowałam go, zatrzymując się, kiedy ruszył za mną. - Radzę sobie sama, od kiedy skończyłam dwa lata.

- Wspaniale. Ale nie chcę, żebyś mi się wymknęła.

- Jest tylko jedno wyjście.

- A to? - Wskazał na przeszklone drzwi prowadzące na balkon. Druga para znajdowała się w sypialni.

- Dziesięć pięter w dół. Nie jestem Spiderwoman.

Prawie się uśmiechnął, przyłapał się na tym i się skrzywił.

- Zaczekam tutaj.

- Nie wątpię - mruknęłam i zatrzasnęłam drzwi od łazienki.

W środku obmyłam twarz, przebrałam się w dresy i wzięłam okulary. Równie dobrze może mi być wygodnie podczas porwania.

Kiedy weszłam do pokoju, Chavez przyglądał mi się przez kilka sekund. Nienawidziłam, kiedy ktoś się na mnie gapił. Sięgało to pewnie czasów gimnazjalnych, kiedy czyjeś uporczywe spojrzenie nigdy nie wróżyło niczego dobrego.

- Co? - warknęłam.

- Nosisz okulary.

- Jestem niską, grubą, brzydką dziewczyną, która zawodowo czyta książki. No jasne, że noszę okulary.

Przechylił głowę.

- Zajmujesz się czytaniem książek?

Ze wszystkiego, co powiedziałam, musiał się ucześcić akurat tego? Przewróciłam oczami.

- Nieważne. Powiedziałeś, że odpowiesz na moje pytania.

- Jasne. Ale najpierw pokaż mi maile, które dostałaś od tego faceta.

- A więc przyznajesz, że tam był? Nie zwariowałam.

Chavez wsunął pistolet do kabury pod ramieniem.

- Był.

Wiedziałam o tym, ale poczułam się lepiej, że też to przyznał. Od razu poczułam się jeszcze lepiej, kiedy odłożył broń.

- To nie było miłe z twojej strony, że chciałeś mnie przekonać, że zwariowałam.

- Nie jestem miły. - Pstryknął palcami w kierunku komputera w rogu jadalni. - Maile.

Porwał mnie, żeby przeczytać moje maile? Kim był ten gość? I kim był Eric? Zaczęłam snuć wszystkie możliwe teorie spiskowe.

- Phi. Nic nadzwyczajnego - powiedział, kiedy przeczytał wszystkie wiadomości.

- A powinno tam być coś nadzwyczajnego?

- Biorąc pod uwagę, kim był ten facet, tak.

- Czy Eric to jakiś tajny agent?

A jeśli tak, czego ode mnie chciał? Poza tym, co oczywiste.

- Agent diabła - mruknął Chavez, ciągle wpatrzony w ekran komputera. - Nie bardzo tajny.

Zmarszczyłam brwi.

- Czy to kryptonim oznaczający terrorystę?

- Terrorystę? - Popatrzył na mnie z rozbawieniem, chociaż jego twarz nie wyrażała podobnej bez troski. - Myślisz, że jestem z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego? FBI? CIA?

- Kimś jesteś.

- Dobrze to ujęłaś.

Zważywszy na jego akcent, wygląd, obce pochodzenie, może to on był terrorystą. Tyle, że od bardzo długiego czasu nie byliśmy w stanie wojny - nawet zimnej - z żadnym krajem latynoskim. Oczywiście ostatnio niemal wszyscy nas nienawidzili.

- Rządowa Agencja do Walki z Narkotykami? - rzuciłam.

- Myślisz, że ten facet był dealerem? Masz wyobraźnię, ale zimno.

- Naprowadź mnie więc.

- To demon, który z jakiegoś powodu chce ciebie.

- Kto?

- Upadły anioł. Posłaniec szatana. Sługa piekielny. Pozbawiona duszy, zła, odrażająca istota.

Zaniemówiłam - po raz pierwszy tego wieczoru.

Już myślałam, że może Chavez nie był szalony. Może był tylko bojowo nastawionym członkiem jednego z licznych organów ochrony porządku publicznego w kraju, który po jedenastym września trochę przeholował z bezpieczeństwem. Czy ktoś mógł nas za to winić?

Ale demony?

- Skoro Eric to demon - powiedziałam powoli - to ty jesteś...

- Samotnym pogromcą demonów.

Zamrugałam.

- Wylądowaliśmy w świecie Buffy, co?

- Ten serial naprawdę mnie wkurzał.

To niemożliwe, że ta rozmowa tak się potoczyła. A jednak.

- Nie wiem do końca, jakiego typu to demon – ciągnął Chavez, jakby nie powiedział jeszcze najdziwniejszego. - Sól nie poskutkowała. Srebrna kula też nie.

- Może dlatego, że nie istnieją żadne demony?

Rzucił mi mroczne, spokojne spojrzenie.

- To jak nazwałabyś faceta, z którym się umówiłaś?

- Idiotą. Ale to jeszcze nie znaczy, że jest z piekła rodem.

- Wcale nie uważałaś go za takiego idiotę, kiedy pozwałałaś, żeby wpychał ci język do gardła.

Zamarłam i oblałam się rumieńcem.

- Nie powinienes był patrzeć.

- Gdybym nie patrzył, już byś nie żyła. – Przechylił głowę. - Nie wyglądasz na dziewczynę, która pozwala facetowi puknąć się przy murze w bocznej uliczce.

- Mam ci podziękować, czy co? – Wzięłam głęboki wdech i przyznałam mu rację, choć nie mam pojęcia dlaczego. - Nie wiem, co mnie naszło.

- Pewnie Eric.

Zignorowałam to.

- Nie sypiam z facetami na pierwszej randce. Po prostu poczułam się...

- Jak? - Nachylił się z napięciem na twarzy.

Zaczęłam szukać słowa, które najlepiej oddałoby dziwne odstępstwo w moim zachowaniu.

- Zniewolona - powiedziałam. - Jakbym nie mogła przerwać tego, co się działo. Jakbym nie chciała.

Chavez zerwał się na równe nogi i zaczął spacerować.

- To jakiś rodzaj inkuba.

To znaczy?

Przystanął zaskoczony.

- Nie słyszałaś nigdy o inkubach?

- Nie bardzo. Jestem słaba z demonologii. Nie musiałam z niej korzystać, ojej... nigdy?

Zmrużył lekko oczy i już wiedziałam, że nie rozbawiłam go nawet w połowie tak bardzo jak siebie.

- Inkub wykorzystuje seks w ten sam sposób, w jaki reszta ludzi hamburgery.

Przyszło mi na myśl dziwaczne skojarzenie i się skrzywiłam.

- Chodziło mi o to, że inkub żywi się seksem - dodał Chavez. -
Jeśli przez dłuższy czas go nie uprawia, umiera.

- A więc w zasadzie niewiele się różni od każdego zwykłego faceta?

- Ha, ha. Inkub potrafi też zmusić ludzi do rzeczy, których zwykle nie robią. Dlatego pieprzyłaś się z nim w tym zaułku.

- Nie pieprzyłam się.

- Ale zamierzałaś.

No, zamierzałam. Eric jako demon, który potrafił omamić mnie tak, żebym uprawiała z nim seks - to by wiele wyjaśniało. Gdybym tylko potrafiła jakoś zaakceptować motyw demonizmu.

Ale nie potrafiłam.

- Nie wierzę w to.

- Wolisz uwierzyć w to, że do faceta, którego dopiero co poznałaś, poczułaś takie pożądanie, że nie tylko po godzinie chciałaś zaprowadzić go do siebie do domu, ale byłaś gotowa oddać mu się w jakimś zaułku na moich oczach?

Kiedy przedstawiał to w taki sposób...

Ciągle jednak nie wierzyłam, że Eric był inkubem.

- A ty? - wyrzuciłam z siebie.

- Słucham?

- Dlaczego ty sądzisz, że Eric jest demonem? Mnie się wydawał całkiem normalny. Miał może ogon, którego nie zauważyłam?

- To mit. Demon z ogonem. Owszem, niektóre go mają. Ale nie wszystkie. I nie Eric.

- Więc skąd wiesz, że jest demonem?

Odwrócił się.

- Tajemnica zawodowa.

Wbiłam wzrok w jego plecy, a on przeglądał mój księgozbiór na temat cywilizacji antycznych. Większość facetów rzucała na niego okiem i zaczynała rozglądać się za drzwiami. Miałam nadzieję, że on zachowa się podobnie, ale nic z tego.

- Tajemnica zawodowa? - powtórzyłam. - Bardzo przekonujące. Czy przypadkiem nie szukają cię jacyś mili panowie w białych kitlach?

Znów na mnie spojrział.

- Jesteś bibliotekarką?

Wyprostowałam się, jakby ktoś klepnął mnie w tyłek.

- Co?

Nie wiedziałam nawet, dlaczego poczułam się tym obrażona, poza tym że poświęciłam prawie całe popołudnie na przygotowania do piekielnej randki.

W sensie dosłownym, z tego co mówił Chavez.

- Mówiłaś, że w pracy czytasz książki.

- Jestem agentką. Sprzedaję książki wydawnictwom.

-Aha.

Tak, miałam z grubsza takie samo zdanie na ten temat.

- Pewnie nie masz żadnych książek o demonach?

- A po co ci książki?

- Dopóki się nie dowiem, jak dokładnie zabija się ten typ demona, nie uda mi się.

Dobra wymówka, żeby wyjaśnić, dlaczego jego metody nie skutkują. Przypomniałam sobie, jak ostatnio gdzieś czytałam, że szaleńcy często tworzą rozbudowane iluzje,

podlegające zasadom, które mają sens nawet dla tych mniej szalonych.

- To ty jesteś pogromcą demonów, czemu sam nie masz żadnej książki?

- Bo jest zdecydowanie za dużo demonów, żeby opisać je w jednej książce, a ja nie mogę nosić ze sobą wszędzie dwudziestu albo trzydziestu tomów ani też zapamiętać wszystkich rodzajów demonów i metod na nie.

- Jaka jest szansa, że demon, którego akurat szukasz, będzie w książce, którą mogłabym mieć?

- Słuszna uwaga.

- Porwałeś mnie, bo myślałeś, że jestem bibliotekarką?

- Porwałem cię, bo miałaś wiadomości od demona.

- Ale skoro już je zobaczyłeś, możesz wyjść.

- A książki? - Wskazał na biblioteczkę.

- Nie mam nic o demonach. Nigdy się o nich nie uczyłam. Nie interesowało mnie to.

Jego twarz zasnęło rozczarowanie jak woda spływająca po szybie.

- Nie możesz mi więc pomóc.

- Potrzebna ci innego rodzaju pomoc, którą mogę ci zaoferować.

- Uważasz, że jestem nienormalny.

- Brawo.

W jego uśmiechu był ten sam smutek, co w oczach.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała zmienić zdania.

Wyszedł, nie starając się mnie już więcej przekonywać, że na świecie są demony. Wyszedł bez pożegnania, podszedł prosto do drzwi i zamknął je za sobą cicho.

Wieczór zrobił się nudny.

Na pewno nie byłabym w stanie usnąć. Zaparzyłam więc sobie herbaty i zabrałam się do pracy. Miałam cały stos rękopisów z moim nazwiskiem. Zawsze tak było.

Wolny czas poświęcałam na czytanie, co nie było takie złe. Kochałam książki; jedyne, czego nienawidziłam, to ich sprzedawać.

Od dwóch lat pracowałam jako agentka i zaczynało do mnie docierać, że nie byłam w tym dobra. Kolejna przykra myśl do mojej sporej kolekcji. Co miałabym robić, gdybym się tym nie zajmowała?

Dochodziłam do przekonania, że sprzedawanie książek to jak sprzedawanie zachodu słońca albo jeziora, albo błękitnego nieba. Jak można wycenić ideał?

Za każdym razem, kiedy znajdowałam naprawdę fajną historię, zależało mi tylko na tym, żeby podzielić się nią z całym światem - cena nie grała roli. I właśnie dlatego jako agentka byłam do bani.

Nie sprawdzałam się w swoim zawodzie. Czułam się tak, jakbym sprawiała zawód mamie. Byłam szczęśliwa tylko wtedy, gdy zanurzałam się w innej rzeczywistości, w świecie przygód i romansów, w świecie, o jakim marzyłam, ale którego nigdy miałam nie doświadczyć.

Odwrociłam się do stosu rękopisów, które przyniosłam do domu. Niestety pierwszy był nudny jak flaki z olejem i nie zdołał odciągnąć moich myśli od Chaveza. Ciekawe, że to o nim nie mogłam przestać myśleć, a nie o Ericu.

- Wytatuowani maniacy o morderczych zapędach są zawsze bardziej fascynujący niż szczupli chirurdzy o blond włosach - mruknełam.

Ale dlaczego tak było?

Zmusiłam się do dalszego czytania. Jedyne plus było taki, że przy książce zrobiłam się śpiąca. Tuż po północy poddałam się i poszłam do łóżka.

Całe to podniecenie zmęczyło mnie i padałam na twarz. W chwili, w której przyłożyłam głowę do poduszki, wszystko zasnęła czerń.

Miałam dziwny sen.

Drzwi balkonowe się otworzyły. Wiatr rozwiewał zasłony. Narzuta zafalowała jak woda wzburzona wiatrem i zsunęła się z łóżka. Po niej zsunęła się kołdra.

Moje ciało było gorące, niemal rozpalone. Ściągnęłam z siebie dres i leżałam naga.

Z balkonu do pokoju wślizgnął się jakiś cień; szara ciemność, jak rozlewająca się plama, podpełzła przez dywan, wspięła się na łóżko i mnie zalała.

Przestało mi być gorąco, zrobiło się przyjemnie chłodno, a gwałtownie stygnący pot przyprawił mnie o gęsią skórkę.

Moje westchnienie wyrażało podniecenie, desperację, pożądanie. Zaczęłam się więc i krzyczeć, a cień przybrał postać mężczyzny. Tak niewyraźną, że nie dało się stwierdzić, kim był ani czy w ogóle był.

Wiatr szeptał wokół mnie w niezrozumiałym języku, ale mimo to jego słowa brzmiały zachęcająco. Powietrze owiewało moje ciało, a ja z radością wystawiłam się na jego pieszczotę.

Czekałam na tę chwilę całe życie. Mówiłam już, że byłam dziewczicą?

Lekkie jak piórko muśnięcie warg na żyłę pulsującej mi na szyi, język sunący po jednej piersi, potem po drugiej,

zęby drażniące mój sutek, potem brzuch, potem uda. Kędziory między moimi nogami owionął gorący oddech, a zwinny język robił ze mną takie rzeczy, od których słabłam i spinałam się jednocześnie - zwodził i torturował.

Obudziłam się cała zadyszana, wciąż czując, jaki moim ciałem wstrząsa senny orgazm. Rozejrzałam się po pokoju i stłumiłam krzyk.

Drzwi balkonowe były otwarte, a za nimi stał jakiś mężczyzna.

4

Pomacałam ręką w poszukiwaniu telefonu, wiedząc, że jest już za późno, żeby dzwonić na policję, ale mimo to musiałam spróbować. Niestety po naciśnięciu pierwszego guzika, po pierwszym cichutkim piśnięciu, mężczyzna z balkonu wszedł do pokoju.

Upuściłam telefon.

- To ty!

Chavez schylił się i podniósł narzutę z podłogi, po czym spokojnie zarzucił mi ją na ramiona i się odwrócił. Nie położyłam się do łóżka naga, ale teraz byłam rozebrana. Na ile ten sen był jawą?

- Co ty tu robisz?

- Myślałem...

- Już o tym mówiliśmy. Nie ma żadnych demonów, Chavez. Wynoś się stąd.

- Nie mogłem tak po prostu patrzeć, jak wraca tu i cię morduje. Omal nie zrzuciłam z siebie narzuty.
- Morduje mnie? Od kiedy to on chciał mnie zamordować?
- Której części historii o inkubie nie zrozumiałaś?
- Tej, w której mnie zabija.
- Żywi się seksem.
- Nadal nie ma mowy o zabijaniu.
- Kiedy już skończy z wybranymi przez siebie kobietami, one...
- zamilkł, wsunął palce do kieszeni i wrzucił ramionami. - Są jak wydrenowane.
- To znaczy?
- Uprawia z nimi seks, aż rozpadną się w proch.
Chavez miał odpowiedź na wszystko. Ale mnie to i tak nie przekonywało.
- Dzięki za informacje - powiedziałam. - Ale nie musisz zostawać. Będę bardzo ostrożna. A poza tym mam świetne zamki i jeszcze lepszy system alarmowy.
- Ja jakoś wszedłem.
- To mnie zastopowało.
- Jak?
- Włamałem się i wszedłem. Demonowi przyjdzie to z jeszcze większą łatwością.
- Bo...?
- Może się teleportować.
- Dostyc tego! - Wskazałam na drzwi. - Mam dość twoich bajeczek.
- Bajki to nie moja działka.
- Wynoś się! - wrzasnęłam.

Moja furia nie zrobiła na nim wrażenia. Popatrzył na pokój, na mnie. Podciągnęłam kapę wyżej na piersi.

- Chciałem przez jakiś czas zostać na czatach, tak na wszelki wypadek, gdyby był w pobliżu. A potem zobaczyłem, jak ktoś chodzi po twoim mieszkaniu.

- Ktoś podobny do mnie?

Jego ciemne, poważne oczy spotkały się z moimi.

- To na pewno nie byłaś ty.

Mimo moich odważnych zapewnień, spojrzałam na drzwi sypialni.

Chavez położył mi rękę na ramieniu.

- Przeszukałem mieszkanie. Nikogo tu nie ma.

Jego dotyk w mojej sypialni, w środku nocy, w sytuacji, kiedy byłam naga pod kocem, powinien mnie zaniepokoić. Ja poczułam jednak, że mnie uspokaja. Sposób w jaki reagowałam dziś na mężczyzn, był zdecydowanie dziwny.

- Nikogo poza tobą - dodałam.

Pokój był ciemny, a jego postać pogrążona w mroku.

Przypomniał mi się mój sen i nagle poczułam, jakby zrobiło mi się za ciasno we własnej skórze. Poruszyłam się, a on odsunął się szybko, jakby nie chciał za bardzo się do mnie zbliżyć, prawie jakby się bał.

Podniosłam głowę, a jego oczy błyszczały w słabej poświacie księżycy, która wlewała się przez otwarte drzwi balkonowe. Która była godzina? Jak długo spałam?

Miałam mętlik w głowie - zmieniałam stany od nieprzytomności do przytomności, od strachu do bezpieczeństwa, od podniecenia do... kolejnego podniecania. Kręciło mi się w głowie od świadomości, że Chavez stoi

tu nade mną, gdy jestem ciągle naga, a w moim ciele pobrzmiewa jeszcze orgazm, który wydawał mi się tak realny. Zachwiałam się, a on złapał mnie za ramiona.

- *Chica?*

Jego głos oblał moje ciało jak ciepła woda w zimie. Jednocześnie znajomy i obcy, mogłabym go słuchać całą noc.

- Czy dotykałeś mnie, kiedy spałam?

Nie chciałam o to pytać, ale skoro już to zrobiłam, zaczęłam się nad tym zastanawiać.

Zamiast mi odpowiedzieć, pocałował mnie, a ja zapomniałam o swoim pytaniu.

Był tak wysoki, że szyja mi zatrzęszczała, kiedy się odchyliłam, tak dobrze całował, że instynktownie wspierałam się na palce po więcej.

Miał miękkie, słodkie usta. Był tak blisko, że wyczułam ostry smak papierosa, którego pewnie palił na balkonie. Musiał żuć gumę, żeby pozbyć się jego smaku.

Wzdrygnęłam się, kiedy badał językiem moje wargi. Rozchyliłam je i wpuściłam go do środka. Objęłam go rękami za szyję, a narzuta zsunęła się ze mnie na podłogę.

Nikt nigdy nie całował mnie tak jak Chavez, jakbym była jedyną kobietą na świecie, jedyną kobietą, jakiej kiedykolwiek pragnął. Głupie, wiem, ale tak właśnie się przy nim czułam, a gdzieś z tyłu głowy pojawiło się pytanie, kto tu tak naprawdę był demonem seksu.

Chociaż przylgnęłam do niego nagim ciałem, nie posunął się dalej. Nie dotknął tymi swoimi dużymi, silnymi dłońmi mojej skóry, bez względu na to, jak bardzo tego pragnęłam. Przesuwając palcami po jego ramionach

i wzdłuż rąk, odkryłam nawet, że zaciskał dłonie za plecami, jakby chciał zachować nad nimi kontrolę.

Nie mam pojęcia, jak długo byśmy tak stali i dokąd by nas to zaprowadziło. Mnie na pewno nie spieszyło się, żeby to skończyć. Ale Chavez zrobił krok w tył, pokręcił głową, kiedy chciałam za nim pójść, po czym podniósł koc i znów mnie nim owinął.

- *Lo siento* - wychrypiał. - Nie wiem dlaczego...

Odwrócił głowę, a kołnierzyk jego koszuli się odchylił. Naprawdę miał tatuaż na mostku, ale ciągle nie widziałam, co to było.

Dotknęłam palcami warg; były nabrzmiące, podrażnione, spragnione. Chciałam znów poczuć smak jego ust.

Czy fakt, że nigdy nie uprawiałam seksu zamienił mnie w nimfomankę? Chociaż musiałam przyznać, że to, co czułam, kiedy całowałam się z Chavezem, było znacznie, znacznie lepsze od tego, co czułam z Erikiem. Wtedy straciłam nad sobą panowanie; teraz to Chavez je stracił.

Podobało mi się, że opiera się swojemu pożądaniu. Nie byłam dziewczyną, która mogłaby je rozbudzić. W każdym razie nie w sytuacji, kiedy nie rozmawialiśmy o inkubach.

- Nie powinienem... - ciągnął. - Jesteś...

Zamarłam.

- Kim?

- Zadaniem.

Zmrużyłam oczy, ale on nadal odwracał wzrok.

- Mam się tobą zaopiekować, a nie cię uwodzić.

- Dlaczego więc to zrobiłeś?

Odwrócił się do mnie gwałtownie.

- Nie zrobiłem! Nie zrobiłbym tego. - Westchnął. – Nie mogę.

- Nie możesz?

Chavez skrzywił usta.

- Jak sama widzisz, to nieprawda.

Opuściłam wzrok na jego dżinsy. Zdecydowanie mógł.

- Chodzi mi o to, że nie mogę, jeśli chcę potem spojrzeć sobie w oczy. Byłaś pod wpływem inkubów. A one robią ci mętlik w głowie. Myślisz tylko o seksie.

- To niepodobne do mnie.

- No właśnie.

- Ale inkub nie miał wpływu na ciebie.

- Co?

- To ty mnie pocałowałaś. Dlaczego?

- Nie mogłem się powstrzymać. Byłaś taka mała i zagubiona. -
Wzruszył ramionami. - I te okulary... I te książki.

- Co?

- Sam nie skończyłem szkoły. Nie czytam za dobrze. Podobają mi się kobiety, które to lubią.

- Pociągają cię kobiety, które czytają?

- No.

Pokręciłam głową. To wszystko było nienormalne, on też.

- Może to w twojej głowie ktoś namieszał.

Roześmiał się krótko i gorzko.

- Od dawna nie uprawiałem seksu. Chyba zapomniałem, jak bardzo mi tego brakowało.

- Zapomniałeś?

Nawet ja, która nigdy nie uprawiałam seksu, z pewnością nigdy o nim nie zapomniałam.

- Aż nie zobaczyłem cię na łóżku, z nim.

Zesztywniałam.

- Nie byłam z nim.

To był tylko sen, prawda?

- On jest teraz w twojej głowie. Prześladowuje cię. Doprowadzi cię do takiego obłądu tym pożądaniami, że nie będziesz miała innego wyjścia, jak...

- Nie wierzę w to - przerwałam mu.

- A ja tak. - Wyciągnął papierosa z kurtki, którą położył na nieużywanym rowerku stacjonarnym w kącie. - Idę...

Skinął na balkon.

Wyglądał na bardzo przygnębionego, wręcz pokonanego. Chociaż uważałam, że zwariował, i tak chciałam go jakoś pocieszyć.

Chavez twierdził, że moje okulary były seksowne, moje krągłości urocze, moje zamiłowanie do czytania w piątkowe wieczory atrakcyjne. Nic dziwnego, że chciałam go zatrzymać przy sobie na resztę życia.

Co wskazywało, że byłam równie szurnięta, jak on. Ale zaczęłam się zastanawiać, czy nie o to przypadkiem chodziło.

- Chcesz kawy? - zaproponowałam.

- Tak. - Wyszedł przez drzwi w ciemność.

Szybko założyłam dres, wzięłam okulary i ruszyłam przez ciemne mieszkanie. W kuchni chciałam właśnie włączyć światło, gdy ktoś złapał mnie za rękę.

Nabrałam powietrza, żeby krzyknąć, a wtedy druga ręka zasłoniła mi usta. W ostatnim czasie takie rzeczy przydarzały mi się zdecydowanie za często.

- Myślałaś, że pozwolę ci odejść?

Głos nie należał do Erica. Jak się nad tym zastanowić, to facet był za wysoki na Erica. Przyciskał się do mnie cały i jeszcze nade mną górował.

Nieżalenie od tego, kim był, naprawdę bardzo, ale to bardzo mnie lubił.

Spróbowałam coś powiedzieć, ale on tylko zacieśnił uścisk i odciągnął mi głowę do tyłu tak mocno, że myślałam, że złamie mi kark. Zamilkłam; nie miałam wyjścia.

- Jesteś teraz moja. Tylko ty możesz mi dać to, czego potrzebuję.

Pocałował mnie w szyję i złapał lekko zębami za pulsującą żyłę. Ogarnął mnie dziwny letarg. Moja krew jak gdyby zgęstniała i spowolniła; w uszach mi pulsowało, jakbym przebiegła wiele kilometrów albo długo uprawiała seks.

Nagle byłam wolna - mogłam wrzeszczeć, opierać się, uciekać. Nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego odwróciłam się i zapaliłam światło.

Tak jak podejrzewałam, mężczyzna w mojej kuchni to nie był Eric. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Był wyższy, postawniejszy, miał ciemnoblonde włosy i brązowe oczy.

Ruchem ramion zrzucił z siebie koszulę. Zsunęła się mu po rękach i spadła na podłogę.

Miał olśniewająco białą skórę jak marmur, a kiedy się ruszał, widać było drgające i napinające się mięśnie. Ogarnęło mnie nagłe pragnienie, żeby polizać każdy z nich, on zaś stanął nade mną, nachylił się i całkowicie mnie ubezwłasnowolnił, a ja...

Pokręciłam mocno głową. Miałam ochotę walić nią w drzwiczki szafki, aż znów nie stanę się sobą.

- K-kim jesteś? - spytałam.

- Wiesz kim.

Pogładził się pieszczotliwie po piersi i opuścił ręce na rozporek, który się wybrzuszał, a mnie na ten widok zrobiło się sucho w ustach.

Dźwięk rozpinanego zamka wstrząsnął mną tak, że aż poczułam mrowienie na skórze.

- Z radością umrzesz w moich ramionach - szepnął. - Wszystkie to robią.

Jego słowa doszły do mnie jakby z bardzo daleka, zastanowiłam się nad nimi i odsunęłam od siebie cały niepokój. Seks będzie niezmiernie. Będę krzyczeć z rozkoszy. Będę błagać go, żeby wziął mnie jeszcze raz, a on to zrobi. Będzie to robił, aż...

Nad mężczyzną zagórowała postać Chaveza. Jego obecność pozwoliła mi wrócić do siebie, więc kiedy rozkazał: „Padnij!”, posłuchałam, padając na podłogę w tym samym momencie, w którym z jego ręki wystrzelił płomień.

Wrzasnęłam, gdy obcy mężczyzna w mojej kuchni, ten, z którym byłam gotowa parzyć się na okrągło jak królik, zamienił się w kulę ognia.

Włączyła się czujka dymu; z tryskaczy poleciała woda. Mężczyzna, którego imienia nie pamiętałam, przestał się palić. Ogień nie zostawił na nim ani śladu.

Wbił wzrok w Chaveza.

- To znowu ty.

- To zawsze ja.

Nieznajomy odwrócił się do mnie.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem - powiedział.

Po czym zniknął.

5

Wierzysz mi teraz? - spytał Chavez. Zachlapaniśmy cały dywan w drodze z kuchni do salonu.

Wyłączył alarm, który odciął tryskacze, a ja tymczasem zadzwoniłam do ochrony i skłamałam:

- Przypaliłam tosty.

Nikt mnie nie pytał, dlaczego robiłam tosty o trzeciej nad ranem. To jedna z zalet budynków takich jak ten - pieniądze zapewniają ci nie tylko uwagę, zapewniają też spokój.

- Ten facet zniknął. - Głos zdradzał moje oszołomienie. - Bach!

Chavez popchnął mnie lekko, a ja opadłam na kanapę. Od wody pociemniały mu włosy, woda spływała mu też po policzkach i osiadała kropelkami na rzęsach.

- Ręczniki.

- W szafie w przedpokoju.

Wyciągnął cały stos, podzielił go, usiadł na krześle i zaczął wycierać sobie włosy.

- To nie był Eric - powiedziałam.

- Nie.

- To nie był też człowiek.

- Nie. Pewnie był zmiennokształtny.

Próbowałam nie rozdziawiać ust ze zdumienia, ale mi nie wyszło.

- Jak wilkołak?

- W pewnym sensie. Demony zamieniają się w różnych ludzi. Wilkołaki zamieniają się z człowieka w wilka i odwrotnie.

- Mówisz, jakby naprawdę istniały.

Uniósł brew.

Podniosłam rękę.

- Nie chcę wiedzieć.

Chavez milczał przez chwilę, po czym odezwał się powoli:

- Dlaczego wrócił?

- Nie można mi się oprzeć?

- To na pewno, ale... - urwał.

Ja uczepliłam się tego: „To na pewno”. Czy on ze mnie kpił? I dlaczego mnie to obchodziło? Dlaczego wcześniej czułam się tak, jakby krowa siadła mi na piersi, a teraz w brzuchu wesoło wirowały mi motylki?

Przez ten cholerny pocałunek. Nie mogłam przestać o nim myśleć.

Ale musiałam. Może Chavez nie wydawał się już szurnięty, albo właściwie nigdy nie był, ale to by oznaczało, że rzeczywiście był pogramcą demonów. To nie dla mnie.

- To inkub - mruknął Chavez, myśląc na głos. Oderwałam oczy i umysł od jego ust i zaczęłam słuchać. - Potrzebuje seksu, żeby żyć. Ale w tym mieście jest grubo ponad milion kobiet. Dlaczego nie poszuka gdzie indziej?

- No właśnie, dlaczego?

Przechylił głowę.

- Co ci powiedział?

- Że jeszcze ze mną nie skończył. Że tylko ja mogę mu dać to, czego potrzebuje.

- Co?

- A skąd mam wiedzieć?

Cała ta afera z demonem seksu była dla mnie absolutną nowością.

- Jeśli odkryję, dlaczego ma taką obsesję na twoim punkcie, może uda mi się określić, jaki to rodzaj inkuba.

- To jest więcej niż jeden rodzaj?

Chavez przytaknął.

- Inkuby to mnóstwo różnych demonów żywiących się seksem. Każdego z nich zabija się w ściśle określony sposób.

- Cudownie - jęknęłam.

- Jak tylko się dowiem, co to za inkub, będę też wiedział, jak go zabić. - Spojrzał na mnie ciemnymi oczami. - Jak tylko go zabiję, będziesz bezpieczna.

Zabawne, bo już teraz czułam się bezpieczna.

Godzinę później doprowadziliśmy do porządku mieszkanie i samych siebie. Byłam sucha i świeżo przebrana. Niestety, Chavez też. Podobał mi się ten krótki moment, gdy nie miał na sobie nic poza ręknikami na biodrach i drugim przewieszonym przez szyję, gdy jego ubrania wirowały razem z moimi w suszarce.

Siedliśmy w salonie, lampy rozpraszały resztki nocy. Zaparzyłam obiecaną kawę i oboje popijaliśmy ją z największych termicznych kubków, jakie miałam w szafce. Przydałoby mi się więcej snu, ale skoro nie miałam na to szans, postanowiłam wypić dużo kawy.

- Co teraz zrobimy? - spytałam.

Podniósł głowę.

-My?

- My - powiedziałam stanowczo. - Nie mam zamiaru siedzieć tu z założonymi rękami i czekać, aż zgwałci mnie demon.

Poruszył gwałtownie rękami, tak że omal nie rozlał kawy.

- Nie zgwałci cię; sprawi, że sama będziesz tego chciała.

- No właśnie, „sprawi”. Nawet jeśli będę myślała, że go pragnę, tak naprawdę nie będę go pragnąć. A więc oprócz ciała zgwałci też mój umysł.

Odstawiłam kubek. Ręce zaczęły mi się trząść na myśl o tym, kto chciał mnie dopaść, na myśl o tym, że całkowicie traciłam samokontrolę za każdym razem, kiedy był w pobliżu.

- Chcę, żeby zginął. - Podniosłam głowę. – Najlepiej w zeszłym tygodniu.

- Dobrze - zgodził się Chavez i popatrzył na mnie z szacunkiem. -Więc chyba rzeczywiście „my”.

- To co zrobimy? - powtórzyłam.

- Wiesz, gdzie mieszka Eric?

- Nie. A on też nie powinien znać mojego adresu. W tym cały urok umawiania się na randki przez Internet.

- Nie do końca. Jeśli wiesz jak, całkiem łatwo zdobyć czyjś adres. Mogę skorzystać z komputera?

Chwilę później mieliśmy już adres Erica Leaventhalla, mieszkał na Upper East Side.

- Złóżmy mu wizytę. - Chavez wyrzwał przez okno. Właśnie wschodziło słońce. - Mamy czas tylko za dnia.

- A jaka to różnica, że za dnia?

- Duchy ciemności budzą się o zmroku.

- Mam wrażenie, że na świecie jest za dużo zła w ciągu dnia, żeby demony grasowały tylko w nocy.

- To, że demon śpi, nie oznacza, że nie kontynuuje swoich podszeptów.

Co by wiele wyjaśniało.

Niedługo potem zatrzymaliśmy się na chodniku przed blokiem Erica. U niego też był portier.

- A teraz co? - spytałam, ale Chavez już ruszył przez ulicę.

Pobiegłam za nim, dogoniłam go, jak już skręcał za róg i szedł do bocznego wejścia.

Zatrzymał się i podał mi parę gumowych rękawiczek. Sam też takie włożył i wyciągnął z kieszeni długi, cienki kawałek drutu.

- To nie pierwszozna? – spytałam.

Nie raczył odpowiedzieć, zajęty wyważaniem zamka. Przy drzwiach Erica użył czegoś, co wyglądało jak kieszonkowy kalkulator i zwój kabla, za pomocą których rozbroił system alarmowy. Moje poczucie bezpieczeństwa zaczęło gwałtownie maleć.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - spytałam. - W szkole dla samotnych pogromców demonów?

Pokręcił głową i drutem odblokował zamek, jakby to była zabawka.

- Na ulicy, jak wszyscy.

- Jak wszyscy?

Chavez zerknął na mnie przez ramię i się uśmiechnął. Miał tak białe zęby, że ich blask mnie oślepił. A może poraziło mnie podniecenie w jego oczach. Świetnie się bawił i w tej chwili ja też. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem czułam się tak ożywiona.

Czy to dlatego, że wkrótce mogłam umrzeć? Czy też dlatego, że byłam z nim?

- Wszyscy, których znam - odpowiedział Chavez. - W Meksyku było o wiele za dużo ludzi, nie starczyło do mów i pracy

Meksyk wyjaśniałby akcent. Wątpię, żeby Chavez kiedykolwiek potrafił wyjaśnić w pełni to, czym się zajmował. No bo jak się zostaje samotnym pogromcą demonów?

Otworzył drzwi i pokazał mi, żebym została w korytarzu. Chciałam zaprotestować, ale czy naprawdę miałam ochotę zostać przyłapana na włamaniu? Oczywiście sama moja obecność pewnie by wystarczyła, żeby mnie aresztowano. Jednak zostałam na korytarzu. Przez jakieś trzydzieści sekund.

Kiedy usłyszałam potok przekleństw w stylu Ricky'ego Ricarda, podążyłam za głosem do miejsca, w którym Chavez klęczał obok trupa Erica.

- O-o - jęknęłam.

Nagle przestałam się świetnie bawić.

Chavez uniósł głowę.

- Był już martwy, jak wszedłem.

- Gliny w to nie uwierzą.

- Dlatego nic im nie powiemy.

Zamrugałam.

- Ale, ale musimy.

Chavez przyjrzał się Ericowi, ręce miał wciąż w rękawiczkach.

- A gdzie jest tak napisane?

- W kodeksie zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

- Nie czytałem.

Dlaczego mnie to nie zdziwiło?

Kontynuował oględziny. Naciskał skórę Erica, odwracał go to w jedną, to w drugą stronę, przeczesywał jego włosy, i dopiero potem się odsunął.

- Nic nie wskazuje na to, jak zginął.

- A jakie to ma znaczenie?

- Mogłoby pomóc ustalić, co to za demon. Gdyby na przykład demon zabił Erica, a potem wszedł w jego ciało, wolałby go zabić w taki sposób, żeby nie zostawić żadnych śladów.

- Aha.

- Ale jeśli najpierw wszedł w jego ciało i zabił go już, jak skończył go używać, nic nie stało na przeszkodzie, żeby zabić go w krwawy i drastyczny sposób. - Spojrzałam na niego gwałtownie, na co on wzruszył tylko ramionami. - Demony są okrutne. Lubią bałaganić.

- Zaraz, zaraz. - Nagle zaczęło mi się tak kręcić w głowie, że musiałam usiąść, a nie chciałam siadać przy trupie. W pobliżu nie było żadnego krzesła, mogłam więc tylko oprzeć się o ścianę. - Chcesz powiedzieć, że byłam na randce z trupem? Że całowałam się z trupem?

- Przykro mi.

- Na pewno nie tak bardzo jak mnie.

Otarłam sobie usta grzbietem dłoni i poczułam smak plastikowej rękawiczki. Przynajmniej przestałam czuć smak Erica.

- Spójrz na plusy tej sytuacji - powiedział Chavez. - Przynajmniej nie pieprzyłaś się z trupem.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, co?

- Skoro Eric już na randce był trupem, jak to możliwe, że wyglądał na zupełnie żywego?

- Kiedy demony wchodzą w czyjeś ciało, hamują zmiany pośmiertne. Rozkład zaczyna się, jak opuszcza ciało.

Podniósł rękę Erica, a przynajmniej próbował. Eric był sztywny jak... trup.

- Sądząc po stężeniu pośmiertnym, demon wyszedł z ciała w ciągu ostatnich ośmiu godzin.

- Po co w ogóle wychodził? Znalazł świetne ciało.

- Z kilku przyczyn. Po pierwsze, widziałem jego twarz i wiedział, że będę go szukał. Po drugie, rozkład można zatrzymać tylko na kilka dni. Ożywiony przez demona czy nie, trup to trup.

Chavez się podniósł, ale przypatrywał się ciągle Ericowi, rozważając głośno:

- Demon wchodzący w ciało niedawno zmarłej osoby mógłby wskazywać na nocnego wędrowca rakszasa.

- To z hindi - powiedziałam.

Spojrzał na mnie szybko.

- Skąd wiesz?

- Zrobiłam magistra z cywilizacji starożytnych.

- Po co?

Często sama zadawałam sobie to pytanie.

- Bo mnie to ciekawiło.

- Mnie też. Co jeszcze wiesz o rakszasach?

- Niewiele. Kojarzę nazwę, ale nie spędziłam zbyt dużo czasu na zgłębianiu starożytnych religii. Bardziej zajmowały mnie początki i upadki cywilizacji. Broń i wojny.

- Nigdy bym nie zgadł, że to twój konik.

Wzruszyłam ramionami.

- Pamiętam, że jedno, co większość cywilizacji miała ze sobą wspólnego, to powszechna wiara w wyższe dobro i wyższe zło.

Popatrzył na mnie uważnie.

- Dokładnie. Demony, bez względu na to, jak się je nazywa, to wciąż demony.

- A Bóg to wciąż Bóg. Gdyby szukać wytrwale, można znaleźć podobieństwa w najbardziej nawet odmiennych społecznościach.

- Szkoda, że nikt nie zadaje sobie takiego trudu.

- Szkoda - przyznałam. - A teraz powiedz mi o rakszasach.

- To hinduski demon ożywiający martwe ciała. Tyle że rakszasa nie interesuje się seksem. Chyba że ze zmarłymi. A może zjada zmarłych. - Zacisnął usta. - Nie pamiętam. W każdym razie można go zabić ogniem, a na tego demona to nie działało.

- Nie potraktowałeś ogniem Erica, tylko tego drugiego faceta. - Zmarszczyłam brwi. - Kimkolwiek on był.

- To musi być ten sam demon, tyle że w ciele różnych mężczyzn. W przeciwnym razie, dlaczego w ogóle by do ciebie wracał? Dlaczego by mówił: „Jeszcze z tobą nie skończyłem” Skąd by mnie znał?

Wzruszyłam ramionami, bo nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

- Dlaczego demony w ogóle wchodzi w ludzi? Dlaczego po prostu się nie pojawiają i nie robią swojego?

- Demony w swojej naturalnej postaci są tak odrażające, że ludzie mogą oszaleć od samego ich widoku. Mają

okropny głos, rozwalający bębunki w uszach. Ludzie giną z przerażenia, zanim demon zabierze się do zabawy. Choć kradzież cudzych ciał jest straszna, alternatywa jest jeszcze gorsza.

Zamyślił się.

- Jakież inne sugestie na temat, z jakim demonem mamy do czynienia? - spytałam.

- Nie. Każdy inny znany mi rodzaj obraca się w pył w zetknięciu z solą, ogniem lub srebrem.

- To znaczy?

Chavez spojrzał mi w oczy.

- Że mamy do czynienia z demonem, o którym nigdy nie słyszałem.

- Często tak bywa?

Zapalił papierosa i się zaciągnął.

- Nigdy.

- Nigdy? - Głos miałam tak piskliwy, że aż się wzdrygnął.

- Masz. - Podsunął mi papierosa do ust.

Uchyliłam się.

- Nie wpadłam jeszcze w taką histerię, żeby musiała zacząć palić. Ale dzięki.

- Dym zapobiega opętaniu przez demona. - Spojrzał na ciało. - Myślę, że tego już tu nie ma, ale ostrożności nigdy za wiele.

Wepchnął mi papierosa do ust, wkładając w to trochę za dużo siły. Filtr stuknął mi w zęby. Odsunęłam jego rękę i się zaciągnęłam. Równie mocno zależało mi na tym, żeby demon nie opętał mnie, jak i następnej osoby.

- Już. - Wypuściłam dym nosem. No co, w końcu byłam studentką. - Myślałam, że ten demon wchodzi tylko w trupy.

- Nie wiem, jaki to demon, więc tak naprawdę może być zdolny do wszystkiego.

- Wspaniale – jęknęłam.

- Mhm.

Moją ciekawość wzbudziło coś innego, co powiedział.

- Naprawdę dochodzi do opętań przez demony? Takie rzeczy nie zdarzają się tylko w filmach?

Twarz mu stężała, a wzrok stwardniał.

- Demony wchodzi we wszystko, na co mają ochotę, i w każdego, na kogo mają ochotę.

Zzerała mnie ciekawość, ale nagle nie chciałam już wiedzieć, co widział, co robił i co zabijał. Nie bez przyczyny miał taką udrękę w oczach.

Chavez przyglądał mi się przez kilka sekund, jakby zamierzał coś jeszcze powiedzieć. Potem wziął papierosa, ścisnął tłącą się końcówkę palcami w popisie męskości, który całkowicie zignorowałam, i wcisnął sobie niedopałek do kieszeni.

Bez słowa obszedł mieszkanie, przejrzał pocztę i odsłuchał wiadomości nagrane na sekretarce. Nie chciałam zostawać sama z trupem Erica - miałam nieprzyjemne wrażenie, że zaraz otworzy oczy i znów będzie próbował mnie uwieść - więc włożyłam się za nim.

- Musimy znaleźć tego drugiego – stwierdził Chavez.

- Według ciebie jest już martwy. Skąd ten pośpiech?

- Może demon jest ciągle w nim. Moglibyśmy ocalić następnego biednego durnia w tym korowodzie randkujących nieboszczyków.

O tym nie pomyślałam. I pewnie dlatego to on polował na demony, a ja byłam ich ofiarą.

Wyszliśmy z mieszkania, a Chavez zerknął na kamerę dozorową na ścianie.

- Równie dobrze moglibyśmy wezwać policję - zasugerowałam.
- I tak niedługo będą się do mnie dobijać.

- Sprawdziłem ją, jak wchodziliśmy. Lampka się nie świeci. Bez względu na to, kto tu był wcześniej, wyłączył kamerę.

- To uprzejme z jego strony. Tak sędzę.

- Wątpię, żeby uprzejmość miała tu cokolwiek do rzeczy. - Chavez skierował się do bocznego wyjścia. - Ten demon jest znacznie mądrzejszy niż inne.

- A zwykle są głupie?

- Nie. Ale nie do końca się orientują, jak funkcjonuje dzisiejszy świat. Są trochę jak słoń w składzie porcelany: sieją spustoszenie, zajęte tylko tym, czego potrzebują. Nie przejmują się kamerami, policją czy pogromcami demonów. Uważają, że są niezniszczalne.

- Ale nie są.

- Niezniszczalne nie, ale trudno je zabić. Zadziała tylko jeden, najwyżej dwa sposoby, a cała trudność polega na tym, żeby wybrać te właściwe, zanim samemu się zginie.

Wrócił dreszcz podniecenia. Życie i śmierć. Dobro i zło. Tematyka naprawdę dobrych książek - z tego składało się życie Chaveza. Szkoda tylko, że dla mnie mogło to oznaczać śmierć.

- Musisz być naprawdę dobry w tym, co robisz - powiedziałam.

- Jestem najlepszy.

- Skąd miałeś tyle szczęścia?

Chavez wyrwał na ulicę, po czym kiwnął, żebym szła za nim.

- Szczęścia?

- Jak mnie znalazłeś? - urwałam. - Chyba że tak naprawdę to znalazłeś Erica. Macie jakiś telefon alarmowy?

- Nie.

Nie podjął tematu, ruszył tylko tak gwałtownie, że musiałam dwa razy szybciej przebierać swoimi krótkimi nogami, żeby go dogonić. Kiedy się z nim zrównałam, miał kamienny, odstręczający wyraz twarzy. Chyba zadałam złe pytanie, spróbowałam więc inaczej.

- A dużo jest pogromców demonów? Macie jakieś stowarzyszenie czy coś takiego?

Kilka godzin wcześniej spojrzenie, które mi posłał, przeraziłoby mnie. Teraz tylko mnie zaintrygowało. Istniała rzeczywistość, o której nie miałam zielonego pojęcia. O której nikt nie miał pojęcia.

- Samotny oznacza, że nie bardzo dogaduję się z innymi - wyjaśnił. - Nie lubię zasad.

- To są jakieś zasady?

- Słyszałem, że jest stowarzyszenie pogromców potworów. Kilka osób zagadywało mnie o oddział pogromców demonów. Dostaje się chyba dotacje rządowe.

- Od rządu Stanów Zjednoczonych?

- Trudno w to uwierzyć, co?

- Po tym, jak na randce całowałam się z trupem, wcale nie tak trudno.

- Zabawne, że taki drobiazg może całkowicie odmienić twoje spojrzenie na świat.

- Nie uznałabym tego za zabawne. Dlaczego nie chciałeś dołączyć do pogromców?

- Bo chociaż fajnie by było, gdyby ktoś ci płacił... - zaczął.

- To nikt ci nie płaci?

- Chica - powiedział z niezwykłą cierpliwością. - A kto miałby to robić?

- To jak ty żyjesz?

- Bardzo ostrożnie. - Zmarszczyłam brwi, na co on uniósł dłoń.
- Łapię jakieś dorywcze zlecenia za gotówkę.

Gotówkę?

- Jesteś tu nielegalnie?

- Tak.

- Aha. - Nie wiedziałam, co na to powiedzieć. - A nie lepiej by było, gdyby ktoś ci płacił za to, co teraz robisz za darmo?

- Nie pogardziłbym pieniędzmi - powtórzył. - Ale rząd chciałby wiedzieć, skąd jestem. Jak się tu znalazłem. Co robiłem przez pół życia. Nie chce mi się o tym opowiadać. I nie lubię, jak ktoś mi rozkazuje. Nie potrzebuję niczyjej aprobaty. Nigdy nie będę potrzebował. Będę eliminować zło z tego świata bez względu na koszty.

- Jak dla mnie to dobra zasada.

- Wątpię, żebyś dalej tak uważała, gdybyś sama była częścią tych kosztów.

Przystanęłam i popatrzyłam na niego.

- Poświęciłbyś niewinną osobę, żeby zniszczyć demona?

Chavez nie zwolnił kroku, ale jego odpowiedź poniosła się w porannym wietrze.

- Poświęciłbym wszystko i wszystkich.

6

To by było tyle, jeśli chodzi o marzenia na temat Chaveza. Nie żebym jakieś snuła. Nie byłam aż taka głupia. Ale czułam się przy nim bezpiecznie. Dopóki nie przyznał, że zrzuciłby mnie ze skał, żeby uwolnić świat od kolejnego demona.

Cóż, nie powiedział tego dosłownie, ale ja dość dobrze umiałam czytać między wierszami. Zboczenie zawodowe.

- Mogę jeszcze raz skorzystać z komputera? - spytał po powrocie do mojego domu.

W mieszkaniu pachniało wilgocią. Otworzyłam okno, zapaliłam świeczkę, włączyłam ogrzewanie.

- Nie krępuj się. - Wyjęłam gazetę ze skrzynki.

- Chcę się czegoś dowiedzieć o tym drugim facecie.

- Chyba nie musisz.

Odwróciłam gazetę w jego stronę. Na pierwszej stronie widniała twarz mężczyzny, którego Chavez podpalił zeszłej nocy.

Wyglądało na to, że zaginął. A przynajmniej jego ciało.

- Malcolm Tanner - przeczytałam. - Makler giełdowy. Czy ten demon nie słyszał nigdy o włóczęgach? Mało kto zauważyłby ich śmierć i zniknięcie.

- A umówiłabyś się z takim?

- Nie umówiłam się z Malcolmem.

- Fakt. Nawet go nie znałaś. I może właśnie o to chodziło.

- Pogubiłam się.

- Gdyby wybierał ludzi, których znasz, policja wcześniej czy później zapukałaby do twoich drzwi. Ale jakiś przypadkowy gość? Ciężko powiązać fakty.

- Ale po co w ogóle się trudził, żeby umawiać się na randkę? Malcolm wpadł tu tak po prostu, bez zaproszenia.

- Niektóre demony trzeba najpierw zaprosić.

- Jak wampira?

- Zaczynasz łapać.

- Ale Malcolm...

- ... był tym samym demonem co Eric, tyle że w innym ciele.

- A więc skoro zaprosiłam Erica...

- Malcolm mógł wejść.

- Skąd wiesz takie rzeczy? - spytałam. - Jest jakaś strona www.demonologia.com?

- Nie. Tego, co wiem, nauczyłem się głównie metodą prób i błędów. - Uniósł jedną rękę. - Kiepska kolejność, ale nic innego mi nie pozostaje.

- Próbowalesz soli, ognia, srebra. Co jeszcze?

- Woda święcona, zdrowaśka, Ojciec Nasz, wino mszalne, hostia.

- Widzę pewną zależność.

- Symbole chrześcijańskie. - Westchnął. - Problem w tym, że jest mnóstwo demonów pochodzenia niechrześcijańskiego, a niektóre wywodzą się nawet z wcześniejszych czasów.

Studiowałam cywilizacje antyczne, więc byłam tego świadoma. Jednak zawsze przyprawiała mnie o ciarki myśl, że coś może wywodzić się z czasów, które nie zostały oznaczone w naszym kalendarzu. To pewnie fobia typowa dla Amerykanów. W krajach, które istniały od tysięcy lat, ludzie nie wariowali na myśl o kilku przedchrześcijańskich demonach. Nieprawdaż?

- Jak można zabić coś tak długowiecznego? - wyraziłam na głos swoją wątpliwość.

- To nie jest łatwe.

Mój wzrok padł na jego kolczyk.

- Skoro symbole chrześcijańskie nie działają, to po co ci to?

- Nie powiedziałem, że nie działają. Działają. Lepiej niż większość innych. - Dotknął kolczyka w uchu. – Pomaga każdy drobiazg.

- Co mogę zrobić?

- Umiesz wyszukiwać informacje?

- Właściwie tak.

Wyszukiwanie informacji pozwoliło mi napisać pracę magisterską. Uwielbiałam sprawdzać różne rzeczy, znajdować odpowiedzi na pytania, na których tylko mnie zależało.

Jego wzrok przesunął się z moich zbyt mocno poskręcanych włosów na okulary w czarnych oprawkach, potem na obfity biust i biodra otulone przydużą bluzą i równie przydużymi dzinsami.

- Zawsze mnie ciągnęło do bibliotekarek – mruknął. - Są takie... pomocne.

Zważywszy na jego twarz, włosy i ciało, mogę się założyć, że były.

- Nie jestem bibliotekarką - powiedziałam sztywno.

- Możemy udawać.

Wpatrywałam się w niego przez kilka sekund. Czy to miał być żart? Ciężko było stwierdzić, bo nawet się nie uśmiechnął.

Chavez się odwrócił, a dziwna, pełna napięcia chwila minęła.

- Pójdę po rzeczy, zanim się ściemni.

- Jakie rzeczy?

- Wodę święconą, hostię...

- Skąd je bierzesz? Z dyskontu dla księży?

- Z kościoła.

- Dają ci to tak po prostu, dlatego że prosisz?

- Dlatego że ja proszę.

Na mojej twarzy musiał pojawić się sceptycyzm, bo Chavez tłumaczył dalej:

- Księża wierzą w zło, Kit. Gdyby nie wierzyli, nie mieliby pracy. Spotykają się z niezwykłymi rzeczami: ogromem dobra i ogromem zła.

- A ty? Dostrzegasz czasem jakieś dobro?

Spojrzał mi w oczy.

- Dopiero od niedawna.

- A co ja takiego zrobiłam?

- Przegoniłaś mnie z zaułka. Ciągłe zadawałaś mi jakieś pytania. Nie bałaś się stawić czoła szaleńcowi, który, jak sądziłaś, zastrzelił faceta, z którym się umówiłaś.

- Ale ty naprawdę go zastrześliłeś.

- Ale go nie zabiłem.

- No tak. - Zaciekawiona przechyliłam głowę. - Co jeszcze?

- Wpuściłaś mnie do siebie do domu.

- Trzymana na muszce - dodałam.

- Nie przez cały czas. Włamałaś się ze mną do mieszkania.

Nigdy wcześniej nikt nie robił takich rzeczy.

- Nikt?

Pokręciłam głowę. Zrobiło mi się gorąco i słabo.

- A więc twoje rozumienie dobra jest...

Dość szerokie. Krótko mówiąc: nie darłam się, nie wezwałam policji ani nie wykopałam go z domu. Dajcie mi za to Nobla.

- Jesteś odważna, bezinteresowna i nie boisz się ryzyka - powiedział Chavez.

Jego opis w ogóle do mnie nie pasował. Pasował bardziej do takiej mnie, jaką chciałam być.

- No i to całowanie.

Podniosłam głowę, a on się uśmiechnął.

- Dobrze? - spytałam.

- Raczej świetne.

Mijały godziny. Słońce wędrowało po niebie i powoli się obniżało. Zaczęłam się denerwować.

Gdzie się podziewał Chavez?

Na miejscu demona odłożyłabym na chwilę moją śmierć i zajęła się najpierw pogromcą. Takie myśli nie pozwalały mi usiedzieć w miejscu i zaczęłam chodzić od sypialni do salonu i z powrotem.

- Chavez na pewno był już ścigany przez demony - powtarzałam sobie.

Cholera, pewnie właśnie o to mu chodziło.

Mimo to odchodziłam od zmysłów. Takie już moje szczęście, że pierwszy facet, który uważał, że świetnie całuję - a przynajmniej pierwszy, który mi to powiedział - zniknął z mojego życia i miał już nigdy nie wrócić.

Właśnie po raz pięćdziesiąty piąty weszłam do sypialni, kiedy zamarłam na delikatny dźwięk kroków dochodzący z salonu.

Zagryzłam wargi i wyjrzałam przez okno. Nadal świeciło słońce, choć już niedługo. Tak czy siak, dzień to dzień i jeszcze się nie skończył.

- Chavez? - Pobiegłam do salonu i stanęłam jak wryta na widok nieznanego chłopaka z wielkim wiadrzem żonkili. - Jak tu wszedłeś?

- Portier. Myślał, że wyszłaś. Mogę to tu postawić? - Wskazał na podłogę.

- Jasne. Pewnie. Gdzie chcesz.

Chciałam, żeby sobie poszedł. Obejrzałam się ukradkowo przez ramię na korytarz, ale odwróciłam się na dźwięk lekkiego stuknięcia wiadra o dywan.

Chłopak stał tuż przy mnie.

- Trochę za szybko - powiedziałam do siebie.

Trochę nie jak człowiek.

- Jesteś taka piękna - szepnął.

Miał hipnotyzujące błękitne oczy, złote loki. Był dla mnie zdecydowanie za młody, ale mało mnie to obchodziło. Był śliczny i tak samo myślał o mnie. Czego więcej trzeba dziewczynie?

Duszy?

Cofnęłam się o krok, a on objął mnie w pasie. Jego pełne, miękkie usta musnęły moje wargi.

- Dusze są przereklamowane - szepnęłam.

- Masz całkowitą rację.

Przesunął ustami w dół mojej szyi; jego ręce powędrowały w górę po moich żebrach. Ugięły się pode mną kolana. Krew zapulsowała mi od pożądania rytmem tysięcy starożytnych bębnów. Nie potrafiłam trzeźwo myśleć.

- Dziewica. - Przesunął ręce w dół moich pleców i splótł nas ze sobą. - To najlepszy czas.

Jego słowa dotarły do mnie mimo zamroczenia.

- Skąd wiesz, że jestem...?

Wcisnął mi nos w szyję i wciągnął powietrze.

- Pachniesz świeżością. Nieskałaniem. Czekałaś na mnie.

Nie czekałam na niego. Czekałam na prawdziwą miłość. Wiedziałam o tym.

Oczywiście wiedziałam też, że się nie puszczam, ale co mi teraz z tego przyszło.

- Dziewice są najsmaczniejsze.

Polizał mnie po policzku, a ja się nie sprzeciwiłam. W kwestii zarazków byłam małym Howardem Hughesem - kolejny powód, dla którego byłam pewnie jeszcze dziewicą i który powinien mnie zaniepokoić. Oparłam się o bezwładniającemu pożądaniu i skupiłam się na tym, co mówił, zamiast na tym, co robił.

-Najsmaczniejsze?

- Seks jest dla mnie pokarmem, skarbie.

Znów ten „skarb”. Szkoda, że nie byłam w stanie się tym przejąć ani kopnąć go tak, żeby zabolalo.

- Tylko dziewice utrzymują mnie przy życiu. A więc jak chcesz to zrobić: przy ścianie, na łóżku, na stole, w kuchni, na podłodze? Jestem do dyspozycji.

Ale tak naprawdę to ja byłam do dyspozycji.

Zaczął grzebać przy rozporku w moich džinsach.

- Pożrę cię - szepnął. - I nikt się o tym nie dowie.

- Ja się dowiem.

Na dźwięk głosu Chaveza pożądanie, któremu nie mogłam się oprzeć, zniknęło. Udało mi się odepchnąć od siebie postać z kwiatami.

Chavez chlusnął chłopakowi w twarz bordowym płynem z fiołki. Wzdrygnęłam się, oczekując, że chłopak wrzaśnie, a jego skóra zacznie się topić. Co ja sobie wyobrażałam?

- Wino mszalne? - Śmiejąc się, otrząpał się jak pies po wyjściu z wody. - Chyba sobie kpisz.

- *Ave Maria* - zaczął Chavez. - *Gratia plena*.

- Łacina. - Chłopak pokręcił głową. - Ten język jest równie martwy, jak ja.

- Ojczyzna nasz, któryś jest w niebie.

- Chłopie, to było znacznie później. Nic ci to nie da. Dopadnę ją. Jak chcesz, możesz popatrzeć.

Chavez trzasnął chłopaka w usta. Trysnęła krew.

- Nie dotykaj jej; nie patrz na nią; nigdy więcej się do niej nie zbliżaj.

- Jest moja. - Wargę puchła mu równomiernie i zniekształciła jego głos. - Nie zostało w mieście już wiele takich jak ona.

Chavez spojrział na mnie, a demon skorzystał z okazji i uciekł.
Pstryk!

- Dlaczego nie zniknął zaraz na twój widok? Chciał, żebyś mu przywalił?

- Teleportacja to trudna sprawa. Czasem demony muszą się zregenerować, zanim będą mogły znów to zrobić.

To brzmiało sensownie w tym nowym, dziwnym świecie demonów, w którym teraz żyłam.

- A po co kwiaty? - Pstryknęłam palcem w kierunku wiadra.

- To ty go wpuściłaś?

- Nie. Już tu był, jak wyszłam z sypialni. Wiedziałam, że coś jest nie tak, ale powiedział, że wpuścił go portier.

- Pewnie nie chciał, żebyś zaczęła wrzeszczeć i ostrzegła mnie, zanim nie wejdzie do twojej głowy.

- A ty gdzie się podziewałaś?! - Podniosłam głos ze strachu. - Ile czasu trzeba, żeby zdobyć parę kościelnych parafernaliów?

- Nie aż tyle. Czekałem, aż się zjawi.

- Użyłeś mnie jako przynęty?

Chavez rzucił mi szybkie, niespokojne spojrzenie.

- Nie dopuściłbym, żeby cię skrzywdził, Kit. Byłem tuż za drzwiami.

Nie zaprzeczył, że mnie wykorzystał. Wiedziałam o tym, ale i tak mnie to zabolalo.

- Zjawił się tu jak Malcolm. Nie mogłeś go widzieć...

- Widziałem.

Chavez podszedł do mojej biblioteczki i wyciągnął spomiędzy dwóch książek małą kamerkę. Nic dziwnego, że książki tak go zaciekały.

- Zjawił się przed zmrokiem - powiedział. – Więc jest znacznie potężniejszy, niż myślałem.

Zapadła cisza, ale w mojej głowie aż huczało od pytań, myśli, pretensji. Kiedy Chavez znów się odezwał, cieszyłam się, że mogłam się oderwać od swoich myśli.

- Powiedział, że w mieście nie zostało już wiele takich jak ty. Co miał na myśli?

Nie chciałam mu mówić, ale nie miałam wyjścia.

- Jestem dziewczicą.

Zrobił wielkie oczy.

- Nie sądzisz, że coś takiego powinnaś mi była powiedzieć wcześniej?

- Takich rzeczy nie mówię nikomu.

- *Madre de dios*, nie ma szans, żeby ci odpuścił.

- Dlaczego?

- Bo w dzisiejszych czasach, *chica*, nie ostało się za dużo dziewczic.

7

Fantastycznie - zakpiłam. - Chciałam poczekać do nocy poślubnej, a skończyłam jako wabik na demona. Widać taki mój los.

Hm, nie do końca. Moje losy nigdy nie były aż taki ekscytujące.

Ani dziwne.

Ani przerażające.

Szczęściara ze mnie.

- Chciałaś czekać do nocy poślubnej?

Spojrzałam na Chaveza i zobaczyłam, że się na mnie gapi. Pewnie byłam jakimś wynaturzeniem - może byłabym nim nawet w ubiegłym stuleciu.

Wzruszyłam ramionami.

- A przynajmniej dopóki nie spotkam prawdziwej miłości.

- Szkoda, że nie urodziłaś się w innych czasach - mruknął, dziwnie wtórując moim myślom.

- Żałuję tego szczególnie dzisiaj.

- Ubieraj się - zakomenderował.

Zaskoczyła mnie nagła zmiana tematu.

- Zapnij spodnie.

Zarumieniłam się, gdy zobaczyłam, że chłopak z kwiatami zaczął już mnie rozbierać, a ja tego w ogóle nie zauważyłam. Bałam się już nie tylko demona; zaczynałam bać się samej siebie.

Zapięłam spodnie z irytującym trzaskiem.

- Gdzie idziemy? - spytałam, kiedy znów znaleźliśmy się na ulicy.

- Do kogoś, kto może nam pomóc.

- A nie mógł nam pomóc wcześniej?

- Korzystam z tej możliwości tylko wtedy, gdy nie mam już innego wyjścia.

- Od kiedy to nie masz innego wyjścia?

- Ten demon jest potężniejszy od wszystkich, z jakimi się do tej pory zetknąłem. Nie wiem, co robić.

To, że Chavez, który poświęcił całe życie na niszczenie demonów, przyznał, że nie ma pojęcia, jak zabić

demona, który chciał mnie zabić, przeraziło mnie na żarty.

Przystanąłam i omal nie zostałam stratowana przez codziennych przechodniów - turystów, kloszardów, miejscowych - rzekę ludzi na Manhattanie. Ktoś zaklął i popchnął mnie lekko. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Chavez złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą.

- Zaopiekuję się tobą.

- Ciągłe to powtarzasz, a ja ciągle nie czuję się miło ani bezpiecznie. - Zignorowałam ostrzegawcze spojrzenie, jakie rzucił w moją stronę. - Dokąd idziemy?

- W pobliże World Trade Center.

Zwolniłam, ale tym razem już się nie zatrzymałam.

- Nie ma już World Trade Center.

- Dlatego właśnie moja znajoma jest tak niebezpieczna.

- Nie rozumiem.

- Jej syn tam zginął. Do tej pory się z tym nie pogodziła.

Tego typu historie słyszałam zdecydowanie za często. Tak wielu ludzi straciło tak dużo.

- Szukała pomocy w grupach wsparcia? – spytałam.

- Ma na to swój własny sposób.

- To znaczy?

- Rozmawia z nim.

Po moich nagle spoconych ramionach spłynęły stróżki lodowatego potu.

- Rozmawia z nim - powtórzyłam głucho.

- Samantha jest medium.

- Okej - przytaknęłam.

Czemu by nie? - pomyślałam.

- Wściekłość i żal ją zmieniły.

- W jaki sposób?

Szliśmy w kierunku wody, Statuy Wolności, wyspy Ellis, a tłum się rozrzedzał.

- Zamieniła swój ból w moc. Wcześniej nie była medium.

- I to dlatego jest niebezpieczna?

- To nie ona jest niebezpieczna, ale to, co czasem przywołuje.

- Gdzie przywołuje?

- Zobaczysz.

- A może wcale nie chcę?

Chavez szedł bez słowa dalej.

Tylko raz byłam na placu po World Trade Center - w środku słonecznego dnia. Nawet wtedy było tam chłodno, szaro i ponuro.

A w nocy? Z dwojga złego wolałabym leczenie kanałowe.

Co dziwne, przy płocie ogradzającym wielkie nic nie zauważyłam nikogo. Może nie byłam jedyną osobą, która uważała, że wielka dziura pośród wszystkich tych wieżowców wygląda okropnie. Szukaliśmy demona? Byłam zdania, że pewnego wrześnieowego ranka we wtorek kilka z nich rozwalilo te budynki.

Zbliżyliśmy się, a ja usłyszałam cichy szept. Miałam wrażenie, że to głosy umarłych, i zaczęłam się ociągać.

Przy ogrodzeniu stała kobieta, wpatrywała się w wyrwę i coś mamrotała. Miała długą, powiewającą czarną spódnicę i luźny jasnoszary sweter.

Stała tam cały czas i tylko ja jej nie zauważyłam czy może właśnie przyszła? Co za różnica. Była tam teraz, a ja nie musiałam pytać, żeby wiedzieć, że to z nią mieliśmy się zobaczyć.

Włosy spływały jej do pasa i lśniły biało w słabej poświacie księżycy. Wydawało mi się, że powietrze wokół niej szeleści.

Chavez podszedł do niej, zostawiając mnie z tyłu, czemu nie miałam nic przeciwko. Było w niej coś takiego, co budziło we mnie taki sam niepokój jak ta wyrwa.

- Samantho - szepnął, a powietrze ucichło.

- Chavez - powiedziała, nie odwracając się. – Masz pytanie do duchów?

- Tak.

Odwróciła się do nas, a ja bezwstydnie wlepiłam w nią wzrok. Samantha nie wyglądała na więcej niż czterdzieści lat. Ale może dobrze się trzymała, nie licząc włosów. Przedwczesna siwizna? A może zmiana wywołana strasznymi przeżyciami? Słyszałam, że takie rzeczy się zdarzają, ale nie wierzyłam w nie. Oczywiście do wczoraj nie wierzyłam też w demony.

- Kto to jest? - spytała.

- Ściga ją demon.

- Więc na ratunek przyszedł pogromca demonów. - Samantha uśmiechnęła się trochę smutno. - Musisz być zdesperowany, skoro przyszedłeś do mnie.

- Nie lubię ci przeszkadzać.

Przeszkadzają mi tylko ludzie, którzy potrzebują pomocy, ale boją się o nią poprosić.

Chavez zamilkł, a twarz Samantha złagodniała.

- Nie przejmuj się. Żyję tylko po to, żeby pomagać, i nigdy nie żałowałam tego, co poświęciłam.

Musiałam wydać z siebie jakiś dźwięk, poruszyć się lekko, bo kobieta przekrzywiła głowę, a jej niesamowite niebieskie oczy zdawały się patrzeć prosto na mnie, a potem wręcz przeze mnie.

- Chavez ci nie mówił?

- O czym?

- Żeby widzieć rzeczy po drugiej stronie, musiała poświęcić swój wzrok.

Samantha była ślepa?

Uniosłam rękę i pomachałam. Nie mrugnęła, wpatrywała się tylko nieco na prawo od mojego ramienia.

- Niewielka cena za to, że znów mogę widzieć syna - dodała.

- Co jeszcze widzisz? - spytałam.

- Cokolwiek zechcesz.

Rozejrzałam się po wyludnionej płycie z cementu.

- Nie mogę uwierzyć, że ludzie nie ustawiają się tu do ciebie w kolejce.

- Widzę prawdę, a prawda nie zawsze jest przyjemna. Niektórzy, a właściwie większość, woli jej nie znać. Kiedy zobaczyłam wystarczająco dużo strasznych rzeczy, rozeszła się o tym plotka i ludzie przestali przychodzić.

- Może gdybyś nie była...

Chavez rzucił mi karcące spojrzenie, a ja powstrzymałam się od uwagi, której lepiej było nie wypowiadać. Ale najwyraźniej Samantha i tak ją usłyszała.

- Tutaj? - spytała. - Myślisz, że gdybym całymi dniami przesiadywała w parku pełnym dzieci, sklepów z cukierkami i karuzel, zobaczyłabym szczęście?

- Może.

- Prawda to prawda, Maro.

Wzdrygnęłam się. Skąd znała moje prawdziwe imię?

Chavez zerknął na mnie z ukosa i wzruszył ramionami. Zaczęłam rozumieć, dlaczego zwracał się do niej tylko wtedy, kiedy musiał. Kobieta była przerażająca, a nawet jeszcze nie przywołała duchów.

- Przychodzę w to miejsce ze względu na to, czym jest. - Samantha wyciągnęła rękę i zatoczyła nią wokół siebie. - To cmentarz.

Od strony wody zawył wiatr, chłodny i wilgotny. Z ziemi wzbił się pył i zawirował nam nad głowami.

- Jak się chce przywoływać duchy – ciągnęła Samantha - najlepiej iść tam, gdzie jest ich dużo.

- Pewnie dlatego w tych wszystkich domach budowanych na indiańskich cmentarzyskach jest tyle problemów.

- Dokładnie. Energia duchowa jest poza zasięgiem licznika Geigera. - Samantha zwróciła się do Chaveza. - Co takiego chciałbyś wiedzieć?

- Myślałem, że demon ścigający Kit to inkub, ale nie mogłem go zabić w żaden tradycyjny sposób. Odkryłem, że ożywia ciała umarłych, więc podejrzewałem, że to rakszasa, ale ogień też na niego nie podziałał.

- Rozumiem w czym problem. - Samantha znów odwróciła się do ogrodzenia. - Gotowy?

- Tak.

Watr targał jej włosami, szarpał spódnicą, ale nas omijał. Wokół niej pojawiła się biała poświata, jakby płomienista obwódka, która jednak nie emanowała ciepłem. Kiedy Samantha się odwróciła, jej oczy były jeszcze jaśniejsze niż wcześniej, prawie białe.

- Czy jesteś pobożnym duchem? - spytał Chavez.

Głos, który wypłynął z ust Samantha, nie należał do niej.

- Nie.

- To nie wróży za dobrze - jęknęłam.

Dziwne spojrzenie Samantha powędrowało w moją stronę. Nie była już ślepa, bez względu na to, co kryło się w jej wnętrzu, zobaczyło mnie i się uśmiechnęło.

Mówi się, że można zostać sparaliżowanym ze strachu. To chyba prawda.

- Nie! - Chavez zamachał rękami przed jej nosem. - Masz się skupić na mnie.

- Chavez. - Okropne białe oczy znów popatrzyły na niego. - Minęło dużo czasu.

Głos przypominał węża - syk - ale był tak głęboki, tak powolny, jakby wydobywał się z magnetofonu o słabych bateriach.

- Nie dość dużo - powiedział Chavez. - Co wypuściłeś tym razem?

- Chciałbyś wiedzieć, co?

- Skoro pytam, musisz odpowiedzieć.

- Zasady. Nie cierpię ich.

- Co zrobiłeś? - powtórzył Chavez.

- Powinieneś mi podziękować. Gdybym ich nie wypuścił, co byś robił przez resztę życia?

- Odpowiadaj - warknął Chavez.

- Stworzyłem coś nowego.

- Nowego? Od kiedy możesz tworzyć nowe demony?

- Zawsze mogłem je tworzyć. Musiałem coś robić, żeby umilić sobie czas przez te wszystkie tysiąclecia. Zmieniło się tylko tyle, że teraz mogę je uwalniać.

- Dlaczego teraz?

Samantha zaczęła się śmiać - głębokim, złym śmiechem, który mógłby brzmieć komicznie, jak śmiech wydobywający się z plastikowych czaszek na Halloween, gdyby nie był prawdziwy.

- Nie zrozumiałeś, co mówię? - Samantha wyciągnęła ręce i potoczyła po szarym, milczącym kraterze. - Początek końca. Mój czas nadchodzi. Znamię bestii, Sześć-sześć-sześć. Czterech jeźdźców. Coś ci to mówi?

- Koniec świata - szepnęłam.

- No wreszcie - powiedziała Samantha głosem, który musiał chyba należeć do samego Szatana. – Jacyś chętni na apokalipsę?

8

Jestem Żydówką - wyznałam. - U nas nie ma apokalipsy.

Ciało Samantha zachwiało się, a na mnie spojrzało coś bardzo do niej niepodobnego.

- Armagedon jest bezwyznaniowy. Co spada na jednego, spada na wszystkich. Poza tym nie jesteś w pełni żydówką. Nie chodzisz do synagogi i jesz gyros.

- To baranina.

- Cholera. - Samantha uderzyła się w głowę nasadą dłoni. - Nigdy nie umiałem rozróżniać kopytnych.

- A sam jesteś jednym z nich. - Zerknęłam na Chaveza. - Czy ona zawsze łączy się z księciem ciemności?

- Mądra dziewczynka - rozległ się donośny głos. - Szkoda, że musi umrzeć.

- Dosyć - warknął Chavez. - Chcę wiedzieć, co tu wysłałeś i jak to zabić.

- To Szatan, ojciec kłamstwa - wtrąciłam. - Nie można mu ufać.

- Kiedy wchodzi w Samanthę, musi mówić prawdę.

- Pieprzone zasady ouija - mruknął Szatan pod postacią Samanthy.

Nigdy nie korzystałam z tabliczki ouija, bo byłam zbyt strachliwa, ale słyszałam różne opowieści. Duchy, które decydowały się odpowiedzieć, były zobowiązane mówić prawdę. Jednak prawdę można przedstawić na wiele różnych zagmatwanych sposobów.

- Co przysłałeś? - wycedził Chavez przez zaciśnięte zęby.

- Ten demon nie ma imienia. - Samantha przechyliła głowę. - Bardzo trudno go zabić. Trudno też go wykryć. Nikogo nie dziwi seks bez zobowiązań. Rozwiązłość na pierwszej randce stała się normą. Spojrzała na mnie, a ja zmusiłam się, żeby odwzajemnić jej spojrzenie. Postanowiłam nie czuć się winna za to, co zrobiłam pod wpływem demona.

- Trzeba jeszcze dopracować kilka szczegółów - ciągnęła Samantha. - Połączyłem inkuba z rakszasa, który potrzebuje ciała zmarłego. Ale ciała nie są zbyt trwałe i w końcu zrobi się za dużo trupów. Gdyby udało mi się sprawić, żeby demon przybierał ludzką postać...

- Opętania doprowadzają ludzi do szaleństwa - powiedział Chavez.

- Sam wiesz o tym najlepiej.

Popatrzyłam na Chaveza, a on się wzdrygnął. Zaciśnął usta, a potem pięści. Dotknęłam jego ręki. Bicie Samantha w niczym nam nie pomoże.

- Ale masz rację - z ładnych ust Samantha wydobył się głęboki, oślizgły głos. Im dłużej na nią patrzyłam, tym bardziej była przerażająca. - Zbyt wielu wariatów mogłoby powiadomić siły dobra. Potrzebny mi więc demon, który będzie wyglądał jak człowiek, ale w rzeczywistości nim nie będzie. Tak by było niezłe.

- Skup się. - Chavez klasnął przed nosem Samantha. - Jak mam zabić demona, którego przysłałeś?

Samantha uśmiechnęła się z wyższością.

- To ci się spodoba.

- Jakoś wątpię.

- Demon żywi się seksem z dziewczycami.

- Tyle wiem.

- Za dawnych, dobrych czasów składano dziewice w ofierze, żeby przebłagać bestię. Strasznie za nimi tęsknię.

Chavez zakręcił młynka palcem wskazującym, jakby mówił: Do rzeczy, ale ja już wiedziałam, co zaraz usłyszę.

- Już dobrze, dobrze. Żeby ocalić ją od losu gorszego niż śmierć, wystarczy, że ją poświęcisz.

Rozległo się dudnienie. Na początku myślałam, że to może nadjeżdżający pociąg, huragan albo autokar. Ale dźwięk wydobywał się z piersi Chaveza. Czysta furia.

- Wynoś się! - wrzasnął. - Znikaj stąd!

- Za późno. - Samantha przewróciła oczami. - Już tu jestem.

Złapał ją, kiedy się przewróciła, ale kilka sekund później spróbowała wstać.

- Nic mi nie jest.

Mówiła swoim głosem. Miała swoje oczy. Bardzo się cieszyłam, że mnie nie widzi. Cała się trzęsłam i byłam pewnie blada jak ściana. Nie chciałam jej przestraszyć. Ale z drugiej strony to ona przemawiała głosem diabła.

- Co zrobiłam? - spytała.

Obydwoje milczeliśmy, a ona westchnęła.

- Diabeł?

- Tak - powiedział Chavez.

- Nie cierpię, kiedy przychodzi. - Wystawiła język i się skrzywiła. - Potem przez wiele dni czuję siarkę.

- Przykro mi, że musiałem spytać - przeprosił Chavez. - Ale musiałem.

- Co mówiłam?

- Słyszałaś jakieś pogłoski o końcu świata?

- Zawsze słyszy się jakieś pogłoski. Zwłaszcza od kiedy to się stało. - Wskazała kciukiem pusty plac. - Duchy są niespokojne. Dzieje się dużo złego i wygląda na to, że z każdym dniem jest coraz gorzej.

Spojrzeliliśmy z Chavezem po sobie. To będzie się pogłębiać, jeśli nowe i stare demony zaczną się nagle pojawiać na ziemi jeden po drugim.

- Powiedział, że nadchodzi apokalipsa – przypomniał Chavez.
- Pewnie ma rację.

Samantha nie chciała, żebyśmy zabrali ją z Chavezem do domu.

- Mam tu za dużo do roboty. Musimy być przygotowani.

- Naprawdę sądzisz, że koniec jest blisko? – spytał. - Przepowiadają go od setek lat.

- Wcześniej czy później to się sprawdzi.

Gdy nie mówiła głosem Szatana, miała dużo racji.

- Chavez, mogę porozmawiać z tobą na osobności? - Samantha kiwnęła głową w moim kierunku, trochę za bardzo na lewo.

- Jasne - powiedziałam. - Zaczekam. – Rozejrzałam się po przygnębiającym betonowym chodniku. - Tam.

Nie odeszłam zbyt daleko, kiedy Samantha zaczęła gwałtownie szeptać. Głęboki głos Chaveza odpowiadał jej z podobnym rozgorączkowaniem. Nie wiedziałam, o czym rozmawiają, ale nie dlatego, że nie próbowałam podsłuchiwać.

- Cześć.

Podskoczyłam. Serce waliło mi tak głośno, że ledwie cokolwiek słyszałam, ale uspokoiło się trochę na widok pięknej wysokiej szczupłej blondynki stojącej przy ogrodzeniu. Widać byłam zbyt zaabsorbowana Samanthą i Chavezem i jej nie zauważyłam.

- Cześć - odpowiedziałam. - Nie chciałam przeszkadzać.

- Nie przeszkadzasz. Straszne tu odludzie.

- To prawda. - Ta okolica przyprawiała mnie o gęsią skórę nawet przed pojawieniem się Szatana.

- On cię zabije.

Znów podskoczyłam.

- C-co?

Wskazała na Chaveza.

- To wojownik. Wie, że czasem trzeba kogoś poświęcić dla wyższych celów.

Zmrużyłam oczy.

- Kim jesteś?

Uśmiechnęła się, a ja poczułam znajomy głęboki pomruk pożądania - takiego, które wywoływał u mnie demon.

- Nie sypiam z kobietami - powiedziałam.

- Zacznieś.

Pewnie miała rację. Otworzyłam usta, żeby zawołać Chaveza.

- Ma obsesję. Od czasu tego nieszczęsnego incydentu.

Zamknęłam gwałtownie usta. Naprawdę chciałam tego słuchać?
Mhm.

- Jakiego incydentu?

- Opętania przez demona. Biedny dzieciak.

Spojrzałam na Chaveza, który nadal rozmawiał z Samanthą. Gdyby spojrzał w moją stronę, zobaczyłby tylko, że rozmawiam z niegroźną kobietą.

Przypomniało mi się, co Chavez powiedział Szatanowi.

- Opętania doprowadzają ludzi do szaleństwa.

- Tak właśnie jest.

- Mówisz, że jest szalony?

Wzruszyła ramionami.

- Szaleństwo to rzecz względna.

Byłam innego zdania.

- Co się stało?

- Został opętany. Jego matka robiła wszystko, co mogła, żeby wypędzić z niego demona.

Kobieta oblizwała wargi i mruknęła z zadowoleniem. Zacisnęłam zęby, żeby powstrzymać słowa, które się we mnie kotłowały.

- Była bardzo kreatywna.

Zmrużyłam oczy.

- Co to, do cholery, oznacza?

- Widziałas jego tatuaż? Zrobiła mu go własnoręcznie, gdy miał piętnaście lat.

Zmarszczyłam brwi.

- A potem?

- Chłostała go, głodziła, zamykała w piwnicy. To, co zwykle się robi, żeby pozbyć się diabła.

- A raczej to, co zwykle się robi, kiedy samemu jest się diabłem.

- Ignorancja. Strach. To królestwo mojego pana.

- Skazał Chaveza na opętanie, żeby jego matka zrobiła mu krzywdę?

- Tak właśnie postępuje.

Zacisnęłam palce, aż paznokcie wbiły mi się w dłonie. Ból złagodził zarówno gniew, jak i irytujące podniecenie.

- A jak się pozbyli demona?

- Poprzez egzorcyzmy.

- To ciągle się je odprawia?

Zmarszczyła gniewnie brwi.

- Każdego cholernego dnia.

Trudno mi było w to uwierzyć, ale co ja mogłam wiedzieć?

- Kiedy Chavez wreszcie się uwolnił, stał się najbardziej zapalczywym pogromcą. Był młody, ale staranny. Zrobi wszystko, żeby tylko pokonać demona. Nienawidzi nas.

- Wiadomość z ostatniej chwili: wszyscy was nienawidzą.

- Ty nie.

- Jak nie mieszasz mi w głowie, to ja też.

- Mieszanie w głowie należy do moich obowiązków. - Popatrzyła mi w oczy. - Między innymi. Zabije cię, wiesz o tym?

Śluchający Samantha Chavez miał zaciętą minę. Wyglądał, jakby był zdolny do wszystkiego. Nawet do morderstwa.

- A ty nie? - spytałam.

- Tego nie powiedziałam. Ale umrzesz szczęśliwa, obiecuję.

Miałam ochotę uciec, tylko dokąd? Dokądkolwiek bym poszła, nawet gdyby nie odnalazł mnie Chavez, zrobiłby to demon. Czy nie lepiej zginąć łagodną śmiercią z rąk przyjaciela niż okrutną z rąk wroga?

- Chavez! - krzyknęłam. - Dawaj sól!

Muszę mu oddać sprawiedliwość: zjawił się biegiem. Ale kobieta już zniknęła.

- To była kobieta - stwierdził.

- Seks to seks.

- Tak może powiedzieć tylko ktoś, kto go nigdy nie uprawiał - zamilkł na chwilę. - Kobieta to sukub.

- Dzięki za odpowiedź.
- Nasz demon powinien być częściowo inkubem.
- Myślę, że ten demon ma różne postaci.
- To prawda. Co ci powiedziała?

Zawahałam się. Gdyby Chavez chciał, żebym wiedziała o jego opętaniu, o znęcającej się nad nim matce, i egzorcyzmach, to by mi powiedział. Nie chciałam mu o tym mówić. Nie chciałam też mówić o swojej niechronnej śmierci. Sądząc po jego minie, i tak już był wystarczająco zdenerwowany.

- To co zwykle - skłamałam. - Seks, dopóki nie padnę. Nie poddaje się. Bla bla bla. Siły ciemności powinny chyba zmienić płytę.

Przyglądał się mi przez kilka sekund, a ja zdołałam wytrzymać jego spojrzenie. Zdumiewające, jak jeden mały armagedon może nauczyć kłamać.

- Możemy iść? - spytał w końcu.

Zerknęłam na ogrodzenie, na beton, na wyrwę.

- Zdecydowanie.

Przywołał taksówkę, która akurat przejeżdżała obok, i podał kierowcy mój adres. Zapadło między nami milczenie. O czym mielibyśmy rozmawiać? O tym, jak mnie zabić? O moim pogrzebie? Potępieniu. Przebaczeniu. Wołałam ciszę.

Portier, już przyzwyczajony do widoku Chaveza, skinął głową, kiedy wsiadaliśmy do windy. Nie chciałam jednak, żeby Chavez został aresztowany za morderstwo. W najbliższym czasie będzie potrzebny, żeby utrzymać w ryzach hordy demonów, a może nawet zapobiec nadchodzącej apokalipsie.

Weszliśmy do mieszkania i ruszyłam do salonu, gdy Chavez zamykał za nami drzwi. Nie żeby zamykanie na coś nam się ostatnio zdało.

- W budynku jest boczne wyjście - rzuciłam. - Wiesz, jak odłączyć kamery?

- O czym ty do cholery mówisz?

- Będziesz musiał wydostać się z budynku tak, żeby nikt cię nie zobaczył.

Przeszedł przez pokój i zatrzymał się tak blisko mnie, że czułam jego żar, który wywołał we mnie nagły chłód.

- Myślisz, że zrobię ci krzywdę?

- Krzywdę nie. Ale mnie zabijesz.

Wyrzucił ręce do góry i odszedł kawalek.

- Ten cholerny demon!

- Możesz sobie darować.

Roześmiał się.

- Nie zabiję cię, Kit.

- Musisz. Rozumiem to. Chociaż...

Urwałam, bo w głowie wykluła mi się pewna myśl - podstępna, ale bardzo kusząca. Bardzo się zmieniłam przez ostatnie dni, pewnie dlatego, że cały świat się zmienił. A raczej świat był zawsze zupełnie inny, niż myślałam.

Czekałam z seksem do ślubu, na prawdziwą miłość, ale w ciągu najbliższych pięciu minut nie znajdę ani jednego ani drugiego. Czy naprawdę chciałam umrzeć jako dziewczica?

- Mam jedną prośbę - wydusiłam.

Westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Kit, nie mam zamiaru...

- Kochaj się ze mną.

Chavez przypatrywał mi się przez kilka sekund, a potem powoli pokręcił głową. Straciłam nadzieję.

Przeszedł przez pokój, a ja zeszywniałam, wiedząc, że to koniec.

- Ale zrób to szybko - powiedziałam.

Wyciągnął delikatnie rękę, zsunął mi okulary z nosa, złożył je i odłożył na bok.

- Na pewno nie będzie szybko, *querida* – mruknął. - A potem mnie pocałował.

9

Za pierwszym razem całowaliśmy się w środku nocy, teraz też. Wtedy nadal wierzyłam w świat bez zła. Wierzyłam, że mam przed sobą całe życie, że jeszcze znajdę prawdziwą miłość.

Teraz byłam już mądrzejsza. Ale ta wiedza nie sprawiła, że pocałunek był mniej odurzający. Może dzięki niej był tym bardziej odurzający. Skoro ta noc miała być moją ostatnią, chciałam ją spędzić właśnie tak. Z nim.

Otworzyłam usta, pogłębiając pocałunek. Chavez smakował miętą - świeżo, chłodno, orzeźwiająco. Polizałam jego zęby, a on jęknął.

Zdołałam rozpiąć kilka guzików przy jego koszuli, ale z pośpiechu zaczęłam się mylić i nie mogłam dokończyć

rozpoczętej pracy. Zamiast tego uczepliłam się kołnierzyka i zaczęłam ciągnąć.

Potknął się i omal mnie nie przewrócił.

- *Lo siento*. Ja...

Znów go pocałowałam.

- Przestań gadać.

Gdybyśmy zaczęli rozmawiać, mogłabym stracić zimną krew. Gdybyśmy czekali za długo, on mógłby ją stracić.

Złapałam go za rękę i zaprowadziłam do sypialni. Tam ściągnęłam przez głowę koszulkę i cisnęłam ją w kąt. Zaraz za nią poleciał mój stanik. Jego ciemne oczy przyglądały się moim piersiom. Może i jestem niska, może i jestem gruba, ale piersi mam naprawdę niezłe.

Kopniakiem zamknął za nami drzwi.

Jego koszula się rozchyliła, okalając jego pierś. Zmarszczki i załamania, ta ciemna skóra... chciałam jej wszędzie dotykać - i tak zrobiłam.

Przesunęłam kciukiem po jego tatuażu na mostku. Był bardzo mały; bez okularów musiałam przysunąć się bliżej, żeby zobaczyć maleńki krzyżyk wewnątrz okręgu. Zastanawiałam się, co on oznacza, a potem pomyślałam, że nie wiadomo, czy będę miała kiedyś czas, żeby o to zapytać.

Nachyliłam się i przesunęłam językiem po jednym sutku, a potem po drugim. Stwardniały pod dotykiem moich ust, więc wzięłam je między zęby.

Chavez złapał mnie za włosy, a ja znieruchomiałam, gotowa walczyć o to, żeby móc go posmakować. Ale zamiast mnie odsunąć, objął dłonią moją głowę i przycisnął do siebie.

Zaczęłam ssać i czułam nacisk maleńkiego gruzelka jego sutka na swoim podniebieniu. Wolną ręką gładził mnie po plecach, w górę wzdłuż żeber, a na koniec zostawił ją na piersi. Jego kciuk doprowadził mnie do podobnego stanu jak ja jego.

Ugięły się pode mną kolana, więc pozwoliłam im na to i przesunęłam policzkiem w dół po jego brzuchu, ocierając się ustami o przód spodni. Zawsze chciałam otworzyć facetowi rozporek zębami.

Nie poszło mi tak dobrze, jak sobie wyobrażałam. Bolały mnie zęby, zamek się zaciął. Zbyt duży napór od drugiej strony .

Niecierpliwie szarpnął za suwak i wziął penis w rękę przesuwając dłonią po całej długości.

Odepchnęłam jego rękę i wzięłam go do ust. Nie było czasu na wstyd, nie było czasu na poznawanie wszystkich niuansów. Chciałam wszystkiego doświadczyć, a miałam na to tylko jedną noc.

Z ręką na moim karku pokazał mi, jak to robić, odchylił głowę i wyprężył się w narastającym rytmie. Kiedy się odsunął, ja go przyciągnęłam. Ale on podniósł mnie i pocałował tak gwałtownie, że zderzyliśmy się zębami.

Przyciskał się do mojego brzucha, twardy i gorący, mokry od mojej śliny. Zakręciłam mimowolnie biodrami i oboje jęknęliśmy.

Oderwał ode mnie usta i przylgnęliśmy do siebie czołami.

- Gdzie ty się tego nauczyłaś?

- Improwizuję, w miarę jak sytuacja się rozwija.

Lekki śmiech musnął mój policzek.

- Uwielbiam kobiety z wyobraźnią.

Przesunął mnie w tył o kilka kroków, oparł rękę na mojej piersi i pchnął. Upadłam na łóżko. Popatrzył na mnie z dziwną miną - jakby widział mnie po raz pierwszy.

- Co? - spytałam.

- Jesteś taka piękna.

Parsknęłam.

- Nie trudź się, Chavez. Nie wymknę ci się.

- Nie trudź się? - Przechylił głowę; włosy opadły mu na ramię, a kolczyk załśnił pomiędzy czarnymi kosmykami.

- Nie jestem ładna. Nigdy nie byłam. Nigdy nie będę. Nie przejmuję się tym.

A przynajmniej już się nie przejmowałam. Po co miałam się przejmować?

Ta świadomość była wyzwalająca. Nie przejmowałam się swoim wypukłym brzuszkiem, szerokimi biodrami, rozstępami na pośladkach, które przypominały atlas drogowy. Żadna z tych rzeczy już się nie liczyła. Tylko to się liczyło.

On. Ja. Ta jedna noc razem.

Zrzucił spodnie, po czym ściągnął ze mnie moje i dołączył do mnie na łóżku. Uniosłam ramiona. Wsunął się w moje objęcia i musnął ustami jedną z moich piersi.

- Wiem, gdzie kryje się piękno - mruknął.

Jego ciemne palce sunęły po mojej skórze, delikatnie i nieuchronnie wzmagając moje podniecenie. Uczył się tego, co lubię, tak samo jak ja. Badał mnie zmyślnymi ustami; jego diabelski język naznaczał strefy erogenne,

o których nigdy nie słyszałam, a także te typowe dla wszystkich.

Jego broda urosła już na tyle, że nie była ostra, stała się niemal miękka. Jej dotyk jednocześnie łaskotał i drażnił - jeszcze jedno odczucie pośród tylu innych. Niejeden raz doprowadzał mnie do granic obłędu, a potem znów na skraj przepaści.

- Nie mogę - westchnęłam.

- Będziesz mogła.

Znalazł się nade mną, niemal wszedł we mnie. Otworzyłam się na niego, a on znieruchomiał.

- Aaaa! - Uderzyłam go pięścią w plecy, a on stłumił wybuch śmiechu. Ten dźwięk rozniósł się po całym moim ciele, aż po same palce, budząc we mnie pomruk i rozśmieszając mnie. Śmiech w takiej chwili był jednocześnie cudem i darem - czymś całkowicie zdumiewającym.

- To może trochę boleć - powiedział.

- Co ci mówiłam na temat gadania?

Uśmiechnął się szerzej i pocałował mnie w sposób, za którym zaczynałam już tęsknić. Gorąco, wilgotno, z językiem. Ten facet wiedział, co robi.

Kiedy byłam zaabsorbowana jego umiejętnościami łaskotania mnie po migdałkach, naparł na mnie i wszedł we mnie.

Nie bolało. Poczułam się... pełna. Może odrobinę niekomfortowo...

Poruszyłam się i coś pstryknęło. To odrobinę bolało, ale zapomniałam o tym w momencie, w którym poczułam, że ziemia się poruszyła. Wiem, jak to brzmi, ale trudno.

Wypełnił mnie ciepłem i życiem. Jego ciało poruszało się w pradawnym rytmie - ten rytm rozbrzmiewał w pulsowaniu mojej krwi. Kołysałam się na nim; on kołysał się na mnie, i w tej jednej chwili byliśmy tylko my dwoje.

Miał rozpaloną twarz, oczy mu pociemniały i wpatrywały się we mnie intensywnie. Zawsze sądziłam, że lepiej uprawiać seks w ciemności, ale zostawiliśmy wszystkie światła zapalone i cieszyliśmy się wszystkim, co widzieliśmy, co słyszeliśmy. Nie mogłam się powstrzymać i wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jego policzka.

- Chavez - szepnęłam.

Zwolnił i popatrzył na mnie z taką intensywną, badawczą miną, że moją pierś zalała fala ciepła. Coś się zmieniło, ale nie byłam pewna co.

- Mam na imię Zac.

- Zac - powtórzyłam.

Na dźwięk swojego imienia wypowiedzianego moimi ustami poruszył się we mnie, a siła jego ekstazy podsyciła moją. Orgazm trwał i trwał - on, ja, my - nie było niczego i nikogo innego, świat był taki, jaki powinien być.

Kiedy było po wszystkim, leżeliśmy spleceni. On głaskał mnie po biodrze, ja bawiłam się jego włosami. Nie chciałam go puścić i było to bardzo niebezpieczne pragnienie.

- Czy ziemia się poruszyła? - spytałam.

- O tak.

Podniósł głowę i pocałował mnie w czubek nosa. Miałam znów to dziwaczne uczucie - skarpetka w brzuchu, ciepły, sentymentalny ucisk. Zapiekły mnie oczy.

- Co się dzieje?

Wyrzałam przez okno. Ciągle była noc, ale już niedługo.

- Myślisz, że możemy się kochać jeszcze raz?

Zsunął się ze mnie, ale złapał mnie za rękę, splótł ze mną palce i zaczął mnie smyrać stopą.

- Możemy, ale nie w tej chwili.

Przesunęłam palcem po jego tatuażu.

- Co to oznacza?

Znieruchomiał.

- Wiesz przecież, co to krucyfiks.

- Wiem. Ale ten okrąg?

- Wieczność.

- Twoja matka...

Urwałam, ale on i tak się domyślił.

- Powiedział ci o mojej matce?

- Przepraszam.

- Niepotrzebnie. Starala się.

- Jej starania polegały na zadawaniu ci bólu?

- Nie umiała inaczej. Byłem opętany przez demona. Co miała zrobić?

Nie byłam pewna. Co bym zrobiła, gdyby mój syn miał w sobie okrucieństwo Szatana? Miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała się o tym przekonywać.

Dotknął paznokciem tatuażu.

- Zrobiła mi krzyżyk. Sam dorobiłem okrąg.

Pomyślałam o bólu, który musiał znosić - ze swoich własnych rąk i z rąk tych, którym ufał. Chciałam wziąć od niego ten ból, ale było już za późno, a poza tym i tak nie wiedziałabym jak.

- Dlaczego go zrobiłeś? - spytałam.

- Żebym nigdy nie zapomniał o tym, czemu przysięgałem. Nawet jeśli potrzeba na to całej wieczności. Zabiję każdego demona na ziemi.

Zadrżałam, wiedząc, że oznacza to, że mnie też musi zabić.

- Zimno ci? - Przygarnął mnie bliżej. - Ogrzeję cię, jak będziemy spać.

Och, jęknął cichy spanikowany głos w mojej głowie. Wpadłam w kłopoty

Zarzekałam się, że nie pójdę do łóżka bez miłości, ale co miałam zrobić, skoro zakochałam się właśnie w łóżku?

Nie zakochałam się. Nie. Byłam tylko oszołomiona orgazmem. Zabije mnie i wszystko będzie inaczej.

Odsunęłam się. Nie mogłam spać w jego ramionach i obudzić się, czując na sobie pistolet, nóż czy co innego planował użyć.

Wstałam z łóżka i pociągnęłam za sobą kołdrę, owijając się nią wokół piersi. Chavez nie próbował się nawet zakrywać, wpatrywał się tylko we mnie nieufnym, zmieszonym wzrokiem.

- Kiedy chcesz to zrobić? - zapytałam.

- Musisz dać mi odpocząć, Kit. Nie jestem już siedemnastolatkiem.

- Nie, nie to. Kiedy chcesz mnie zabić?

Ściągnął brwi, zrzędlą mu mina. Usiadł, a ja cofnęłam i na widok jego rozwścieczonej miny.

- Co ty sobie o mnie myślisz? Że jestem gorszym potworem od tych, które ścigam? - Zszedł z łóżka i zaczął chodzić za mną po pokoju. - Myślisz, że najpierw bym się z tobą kochał, a potem cię zamordował?

- Musisz, Zac.

- Nie mów tak do mnie! - Głos mu się załamał, a jego twarz przeszył spazm bólu. - Nie możesz mówić do mnie po imieniu, a jednocześnie sądzić, że mógłbym cię skrzywdzić.

Dopuściłam go za blisko siebie, on złapał mnie, a potem potrząsnął mną mocno.

- Nie zabiłbym cię. Nigdy.

- Nie będziesz musiał - usłyszałam przy drzwiach.

Krzyknęłam i odwróciłam się gwałtownie. Kolejny nieznajomy w moim domu, nic wielkiego. Ten facet był raczej nijaki - ani wysoki, ani niski, przeciętnej wagi, mysie włosy, szare oczy. Ale było w nim coś dziwnego, coś nieokreślonego.

- Czy trzeba być trupem, żeby znaleźć w tym domu trochę spokoju?

Oczywiście bycie trupem nie oznaczało już tego samego co kiedyś. Z tego, co mówił Szatan, już wkrótce trupy będą chodzić na randki z kim popadnie.

Chavez zasłonił mnie swoim ciałem i stanął naprzeciwko demona ubrany jedynie w mars na czole.

- Czego chcesz?

- Wyjaśnić pewne sprawy. Rozumiem, że jej nie powiedziałaś?

Chavez ściągnął ramiona, a ja nabrałam złych przeczuć.

- Czego mi nie powiedziałaś? - spytałam cicho.

Przeciętniak uśmiechnął się szeroko.

- Że dziewicę można poświęcić na wiele różnych sposobów.

10

Położyłam Chavezowi rękę na ramieniu i odwróciłam go do siebie.

- Wiedziałeś, że poświęcenie dziewictwa będzie tak samo skuteczne jak poświęcenie dziewicy?

Nic dziwnego, że tak stanowczo twierdził, że mnie nie zabije. Wiedział, że nie będzie musiał.

Nie wiem, czemu nie zaświtało mi to wcześniej. Usłyszałam, że trzeba złożyć w ofierze moje życie, ale to nie musiało wcale oznaczać, że to prawda, zwłaszcza że powiedział mi o tym demon.

- Nie słuchaj go - powiedział Chavez. - Chce nas skłócić. Tylko nie wiem jeszcze po co.

Chciałam wierzyć, że sam też nic wcześniej nie wiedział. Naprawdę chciałam. Ale jakiś głos w mojej głowie powtarzał w kółko: „naprawdę sądziłaś, że on cię pragnie? Spójrz w lustro, a potem popatrz na niego”.

Ale był też inny głos, który upierał się, że Chavez jest inny. Znał brzydotę, która kryła się za fasadą piękna. Walczył z nią każdego dnia. Mówił, że podobają mu się kobiety w okularach, kobiety, które czytają. Oczywiście to brzmiało najbardziej nieprawdopodobnie ze wszystkiego.

- O czym rozmawiałaś wtedy z Samanthą? - zapytałam.

Jego oczy zapłonęły wściekłością. Nie mogłam uwierzyć, że Chavez miał czelność się wściekać.

- A jak sądzisz, o czym?

-Gdzie zakopać moje ciało?

- Już ci mówiłem, że zabijam mnóstwo istot, ale nie ludzi.

Demon parsknął.

- Rany. Powie ci wszystko, co tylko zechcesz, co?

Nie odwróciłam się nawet w jego stronę, nie spuszczałam wzroku z Chaveza.

- Szkoda, że mnie nie zastrzeliłeś.

Może mniej by bolało.

Skrzywił się.

- Samantha zasugerowała, że można to rozwiązać pozbywając się dziewictwa, za którym gonił demon, ale to nie znaczy, że mi na tobie nie zależy.

Demon stojący w drzwiach wybuchnął śmiechem.

- Zamknij się! -warknął Chavez.

- Co on tu jeszcze robi? - spytałam. – Poświęciłeś dziewicę. Nie powinien obrócić się w pył?

- To nie demon.

Skierowałam uwagę na chichoczącego nieznajomego i zrozumiałam, co się zmieniło. Nie miałam ochoty się na niego rzucić. Miałam mu tylko ochotę przywalić - jemu i każdemu innemu facetowi w pokoju. Obsesja na punkcie seksu zniknęła. Można by pomyśleć, że powinnam być bez tego szczęśliwsza.

- A kto? - spytałam.

- Belzebub.

Spojrzałam na Chaveza.

- Znowu?

- Chyba mnie lubi.

Przez krótką chwilę mu współczułam. Wyobraźcie sobie - poświęcać pół życia na pogoń za złem i niszczenie

go, a do tego raz na jakiś czas, kiedy robi się naprawdę ciężko, przyjmować wizyty Szatana.

Kiepskie życie, ale to go nie usprawiedliwiało.

Chavez zdradził mnie w najgorszy możliwy sposób, w jaki mężczyzna może zdradzić kobietę. Udawał, że mnie pragnie, ale tylko mnie wykorzystywał. Nie dla seksu, ale po to, żeby ocalić życie moje i innych. Mimo wszystko nie miałam zamiaru mu za to dziękować.

- A więc ziemia się poruszyła, co, Kit? - spytał Szatan.

Poczułam, że krew odpływa mi z twarzy. On patrzył?

Zerknęłam na Chaveza, ale on był chyba równie przerażony, jak ja.

- Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, Chavez, ale to nie był efekt twojej męskości. To demon umierał.

Chavez zignorował go i wyciągnął do mnie rękę. Cofnęłam się. Nie chciałam, żeby mnie dotykał. Ani teraz, ani nigdy.

W jego oczach pojawił się ból, który szybko zamienił się we wściekłość, kiedy diabeł zarechotał. Odwrócił się od niego.

- To ty to zrobiłeś. To ty nasłałeś tego demona; zrobiłeś tak, żebym tak czy inaczej musiał ją skrzywdzić.

- Do czego zmierzasz? - spytał Szatan.

Klnąc, Chavez podniósł z podłogi swoje spodnie i wyjął fiolkę z wodą święconą. Diabeł przewrócił oczami.

- To mnie nie zabije.

Chavez chlusnął zawartością fiolki w twarz Szatana. Para, zapach przypiekanego ciała, syk płomieni, przez chwilę spod maski wyrzała twarz potwora.

- Wiem, że cię nie zabije - mruknął Chavez. - Ale na pewno zaboli.

Diabeł zwijał się przez kilka sekund. Miałam nadzieję, że zacznie wrzeszczeć: Topię się!, a potem naprawdę się utopi. On jednak wyprostował się i odsunął ręce od twarzy. Spięłam się, oczekując, że zobaczę coś okropnego, ale on wyglądał dokładnie tak samo.

- Nie bądź dziecinny - warknął. - Przyszedłem, żeby się dogadać.

- Pakt z diabłem? Hm, niech pomyślę. – Chavez postukał się palcami w brodę. - Nie.

- Nie tak szybko. Koniec już nadszedł. Gdy my tu sobie gawędzimy, demony wypełzają z piekła. Jedyna nadzieja dla rasy ludzkiej to ty.

- Czemu ja? - spytał.

- Jak sam stwierdziłeś, lubię cię. Zawsze lubiłem. Przez ten krótki czas, kiedy byłem w tobie, czułem się jak w domu.

- Pieprz się - warknął Chavez. - Wyrzuciłem cię. I już do mnie nie wrócisz.

Wyciągnął papierosa ze spodni i pospiesznie go zapalił. Trzęsły mu się ręce, na co diabeł się uśmiechnął, a ja podeszłam o krok bliżej. Może i miałam ochotę wbić Chavezowi coś ostrego w oko, ale nie zamierzałam pozwolić, żeby Szatan go skrzywdził.

- O czym on mówi? - spytałam. - Myślałam, że byłeś opętany przez demona.

- To ojciec wszystkich demonów. W każdym z nich jest jego okruc.

- Jesteś do mnie bardziej podobny, niż chciałbyś to przyznać - szepnął Szatan. - To dlatego potrafisz tak skutecznie nas niszczyć. Wyczuwasz zło na wiele kilometrów, co?

Chavez zaciągnął się mocno i dmuchnął dymem w twarz mężczyzny. Zamiast zanieść się kaszlem, diabeł wciągnął dym jak ambrosję.

- Tak właśnie myślałem - mruknął. - Proponuję następujący układ: jeśli przed końcem świata uda ci się zabić wszystko, co uwolniłem, odwołam apokalipsę. Coś jak gra wideo, tylko w realu.

- Od kiedy to on decyduje o apokalipsie? - spytałam.

Żaden z nich mi nie odpowiedział.

- Kiedy nastąpi koniec świata? - Chavez znów się zaciągnął.

- To wiem ja, a ty musisz się sam dowiedzieć.

I kto tu był dziecinny?

- A co, jeśli przegram?

- Wesz co.

Diabeł znów się roześmiał, a potem zniknął.

Gapiałam się w miejsce, w którym stał jeszcze kilka sekund wcześniej, a potem podniosłam wzrok na Chaveza.

- Co się stanie?

- Dostanie moją duszę.

Głupie pytanie...

Chavez pozbiierał swoje ubrania.

- Idziesz?

- Słyszałaś, co powiedział. Nie mam za dużo czasu.

- A może masz mnóstwo. Nikt nie wie, kiedy tak naprawdę nastąpi koniec świata. A jeśli on postanowi wszystko zakończyć, kiedy zostanie ci tylko jeden demon do zabicia?

- To nie tak.

-A jak?

- Koniec świata jest już wyznaczony, tyle że nikt nie mógł określić dokładnej daty. Istnieje mnóstwo teorii ten temat.

- Apokalipsa to jedno z wierzeń chrześcijańskich, a i tak nie wszyscy chrześcijanie w nią wierzą.

- Brak wiary nie oznacza, że apokalipsa staje się przez to mniej realna.

- Sześćdziesiąt siedem procent ludności świata to nie chrześcijanie - zauważyłam.

- Skąd wiesz? - spytał Chavez.

- Lubię mieć wiedzę ogólną.

- Lubię mądre kobiety.

Zmrużyłam oczy, a on mówił dalej:

- Szatan wywodzi się z wierzeń chrześcijańskich, ale pamiętaj, że... wszystkie religie wierzą w dobro i zło. To, że nie nazywają go Szatanem, nie zmienia faktu, że jest przywódcą podziemi. Widziałaś go. Jest prawdziwy.

- I dlatego apokalipsa też jest prawdziwa?

- Nawet jeśli kłamie, nie zaszkodzi pozbyć się wszystkich demonów. To i tak plus.

- Chyba że przegrasz.

- Ktoś musi.

Ubrał się szybko i nadszedł czas pożegnania. Nie chciałam się żegnać.

Moje uczucia do Chaveza były prawdziwe, nawet jeśli jego udawanie było tylko... udawaniem.

- Pewnie uznałeś, że moja ostatnia prośba była - westchnęłam i się odwróciłam - historyczna.

- Pochlebiła mi. - Stał przede mną. - I podnieciła mnie.

- I była wygodna.

- Kit...

- Chciałeś mnie uwieść. - Wzruszyłam ramionami. - Ale nie musiałeś.

Nabrał powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, ale ja powstrzymałam go, unosząc dłoń. Miewałam chwile objawienia. Nie zdarzały się często, ale kiedy się pojawiały, kierowałam się nimi.

- Nie ma znaczenia, czy wiedziałeś, czy nie. Uratowałeś mi życie.

Ochłonełam ze złości. Chavez zrobił, co musiał, w imię dobra. Nie podobało mi się to, co mi zrobił...

Kłamstwo. Podobało mi się, i to bardzo.

Nie mogłam obrzucać go kamieniami. Poszłam z nim do łóżka, chociaż sądziłam, że chce mnie zabić. Ostatni wyskok. Obiecywałam sobie czekać na prawdziwą miłość, a na pierwszy sygnał o nadchodzącym końcu świata zapomniałam o swoich obietnicach dla przyjemności.

Chociaż później rozumiałam, że go kocham, nie stanowiło to dla mnie żadnej wymówki.

Nie mogłam się na niego złościć, skoro zrobił tylko to, o co go poprosiłam - i to, co było bezwzględnie konieczne.

- Rób, co do ciebie należy - powiedziałam. – Ocal świat.

Jego spojrzenie złagodniało. W brzuchu wszystko mi się skręcało. Nie mogłam uwierzyć, że z niego rezygnuję, ale z drugiej strony nie za bardzo miałam inne wyjście.

- Od razu wiedziałem, że jesteś wyjątkowa. Dostanę buziaka na pożegnanie?

- Nawet dwa.

W tym pocałunku było wszystko, o czym marzyłam myśląc o pożegnaniu - żar pożądania i delikatność oddania. Zapięły mnie oczy i siłą powstrzymałam łzy. Chavez musiał odejść, a ja musiałam mu na to pozwolić.

Podniósł głowę.

- Gdyby świat nie miał się skończyć...

Położyłam mu palec na ustach.

- Ale ma.

- Tak. - Cofnął się, a ja do niego przywarłam. - Gdyby świat się nie skończył...

- Zadzwoń.

Nie zrobi tego. Taki facet i taka dziewczyna - chwila podniecenia i już. Co z oczu, to z serca. Ale zabrzmiało dobrze - jakby mi nie zależało, jakbym wewnątrz nie umierała.

- *Hasta luego, chica.*

Łzy zamazały mi widok. Otarłam je, ale on już zniknął.

Trzask zamykanych drzwi poniósł się po nagle cichych pokojach. Znów byłam sama.

Ja i moje wielkie, grube, nudne życie.

11

Moje życie nie zmieniło się na lepsze. Bez Chaveza nie miałam po co wstawać z łóżka.

Nigdy nie lubiłam swojej pracy. Teraz jej wręcz nienawidziłam. Jaki sens wciskać ludziom książki, za które

płacili zdecydowanie mniej, niż były warte? Jaki sens wykonywać jakąkolwiek pracę, skoro świat i tak miał się skończyć?

Snułam się, czekając, aż coś się zdarzy, ale nie byłam pewna, co by to miało być.

Trzy miesiące później ciągle czekałam. Pewnego wieczoru zasnęłam dość późno nad rękopisem. Kolejna sobota, a ja byłam sama.

Ale nie chciałam nikogo poza nim.

Cały czas śniłam o Chavezie, a w moich snach on był ze mną. Jego delikatny dotyk, pełne miłości spojrzenie. Czysta fantazja, ale nic innego mi nie pozostało.

- Kit. Obudź się.

Jego głos rozległ się z bardzo bliska. Jego palce były takie ciepłe, kiedy zdejmował mi okulary. Wybudziłam się i otworzyłam oczy.

- Hej, *chica*.

Znów zamknęłam oczy, zacisnęłam mocno powieki i spróbowałam jeszcze raz. Jego postać była niewyraźna, ale była.

Podniosłam się, a kartki rękopisu zsunęły mi się z kolan i posypały na podłogę. Nie łapałam ich.

- Czy świat jest bezpieczny?

Chavez pokręcił głową. Wyglądał na zmęczonego, wyczerpanego, zdruzgotanego. Zupełnie inaczej niż mężczyzna, który wyruszył z misją nie dalej niż trzy miesiące temu.

- Po co przyjechałeś?

Zawahał się.

- P-potrzebuję cię.

- Dobrze. - Splotłam z nim palce i skierowałam się do sypialni.
- Wezmę dla siebie tyle, ile mogę.

- Nie! - Wyrwał rękę. - Nie o to mi chodziło.

- A o co?

- W-widziałem straszne rzeczy. Świat pogrzyżył się w chaosie,
Kit.

- Zauważyłam.

- Ale cały czas pamiętałem o tobie. Tylko ta myśl dodawała mi siłę.

Chciałam mu wierzyć, ale chciałam też mieć pewność i chciałam, żeby on też ją miał.

- Spędziliśmy razem jedną noc, Chavez. Sfabrykowana bliskość w zamian za śmierć zła, a przynajmniej jakiejś jego części.

- Kochaliśmy się.

- Wiem.

- Dla mnie to było coś więcej.

Zrobiłam wielkie oczy, wstrzymałam oddech. Zaniemówiłam. On najwyraźniej nie miał tego problemu.

- Oszalałem na twoim punkcie, jak tylko cię zobaczyłem, ale nie mogłem cię dotknąć. Musiałem...

- Chronić mnie. - Uśmiechnęłam się, a on się trochę rozluźnił. - I ci się udało. Jestem dzięki tobie bezpieczna i jestem ci za to wdzięczna.

- Nie chcę, żebyś była mi wdzięczna - stwierdził.

- A jaka mam być?

Odwrócił się i mruknął:

- Moja.

- Co?

Odetchnął głęboko i znów na mnie spojrzał.

- Chcę, żebyś była moja. Chcę mieć gdzieś kogoś, kto na mnie czeka. Mam dość samotności. Jedyny raz, kiedy czułem, że mam gdzieś swoje miejsce, to kiedy byłem tu z tobą.

- O czym ty mówisz?

- Kocham cię. Nie mogę bez ciebie żyć. Mam nadzieję, że ty też tak czujesz.

Zawahałam się, a on się przygarbił.

- Wiem, że taka dziewczyna jak ty i taki facet jak ja: pewnie zapomniałaś o mnie, jak tylko zamknąłem drzwi.

Parsknęłam cichym śmiechem.

- Raczej nie da się o tobie zapomnieć.

W jego oczach załśniła nadzieja. Nie chciałam, żeby zgasła.

- Ja też cię kocham, Zac.

Uśmiechnął się, słysząc, jak wypowiadam jego imię. Dla niego ofiarowanie swojego imienia znaczyło więcej i niż ofiarowanie ciała.

- Życie bez ciebie nie ma sensu. Nienawidzę tu być, bo jestem bez ciebie. Chcę ci pomóc ratować świat.

Chavez pokręcił głową tak mocno, że jego włosy się rozsypały, a kolczyk załśnił w świetle lampy i roziskrzył się jaskrawo.

- Nie pozwolę ci ryzykować własne życie.

- Ale ty możesz ryzykować swoje?

- Ścigam demony. To moja praca. Zajmuję się tym od zawsze.

- Mam wrażenie, że ostatniego demona musieliśmy pokonać razem. Beze mnie ciągle byś się za nim uganiał z tą swoją solą, wodą święconą i winem mszalnym.

Uniósł brwi.

- Nie zapominaj o srebrnych kulach.

- Jakbym mogła, skoro okazały się takie skuteczne?

Uśmiechnął się nieśmiało.

- Tak sobie pomyślałem, że miłość zawsze była silniejsza niż wszystko.

- Zgadzam się.

- Może to nie seks zabił tego demona, tylko miłość...

- Może masz rację.

- A więc im bardziej będziemy się kochać...

- Nie musisz szukać wymówek, Zac.

-Noto...?

- Razem walczymy, razem zwyciężamy albo nie.

- Ty nie możesz walczyć - zakpił Chavez.

- Miałam na myśli walkę z rodzaju „słowa mogą ranić bardziej niż czyny”.

- Zbieranie informacji - stwierdził.

Sięgnęłam pod stolik i wyciągnęłam stos zapisanych kartek.

- Kiedy cię nie było, miałam mnóstwo wolnego czasu.

Podaliśmy mu kartki, a on przejrzał je powoli, a potem znów popatrzył na mnie. Wróciło jego ożywienie.

- Rewelacja, Kit.

- Mówiłam ci, że jestem dobra z wiedzy ogólnej.

- To nie ogólniki. - Ścisnął kartki. - To ratunek dla świata.

Słyszając tę pochwałę, oblałam się rumieńcem i spuściłam wzrok. On podszedł bliżej, wsunął mi palec pod l de i ją uniósł.

- Będzie niebezpiecznie - powiedział.

- Obronisz mnie.

- Tak.

Jego słowa zabrzmiały jak obietnica, której dotrzyma.

Czy świat się skończył?

Jeszcze nie.

LYNSAY SANDS

METAMORFOZA

1

Króliczek. - Obrzydzenie, jakie John Heathcliffe wyraził w tym słowie, sprawiło, że Claire Beckett aż przewróciła oczami, jednocześnie płucząc i napełniając świeżą wodą pojemnik z klatki. Jednak John nie skończył jeszcze narzekać: - Nie wiem, dlaczego nie możemy...

- Owszem, wiesz dlaczego, John - napomniał Kyle Lockhart z cierpliwością, którą Claire uznała za godną świętego. Nie podniósł nawet głowy znad raportu. - Bo musimy działać zgodnie z procedurą bezpieczeństwa. Robimy testy na zwierzętach, żeby mieć pewność, że wszystko jest bezpieczne, zanim dopuścimy to choćby w pobliże ludzi.

Claire podeszła z powrotem do klatki i zerkając na Johna, odnotowała poirytowanie na jego twarzy. John najwyraźniej nie doceniał cierpliwości Kyle'a, ale z drugiej strony podejrzewała, że było niewiele rzeczy, które John w nim cenił. Wiedziała, że się wściekał, bo doktor Cohen wybrał Kyle'a na szefa laboratorium. John uważał, iż to on powinien nim zostać. Obaj kończyli właśnie pracę nad swoimi doktoratami, więc ich wzajemne stosunki nabrały pewnych cech rywalizacji, przynajmniej ze strony Johna. Kyle najwyraźniej nie miał z tym problemów, ale w końcu to on był szefem.

- Przeprowadziliśmy już testy na kilkunastu myszach i szczurach, a teraz jeszcze na trzech królikach - zauważył ze zniecierpliwieniem John, gdy Claire wkładała buteleczkę z powrotem do klatki.

- Tak - przyznał Kyle. Tym razem podniósł wzrok znad raportów i dodał z naciskiem: - I pierwsze dwa skończyły jako miazga.

John uznał tę uwagę za mało istotną.

- Tylko pierwsze dwa i to jedynie dlatego, że napięcie było za duże. Już to poprawiliśmy. Znamy dawkę na kilo. Możemy...

- Przeprowadzamy testy na króliku, John - powiedział stanowczo Kyle. - A potem przeprowadzimy je na większym zwierzęciu, takim jak...

- Tak, tak - przerwał tamten niecierpliwie. - Przetestujemy to na kilku królikach, potem na kilku kotach, potem na kilku psach, potem na małpach, potem, potem, potem... Zestarzeję się, zanim w ogóle zaczniemy testować na ludziach. O ile w ogóle tego dożyję - powiedział z obrzydzeniem. - Jaki sens w ogóle testować na zwierzętach? Nie mogą nam opowiedzieć, co czują. Nie rozumieją, co im robimy, i nie potrafią zastosować się do poleceń i spróbować się zmienić. Nie...

- Mogą nam powiedzieć, czy to jest bezpieczne, gdy przeżyją cały zabieg - wyjaśnił krótko Kyle. - Mogą nam powiedzieć, do jakich ewentualnych uszkodzeń doprowadził u nich zabieg, gdy będziemy je badać przez następne kilka lat po testach.

- Lat - wymamrotał John. - Głupia, zachowawcza nauka.

- Tak - powiedział sucho John, zamykając teczkę i podnosząc się z siedzenia. - Beznadzieja, co?

Claire zagryzła wargi, żeby stłumić parsknięcie, i uniosła pytająco brwi, kiedy Kyle skierował na nią spojrzenie swoich błękitnych oczu.

- Claire, muszę zanieść doktorowi Cohenowi najnowsze wyniki badań naszych podopiecznych. Mogłabyś w tym czasie wyciągnąć Tuptusia z klatki i go przypiąć? Zaczniemy zaraz, jak wrócę.

- Dobrze, Kyle. - Claire odwróciła się do klatki, a on podszedł do drzwi laboratorium. Jej wzrok jednak natychmiast odszukał go w prostokątnym lustrze na ścianie nad klatką. Zlustrowała go, ubranego w długi biały fartuch. Wyglądał w nim strasznie seksownie. Pomyślała, że nie miałaby nic przeciwko, żeby zabawić się z nim w lekarza i pacjentkę. Ale wtedy jej spojrzenie padło na własne odbicie i westchnęła na widok znajomej twarzy pod strzechą rudych włosów, które zebrała w koński ogon. Nie raz i nie dwa mówiono jej, że jest ładna, i była dość zadowolona ze swojego wyglądu, ale wydawało się, że nie ma to dla Kyle'a żadnego znaczenia. Traktował ją raczej jak kumpelkę albo młodszą siostrę niż jak kobietę.

- Dobrze, Kyle - zaczął ją złośliwie przedrzeźniać John. - Dziękuję, Kyle. Przelóż mnie przez stół i...

- Wiesz co, John, potrafisz być czasem strasznym idiotą - przerwała mu Claire i otworzyła klatkę z królikiem. Mówiła znudzonym tonem, choć była poirytowana i zawstydzona. Gdyby John wiedział, że ją zranił, zaczęłby się zachowywać jak pies ogrodnika. Wiedziała to z doświadczenia. Zrobił się strasznie nieprzyjemny, od kiedy

nie przyjęła jego zaproszenia na kolację dwa miesiące temu. Uznał, że odmówiła dlatego, że „robiła maślane oczy” do Kyle'a. Co było prawdą, ale Claire nie miała pojęcia, skąd o tym wiedział.

- Chodź, Tuptus - powiedziała pieszczotliwie i wyjęła białego królika z klatki. - Nie ma się czego bać.

- Jasne - potwierdził John i podeszedł do panelu kontrolnego destabilizatora. - Napromieniujemy cię tylko destabilizatorem molekularnym, który zamieni cię w breję.

Claire spojrzała na jego plecy i zamknęła drzwiczki do klatki, a potem skupiła się na króliku. Gładząc go uspakajająco, powiedziała:

- Nie słuchaj go. Takie rzeczy nie zdarzają się już od dawna, odkąd ustaliliśmy, że stosujemy za dużą moc. Nic ci nie będzie.

Niosąc królika do komory testowej, Claire nie przestawała szeptać mu do ucha kojących bzdur. Niewielką komorę zbudowano na środku szerokiej tylnej ściany laboratorium. Miała wielkość metra kwadratowego, a jej przód i boki były wykonane ze specjalnego szkła, przez które można było patrzeć. W środku czekał destabilizator molekularny. Nie wyglądał dużo ciekawiej niż zwykły rentgen, ale nie wysyłał fotonów z interferencji magnetycznej.

Automatyczne drzwi rozsunęły się z szelestem przed Claire, a potem zamknęły za nią z tym samym cichym odgłosem, ona zaś podeszła z królikiem do stolika pod destabilizatorem. Położyła Tuptusia na blacie i zzczyła go przypinać.

Z jakiegoś powodu ten obowiązek zawsze wzbudzał w niej niechęć. Nie lubiła przypinać zwierząt. Oczywiście zawsze zaczynały wpadać w panikę i się szamotać, ale nie mogła ich za to winić. Sama też by nie chciała, żeby ktoś ją przypinał do stołu. Poza tym pewnie wyczuwały jej zdenerwowanie. Zajmując się królikami, Claire zerknęła nerwowo na lejkowaty projektor, z którego uwalniane było promieniowanie. Zawsze się stresowała, będąc w jego pobliżu, bo bała się, że zacznie nagle puszczać w nią wiązki promieni, co oczywiście było niemożliwe. Żeby tak się stało, ktoś musiałby go uruchomić.

Ta myśl kazała jej spojrzeć przez ramię i dalej przez szybę na panel kontrolny. Stał przy nim John i mamrocząc coś pod nosem ze zmarszczonymi brwiami, obliczał właściwą moc, której należało użyć w przypadku Tuptusia. Cały proces zależał w dużej mierze od wagi, bo należało użyć określonej mocy na kilogram masy zwierzęcia. Za mała moc nie dawała żadnych efektów, za duża... ale to wydarzyło się tylko przy dwóch pierwszych próbach.

Claire odwróciła się z westchnieniem do królika i znów zajęła się mocowaniem pasków, upewniając się, że są porządnie przypięte, jednak nie tak mocno, żeby zrobić zwierzęciu krzywdę. Mimo zastrzeżeń co do pracy przy destabilizatorze, Claire lubiła swoje zajęcie. Praca na tym polu, przy nowatorskim eksperymencie, była ekscytująca. Wykorzystali badania na kameleonach, a także różne naturalne przemiany zachodzące w przyrodzie, takie jak zamiana substancji lotnej w płynną pod odpowiednim ciśnieniem albo płynu w ciało stałe pod wpływem ujemnej temperatury. Zebrali wszystkie dane i na ich podstawie

stworzyli destabilizator. Liczyli, że za jego pomocą dokonają zmian komórkowych, które umożliwią różnym zwierzętom zmianę ubarwienia, pełniącą funkcje kamuflażu. W efekcie mieli stworzyć królika-kameleona, mysz, szczura czy psa-kameleona, a w końcu - człowieka-kameleona.

Claire skończyła przypinać Tuptusia i odwróciła się do wyjścia, ale zatrzymał ją głos Johna dochodzący z interkomu.

- Claire, Tuptuś nie leży pod projektorem. Wróć i go popraw.

Marszcząc brwi, odwróciła się i podeszła znów do stołu, żeby spojrzeć na królika. Jej zdaniem był, gdzie trzeba.|

- Jesteś pewien? - spytała, wiedząc, że John słyszy ją przez interkom. - Na moje oko wygląda okej.

- Kamera pokazuje go tylko od połowy. - Wyczuła w jego głosie poirytowanie. - Może to kamera jest przekrzywiona.

Claire podniosła głowę i popatrzyła na destabilizator.

- Kamera jest na samym końcu projektora - poinformował ją John. - Możesz na nią zerknąć?

Claire zmarszczyła brwi. Z tego, co widziała, nie można było tam sięgnąć, nie wchodząc na stół.

- Stół się przesuwają - odpowiedział. - Odsuń go po prostu, wsuń się pod projektor i poszukaj po drugiej stronie małej kamerki. Powinna być podłączona. Jeśli nie jest, będę musiał poprosić Kyle'a, żeby po drodze wziął narzędzia.

Claire przesunęła delikatnie stół, do którego był przypięty Tuptuś. Tak jak powiedział John, stół z łatwością

dał się odsunąć i odsłonił podłogę pod destabilizatorem. Claire spojrzała na puste miejsce i nie bardzo miała ochotę je zająć. Naprawdę nie podobał jej się pomysł, żeby włączyć pod sam projektor. Znalazłaby się wtedy w polu rażenia promieni destabilizujących.

Co jest zupełnie bezpieczne, pod warunkiem że urządzenie jest wyłączone, uspokoiła samą siebie.

- No! Czekam - rzucił cierpko John.

Claire uklękła z westchnieniem i wpełzła tam, gdzie wcześniej był stół. Kiedy znalazła się pod projektorem, podniosła głowę i się rozejrzała. Od razu zobaczyła kamerę, ale jej zdaniem była, gdzie trzeba.

- Wygląda okej - powiedziała, marszcząc brwi. - Jest...

Słowa zamarły jej w gardle, bo nagle z projektora wystrzeliło białe światło. Uderzyło w nią gwałtownie, a ona nie mogła ani się poruszyć, ani nawet krzyknąć. Czuła się dokładnie tak, jak jej zdaniem musiał czuć się ktoś, w kogo uderzył piorun. Przeszyła ją fala potwornego ostrego bólu, który najwyraźniej dotarł do każdego zakończenia nerwowego; Claire zdrętwiała i straciła przytomność.

- Claire?

Głos był ponagląjący i wystraszony, ale Claire dopiero po chwili zdołała się poruszyć i otworzyć oczy. Zobaczyła przed sobą Kyle'a Lockharta. Jego jasne włosy były uroczo potargane, co od czasów szkoły średniej stanowiło rzadki widok. Błękitne oczy zmrużył ze zmartwienia, a usta zacisnął w wąską linię na nieruchomej twarzy.

- Kyle? - szepnęła Claire.

- Och, dzięki Bogu. - Zamknął na chwilę oczy, po czym otworzył je raptownie i się wyprostował. - Chodź, pomogę ci wstać.

Claire rozejrzała się dokoła, kiedy Kyle pomagał jej stanąć na nogi. Ciągłe byli w komorze testowej, ale przy przedniej ścianie, jak najdalej od destabilizatora molekularnego. Z projektora ciągle wylewało się białe światło, które przeszło ją tak potwornym bólem.

- Tędy. - Kyle poprowadził ją do drzwi, ale Claire obejrzała się na wiązkę światła i skrzywiła, kiedy przypomniła sobie, co się stało.

- Sprawdzalam kamerę i wtedy destabilizator jakimś cudem się włączył - wyjaśniła, kiedy Kyle ponaglał ją do wyjścia. Wzdrygnęła się na wspomnienie promieni przeszywających jej ciało.

- Ten „cud” to John - powiedział ponuro Kyle.

- John? - zapytała ostro Claire, kiedy podprowadził ją do laboratoryjnego fotela i posadził. - Chcesz powiedzieć, że celowo mnie napromieniował?

- Tak. Drań bardzo chciał przeprowadzić próbę na człowieku i musiał uznać, że to ty zostaniesz obiektem jego badań. Idiota.

Położył jej dłoń na czole i kciukiem odchylił jedną powiekę. Zajrzał jej w oko, a potem przesunął rękę na drugą stronę i powtórzył czynność.

- Masz lekko rozszerzone źrenice - powiedział ze zmarszczonymi brwiami. - Jak z twoim wzrokiem?

- W porządku - uspokoiła go Claire. Kiedy zdjął rękę z jej czoła, odwróciła głowę i spojrzała na panel kontrolny w poszukiwaniu Johna. Ciemnowłosy mąż-

czynna leżał bez przytomności na podłodze przy maszynie.

- Co mu się stało? - spytała bardziej z ciekawości niż z troski. Trudno jej było się o niego martwić po tym, co jej zrobił.

- Ogluszyłem go - mruknął Kyle, sprawdzając jej puls.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem. John miał metr osiemdziesiąt dwa wzrostu i był na swój sposób przystojny, ale miał ciało naukowca, tyczkowate i chude. Miał również pilną naturę naukowca i nie był typem faceta, który wdawał się w bójki.

Czując na sobie zaniepokojony wzrok Claire, Kyle wzruszył z zawstydzeniem ramionami.

- Wróciłem i jak zobaczyłem, co robi, strzeliłem go pięścią - powiedział niemal przeprasząco. - Potem pobiegłem do komory i wyciągnąłem cię spod promieni.

- Strzeliłeś go? - zapytała Claire, wciąż zdumiona.

- Działalem... instynktownie - wyjaśnił zawstydzony Kyle. - Byłem... wściekły.

- Aha. Dziękuję - powiedziała ochryplym głosem Claire.

Wzruszył ramionami i unikając jej spojrzenia, popatrzył na zegarek i zmierzył jej puls, ale nagle jego usta wykrzywiły się z niezadowoleniem i stwierdził:

- To moja wina. Powinienem być się domyślić, że John wytnie taki numer. Od początku marudził, że testujemy na zwierzętach, i upierał się, żeby testować na ludziach.

- To nie twoja wina - zapewniła szybko Claire. - Ja też słyszałam jego narzekania, ale do głowy mi nie przyszło, że mógłby zrobić coś takiego.

Pokiwał głową, ale ona widziała, że nadal czuje się za wszystko odpowiedzialny.

- Masz trochę przyspieszony puls, ale to nic niepokojącego. -
Wyprostował się i popatrzył na nią. – Jak się czujesz?

Claire znieruchomiała i spróbowała wniknąć w siebie. Była trochę roztrzęsiona, ale w końcu została ogłuszona przez promieniowanie. Poza tym czuła się w miarę normalnie.

- W porządku - powiedziała w końcu. - Nie czuję się jakoś inaczej.

Zawahał się chwilę i rozejrzał po laboratorium, a potem spytał:

- Dasz radę iść o własnych siłach?

Kiedy Claire przytaknęła, pomógł jej się podnieść.

- No to chodź. Na dziś stanowczo wystarczy. Zabieramy się stąd.

Claire całkowicie się z nim zgadzała. Czuła się dobrze, ale nie chciała zostawać w laboratorium. A już na pewno nie chciała tu być, kiedy John odzyska przytomność. Jeśli odezwałby się do niej choć słowem, mogłaby stracić kontrolę i naprawdę zrobić mu coś złego. Mógł ją zabić.

Kyle wziął ją za rękę i spojrzał na nią uważnie. Już otwierał drzwi, kiedy Claire przypomniała sobie nagle o biednym króliku, ciągle przypiętym do stołu w komorze testowej.

- Czekaj. - Zatrzymała się i odwróciła. - A co z Tuptusiem?

- Och. - Kyle zerknął na przeszkloną komorę. Po chwili wahania zdecydował: - Zaczekaj tu. - I podszedł

szybkim krokiem do panelu kontrolnego, wyłączył destabilizator i wszedł do kabiny.

Claire przyglądała się, jak odpina zwierzę, uśmiechnęła się na widok jego poruszających się warg, kiedy gładził i uspokajał królika. Tak jak ona, lubił gadać i paplać pieszczotliwe nonsensy do zwierząt laboratoryjnych i wiedziała, że podobnie się przejmował, kiedy coś szło nie tak. Tylko John traktował zwierzęta jak kawałki drewna.

Na myśl o Johnie spojrzała na jego nieprzytomną postać i się skrzywiła. Bywało już, że zachowywał się podle, ale dziś przebrał miarę. Nie chodziło tylko o to, że mógł ją zabić, ale kto wie, jaki wpływ mógł mieć na nią destabilizator?

Drzwi do komory otworzyły się z cichym szelestem i Claire zerknęła na nie, z ulgą odrywając się od swoich myśli. Kyle wsadził pospiesznie Tuptusia do klatki i szybko do niej dołączył.

- Co z nim zrobimy? - zapytała, wskazując głową nieruchomą postać Johna.

- Zostaw go. Wezwę ochronę, ale... - Kyle zawahał się, a potem wyznał: - Martwię się, jak zareaguje doktor Cohen, kiedy się dowie, że zostałaś wystawiona na działanie destabilizatora molekularnego.

Tylko tyle miał do powiedzenia. Jeśli ktokolwiek się dowie, Claire na pewno zostanie zamknięta w laboratorium w swojej własnej klatce - choć pewnie będzie to raczej sterylnie biały pokój. Codziennie będzie poddawana dziesiątkom różnych badań i będą jej zadawać miliony pytań, żeby sprawdzić, jaki wpływ na pracę jej mózgu miała ekspozycja na promieniowanie.

Nie, dziękuję. Claire nie wiedziała, jaki wpływ miało na nią naświetlanie, mimo to wołała nie pozostawać w zamknięciu, dopóki się nie dowie.

- Myślisz, że John coś powie? - spytała z niepokojem.

- I zaryzykuje wykluczenie ze społeczności naukowej? - zapytał Kyle z parsknięciem. - Nie mówiąc o areszcie za napaść, bo to przecież była napaść. Pokręcił głową. - Nie. Będzie trzymał gębę na kłódkę.

Czując przyływ ulgi, Claire pokiwała głową i pozwoliła Kyle'owi wziąć się za rękę i wyprowadzić z laboratorium.

W drodze na podziemny parking nikogo nie spotkali. Claire była tak zdenerwowana całym zajściem, że dopiero w samochodzie Kyle'a przypomniała sobie o własnym.

- A co z moim autem? - spytała, kiedy Kyle odpalił silnik swojego małego, czerwonego samochodu.

Znieruchomiał, spojrzał w kierunku jej miejsca parkingowego, skrzywił lekko usta i pokręcił głową.

- To chyba kiepski pomysł, żebyś siadała teraz za kierownicą. W sumie w ogóle bym wołał, żebyś nie zostawała teraz sama. Myślałem, żeby zabrać cię do siebie, żebym miał cię na oku przynajmniej dziś wieczorem, a najlepiej przez cały weekend. Ale jeśli nic się nie wydarzy i dalej będziesz się dobrze czuła, podrzucę cię tu jutro rano, żebyś zabrała samochód.

Claire pokiwała głową na zgodę, a Kyle dodał:

- Na szczęście jest piątek, więc masz weekend, żeby dojść do siebie, zanim postanowimy, co, i czy w ogóle powiedzieć doktorowi Cohenowi.

- Myślałam, że nie chcemy, żeby cokolwiek wiedział? - spytała Claire, marszcząc brwi. - No bo skoro nic się nie stało...

- Nie chcę, żeby Johnowi uszło to na sucho - stwierdził poważnie Kyle. - Możemy powiedzieć doktorowi Cohenowi, że John usiłował napromieniować cię destabilizatorem, ale zjawilem się w porę i go ogłuszyłem. I że udało ci się wydostać z pola rażenia, kiedy usłyszałaś, że włącza zasilanie.

Claire zamrugła, bo nagle coś zrozumiała.

- Co się dzieje? - spytał Kyle.

- Nie słyszałam, jak włącza się zasilanie – wyjaśniła powoli, zaskoczona. Zwykle, kiedy przypinała zwierzę, rozlegał się cichy szum, który narastał do przenikliwego wycia, gdy opuszczała komorę.

- Musiał podłączyć urządzenie, zanim weszłaś do środka - powiedział z namysłem Kyle, a jego mina stała się jeszcze bardziej złowroga. - Drań musiał to od początku planować. Czekał tylko, aż wyjdę z laboratorium. - Kyle zaklął. - Nie powinienem był w ogóle...

Claire nakryła ręką jego dłoń spoczywającą na kierownicy i poklepała ją uspokajająco.

- Nie mogłeś wiedzieć. Wszystko w porządku. Po prostu jedźmy.

Odetchnął, kiwnął głową, wrzucił bieg i wycofał samochód.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby zostać u mnie na noc? - zapytał, kiedy wyjechali z parkingu.

- Nie. - Claire pokręciła głową. - Szczerze mówiąc, jeśli coś miałyby mi się stać, wolałabym nie być wtedy sama.

Kyle kiwnął głową i zamilkł, pozostawiając ją własnym niewesołym rozmyślaniom nad ewentualnymi skutkami eksperymentu. Jak dotąd nic szczególnego nie działo się ze zwierzętami, na których przeprowadzali badania. Kiedy umieściło się je na białym tle, niektóre przybierały jaśniejszy odcień, jak kameleon upodabniający się do otoczenia, ale nie wszystkie i nie zawsze. Kyle chyba się tym nie martwił. Claire przypuszczała, że cieszył się, że w ogóle coś się działo. Jak zauważył John, zwierzęta nie rozumiały tego, co im robiono, więc mogły po prostu nie wykorzystywać w pełni swoich możliwości. Ona jednak domyślała się, że to właśnie dlatego złamał wszystkie zasady i naświetlił ją destabilizatorem.

Zerknęła na swoje ręce, jedyną odsłoniętą część ciała, na którą mogła teraz popatrzeć. Wpatrzyła się w dłonie spoczywające na kolanach, ale jej zdaniem wyglądały tak samo jak zwykle. Jej skóra nie zaczęła nagle jaśnieć, żeby dopasować się do białego fartucha, który na sobie miała. Przez chwilę się zastanawiała, czy nie spróbować skłonić ich do zmiany, ale zmieniła zdanie. Bała się dowiedzieć, że promieniowanie naprawdę miało na nią wpływ.

- Jesteśmy.

Claire podniosła głowę i się rozluźniła. Wjeżdżali na podjazd domu, w którym Kyle mieszkał ze swoją siostrą bliźniaczką, Jill. Był to stary wiktoriański budynek na przedmieściach, ich rodzinny dom. Kyle i Jill odziedziczyli go po śmierci swoich rodziców, którzy zginęli kilka lat wcześniej w wypadku samochodowym. Bliźnięta dogadywały się całkiem nieźle, więc postanowiły zamieszkać razem, dopóki jedno z nich nie weźmie ślubu. Wtedy

albo sprzedadzą dom i podzielą się zyskiem, albo jedno z nich spłaci drugie.

Claire bywała w tym uroczym domu wielokrotnie w ciągu ostatnich lat. Jill była jej najlepszą przyjaciółką od podstawówki. Jako nastolatka Claire często u niej sypiała, a także i teraz. Był to jakby jej drugi dom i nie zdziwiła ją ulga, którą poczuła, gdy Kyle zaparkował na podjeździe.

- Jill wróciła wcześniej - zauważył Kyle, marszcząc brwi. - Ciekawe, co się stało.

Claire pokręciła głową i ściągnęła brwi z niepokojem. Po wypadku, w którym zginęli ich rodzice, Kyle wziął swoją połowę pieniędzy z ubezpieczenia i ją zainwestował. Jill kupiła za swoją mały butik w centrum miasta. Interesy szły dobrze, głównie dlatego, że Jill bardzo się angażowała i nie bała się długo pracować, żeby tylko sklep prosperował. Zwykle zaczynała wcześniej i pracowała do późna. Było dość niezwykłe, że wróciła do domu w środku dnia.

Kyle wysiadł z samochodu i ruszył w stronę Claire, ale ona otworzyła sobie drzwi i wysiadła, zanim do niej dotarł. Uśmiechnęła się słabo, kiedy wziął ją za rękę i poprowadził do drzwi, a w jego oczach wciąż dostrzegała niepokój, gdy przyglądał się jej po drodze. Jego niepokój był słodki... i zachęcający. Durzyła się w nim przez całą szkołę średnią. Kiedy zaczęła z nim pracować, uczucie się pogłębiło. Niestety, bez względu na to, co twierdziła Jill, Claire podejrzewała, że Kyle traktował ją tylko jak kumpla albo koleżankę z pracy. Bardzo chciała, żeby było inaczej.

- Jill?! - zawołał Kyle, kiedy weszli do domu.

- Kyle? - Głos Jill dochodził z salonu. Jej ton sugerował, że była równie zaskoczona jego powrotem w środku dnia co on, kiedy się przekonał, że siostra jest w domu.

- To ja. Wszystko w porządku? - Kyle poprowadził Claire korytarzem. - Jesteś chora czy coś?

- Czy coś.

Claire skrzywiła się, słysząc znużenie w głosie Jill. Kiedy weszli do salonu, wysunęła się zza Kyle'a i przyjrzała przyjaciółce. Jill siedziała zwinięta w rogu kanapy, była przygarbiona i wyraźnie przygnębiona. Miała bladą twarz, czerwone obwódki wokół oczu, a w rękach dopiero co napoczęty pojemnik z lodami... zły znak.

- Co się stało? - spytała Claire z niepokojem, podchodząc do niej i siadając obok na kanapie.

- Co wy tu robicie? - chciała wiedzieć zaskoczona Jill.

- Nieważne. Powiedz, co się stało.

- Nic - powiedziała Jill, po czym westchnęła i wyznała: - Właśnie ze mną zerwał.

- Co? - spytała zdumiona Claire. Jill spotykała się od pół roku z właścicielem sklepu, Tedem Leacockiem. Claire wiedziała, że jej przyjaciółka była przekonana, że to „coś poważnego”. Że znalazła wreszcie mężczyznę, za którego wyjdzie i z którym będzie miała dzieci.

- No. - Jill uniosła pojemnik z lodami Ben & Jerry. - Więc wróciłam do domu na lunch.

- Och, skarbie. - Claire przytuliła ją ze współczuciem.

Jill wzruszyła ramionami.

- Jest mnóstwo świetnych facetów, w tej chwili na przykład Ben i Jerry okazują mi dużo współczucia.

Kyle się poruszył, a Claire zerknęła na niego i zobaczyła na jego twarzy całą gamę uczuć: złość na siostrę, zmarszczkę niepokoju na czole, a wreszcie zakłopotanie.

- Cóż - odezwał się w końcu. - Nie możesz jeść samych lodów, Jill. Zajmę się obiadem.

Claire odprowadziła go wzrokiem, a potem zwróciła się znów do Jill, która właśnie wsuwała sobie do ust pełną łyżkę lodów.

- Przykro mi, Jill - powiedziała cicho.

Blondynka wzruszyła ramionami.

- Lepiej, że to stało się teraz.

- I tak byłaś dla niego za dobra.

- Myślałam, że go lubisz? - Jill zmarszczyła brwi.

- Bo tak było. Robił dobre wrażenie. Ale najwyraźniej miał zły gust, skoro z tobą zerwał... a ty zasługujesz na faceta z dobrym gustem. Na superfaceta.

- Superfaceta, tak? - Jill uśmiechnęła się przelotnie, a potem westchnęła. - W każdym razie ten nie był aż tak miły, na jakiego wyglądał. Okazuje się, że nie byłam jedyną kobietą, z którą się umawiał.

- Co? - spytała zaskoczona Claire, ale nagle na jej twarzy pojawiło się zrozumienie. - Te wieczory, kiedy musiał pracować do późna?

- No. Wygląda na to, że pracował nad kilkoma innymi dziewczynami. Musiał zdecydować, która z nich zostanie zwyciężczynią „małżeńskiej loterii Teda”. Najwyraźniej udało mi się dotrzeć do finału, ale wygrała ta druga.

- Co? - powtórzyła ze zdumieniem Claire.

Jill się skrzywiła.

- Było chyba już blisko. Tak blisko, że nie umiał się zebrać i obwieścić mi wielkiej nowiny aż do dziś. Na tydzień przed ślubem ze zwyciężczynią.

Claire otworzyła usta, ale Jill ją uprzedziła:

- Proszę, nie mów już więcej „co”.

Claire zamknęła usta, skrzywiła się, a potem pokręciła głową.

- Ale przecież wyjeżdżaliście razem w zeszły weekend.

- Owszem. I sypialiśmy ze sobą przez ostatnie cztery czy sześć miesięcy. - Jill się skrzywiła. - Chyba powinnam się cieszyć, że to nie ja zwyciężyłam. Kto by chciał takiego kretyna za męża?

Claire przytaknęła.

- Nigdy nie będzie wierny. Och, kochana. Tak mi przykro. - Znów ją uścisnęła.

- Chyba pójdę do spożywczaka - obwieścił Kyle, wchodząc do salonu. - Musimy mieć coś na obiad i na kolację.

- Myślałam, że idziecie dziś na zjazd szkolny? - przypomniała im Claire, zerkając nad ramieniem Jill. Sama postanowiła nie iść, ale bliźnięta chciały się tam wybrać, a Claire była przekonana, że wieczorne wyjście dobrze zrobi przyjaciółce.

Jill parsknęła na samą myśl o tym.

- Akurat pokażę się na zjeździe bez faceta. Chyba sobie żartujesz. Magda cały wieczór by mi dogryzała... zdzira - dodała z prychnięciem.

- A ja wolałbym nie zostawiać cię samej – powiedział Kyle. Mówił do Claire, ale jego zaniepokojone spojrzenie wędrowało między nią a jego siostrą. - Muszę mieć cię na oku przynajmniej przez dobę, a najlepiej przez cały weekend.

Jill zeszywniała w ramionach Claire, po czym się odsunęła i na nią spojrzała.

- Czemu? Co się stało?

Claire skrzywiła się tylko, a Kyle wyjaśnił:

- John napromieniował ją destabilizatorem.

- Co?! - Claire wzdrygnęła się od jej wrzasku, a tymczasem Jill patrzyła to na nią, to na Kyle'a i spytała: - Jak to? Przypadkiem?

- Nie - odpowiedział ponuro Kyle.

- Chyba żartujesz? - Jill ogarnęła wściekłość. Była jedną z niewielu osób wtajemniczonych w ich eksperymenty i to, co się z nimi wiązało. - Jak?

Claire pokręciła z westchnieniem głową.

- Przypięłam królika i chciałam wyjść z komory, ale John kazał mi jeszcze sprawdzić kamerę. Powiedział, że jest nierówno i poinstruował, jak przesunąć stół, żebyśmy mogła uklęknąć pod destabilizatorem i tam zajrzeć. Jak posłuchałam, uruchomił się projektor - dokończyła, wzruszając ramionami.

- A więc tak - mruknął Kyle, a ona zdała sobie sprawę, że nie miał pojęcia, w jaki sposób John przeprowadził swój plan.

- A to padalec! - powiedziała z obrzydzeniem Jill i cisnęła pudełko z lodami na stół.

- No - westchnęła Claire. Naprawdę, całkowity brak skrupułów. Mogła zginąć i miała dużo szczęścia, że Kyle zdołał ją stamtąd wyciągnąć, zanim coś jej się stało.

- Niebezpieczny padalec - dodał ponuro Kyle. - Miał już dość testów i postanowił przyspieszyć cały eksperyment.

Ben i Jerry - a nawet Ted - szybko poszli w niepamięć, a Jill złapała Claire za ręce i przyjrzała się jej, jakby oczekiwała, że Claire zrobi się nagle zielona i rozpadnie na kawałki.

- Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest - zapewniła ją stanowczo Claire. - Naprawdę. Nie czuję się ani trochę źle.

- Cóż, nie przybierasz nagle koloru kanapy ani nic w tym stylu - mruknęła Jill ze zmrużonymi oczami

Claire zerknęła na kanapę w tureckie wzory i jęknęła.

- Dzięki Bogu.

- Ale Kyle ma rację, nie możemy cię zostawić samej w weekend - powiedziała stanowczo Jill.

Claire wzruszyła ramionami, zakłopotana całym tym zainteresowaniem.

- Niestety dziś wieczorem niewielki będzie ze mnie pożytek - dodała skrzywiona Jill, ale nagle cała się rozjaśniła i zrobiła minę, jakby właśnie wpadła na świetny pomysł. - Ale wy moglibyście iść razem na zlot. Kyle będzie mógł pójść i jednocześnie mieć cię na oku.

Claire się zarumieniła, bo wiedziała, że Jill bawi się w swatkę. Jej przyjaciółka od wielu lat wiedziała, że jest zakochana w Kyle'u, i uważała, że tworzyliby idealną parę. Jej zdaniem nie udało im się zejść tylko dlatego, że oboje byli nieśmiali. Claire ani przez chwilę nie wątpiła, że Jill próbowała ich zeswatać, i choć była jej za to wdzięczna, jedno spojrzenie na niechętną minę Kyle'a upewniło ją, że jej zabiegi nie skutkowały.

- Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł zabierać gdziekolwiek Claire, dopóki nie będziemy pewni, że nic

jej nie jest - powiedział powoli Kyle. Odwrócił się i ruszył przez przedpokój w stronę drzwi: - Uważaj na nią, jak będę w sklepie. Dobrze, Jill?

- Nie spuszczać jej z oka ani na chwilę - obiecała Jill.

2

On w ogóle nie jest zainteresowany - jęknęła Claire, kiedy drzwi się zamknęły.

- Jest - zaprzeczyła poirytowana Jill. - Powtarzam ci to, odkąd skończyliśmy dwanaście lat. Szaleje za tobą, Claire.

- No jasne - prychnęła. - Dlatego właśnie oszalał z radości na myśl, że może iść dziś ze mną na zjazd.

Jill cmoknęła z niezadowolenia i nałożyła wieczko na pojemnik z lodami.

- Jesteście żałośni. Naprawdę. Od lat za nim wzdychasz, a on tak samo długo świruje na twoim punkcie, a jednak żadne z was nie zdobyło się na to, żeby coś z tym zrobić. Jak wróci, powinnaś iść za nim do pokoju, przespać się z nim i mieć to z głowy. Założę się, że do poniedziałku nie wystawicie głowy z łóżka... o ile w ogóle.

Claire wyobraziła sobie, jakby to było, gdyby posłucha rady Jill. Wyobraziła sobie, jak Kyle wraca do domu, odkłada zakupy w kuchni, a potem idzie po coś do siebie. Ona idzie za nim, zamyka drzwi, a potem... potem...

A potem co? Zrzuci ubranie i będzie czekać na gest z jego strony? Jedyne problem w tym, że Kyle może pomyśleć, że jej zachowanie to efekt napromieniowania. Zacznie mierzyć jej puls i inne takie.

A co, jeśli po prostu weszłaby za nim, zamknęła drzwi i go pocałowała? Claire zagryzła wargę na samą tę myśl. To też by pewnie rzucił na karb eksperymentu. Pomyślałby, że jej mózg uległ destabilizacji pod wpływem promieniowania. Wypuściła powietrze z płuc i poi głową.

- Gdyby był zainteresowany, sam by coś zrobił.

- Tak jak ty? - spytała złośliwie Jill, wstając i zabierając lody ze stołu. - Dlaczego uważasz, że on jest mniej nieśmiały niż ty? Poza tym, jego sytuacja jest delikatniejsza. Jest twoim przełożonym w laboratorium. Zaproszenie na randkę mogłoby zostać uznane za molestowanie.

Claire skrzywiła się na te słowa, a Jill poszła zanieść lody do kuchni. Doceniała to, że Kyle załatwił jej pracę w laboratorium. Obronił licencjat z nauk ścisłych i robił dalej magisterkę i doktorat, natomiast Claire - nie chcąc narażać rodziców na zbyt duże koszty - zakończyła naukę na licencjacie. Od tego czasu robiła wieczorowe studia magisterskie, a w ciągu dnia pracowała to tu, to tam, żeby zarobić na siebie i dalszą naukę. W zeszłym roku Kyle załatwił jej pracę w laboratorium, w którym odbywał staż pod opieką doktora Cohena. Pod koniec roku Claire miała bronić tytułu magistra, a Kyle doktora. Uwaga Jill sprawiła teraz, że Claire zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle powinna była przyjmować robotę w laboratorium.

- Poczta. Boże, przychodzi coraz później.

Claire zerknęła na przyjaciółkę, która wróciła do salonu ze stosem listów.

- Rachunek, rachunek, rachunek - narzekała Jill, przeglądając koperty. Zatrzymała się na jakimś czasopiśmie, zapatrzyła w okładkę i westchnęła z przygnębieniem. - Założę się, że gdybym tak wyglądała, to mnie Ted wybrałby na żonę.

- Lepiej ci będzie bez niego - uznała Claire.

- Tak, ale gdybym wyglądała jak ona, pewnie to ja bym rzucała, a nie była rzucała - zauważyła, ciskając czasopismo na stolik. - Zawsze lepiej rzucać.

Claire zerknęła na magazyn, żeby zobaczyć, kto jest na okładce. Brooke Jordan, jedna z najslawniejszych -a przy tym najbogatszych - modelek na świecie. Wysoka, długonoga, szczupła i olśniewająca, emanowała całymi megawatami urody i seksapilu. Mężczyźni na całym świecie daliby się zabić, żeby być z nią, a kobiety na całym świecie dałyby się zabić, żeby być nią. Najwyraźniej dotyczyło to również Jill.

I mnie, przyznała w duchu Claire, a potem się odezwała:

- Szkoda, że obydwie tak nie wyglądamy. Wtedy ty mogłabyś rzucić Teda, a ja może mogłabym zdobyć Kyle'a. Założę się, że nie byłby taki nieśmiały, gdybym wyglądała jak ona.

Jill cmoknęła, złapała się pod boki i spojrzała z góry na Claire:

- Podobasz mu się taka, jaka...

Claire podniosła pytająco wzrok, żeby zobaczyć, dlaczego Jill urwała nagle w pół zdania. Blondynka

zamarła z rozdziawionymi ustami i oczami szeroko rozwartymi pod wpływem szoku. Claire poczuła, że w odpowiedzi cała sztywnieje, a wewnątrz narasta w niej przerażenie.

- Co się stało?

- O... mój... Boże! - Jill przeciągała słowa i dla większego efektu robiła między nimi pauzy.

- Co? - Claire podniosła się z siedzenia. Popatrzyła na siebie w panice, przerażona myślą, że może nagle przejęła turecki wzór z kanapy, ale jej ręce nadal wyglądały normalnie. Spojrzała znów na Jill. - No co?

- Wyglądasz jak... ona - powiedziała słabo Jill.

- Co? - spytała Claire, a serce zaczęło jej walić jak oszalałe. - Jak jaka ona?

- Jak, no jak ona się nazywa? Wyglądasz jak ta modelka, która... - Jill chwyciła ze stolika czasopismo i podetknęła je Claire pod nos. - Jak ona!

Claire opuściła głowę, a jej wzrok padł na zdjęcie Brooke Jordan. Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Ja nie mogę... ja nie...

- Jakie nie mogę, do cholery! - Jill złapała Claire wolną ręką za ramię i pociągnęła ją do drzwi. Przez całą drogę mamrotała: - Nie wierzę. Normalnie nie wierzę. O Boże, to niesamowite. Zdajesz sobie sprawę, jakie to niesamowite?

Claire wlokła się za nią, czując, jak ogarnia ją niepokój i dezorientacja. Nie mogła wyglądać jak ta modelka. To niemożliwe. Jill robiła sobie z niej jaja. Ta myśl przyniosła jej niejaką ulgę mimo szalejących uczuć. No jasne! O to chodziło! Jill robiła sobie jaja.

- Proszę! - Jill zatrzasnęła drzwi do łazienki. Rzuciła czasopismo na szafkę, a potem popchnęła przyjaciółkę przed lustro.

Claire gapiła się na siebie. I gapiła. Jill nie żartowała. Claire gapiła się w lustro, ale zdumiona twarz, która odpowiadała jej spojrzeniem, należała do Brooke Jordan. Niepewnie pomacała się po twarzy. Wydawała się normalna, czuła, że jej palce dotykają skóry i że skóra odczuwa dotyk palców, ale twarz, na którą patrzyła, nie należała do niej, tak samo jak olśniewające, orzechowe loki to nie były jej włosy. Claire była naturalnym rudzielcem.

- Wyglądasz dokładnie tak jak ona. Dokładnie - westchnęła z podziwem Jill. - Łącznie z ubraniem.

Claire zamrugła i spojrzała na swoje ciało. Na początku nie rozumiała, o co chodzi. Ciągle miała na sobie biały fartuch i czarne spodnie, w których była w pracy. Ale nagle zauważyła różowy kołnierzyk koszulki, który wystawał spod dekolту jej białej bluzki i fartucha.

- Co...? - Zdumiona Claire zdjęła fartuch i odpięła kilka guzików białej bluzki. Pod spodem miała taką samą różową koszulkę, w jaką była ubrana Brooke Jordan na okładce pisma.

- A masz też jej rybaczki? - Jill sięgnęła do pasa jej czarnych eleganckich spodni, ale Claire odsunęła się instynktownie, znieruchomiała na chwilę, po czym sama je rozpięła.

- Matko Boska - westchnęła Jill, kiedy ukazała się jasnoniebieska tkanina wystająca spod białych koronkowych majtek Claire. - Masz też jej rybaczki.

- To niemożliwe - powiedziała słabo Claire, a potem rozebrała się do końca i stanęła w łazience w różowej koszulce, niebieskich rybaczkach i z twarzą Brooke Jordan. Gapiała się ze zdumieniem na swoje odbicie w lustrze.

- Istny sobowtór.

- Ale jak? - spytała niewyraźnie Claire. - To nie ma sensu.

- Oczywiście że ma. I to bardzo dużo. To destabilizator - obwieściła triumfalnie Jill, a potem odchyliła głowę i spytała: - Myślisz, że Kyle pozwoli mi też spróbować? Pomyśl tylko, co bym mogła...

- Ale to nie może być destabilizator – sprzeciwiła się Claire. - On ma wywoływać efekt kameleona. Zmianę barwy skóry, a nie kształtu.

Jill zamilkła i zastanawiała się przez chwilę, po czym podsunęła:

- A może tak naprawdę wcale nie zmieniłaś kształtu. Może ciągle jesteś pod spodem sobą, a to tylko rodzaj farby na skórze.

Biorąc Claire z zaskoczenia, Jill wyciągnęła gwałtownie rękę i zaczęła macać ją po twarzy. Jej usta niemal natychmiast się wykrzywiły.

- Nie wygląda, jakby to była twoja twarz.

- Co chcesz przez to powiedzieć? – Zaniepokojona Claire jeszcze raz przyłożyła ręce do twarzy, ale tym razem nie poprzestała na dotknięciu policzków. Zaczęła się badać jak niewidomy, który czyta rysy twarzy.

- Powinnaś mieć zadarty nos - zauważyła Jill. – Twój nos uroczo odstaje na końcu, ale Brooke ma prosty nos, trochę rzymski. Twój wygląda teraz po rzymsku. Chyba

jednak nie chodzi tylko o powierzchowną zmianę jak u kameleona.

Claire natychmiast pomacała się po nosie. To nie był jej nos. Był zbyt prosty.

- Naprawdę zmieniałaś kształt - powiedziała Jill i się rozpromieniła. - Jak istota zmiennokształtna. Destabilizator zamienił cię w istotę zmiennokształtną! Jak to zrobiłaś?

- To nie ja - jęknęła Claire, próbując zrozumieć, co się z nią stało. - To John.

- Nie wtedy! - powiedziała szybko Jill i pokazała na jej twarz i ciało. - To. Jak się... no wiesz... zmieniałaś?

- Nie wiem - wyznała Claire i spojrzała na siebie ze zdumieniem. - Po prostu patrzyłam na zdjęcie, myśląc sobie, że może podobałabym się bardziej Kyle'owi, gdybym wyglądała jak ona... i bardzo chciałam... wyglądać jak ona.

- Powtarzam ci do znudzenia, Claire, że Kyle lubi cię taką, jaka jesteś - zawyrokowała stanowczo Jill, zamilkła, skrzywiła się i poprawiła: - A raczej lubił cię taką... jaka byłaś.

Słyszając tę poprawkę, Claire zamrugła i poczuła narastający strach na myśl o tym, co Jill chciała przez to powiedzieć.

- Nieważne. - Jill zbagatelizowała kwestię Kyle'a i chwyciła czasopismo, które cisnęła wcześniej na szafkę. - Masz, popatrz na jakąś inną modelkę i zobacz, czy znów się zmienisz.

- Wydaje mi się, że nie - wątpiła Claire. - Nie wiem, jak to zrobiłam za pierwszym razem.

- Po prostu spróbuj - nalegała Jill, przerzuciła kilka stron i zatrzymała się na krótko ściętej blondynce. - Masz. Zamień się w nią.

- Jill, ale...

- Spróbuj.

Claire zawahała się, a potem popatrzyła na blondynkę. Była śliczna, miała pełne czerwone usta i wielkie zielone oczy. Claire wzięła od Jill czasopismo i skupiła się na zdjęciu, starając się przywołać ten sam stan umysłu w którym była, kiedy patrzyła na Brooke... Starając się przywołać to samo pragnienie, by być tak piękną i pociągającą w oczach przeciwnej płci... w oczach Kyle'a.

- O Boże! - pisnęła nagle Jill.

Claire zdekoncentrowała się i podniosła głowę.

- Udało się?

Siostra Kyle'a pokiwała w osłupieniu głową.

Claire odwróciła się do lustra i napotkała spojrzenie jeszcze innej twarzy; tym razem była to blondynka z krótko przyciętymi włosami i dużymi, czerwonymi ustami. Jej figura i ubranie też uległy zmianie, piersi były jakby większe i rozpychały czarny top bez ramiączek, który miała teraz na sobie do pary z czarnymi satynowymi spodniami.

- Jak to robisz z ubraniami? - spytała ze zdumieniem Jill i wyciągnęła rękę, żeby pomacać jej spodnie.

- Nie wiem - przyznała Claire. - To muszę być ja. No bo przecież różowa koszulka i rybaczki były pod moimi własnymi ubraniami.

- Chcesz powiedzieć, że... to jesteś ty? - zapytała Jill, dotykając satyny. - Twoje komórki?

- Musi tak być - przytaknęła Claire niewyraźnie. Jedyne to miało sens. To nie były tak naprawdę ubrania, tylko jej ciało, które zmieniło kształt i kolor, żeby wyglądać jak ubrania. Ostatecznie okazało się, że efekt kameleona jednak zachodził. Ale nie tylko on - towarzyszyła mu też możliwość zmiany kształtu.

Jill pokiwała powoli głową, potem znieruchomiała i rozkazała:

- Zaczekaj!

Claire rozejrzała się zdezorientowana, kiedy przyjaciółka wypadła z łazienki. Nie miała pojęcia, dokąd pobiegła, ale w tym momencie nie bardzo ją to obchodziło. Jej biedny umysł usiłował zaakceptować nowo nabyte zdolności. Spojrzała zafascynowana na swoje odbicie w lustrze, a wtedy dobiegło ją przekleństwo rzucone przez Jill oraz tupanie, dźwięk otwieranych szuflad i zatrzasowanych drzwi w pokoju po przeciwnej stronie korytarza, który należał do Jill.

Claire chciała już wyjść z łazienki, ale zatrzymała się jeszcze, żeby pozbierać ubrania. Ostatnie, czego było jej trzeba, to żeby Kyle wrócił do domu i potknął się w łazience o jej stanik i majtki.

- Co ty do diabła wyprawiasz? - spytała zdumiona, kiedy weszła do pokoju Jill i zastała go w zupełnym rozgardiaszu. Jill miotła się i biegała w kółko, przeszukiwała szuflady i szafki, i rozrzucała rzeczy, gdzie popadnie. - Czego szukasz?

- Miałam tu takie jedno pisemko - wyjaśniła Jill i uklękła, żeby zajrzeć pod łóżko. - Wiem, że je kładłam, aha!

Claire uniosła brwi, słysząc ten triumfalny okrzyk, a Jill wyciągnęła spod łóżka czasopismo i się podniosła. Zaczęła je kartkować, a Claire zobaczyła, że był to magazyn o sławnych ludziach. Nagle jej przyjaciółka znieruchomiała, zagięła część stron pod spód i wyciągnęła rękę z magazynem.

- Spróbuj to.

Claire rzuciła swoje ubrania na łóżko i wzięła czasopismo. Zerknęła na zdjęcie, na którym było otwarte, zamrugwała i podniosła głowę, pytając z niedowierzaniem:

- Brad Cruise?

Jill kiwnęła głową.

- Tak.

- Ale to facet - zaprotestowała Claire, było to jednak powiedziane. Brad Cruise nie był jakimś tam facetem. To był facet przez duże F. Był męskim odpowiednikiem Brooke Jordan. Był też największym współczesnym gwiazdorem kina akcji, a jego honorarium za każdą rolę opiewało na dwucyfrowe kwoty liczone w milionach. Brad Cruise był najbardziej znaną twarzą kina, kobiety za nim szalały, a mężczyźni daliby się zabić, żeby być tacy jak on.

- Tak? Co ty powiesz? Nie zauważyłam - stwierdziła sarkastycznie Jill, a potem stuknęła ją w czoło i powiedziała: - Odkryłaś Amerykę!

Claire przewróciła oczami i oddała jej pismo.

- Nie mogę tego zrobić.

- No przestań. Skąd wiesz, jeśli nie spróbujesz? Zamieniłaś się w Brooke i w tę blondynę, więc możesz zamienić się w niego - zachęciła ją.

- Zamieniłam się w Brooke i w blondynę, bo chciałam nimi być - upierała się Claire. - To kobiety; piękne kobiety sukcesu. Brad to facet. F... A... C... E... T. Facet. Mężczyzna. Chłop. Przeciwna płęć. Nie chcę być mężczyzną.

- Myśl po freudowsku. Pomyśl o zazdrości o penisa - podsunęła szybko Jill.

- Nie jestem zazdrosna o penisa.

- No proszę. Tylko spróbuj. Tylko wyobraź sobie. Być jak Brad Cruise; wszyscy go wielbią i podziwiają. Jest bajecznie bogaty. Tylko spróbuj. Błagam. Zrób to dla mnie.

Claire wypuściła ze złością powietrze z płuc, a potem westchnęła:

- No dobra. Spróbuję. Dla ciebie.

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję! - Jill uściskała ją szybko, a potem zrobiła krok w tył, kiwnęła głową i powiedziała podekscytowana: - No... To do dzieła.

Claire pokręciła głową i spojrzała na zdjęcie, pewna, że się nie uda. Przez jedną krótką chwilę naprawdę chciała wyglądać jak Brooke. W przypadku blondynki udało jej się nawet wykrzesać nieco entuzjazmu i ciekawości, jak to będzie wyglądać jak ona, ale Brad Cruise...? Naprawdę nie miała szczególnej ochoty się w niego zamieniać, chociaż przyznawała, że mogłoby to być interesujące. Westchnęła w duchu, skoncentrowała się na zdjęciu, przyjrzała się rysom twarzy, figurze...

- Jasna cholera.

Claire podniosła głowę, kiedy Jill wyszeptała te dwa słowa. Jedno spojrzenie na jej wytrzeszczone, okrągłe oczy wystarczyło, żeby Claire skierowała się z powrotem do łazienki i przejrzała w lustrze.

- Wow - westchnęła, wpatrując się w odbicie Brada Cruise'a, które odpowiadało jej tym samym. Surowy męski wygląd, krótkie zmierzwione jasnobrązowe włosy i ten sam czarny garnitur, który mężczyzna miał na sobie na zdjęciu. Wyglądało to tak, jakby wyszedł z czasopisma i stanął w łazience. Tyle że to nie było tak. Nie patrzyła na Brada Cruise'a, ale na siebie.

- No - jęknęła Jill, wchodząc za nią do łazienki. - Wow.

Claire zmrzyła oczy, widząc nagły błysk w oku przyjaciółki; błysk, który był zwykle zarezerwowany dla przedstawicieli przeciwnej płci.

- O tak. - Jill obeszła Claire, omiatając wzrokiem jej ciało w garniturze. - To niesamowite. Wyglądasz tak samo jak on.

- Tak - zgodziła się bez entuzjazmu Claire. - Wyglądam jak on, ale w środku ciągle jestem sobą.

Jill stanęła za jej plecami i popatrzyła na ich wspólne odbicie w lustrze.

- Rany, tylko popatrz! Stoję tu z Bradem Cruise'em. Muszę zrobić zdjęcie! Wszystkie laski na zlocie padną trupem.

- Myślałam, że nie chcesz iść - przypomniała Claire, a potem pokręciła głową, kiedy Jill ruszyła do drzwi, ale ledwie wyszła na korytarz, zatrzymała się raptownie i okręciła na pięcie.

- Co? - spytała podejrzliwie Claire.

- Mam pomysł - powiedziała powoli Jill.

Claire dostrzegła jej podekscytowaną minę i zaczęła kręcić głową. W przypadku Jill ekscytacja i pomysły tworzyły zabójczą mieszankę.

- Nie.

- Ale nawet nie wiesz, co chcę powiedzieć.

- Nie muszę, Jill. Znam tę minę. To mina, która zawsze wpędzała mnie w kłopoty, kiedy byliśmy nastolatkami. - Claire zacisnęła usta, widząc, jak ramiona Jill opadają, a jej twarz przybiera żalospny, przygnębiony wyraz. Zawsze dawała się nabrać na tę minę. Wiedząc, że tego pożałuje, westchnęła i zapytała: - O co chodzi?

Jill zawahała się, a potem wypaliła:

- Chodź dziś ze mną na zlot jako osoba towarzysząca.

Claire zamruwała.

- Co?

- Bądź moją parą. W tej postaci - wyjaśniła Jill, wskazując na postać Brada Cruise'a.

- O nie, nie, nie, nie, nie. - Claire pokręciła głową.

- O tak, tak, tak, tak, tak - odpowiedziała szybko Jill i złożyła ręce jak do modlitwy, błagając: - Proszę... Proszę, Claire. Będzie fajnie.

- Fajnie? - powtórzyła z niedowierzaniem Claire.

- No, fajnie. Sama pomyśl. Ta zdzira Magda padnie trupem z zazdrości. Choć raz w życiu będziemy górą.

Claire skrzywiła się na myśl o zdzirowatej Magdzie. Jako wierna kopia lalki Barbie z blond włosami i wielkimi cyckami, miała wszystko... Za wyjątkiem charakteru, współczucia i serca. Magda z oddaniem hołdowała przekonaniu, że jeśli ktoś wygląda tak dobrze jak ona, nie musi być miły. Co więcej, wprost prześcigała się w złościwościach i okrucieństwie wobec każdego, kto jej zdaniem znajdował się na niższym poziomie łańcucha pokarmowego... czyli właściwie wobec każdego w szkole,

kto nie był płci męskiej i nie należał do drużyny piłkarskiej. Claire szczerze wątpiła, żeby z biegiem lat ta kobieta zmieniała się na lepsze. Myśl o rozpaczy Magdy, kiedy zobaczy na zjeździe Jill pod rękę z Bradem Cruise'em miała pewien urok.

- Jest jeszcze Ted - powiedziała Jill, wzmacniając siłę swojego argumentu. - On też padnie trupem z zazdrości.

- Ted? - spytała zdezorientowana Claire. - Przecież on nawet nie chodził z nami do szkoły. Skąd miałby się tam wziąć?

- Będzie z Magdą. To dlatego musiał zerwać ze mną dzisiaj, a nie odkładać to na ostatnią chwilę, czyli na przykład do dnia ślubu... a może na kilka miesięcy po nim - wyjaśniła.

- To Magda została zwyciężczynią loterii ślubnej Teda? - spytała z przerażeniem Claire. - To ona była drugą finalistką?

Jill przytaknęła z kamienną twarzą.

- Jak już mi powiedział, że mnie rzuca, byłem na tyle głupia, że spytałam, czy nie mógłby przynajmniej pójść dziś ze mną na zjazd, i wtedy powiedział mi o Magdzie.

- Nie mogę uwierzyć, że ci o niej powiedział - zdumiała się Claire. - Ten facet ma tupet. A co, gdybyś jej wszystko powiedziała?

Jill parsknęła.

- Wie, że tego nie zrobię. Magda tylko by się szyderczo uśmiechnęła i zauważyła, że oczywiście to ona mi go odbiła, i wyszłabym na ofiarę... znowu.

W czasach szkolnych hobby Magdy polegało na odbijaniu dziewczynom chłopaków. Na tydzień przed bale

maturalnym odbiła Jill jej partnera, a potem zajęła się partnerem Claire, w środku balu, po tym jak on i Magda zostali wybrani na króla i królową balu. Claire zacisnęła usta i pokiwała głową.

- No dobra. Tak zrobimy. Pójdziemy na zlot i zrobimy z Magdy i Teda miazgę. Ale tylko dlatego, że cię kocham jak siostrę, i tylko ten jeden raz.

- Tylko ten jeden raz - zgodziła się Jill, po czym pisnęła i uściskała przyjaciółkę. - Och, jesteś najwspanialsza.

Claire uśmiechnęła się cierpko i poklepała ją po plecach.

- Tak, tak. Ale mamy jeszcze jeden problem.

- Jaki? - Jill odsunęła się i spojrzała na Claire.

- Jak mam się zmienić z powrotem w siebie?

Jill popatrzyła na nią pustym wzrokiem i zmarszczyła czoło.

- Ty... hm... - Nagle się rozpromieniła. - Mam całe sterty twoich zdjęć. Możesz spojrzeć na jedno z nich i się zamienić.

Jill wybiegła z łazienki, a Claire została sama, odwróciła się do lustra i przyjrzała się sobie uważnie. Na zdjęciu Brad Cruise miał lekki zarost. Claire też go teraz miała. Podniosła z ciekawości rękę i przesunęła ją po policzku i brodzie, krzywiąc się pod wpływem dotyku ostrych włosków pod palcami. Rany, to było takie dziwne... ale jednocześnie dziwnie fajne.

- Masz. - Jill wpadła do łazienki i już zaczęła wyciągać rękę ze zdjęciem, ale nagle ją cofnęła. - Zaraz, spróbuj najpierw bez zdjęcia.

- Bez?

- No tak. W końcu to twoje ciało. Po prostu zamknij oczy i skup się na tym, żeby znów być sobą. Po prostu pomyśl: Chcę być sobą - zasugerowała Jill.

- Czy to nie jakaś piosenka? - spytała rozbawiona Claire.

- Skup się, dobra? - poleciła poirytowana Jill. - Po prostu spróbuj.

Claire zamknęła z westchnieniem oczy i skoncentrowała się na tym, żeby znów być sobą. Nie myślała o żadnym konkretnym zdjęciu; nie musiała. Od lat żyła w swej ciele i ze swoją twarzą.

- Ups.

Claire, mrugając, otworzyła oczy, bo poczuła, że otula ją miękki ręcznik.

- Wygląda na to, że ubrania, które miałaś na sobie, naprawdę były tobą - orzekła Jill i wzruszyła ramionami, przytrzymując ręcznik, dopóki Claire sama się tym nie zajęła.

Zsunęła ręcznik pod pachy i obwiązała się nim jak sarongiem. Pod ręcznikiem była nagusieńka, co oznaczało że różowa koszulka i niebieskie rybaczki, czarne satynowe wdianko i czarny męski garnitur stanowiły w stu procentach jej ciało. To było trochę dziwne.

Obie kobiety zamarły na dźwięk klucza w zamku.

- Wróciłem! Claire? Jill?

Claire jako pierwsza otrząsnęła się z zaskoczenia. Nagle uświadomiła sobie, że jest goła, i szybko zatrzęsnęła drzwiami do łazienki.

- Hej? - Kyle najwyraźniej usłyszał dźwięk zamykanych drzwi i jego głos zaczął nagle dobiegać gdzieś z korytarza.

- Tak? - zawołała Claire. - Cześć.

- Claire? - spytał Kyle, a jego głos dochodził zza drzwi.

- Tak.

- Wszystko w porządku? Co robisz?

Wyczuwając niepokój w jego głosie, odpowiedziała szybko:

- W porządku. Jestem... jestem w wannie.

Kiedy Jill uniosła brwi, zaskoczona wyborem, Claire pokazała gestem na swój strój. Była w ręczniku, a jej ubrania leżały w pokoju Jill. Claire nie mogła powiedzieć Kyle'owi, że tylko korzysta z toalety. Mógłby poczekać w korytarzu, aż wyjdzie, żeby przekonać się na własne oczy, że wszystko w porządku. Wyglądało na to, że bardzo się o nią martwił, i miał do tego pełne prawo. Destabilizator faktycznie jej zaszkodził.

- W wannie? - Kyle wydawał się zaskoczony, ale zaraz potem spytał: - A gdzie Jill?

Claire zrobiła wielkie oczy.

- Jill... eee...

- Jest w sklepie - podsunęła Jill szeptem.

- Jest w sklepie - powtórzyła posłusznie Claire.

- Cholera. Miała mieć na ciebie oko. - Kyle był poirytowany. - A jeśli coś by się stało?

Wyszła dosłownie przed momentem... do sklepu na rogu. Zaraz wróci - zapewniła go Claire. - W wannie i tak nie mogłaby mnie pilnować lepiej niż ty.

- To fakt.

Claire usłyszała zza drzwi westchnienie Kyle'a. Nastąpiła chwila ciszy, po czym Kyle odchrząknął i powiedział:

- Może to i lepiej. Chciałem cię o coś spytać.

Claire i Jill spojrzały po sobie pytająco. Rozległy się kolejne chrząknięcia i Kyle zaczął:

- Tak się zastanawiałem...

- Tak? - zachęciła go Claire, kiedy się zawahał, i podeszła wyczekując do drzwi.

- Słuchaj - odezwał się nagle. - Nie poszłabyś ze mną na zjazd?

Zamarła, pewna, że na krótką chwilę serce przestało jej bić, a potem przełknęła ślinę i spytała:

- Żebyś miał mnie na oku? Czy na randkę?

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Kyle spytał:

- A chciałybyś pójść ze mną na randkę?

Zawahała się w obawie, że jeśli powie tak, to okaże się, że miał na myśli coś zupełnie innego.

- Nie musisz mi odpowiadać. To nieuczciwe, skoro nie wyjawiałem ci nawet swoich uczuć - wyznał, zanim zdążyła ustalić, co mu odpowiedzieć. - Słuchaj, jestem w tych sprawach naprawdę kiepski. Świetnie mi idzie ze zlewkami i królikami, ale związki w pewnym sensie mnie przerastają... Ale... Claire, lubię cię. Podobasz mi się od strasznie dawna. Od kiedy mieliśmy po dwanaście lat, a ty męczyłaś mnie o zestaw małego chemika, który dostałem od rodziców na Gwiazdkę. Chciałem się nawet umówić z tobą w liceum, ale chodziłaś wtedy z tamtym piłkarzem.

- Z Jackiem - mruknęła, myśląc, że rzuciłaby go w jednej chwili, gdyby Kyle szepnął choć słowo. Zwłaszcza że to on zostawił ją dla Magdy na balu maturalnym.

- No, z Jackiem - burknął i nawet teraz w jego głosie słychać było zazdrość.

Uśmiechnęła się, podniosła rękę do drzwi i przesunęła palcem po drewnianej powierzchni, żalując, że to nie Kyle.

- A potem... - zamilkł, a po chwili rzucił niejasne wyjaśnienie: - Wydarzyło się coś, co kazało mi czekać.

- Co? - spytała ciekawie.

- Powiem ci innym razem - obiecał i odchrząknął. - Tak więc, odpowiadając na twoje pytanie, jestem jak najbardziej zainteresowany randką.

Wciągnęła powietrze, nie wierząc własnym uszom.

- Claire?

- Tak - szepnęła.

- Tak?

Poznała po jego głosie, że się uśmiecha, i sama też się rozpromieniła, dopóki jakieś poruszenie nie kazało jej odwrócić się do Jill. Blondynka kręciła gorączkowo głowę w zdecydowanym geście sprzeciwu.

- Nie? - spytała ją Claire ze zdumieniem.

- Nie? - powtórzył gwałtownie Kyle zza drzwi, najwyraźniej słysząc jej głos.

- Nie! - zawołała Claire. To w ogóle nie było skierowane do niego. - To znaczy tak.

- To co w końcu?

- Tak co do zjazdu i nie, nie mówiłam do ciebie, mówiąc „nie” - wyjaśniła.

- No to do kogo mówiłaś? - W jego głosie wyczuwała konsternację i zaczęła gorączkowo szukać wyjaśnienia.

- Do... do siebie - powiedziała szybko i dodała: - Zauważyłam, że mam złamany paznokieć i... eee... powiedziałam „nie”, bo... no bo nie chcę mieć połamanych paznokci - zakończyła niezdarne.

- Aha... rozumiem. - Nie wydawało się, żeby rozumiał. Wydawało się, że uważa ją za wariatkę.

Skrzywiła się na tę myśl. Nie chciała, żeby uważał ją za wariatkę. Ani za dziwadło, dodała ze smutkiem, zastanawiając się, co ma teraz zrobić. Kyle niekoniecznie musi podzielać zdanie Claire i Jill, i stwierdzić, że jej przemiany są fajne. Pewnie uzna je za fascynujące z naukowego punktu widzenia. Będzie chciał ją przebadać i eksperymentować i... stanie się dla niego zwierzęciem laboratoryjnym, a nie potencjalną dziewczyną.

- No dobra, nie przeszkadzam już w kąpielu – Kyle przerwał jej ponure rozmyślenia, po czym zaproponował: - Jak skończysz się kąpać, możemy podjechać do ciebie po jakieś rzeczy, jeśli chcesz.

- Dobrze - powiedziała szybko, otrząsając się ze swoich smutków. Nie powie mu nic o skutkach napromieniowania. A przynajmniej dopóki się nie przekona, jak będzie na randce. Jeśli pójdzie dobrze... to może zaczeka jeszcze parę miesięcy. Jeśli pójdzie źle, nigdy mu o ni czym nie powie. Nie miała ochoty zamieniać się w królika doświadczalnego.

- Okej - powiedział Kyle. Zapanowała minuta ciszy, po czym Claire usłyszała oddalające się kroki. Kiedy ucichły, odwróciła się z cichym westchnieniem. Szła na randkę z Kyle'em. Wreszcie, po tylu latach miała...

- Nie możesz z nim iść.

Claire zamruwała i spojrzała nierozumiejącym wzrokiem na Jill.

- Co? Czemu?

- Bo obiecałaś, że pójdziesz ze mną.

3

Kyle Lockhart i Claire Beckett! - Maureen Brighton rozjaśniła się na ich widok, kiedy podeszli do stolika recepcyjnego przy wejściu na salę. - Wyglądacie świetnie.

- Ty też, Maureen - powiedziała Claire z uśmiechem, kiedy Kyle odebrał dwie puste plakietki, które podała mu brunetka. Nachylił się, żeby napisać na nich imiona, a Claire tymczasem gawędziła z Maureen. Była jedną z miłszych dziewczyn w zespole cheerleaderek, do którego należała Claire, natomiast Magda i jej przyboczne były tymi mniej miłymi.

Kiedy do stolika podeszła następna para, Claire odsunęła się, żeby zrobić jej miejsce, i rozejrzała się ciekawie wokół siebie. Zjazd odbywał się w małej sali gimnastycznej Liceum Murphy'ego. Przyglądając się odświętnie ubranym ludziom krążącym po sali pod rozwieszonymi serpentynami i innymi ozdobami, Claire uznała, że miejsce jest odpowiednie. Nie obchodziło ją jednak miejsce, cieszyła się po prostu, że tu jest.

Claire Beckett była w końcu na pierwszej randce z Kyle'em Lockhartem. Tego popołudnia i wieczoru przez kilka chwil sądziła, że w ogóle do tego nie dojdzie. Pierwszą przeszkodą była Jill, która uparła się, że Claire musi dotrzymać obietnicy i pójść z nią jako Brad Cruise. Na szczęście po kilku minutach żalosnych próśb, żeby zwolniła ją z obietnicy i pozwoliła iść z Kyle'em, a Jill wpadła na inny pomysł, zadowolający obie strony.

Zaproponowała, żeby Claire poszła na obydwie randki z Jill jako Brad Cruise i z Kyle'em jako ona sama. Najpierw wejdzie pod ramię z Kyle'em we własnej postaci, a po jakimś czasie przeprosi go pod pretekstem wizyty w toalecie i wymknie się na parking, na którym będzie na nią czekać Jill. Zamieni się w samochodzie w Brada i wróci na salę z Jill. Przez cały wieczór będzie się zamieniać. Proste.

- No jasne - mruknęła pod nosem niezadowolona Claire. To będzie randka z piekła rodem... a raczej podwójna randka z piekła rodem.

- Mówiłaś coś? - spytał Kyle, który dosłyszał jej komentarz, gdy skończył załatwiać formalności i dołączył do niej.

Claire zmusiła się do uśmiechu, ale pokręciła głową, odbierając od Kyle'a plakietkę. Wzięła ją, po czym zamarła, bo zobaczyła przy niej agrafkę.

Och, niedobrze, pomyślała Claire. Żeby szybko zamieniać się w Brada Cruise'a i z powrotem, Claire pożyczyła od Jill czarną satynową suknię bez ramiączek. Nie miała jej jednak teraz na sobie. Wzięła prysznic, umalowała się i uczesała, a potem włożyła suknię tylko po to, żeby Jill zrobiła jej zdjęcie aparatem cyfrowym. Wydrukowały je, po czym Claire zamieniła się za jego pomocą w siebie. To był pomysł Jill i w tamtym momencie Claire wydawało się, że jest genialny. Nie musiała się martwić, gdzie upchnąć sukienkę, kiedy zamieni się w Brada. Niestety oznaczało to również, że Claire nie miała do czego przypiąć plakietki. Na pewno nie wbije jej w swoje ciało, w skórę czy komórki, czy cokolwiek to było. Nie była pewna, ale bez wątplenia to część jej ciała i nie zamierzała się nakłuwać.

- Pomóc ci? Mam przypiąć? - spytał Kyle, zauważając, że Claire wpatruje się ciągle w agrafkę.

- Nie - odpowiedziała gwałtownie, a potem zmusiła się do kolejnego uśmiechu i powiedziała trochę spokojniej: - Nie, nie chcę dziurawić satynowej sukienki Jill. Myślisz, że mają samoprzylepne plakietki?

- Nie wiem. - Zawrócił do stolika, żeby spytać o to Maureen, a po chwili wrócił i powiedział: - Wygląda na to, że jak się wysunie plakietkę z osłonki, wystarczy oderwać z tyłu pasek i przykleić.

- Świetnie - ucieszyła się Claire i zaczęła rozmontowywać plakietkę.

- No i gotowe. - Kyle uśmiechnął się, kiedy odzepiła agrafkę i przykleiła plakietkę do czarnej satyny na piersi, która tak naprawdę w całości była jej piersią, jak sobie uświadomiła, licząc na to, że odklejanie nie będzie boleć.

- Pozwolisz?

Claire otrząsnęła się z nieprzyjemnych rozważań i się uśmiechnęła. Przyjęła zaoferowane jej ramię i pozwoliła się zaprowadzić na salę. Minęli drzwi i rozejrzała się po rozstawionych wszędzie stolikach. Były nakryte rdzawoczerwonymi obrusami i udekorowane srebrnymi i rdzawoczerwonymi stroikami. To były barwy szkoły i większość dekoracji była w tych kolorach. Przy przygaszonych światłach i wszystkich tych porozwieszanych ozdobach łatwo było zapomnieć, że to sala gimnastyczna. Została udekorowana księżycem, gwiazdami i motywami nieba jak na balu maturalnym dziesięć lat temu.

- Dziwnie znaleźć się tu znowu, prawda? – powiedział Kyle z kipiącym uśmiechem.

- Prawda - zgodziła się Claire i pokręciła lekko głową, rozglądając się po twarzach stłoczonych gości i zastanawiając się, kim oni wszyscy są. - Czuję się jednocześnie staro, bo nikogo nie poznaję, a zarazem młodo, jakbym znów była nastolatką. Mam wrażenie, że zaraz podejdzie tu stary Hardwick i spyta, gdzie moje streszczenie lektury.

Słyszając to, Kyle zaśmiał się, ale zmarszczył lekko czoło, kiedy rozejrzał się dokoła.

- Wszyscy wyglądają inaczej. My na pewno nie zmieniliśmy się aż tak jak inni.

- Może - powiedziała Claire i zerknęła na niego. Kyle wyglądał coraz lepiej z upływem lat, dojrzał do męskiego wyglądu i postury. Za młodu był znacznie chudszy, trochę niezgrabny. Tak samo jak ja, pomyślała Claire, ale powiedziała tylko: - Poznajesz kogoś?

- Nie bardzo. Ale było dużo... oho, za wcześnie powiedziane. Jednak kogoś poznaję.

- Kogo? - spytała ciekawie, podążając za jego wzrokiem.

Magdę Richardson na drugiej, która sunie w naszym kierunku jak rekin - obwieścił i dodał: - Z góry przepraszam za wszelkie złośliwości, jakimi może nas uraczyć.

- A czemu to ty masz przepraszać? - zdziwiła się Claire.

- Bo Magda przeszła samą siebie w chamstwie, które okazywała mnie i każdemu w moim towarzystwie od czasu, kiedy w dwunastej klasie przydybała mnie w pracowni fizycznej i próbowała w zamian za pocałunki uzyskać pomoc w zadaniu domowym. A ja się nie zgodziłem.

- Magda przystawiała się do ciebie w szkole?

- No. Ale wydaje mi się, że chodziło jej tylko o pomoc przy projekcie naukowym. Mimo to nie była zbyt zadowolona, kiedy powiedziałem jej: „Nie, dzięki”. Była bardzo nieprzyjemna za każdym razem, kiedy na nią wpadałem przez ostatnie dziesięć lat. - Zmarszczył brwi. - Czy to nie Ted z nią idzie? Myślałem, że zerwał z Jill, bo miał się ożenić z...

- To Magda zwyciężyła w „małżeńskiej loterii Teda” - poinformowała go sucho Claire, dostrzegając zarozumiały wyraz na przystojnej twarzy mężczyzny, który podszedł do nich z Magdą. Kyle oczywiście nie został wtajemniczony w informacje, którymi podzieliła się z nią Jill.

- Chyba żartujesz - powiedział Kyle trochę z niesmakiem, a trochę z niedowierzaniem.

- Bardzo bym chciała - burknęła pod nosem, kiedy tamci przed nimi stanęli.

- Proszę, proszę, czy to nie genialni naukowcy z Liceum Murphy'ego? - odezwała się z przekąsem Magda i omiotła ich aroganckim spojrzeniem. - A więc dwa cymbały wreszcie się spotkały?

- Magda - przywitał ją sucho Kyle. - Zawsze urocza, jak widzę.

- Urok jest przereklamowany, Kyle - poinformowała go słodko. - Teraz to szczerłość jest na topie. - Przycisnęła się mocniej do ramienia Teda i wypchnęła go naprzód. - Powinnam chyba przedstawić mojego narzeczonego, Teda Leacocka. To ważny przedsiębiorca w naszym mieście.

- Ważny? - spytał ironicznie Kyle, nie uznając za stosowne, żeby wyciągnąć rękę na przywitanie. - Tak się składa, że się świetnie z Tedem znamy.

- Tak? - Magda nie wyglądała na zadowoloną, ale Claire uznała, że to Ted jest ciekawszym obiektem obserwacji. Facet stracił cały tupet i zarozumiałą minę i zaczął wydawać się lekko zdenerwowany. Wyglądało na to, że nawet jeśli był przekonany, że Jill przemilczy ich związek, zupełnie nie pomyślał o Kyle'u.

- Tak. Przez ostatnie sześć miesięcy spotykaliśmy się przynajmniej raz w tygodniu, kiedy przyjeżdżał po moją siostrę, żeby zabrać ją na randkę albo na weekend - wyjaśnił ze spokojem Kyle, po czym uśmiechnął się do Magdy. - Oczywiście już ze sobą zerwali. Wygląda na to, że zgarnęłaś resztki po Jill.

Zapadła martwa cisza, a twarz Magdy zapłonęła z wściekłości. Ted poruszył ustami jak ryba wyciągnięta z wody, a Kyle wziął Claire za rękę i powiedział:

- Musimy przywitać się z innymi, ale miło było was spotkać. Mam nadzieję, że znajdziecie szczęście, na jakie zasługujecie.

Claire zagryzła wargę na tę dwuznaczną uwagę, a Kyle tymczasem poprowadził ją w inną stronę. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, jak Magda odwraca się z furią do Teda i rzuca do niego coś ostro. Gdyby nie był takim palantem, Claire może nawet by mu współczuła.

Pokręciła głową, odwróciła się do Kyle'a i go pochwaliła:

- Świetnie to rozegrałeś. Ted w jednej chwili stracił ten swój zarozumiały uśmieszek.

- No, ale Jill będzie chyba na mnie wściekła - westchnął.

- Nie sądzę. Dołożyłeś obydwójgu tym tekstem o „resztkach po Jill” - powiedziała rozbawiona Claire. - Poza

tym Jill przyjdzie dziś z kimś wyjątkowym, czym już do reszty dobije Magdę i Teda.

- Tak? - spytał zaciekawiony Kyle. - A z kim?

Zagryzła wargi i zawahała się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Kyle przeżyje wystarczająco duży szok, gdy zobaczy, jak Jill wchodzi pod ramię z Bradem Cruise'em. W końcu jednak postanowiła zostawić to Jill.

- Sam się niedługo przekonasz.

Kyle przyjrzał się jej uważnie. Przez chwilę obawiała się, że będzie na nią naciskać, ale najwyraźniej postanowił odpuścić. Spytał tylko, czy ma ochotę na coś do picia, a potem poszedł do baru.

Czekając na niego, Claire przyglądała się gościom. Co najmniej połowa stolików była zajęta. Przypuszczalnie większość osób zjawi się w ciągu najbliższej półgodziny, zanim ona sama wymknie się na parking. Jill i jej towarzystwo będą pewnie jednymi z ostatnich gości, o ile nie ostatnimi, na czym w zasadzie zależało Jill. Jeśli wszyscy będą siedzieć przy kolacji, kiedy wejdą, to znaczy, że dosłownie wszyscy zobaczą, z kim - a raczej z kim w ich mniemaniu - Jill wchodzi powoli pod ramię na salę.

Claire wzięła głęboki oddech i spróbowała odegnać panikę, ogarniającą ją na myśl o tym, co miało się zdarzyć. Omówiły wszystko szczegółowo z Jill, zanim Claire wyszła z Kyle'em, żeby przewidzieć w swoim planie każdą ewentualną trudność. Pierwszy problem stanowił głos. Choć Claire umiała zmienić się w Brada Cruise'a, nie mogła nic poradzić na to, że nie mówiła jego głosem. Postanowiły, że w takim razie nie będzie się odzywać. Jill wyjaśni, że ona - on, poprawiła się Claire, on, Brad

Cruise - ma ostre zapalenie krtani. Claire nie zgodziła się też na żadne autografy; udawać Brada Cruise'a na spotkaniu szkolnym to jedno, a bawić się w fałszerstwo i wręczać jego autografy dwustu osobom, to coś innego.

- Nie mieli chateaneuf-du-pape, więc wziąłem montepulciano.

Claire podniosła głowę i uśmiechnęła się, gdy Kyle podawał jej kieliszek z winem.

- Dziękuję.

Kyle kiwnął głową i obrzucił ją poważnym spojrzeniem, jednocześnie popijając. Opuścił kieliszek i spytał:

- Jak się czujesz? Jakies efekty uboczne dzisiejszego popołudnia?

Claire pokręciła szybko głową i biorąc łyk wina, powiedziała sobie, że przecież nie kłamie. Ostatecznie możliwość zmiany postaci niekoniecznie trzeba było uznać za „efekt uboczny”, prawda? Westchnęła, opuściła rękę z kieliszkiem i rozejrzała się. Wzdłuż ścian dużej sali ustawiono stoły, na środku pozostawiono miejsce do tańczenia i kilka par dało się już porwać piosence miłosnej sprzed dziesięciu lat.

- Masz ochotę zatańczyć? - spytał Kyle, idąc za jej wzrokiem.

Claire zawahała się chwilę i już chciała powiedzieć „nie”, ale uświadomiła sobie, że to by było kłamstwo. Naprawdę miała ochotę zatańczyć, ale bała się potknąć i zrobić z siebie idiotkę. Postanowiła jednak być dzielna i kiwnęła potakująco głową.

Kyle zabrał jej kieliszek z winem i odstawił go na pobliski stolik. Potem wziął ją za rękę i poprowadził na środek parkietu.

Claire była spięta i spocona jak nastolatka, gdy Kyle brał ją w ramiona. Od bardzo dawna nie czuła się tak zdenerwowana w towarzystwie mężczyzny, ale z drugiej strony żaden facet, z którym się umawiała, nie znaczył dla niej tyle co Kyle. Była tak spięta, że dopiero po chwili uświadomiła sobie, że byli idealnie dobrani, że jej ciało wpasowywało się w niego jak puzzel.

- Idealnie do siebie pasujemy - szepnął jej Kyle do ucha.

Claire zastygła, zaskoczona, że Kyle wyraża na głos jej myśli, i podniosła głowę, żeby na niego popatrzeć. Odwzajemnił jej spojrzenie, wędrując po jej twarzy wzrokiem tak pieszczotliwym, że niemal to czuła. Kiedy jego spojrzenie spoczęło na jej ustach, mimowolnie je rozchyliła i poczuła, że jej oddech przyspiesza i słyca się w niecierpliwym oczekiwaniu. Kyle Lockhart wreszcie mnie pocałuje, pomyślała Claire, lekko słabnąc na tę myśl. Ale zamiast ją pocałować, Kyle przycisnął ręką jej głowę do swojej piersi.

Claire westchnęła i spróbowała się rozluźnić, ale nie potrafiła przestać myśleć o tym, że właśnie zaprzepaścił idealną okazję, żeby ją pocałować.

Czemu? - pomyślała. Co było z nią nie tak? To przez jej figurę? Może gdyby miała większe piersi...

Claire zmyliła krok w tańcu i zamrugła ze zdziwienia, kiedy zauważyła, że musi mocniej wychylać szyję do przodu, żeby dalej opierać głowę na piersi Kyle'a. Przez chwilę nie rozumiała, co się stało, ale zaraz uświadomiła sobie, że między nimi wyrosły nagle jej piersi, jak dwa nadmuchiwane balony.

Eee... Claire? - powiedział niepewnie Kyle, który najwyraźniej zorientował się, że coś jest nie tak.

- O Boże - szepnęła Claire i zamknęła mocno oczy, myśląc: A sio, a sio, a sio.

- Claire? - Kyle odsunął się, a ona otworzyła oczy i z ulgą przekonała się, że jej piersi znów są normalnej wielkości.

- Tak? - Podniosła głowę, ale Kyle patrzył skonsternowany w jej dekolt.

Po chwili pokręcił głową.

- Wydawało mi się...

- Kyle! To ty?

Claire i Kyle oderwali się od siebie i popatrzyli na podekscytowanego mężczyznę, który pojawił się nagle obok nich.

- To ty! - wykrzyknął. Miał chłopięcą urodę i szopę czarnych włosów, ale ze swoim niecałym metrem pięćdziesiąt był przy nich porażająco niski. Claire natychmiast rozpoznała go po wzroście.

- Bobby Loth! - powiedziała zadowolona, że go widzi.

- Claire! Pamiętasz mnie! - Był miło zaskoczony.

- Oczywiście, że tak. - Uśmiechnęła się. Bobby chodził z nimi na koło naukowe; był inteligentny i dowcipny, a w szkole średniej byli przyjaciółmi.

- Ciebie nie da się zapomnieć, Bobby - stwierdził lekko Kyle. - Jak się masz, stary?

- Dobrze. - Bobby cały się rozpromienił, kiedy ucisnęli sobie dłonie na przywitanie, po czym cofnął się i złapał za rękę drobną brunetkę, która stała nieśmiało o krok za nim. - To moja żona, Meredith. Meredith, to Kyle i Claire.

Claire i Kyle uśmiechnęli się i przywitani. Stali przez kilka minut na parkiecie, a potem poszli po swoje wino i usiedli razem przy stole. Cały czas rozmawiali, ale Claire zaczęła odczuwać lekkie zdenerwowanie i jednym okiem zerkała na owinięty serpentynami zegar na ścianie. Chociaż spotkanie z Bobbym i jego żoną było przyjemne, po prostu nie potrafiła się rozluźnić. Odczuła niemal ulgę, kiedy musiała już iść. Oznaczało to przynajmniej koniec pełnego napięcia oczekiwania.

Przepraszała - tłumacząc, że idzie do toalety - wysunęła się zza stołu i wymknęła z sali.

- W samą porę - powiedziała radośnie Jill, kiedy chwilę później Claire wsiadła do samochodu i zajęła miejsce pasażera. Widać było, że Jill nie może się już doczekać tego, co ma nastąpić. Claire wręcz przeciwnie. Zbyt dużo rzeczy mogło pójść nie tak.

- Dzięki - mruknęła, kiedy Jill podała jej zdjęcia. Oddała jej swoją fotografię i wzięła tylko zdjęcie Brada Cruise'a, które wyrwały z czasopisma. Chwilę się zawahała, mrużąc oczy w ciemności. - Pewnie nie masz żadnej latarki ani nic w tym rodzaju?

- Nie, nie pomyślałam o tym. Ale zczekaj. - Jill pogrzebała szybko w torebce i wyjęła jakiś drobiazg.

- Zapalniczka? - spytała zaskoczona Claire, biorąc ją do ręki. - Przecież nie palisz.

- Ted palił od czasu do czasu cygara i nigdy nie miał przy sobie zapalniczki.

- Aha. - Claire rozejrzała się nerwowo wokół siebie, ale wyglądało na to, że parking był pusty. Zapaliła zapalniczkę i jeszcze raz skupiła się na zdjęciu.

- Idealnie.

To jedno słowo Jill świadczyło o tym, że przemiana się udała. Z ulgą zgasiła zapalniczkę. Zaczęła parzyć ją w kciuk i nie mogła się skupić, ale bała się ją zgasić, zanim nie skończy się zmieniać.

- Dobrze? - spytała Claire, podnosząc głowę.

Jill zapaliła światło w samochodzie, żeby na nią spojrzeć, po czym znów je wyłączyła, żeby nie zwracać niczyjej uwagi.

- Jak mówiłam: idealnie - zapewniła. - Chodź.

Claire wysiadła z westchnieniem z samochodu, przeszła na drugą stronę do Jill i oddała jej zdjęcie z czasopisma, żeby je schowała.

- Weź mnie pod ramię jak mężczyzna - pouczyła ją Jill, kiedy ruszyły do wejścia do szkoły.

Claire wzięła ją pod rękę i napomniała się w myślach, że jest teraz mężczyzną i musi podsuwać Jill krzesło, brać ją pod rękę i dbać o te wszystkie drobne uprzejmości.

- Co ty wyprawiasz?

Claire popatrzyła z zaskoczeniem na Jill.

- O co ci chodzi?

- Kręcisz biodrami.

- Nie kręcę.

- Kręcisz. Chodzisz jak dziewczyna.

- Bo jestem dziewczyną - powiedziała poirytowana Claire.

- Dziś nie jesteś - poinstruowała stanowczo Jill. - Myśl jak facet, napusz się trochę. I przestań gadać.

- Coś jeszcze? - spytała sucho Claire.

- Tak. - Jill pogłaskała ją po dłoni i powiedziała: - Dziękuję... A swoją drogą, jak randka z Kyle'em?

- Dobrze... dopóki nie musiałam tu przyjść - powiedziała Claire, ale zaraz przypomniała sobie incydent z Magdą i Tedem, i szybko zrelacjonowała go Jill, która - na szczęście - nie była zła.

Kiedy doszły do sali gimnastycznej, punkt rejestracyjny był już pusty. Faktycznie przyszły jako ostatnie. Jill zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami na salę, wzięła głęboki wdech, a potem spojrzała na przyjaciółkę i powiedziała:

- No to zaczynamy. Uśmiechaj się tylko, przytakuj i zgadzaj ze wszystkim, co mówię. Okej?

Mimo swoich obiekcji, Claire pokiwała głową i rzuciła tylko:

- Tylko nie zostawiaj mnie samej.

- Akurat zostawię Brada Cruise'a w tym samym pomieszczeniu, w którym grasuje taka zdzira jak Magda - powiedziała sucho Jill, po czym pchnęła drzwi. Wciąż trzymając ją pod rękę, Claire pchnęła swoje skrzydło i weszła razem z nią, zauważając, że wszyscy siedzą już przy stołach, wokół których uwijają się kelnerzy i roznoszą przystawki.

- Doskonale - szepnęła Jill i zatrzymała się w drzwiach, żeby rozejrzeć się po sali. Ich wejście nie pozostało niezauważone. Kilka osób odwróciło się w ich stronę, żeby zobaczyć, kto przyszedł, a potem kolejne osoby zaczęły się oglądać i szturchać nawzajem łokciami. W tłumie zebranych zaczął narastać głośny szept i dało się wyłowić głównie słowa: „Brad Cruise”.

Claire pilnowała się, żeby unosić wysoko głowę, nie garbić się i nie chować za Jill. I tak nie mogłaby tego zrobić; Jill ruszyła już naprzód, ciągnąc Claire za sobą.

- Gdzie siadamy? - spytała Claire, nachylając się do ucha Jill, żeby nikt jej nie usłyszał.

- Z Kyle'em.

- Co? - Claire wytrzeszczyła oczy z przerażenia. - Ale...

- Będziemy mogły go zagadać, żeby nie zauważył twojego zniknięcia i żebyś nie musiała tak szybko wracać.

Claire stwierdziła, że to beznadziejny pomysł, ale było już za późno, żeby to zmienić; były już w połowie drogi do stołu, przy którym siedział Kyle, gapiąc się na nie z rozdziawionymi ustami. Claire wcale mu się nie dziwiła. To musiało być trochę dziwne, zobaczyć swoją siostrę na zjeździe szkolnym pod ramię z największym gwiazdorem filmowym na świecie.

- A gdzie Magda i Ted? - spytała Jill, idąc do stolika, przy którym Kyle, Bobby i Meredith zastygli jak na żywym obrazie.

- Nie wiem - mruknęła Claire i zerknęła w prawo, po czym zatrzymała się, kiedy dostrzegła Magdę i Teda siedzących kilka stolików dalej. Para gapiła się na nich z otwartymi ustami, ale w sumie tak samo jak inni, pomyślała Claire i szepnęła do Jill, żeby odwróciła się w prawo. Jill posłuchała i nagle wyprostowała ramiona, a na jej twarzy pojawiła się taka satysfakcja, że Claire poczuła radość, iż się na to wszystko zgodziła. Miała tylko nadzieję, że pod koniec wieczoru dalej będzie tego zdania.

- Magda chyba zaraz zacznie wrzeszczeć, a Ted wygląda, jakby połknął własne gacie - powiedziała Jill i zerknęła z uśmiechem na Claire. Rozbawienie zniknęło nagle z jej twarzy i zatrzymała się niecały metr od stolika.

- Co się dzieje? - syknęła podenerwowana Claire, kiedy zauważyła niepokój na twarzy przyjaciółki.

Jill zawahała się, a potem odwróciła do niej. Położyła jej jedną rękę na piersi i nachyliła się, jakby chciała ją pocałować. Claire odruchowo odwróciła głowę w bok, żeby uchylić się od pocałunku, i syknęła:

- Bez całowania. Ciągle jestem Claire.

- Dobra - mruknęła Jill, a Claire wydała stłumiony okrzyk, kiedy Jill odsunęła od niej rękę, zrywając jej plakietkę, i rzuciła cierpko: - Ale nie musisz się z tym obnosić.

Plakietka została na miejscu po przemianie. To tego typu drobiazgi mogły je zdemaskować podczas tej maskarady, pomyślała ponuro Claire, ale złapała tylko Jill za rękę i ruszyły znów do stołu.

- Przepraszamy za spóźnienie - zaszczębiotała wesoło Jill, kiedy Kyle podniósł się z krzesła.

- Jill - przywitał ją Kyle, ale jego spojrzenie było utkwione w Claire... a raczej w „Bradzie”, jak sądziła. Jego mina wyrażała konsternację i nieufność, po chwili odwrócił się do siostry i powiedział: - Nie wiedziałem, że zamierzasz się zjawić.

- Brad kazał mi zmienić zdanie - rzuciła lekko.

- Jill, to ty? - Bobby Loth też się podniósł, żeby ją przywitać, a Claire była pewna, że Jill poczuła się za to wdzięczna. Odwróciła się szybko do niego, żeby się

przywitać i poznać z Meredith, przez co - niestety - zostawiła Claire sam na sam z Kyle'em.

- Kyle Lockhart - przedstawił się i wyciągnął rękę. Claire podała mu automatycznie dłoń, zapominając, że powinna być facetem i odwzajemnić mocny uścisk. Z trudem powstrzymała grymas bólu, kiedy jego ręka zacisnęła się mocno na jej własnej.

- Z kim mam przyjemność? - spytał Kyle, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Ku jej ogromnej uldze, Jill cały czas kontrolowała sytuację i odwróciła się do nich gwałtownie, mówiąc:

- Och, Kyle, dobrze wiesz, kto to jest. Niestety Brad ma ostre zapalenie krtani i właśnie dlatego nie byłam pewna, czy w ogóle przyjdę, jak Ted się wycofał, ale Brad postanowił mi dzielnie towarzyszyć.

Claire zamrugała, kiedy Jill wycisnęła jej całusa na policzku, a potem pozwoliła zaprowadzić się na miejsce przy stole. Jill miała dość rozsądku, żeby usadzić ją między sobą a Meredith i w ten sposób odgrodzić od Kyle'a i jego pytań. Claire rozluźniła się trochę na widok nieśmiałego uśmiechu Meredith, ale nagle Meredith spytała cicho, czy „Brad” mógłby podpisać się na jej papierowej serwetce. Claire nie zdążyła nawet za bardzo spanikować, bo Jill nachyliła się nad nią i powiedziała:

- Przykro mi, Meredith. Jedyne obietnica, jaką musiałam złożyć Bradowi, żeby go tu zaciągnąć, to że nie będzie musiał rozdawać autografów. Dwa tygodnie temu doznał na planie kontuzji nadgarstka i musi go oszczędzać, bo w przyszłym tygodniu zaczyna zdjęcia do nowego filmu.

- Och, chyba coś o tym słyszałam - powiedziała wyrozumiale Meredith. - Nie spadłeś przypadkiem z konia podczas zdjęć do ostatniego filmu i nie wylądowałaś pechowo na nadgarstku?

Claire, nic nie rozumiejąc, odwróciła się do Jill, która pokiwała poważnie głową i odezwała się do Meredith:

- Całe szczęście, że tylko go sobie skręcił, a nie złamał.

Claire pokręciła w duchu głową, a Meredith cmoknęła ze współczuciem. Poważnie, skąd one to wszystko wiedziały? I po co traciły na to czas? Jedyne, co Claire sama wiedziała na temat Brada Cruise'a, to że był bogaty, przystojny i że był aktorem. Ale wyglądało na to, że Jill i Meredith wiedzą na jego temat wszystko.

- Nie macie plakietek.

Claire zastygła, słysząc ostrą uwagę Kyle'a, ale Jill odwróciła się tylko i uśmiechnęła do brata.

- Jak przyszedliśmy, stolik rejestracyjny był już pusty. Chyba się trochę spóźniliśmy.

Kyle pokiwał głową, a Claire już zaczęła się znów rozluźniać, kiedy usłyszała, jak mówi:

- Ale wydawało mi się, że zrywałaś jakąś plakietkę... z piersi Brada, jak podchodziliście do stolika.

Claire poczuła, że z przerażenia robi wielkie oczy. Były całkiem blisko stolika, kiedy Jill zauważyła, że Claire ma ciągle plakietkę, i zerwała ją z niej. Czy Kyle ją zauważył i zdołał odczytać, co było na niej napisane, zanim jego siostra ją usunęła?

- Brad był na konferencji prasowej, a potem po mnie przyjechał, i ciągle miał na sobie identyfikator - skłamała gładko Jill.
- Zdjęłam mu go.

- Hm. - Kyle zamilkł na chwilę, a potem spojrzał w bok. - Ciekawe, czemu Claire tak długo nie ma?

- Wiesz, jak to jest w babskich toaletach, zawsze są potężne kolejki. Pewnie ciągle czeka.

Kyle odwrócił powoli głowę, a Claire aż zjeżyły się włosy na karku na widok jego spojrzenia. Dobrze je znała. To było spojrzenie w stylu: „Aha!”, i omal nie zamknęli z jękiem oczu, kiedy powiedział:

- A czy ja mówiłem, że poszła do toalety?

Jill przez chwilę wyglądała na zaskoczoną, ale potem zaimprovizowała:

- Domyśliłam się. A gdzie by miała być?

Ku jej ogromnej uldze, Bobby nachylił się do Kyle'a i odwrócił jego uwagę, ale Claire była już tak spięta, że nie mogła się doczekać, kiedy pójdzie do łazienki i wróci jako Claire. Ustaliły, że przy przystawkach zostanie jako Brad, a potem Jill przypomniał jej, że musi iść zadzwonić i będzie mogła się wymknąć, żeby się zamienić. Jak dla niej mogłoby już skończyć jeść.

Przez kolejne dwadzieścia minut Claire coraz bardziej się niecierpliwiła. Co odważniejsi znajomi z klasy zaczęli podchodzić do stolika, żeby wyznać „Bradowi”, że bardzo lubią jego filmy i poprosić o autograf. Jill świetnie się spisywała, odpierając ich ataki, ale dziwnie było, kiedy tyle osób -głównie kobiet - rozplętało się, jaki jest „wspaniały”. Claire odczuła ogromną ulgę, kiedy Jill odezwała się w końcu:

- Och, Brad, miałeś zadzwonić do swojego agenta. Może zrób to teraz, zanim podadzą główne danie?

- Jak ma zadzwonić? Ma chyba zapalenie krtani - zauważył Kyle.

Claire zaciskała już rękę na zdjęciach, które Jill podała jej pod stołem, i zaczęła podnosić się z siedzenia, ale słysząc tę uwagę, zamarła jak spłoszona sarna.

- No tak, oczywiście. Lepiej więc pójdę razem z nim, prawda? - powiedziała słodko Jill.

- On wie - syknęła Claire, kiedy ruszyły w stronę wyjścia na tyłach sali gimnastycznej, wiedząc, że toalety są w bocznym korytarzu.

- Nie wie - zapewniła ją Jill. - Skąd ma wiedzieć? Kyle nie ma pojęcia, że destabilizator może mieć takie działanie. Miał tylko wywoływać efekt kameleona, pamiętasz? Wkurza go tylko, że umówiłam się na randkę z gwiazdorem.

Claire już miała jej przypomnieć, że tak naprawdę nie była na randce z gwiazdorem, ale Jill zaklęła nagle i kazała jej przyspieszyć kroku.

- Ted i Magda idą w naszą stronę - syknęła.

- Cudownie - mruknęła Claire, kiedy wypadły z sali. Nie udało im się zajść daleko, gdy usłyszały wołanie Teda.

Zagryzając zęby, Jill popchnęła ją naprzód.

- Idź, ja się tym zajmę.

Zaciskając rękę na zdjęciach, Claire ruszyła szybko w stronę łazienek, ale powoli dotarło do niej, że słyszy za sobą stukanie obcasów. Obejrzała się przez ramię, spodziewając się Jill, która miała zatrzymać się tylko na chwilę i jakoś się wykręcić, a potem natychmiast ruszyć za nią, ale zobaczyła, że Jill stoi w korytarzu z Tedem i że to Magda idzie jej śladem.

Żywa kopia lalki Barbie uśmiechnęła się do niej uwodzicielsko i przyspieszyła kroku, żeby ją dogonić. Claire

spanikowała. Serce podskoczyło jej do gardła, ostatnie kilka metrów przebyła biegiem i wpadła do toalety. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, odetchnęła lekko, zwolniła i rozejrzała się dokoła, stwierdzając z ulgą, że łazienka jest pusta.

Weszła do pierwszej wolnej kabiny i właśnie zamykała drzwi, kiedy usłyszała, że drzwi do łazienki znów się otwierają. Znieruchomiała zaskoczona widokiem Magdy wchodzącej pośpiesznie do toalety. Blondynka nie zwolniła kroku; ruszyła naprzód, prosto do kabiny, kładąc jedną rękę na piersi Claire i popychając ją na ścianę, a drugą ręką zamykając za sobą drzwi.

4

Och, Brad.

Claire patrzyła z przerażeniem, jak Magda przyciska się do niej gorączkowo.

- Widziałam, jak na mnie patrzyłeś, kiedy wszedłeś z Jill, i od razu byłam pewna, że mnie pragniesz. Sprytnie to wymyśliłeś, żeby zaciągnąć mnie do damskiej toalety.

O Boże, pomyślała Claire. Nieświadomie weszła do damskiej, a nie męskiej, toalety, a Magda potraktowała to jak zachętę. A teraz nie mogła się nawet odezwać, żeby to wyjaśnić.

Złapała Magdę za ręce, które wędrowały po szerokiej piersi „Brada Cruise'a”, i wykorzystując jedyny możliwy

sposób komunikacji, pokręciła głową. Potem spróbowała prześlizgnąć się obok Magdy, otworzyć drzwi i wyjść z kabiny; Magda jednak nie wykazywała chęci współpracy.

Ze śmiechem, jakby uznała, że „Brad” się z nią droczy, wyswobodziła ręce i znów zaczęła przesuwając nimi po jego ciele.

- Nie martw się. Ted zajmie się Jill. Jak tylko was zobaczył, cały się zagotował. Niech się ze sobą zabawią. A my zabawimy się ze sobą. Obiecuję, że dam ci znacznie więcej niż ta mała brzydula.

Claire zeszczywniała, oburzona w imieniu przyjaciółki. Magda była straszną jędzą, jędzą odbijającą cudzych facetów, pomyślała ponuro, ale nagle jej zdolności rozumowania pogrzebała lawina potężnego szoku, bo Magda ją pocałowała. Przez jedną chwilę Claire była tak oszołomiona, że nie mogła myśleć. Kiedy jej mózg znów był w stanie funkcjonować, jedyne, co z siebie wykrzesał, to myśl, że w liceum wszyscy chłopcy twierdzili, że Magda rewelacyjnie całuje. Claire nie była w tym względzie ekspertką, ale jej zdaniem pocałunek Magdy był słaby i nijaki. Niech tylko Jill się o tym dowie, pomyślała, a zdrowy rozsądek wrócił jej na tyle, że zaczęła stawiać opór.

Tym razem nie musiała wkładać w to dużo siły. Oszołomiona pocałunkiem Magdy nie zauważyła, że ta zsunęła dłoń w miejsce, w którym powinno być męskie krocze ... i zdziwiła się nie na żarty.

Magda oderwała usta od „Brada” i odezwała się zaszokowana:

- Nie masz penisa!

- Tia, a ty beznadziejnie całujesz - mruknęła Claire najbardziej męskim głosem, jaki potrafiła z siebie wydobyć. Zaraz potem odsunęła Magdę od siebie i popchnęła ją w jedynym możliwym kierunku, czyli na toaletę: Blondynka miała jednak pecha, bo toaleta najwyraźniej była świeżo umyta, a deska sedesowa podniesiona. Magda wrzasnęła i wylądowała w niej z chlusem, a zaraz potem zaczęła się miotać i szamotać, chcąc się wydostać

Claire nie czekała, żeby sprawdzić, czy jej się to uda. Otworzyła drzwi, wypadła z kabiny i wyszła z łazienki. Nie rozglądała się po korytarzu, tylko od razu weszła do męskiej toalety i do pierwszej wolnej kabiny, jaką zobaczyła.

Zatrzasnęła za sobą drzwi, oparła się o nie czołem, zrobiła kilka głębokich wdechów i jęknęła. Niedobrze. Magda wyjdzie z toalety i rozpowie wszystkim, że Brad nie ma penisa, Jill się wścieknie i...

- Claire? Brad?

Claire uspokoiła się na dźwięk głosu Jill, otworzyła drzwi i wciągnęła Jill do środka.

- Mamy problem.

- Co się stało? - spytała niespokojnie Jill i znów zasunęła zasuwkę w drzwiach.- Widziałam, że Magda poszła za tobą do damskiej toalety.

- Pocałowała mnie - rzuciła z obrzydzeniem Claire i dodała: - A całuje naprawdę fatalnie. Wszyscy chłopcy w ogólniaku musieli kłamać w żywe oczy. Pewnie nigdy się z nią nie całowali, bo to niemożliwe, żeby uznali, że dobrze całuje.

Jill patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc, ale nagle wybuchnęła śmiechem.

- Śmieję się, śmieję - mruknęła Claire. - Ale nie będzie ci do śmiechu, jak usłyszysz resztę.

Jill natychmiast się uspokoiła i zmrużyła podejrzliwie oczy.

- Co?

- Złapała mnie, tyle że nie miała za co.

Jill zamrugwała oczami, nie bardzo rozumiejąc.

- Chcesz powiedzieć... - Jej wzrok powędrował na krocze „Brada”.

- Tak.

Jill zmarszczyła brwi.

- Chcesz powiedzieć, że nie masz „wkładki”?

- A czy na zdjęciu była wkładka? - spytała szyderczo Claire, po czym sama sobie odpowiedziała: - Nie. Były spodnie. I mam spodnie. Bez wkładki.

- Oj, niedobrze - powiedziała nieszczęśliwym głosem Jill i zaczęła grzebać w torebce, po czym wyciągnęła czarny marker. - Daj mi to zdjęcie.

Skonsternowana Claire podała jej fotografię, którą cały czas ścisnęła w ręce, i patrzyła ze zdumieniem, jak Jill uzupełnia spodnie Brada na zdjęciu z czasopisma o niewątpliwą wypukłość.

- Co ty...?

- I już! A teraz skup się na zdjęciu i dodaj sobie wkładkę.

- Miałam się zamienić z powrotem w siebie, Jill. Jestem tu też z Kyle'em.

- Najpierw musimy wszystko wyprostować - powiedziała stanowczo Jill. Kiedy Claire otwierała już usta,

żeby zaprotestować, Jill dodała: - Najpierw zgodziłaś się pójść ze mną.

Claire opuściła z westchnieniem głowę i skoncentrowała się na zdjęciu, uzupełniając swoje nowe ciało o wypukłość w miejscu, w którym powinno być przyrodzenie Brada.

- Ładnie - pochwaliła Jill, po czym odwróciła się, żeby otworzyć drzwi. - A teraz lepiej zmywajmy się stąd, zanim przyjdzie tu jakiś facet i nas zobaczy. Wszyscy by pomyśleli, że uprawialiśmy seks.

Jill otworzyła drzwi do kabiny i zatrzymała się, jakby się zastanawiała, czy na pewno byłoby aż tak źle, gdyby wszyscy byli przekonani, że uprawiała w łazience seks z Bradent Cruise'em. Claire popchnęła ją zdecydowanym gestem. Chciała już mieć to za sobą i wrócić na własną randkę.

- I jak? - spytała Jill, kiedy wyszły z kabiny.

Claire podążyła za jej wzrokiem ku swojemu kroczu i wzruszyła ramionami.

- Wypukłość. Po prostu wypukłość.

- No tak, ale jak wygląda pod spodem? - Jill sięgnęła do zamka jej spodni, ale Claire odepchnęła jej rękę.

- Nie ma nic pod spodem. Pod spodem jestem ja, pamiętasz? To jestem ja. Nie ma żadnych ubrań. To wszystko to tylko ja.

- No tak - powiedziała powoli Jill i skinęła gwałtownie głową. - Musimy znaleźć zdjęcie Brada nago.

- Co? - spytała z niedowierzaniem Claire, po czym warknęła: - Nawet o tym nie myśl.

- Och, proszę - jęczała Jill. - Tylko raz. Nie musisz przecież nic nikomu mówić, a ja spełniłabym swoje fantazje. Już nigdy nie musiałabyś mi nic kupować na uro-

dziny ani na Gwiazdkę. - Zrobiła żalostną minę, która zawsze działała na Claire, ale tym razem przyjaciółka nie dała się na nią nabrać. Cała ta bzdura z Bradem psuła jej randkę z Kyle'em, na którą tak długo czekała. Jej współczucie już się wyczerpało.

- Chyba zwariowałaś - warknęła zniecierpliwiona Claire. - To moje usta, moje oczy i mój mózg. Nie jestem Bradem Cruise'em i nie jestem też lesbijką, więc nie ma mowy, żebym poszła z tobą do łóżka.

Jill westchnęła i się poddała.

- No tak... rozumiem. A jednak szkoda. - Nagle wyciągnęła rękę i dźgnęła palcem wypukłość. - A jak cię dotykam, to gdzie to czujesz?

- W nodze - odpowiedziała Claire.

- Naprawdę? - Jill dźgnęła ją palcem jeszcze kilkakrotnie. - To trochę dziwne, nie wydaje ci się? To chyba znaczy, że do uformowania wypukłości wykorzystane zostały komórki z nogi i...

- Jill! Magda właśnie powiedziała mi i Maureen...

Claire i Jill podniosły ze zdumieniem głowy i zobaczyły Meredith wybiegającą z damskiej toalety oraz Maureen depczącą jej po piętach. Słowa zamarły jej na ustach i westchnęła głucho na widok Jill z ręką na „wkładce Brada”.

- Co? - Maureen wyjrzała zza ramienia Meredith, zaciekawiona jej nagłym milczeniem, po czym powiedziała „Och” na widok Jill, która najwyraźniej obmacywała supergwiazdora.

- Przepraszam - powiedziała Jill i cofnęła rękę, a Claire zaczerwieniła się z zażenowania. - Ja... yyy... rozmawiałam właśnie z Bradem. Co mówiła Magda?

Meredith zawahała się, wymieniła spojrzenia z Maureen, po czym złapała Jill za rękę i odciągnęła ją o kilka kroków. Trzy kobiety zbiły się w gromadkę i zaczęły szeptać poważnymi głosami.

Claire pokręciła głową i pomyślała, czy ta noc w ogóle się kiedyś skończy. Odstały od siebie równie gwałtownie, jak się zebrały. Meredith i Maureen rzuciły Claire-Bradowi niemal pożądlive spojrzenia i pobiegły z powrotem na salę gimnastyczną.

- I? - spytała Claire, kiedy Jill stanęła znów przy jej boku. - Co mówiły?

- Że Magda pocałowała cię w damskiej toalecie i kiedy cię obmacywała, poczuła, że nie masz męskości.

- A niech to. Tego się obawiałam - westchnęła Claire. - A co ty na to?

- Że Magda była po prostu zazdrosna. Że zaciągnęła cię do łazienki, rzuciła się na ciebie, pocałowała cię, a ty powiedziałaś jej, że beznadziejnie całuje i splawiłaś ją, więc jest zazdrosna i rozpuszcza plotki.

- Sprytnie - przyznała z uśmiechem Claire.

- No. Dobrze, że Brad Cruise pokazał się od frontu w scenie rozbieranej w tym brytyjskim filmie z zeszłego roku. Był wtedy zdecydowanie w pełni wyposażony.

Claire zamruwała.

- To trwało jakiś ułamek sekundy, za krótko, żeby zobaczyć coś na ekranie.

- A słyszałaś kiedyś o pauzie? - Jill uniosła jedną brew.

- Zatrzymałaś film, żeby zobaczyć go nago? - spytała z niedowierzaniem.

- Ja i dwadzieścia milionów innych kobiet. Jak sądzisz, dlaczego DVD tak dobrze się sprzedawało?

- Dobry Boże - jęknęła Claire. - Widzę, że nie miałam pojęcia o pewnych aspektach twojej osobowości.

- Oczywiście, że miałaś - sprzeciwiła się Jill. - Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Może teraz masz inne wrażenie, bo jesteś facetem. Poniekąd.

- Może - westchnęła Claire i obiecała sobie, że już nigdy więcej nie będzie twierdzić, że faceci to świnie. Kobiety potrafiły być równie beznadziejne. - Skoro kryzys zażegnany, mogę zamienić się z powrotem w siebie?

- Możesz.

Claire zawróciła z ulgą do męskiej toalety, ale cała zeszywniała, gdy zobaczyła, że drzwi były uchylone. Kiedy tak stała zdumiona, drzwi otworzyły się do końca, a za nimi ukazał się mężczyzna, który wszystkiemu się przysłuchiwał.

- Kyle! - wrzasnęła Claire i nakryła usta rękami, przerażona, że się zdemaskowała.

Kyle uniósł srogo brwi i powiedział tylko:

- Nie mogę uwierzyć, że żadna z was nie uznała za stosowne sprawdzić, czy jesteście same w łazience, zanim zaczęłyście tak swobodnie rozmawiać. Każdy mógł was usłyszeć.

- Ale jak ty się tu dostałeś? - spytała z przerażeniem Jill. - Zostawiłyśmy cię przy stole.

- Poszedłem za wami.

- Kiedy? Nie widziałam cię - powiedziała zdumiona.

- Rozmawiałś z Tedem i wtedy się prześlizgnąłem. Mówiłaś mu, że nie jesteś zbyt zainteresowana jego

propozycją, żeby zacząć wszystko od nowa - dodał szyderczo.

- Miał czelność znów ci coś proponować? - Claire się uśmiechnęła. - A więc ostatecznie to ty go rzuciłaś.

- I wcale to nie było takie fajne, jak sądziłam - wyznała ponuro Jill. - Wyszło, że tak naprawdę to straszny palant.

Claire zaczęła klepać ją ze współczuciem po plecach, po czym pisnęła z zaskoczenia, bo Kyle pociągnął ją nagle do męskiej toalety.

- Ej! - Jill ruszyła za nimi, ale Kyle wciągnął Claire do kabiny i zatrzasnął siostrze drzwi przed nosem.

- Byłabyś łaskawa mi to wyjaśnić? - spytał i zasunął zamek.

Claire otwierała już usta, ale on ją uprzedził:

- Albo wiesz co, nie kłopotz się. Usłyszałem wystarczająco dużo, żeby wszystko zrozumieć. Więc destabilizator miał jednak na ciebie jakiś wpływ?

- I owszem! - parsknęła Jill zza drzwi kabiny, chociaż Claire pokiwała już głową.

Kyle rzucił spojrzenie na drzwi, ale spytał tylko:

- Coś więcej niż efekt kameleona?

- Tak - odpowiedziała z wahaniem Claire. - Mogę zmieniać postać.

- Rozumiem, że odkryłaś to, kiedy poszedłem do sklepu?

Claire znów kiwnęła głową.

- I nie powiedziałaś mi, jak wróciłem.

Claire spojrzała na niego niespokojnie. Twarz Kyle'a nic nie wyrażała; nie widać było żadnych emocji, ale

coś w jego głosie mówiło jej, że nie był zbyt uszczęśliwiony.

- Dlaczego? - spytał w końcu, dając wreszcie upust swojej złości.

- Bo nie chciała, żebyś traktował ją jak królika doświadczalnego - odpowiedziała Jill zza drzwi kabiny, kiedy Claire się zawahała.

- Królika doświadczalnego? - Kyle odsunął zasuwkę i otworzył drzwi, żeby spojrzeć na siostrę.

Jill natychmiast wepchnęła się do środka, zmuszając Claire, żeby weisnęła się między toaletę a ściankę. Kyle zawahał się, a potem znów zamknął drzwi.

- Co masz na myśli, że nie chciała, żebym traktował ją jak królika doświadczalnego?

- Jesteś przecież naukowcem - zauważyła Jill i wzruszyła ramionami, jakby to wszystko wyjaśniało. Potem dodała: - I w końcu się z nią umówiłeś, po tych wszystkich latach, kiedy marzyliście o sobie nawzajem. Claire nie chciała tego psuć, mówiąc ci, co się stało. Bała się, że twoja natura naukowca sprawi, że zaczniesz patrzeć na nią jak na obiekt eksperymentów, a nie kobietę.

Kyle zawahał się chwilę, po czym znów otworzył drzwi i wypchnął siostrę na zewnątrz.

- Ej! Nie możesz mnie tu zostawić! - zaprotestowała Jill, kiedy znów zablokował drzwi. - A co, jeśli ktoś wejdzie?

- To wyjdź z męskiej toalety - podsunął jej Kyle.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym rozległo się stukanie obcasów Jill, która weszła do kabiny po ich prawej stronie i powiedziała:

- Ani mi się śni, braciszku. To po części moja wina nie zostawię was samych, żebyście wszystko spieprzyli.

Kyle przewrócił oczami i westchnął, ale odwrócił się do Claire.

- Może i jestem naukowcem, Claire, ale nie mógłbym widzieć w tobie tylko obiektu badań. Jestem też mężczyzną.

Z góry dobiegło ich prychnięcie i uświadomiło im, że Jill wdrapała się na toaletę, żeby zajrzeć od góry do ich kabiny

- Zostawisz nas w końcu samych? - spytał Kyle ze złością.

- Nie, dopóki wszystkiego nie wyjaśnię - upierała się Jill. - Za bardzo was kocham, żeby spokojnie patrzeć, jak tracie szansę.

Kyle już otwierał usta, żeby na nią warknąć, ale najwyraźniej się rozmyślił.

- No dobra, powiedz, co masz do powiedzenia, i spadaj.

Jill pokiwała głową na zgodę i zwróciła się do Claire:

- Widzisz, on nie jest taki głupi jak większość facetów. Wie, że kobiety potrafią lepiej się komunikować i dlatego pozwala mi mówić.

Claire zagryzła wargi, żeby powstrzymać się od parsknięcia, i pokiwała poważnie głową.

- Tak więc, Kyle - zwróciła się Jill do brata. - Zawsze podobałeś się Claire. Od kiedy skończyłyśmy dwanaście lat, musiałam wysłuchiwać jej zawrożeń na twój temat, a jeśli sądzisz, że łatwo jest słuchać, jak ktoś się rozplywa nad twoim bratem, to grubo się mylisz. Ale to

była moja przyjaciółka, a ty jej się podobałeś, więc musiałam to jakoś znieść. A co do ciebie, Claire, Kyle kochał się w tobie skrycie mniej więcej tak samo długo. Odkąd zaczął nosić portfel, miał w nim twoje zdjęcie, i jeszcze jedno, większe, schowane w górnej szufladzie w domu.

- Skąd wiedziałaś... - zaczął Kyle, ale Jill mu przerwała.

- Dziś - spojrzała na swojego brata - w końcu odważyłeś się z nią umówić, a Claire się zgodziła. Niestety zgodziła się też mi pomóc. Jedynym uczciwym wyjściem było połączyć te dwie rzeczy. Claire nie chciała - wyjaśniła Jill. - Chciała iść tylko z tobą, ale ja zaszantażowałam ją, grożąc, że powiem ci o jej nowych... hm... zdolnościach. Okej? A teraz dajcie sobie buzi na zgodę.

Zapanowała chwila ciszy, a Kyle przyglądał się Claire-Bradowi, po czym zmarszczył brwi na siostrę i rzucił krótko:

- Wynocha.

Jill otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale potem chyba zmieniła zdanie i wzruszyła ramionami.

- Zaczekam na korytarzu.

Zniknęła, a po chwili usłyszeli stukanie jej obcasów, gdy wychodziła z męskiej toalety.

Kyle westchnął z ulgą i zwrócił się do Claire.

Claire popatrzyła na niego wielkimi oczami i aż jej się spociły dłonie na myśl o tym, że w końcu ją pocałuje, jednak po chwili wahania Kyle odchrząknął i pokręcił głową.

- Wiem, że to ty tam jesteś, ale nie mogłabyś się zamienić znów w siebie? Naprawdę nie mam ochoty całować się z Bradem.

- Och. - Claire uniosła zdjęcia, które ciągle ścisnęła dłoni, i położyła swoje na wierzchu. Zawahała się, nagle onieśmielona, ale potem opuściła głowę i skoncentrowała się na fotografii.

- Rany - szepnął Kyle, a Claire rozluźniła się i spojrzała na siebie, widząc, że znów jest w czarnej satynowej sukience. Znów była sobą. Podniosła wzrok.

- Tu się schowałeś - powiedział cicho Kyle i podniósł jedną rękę, żeby pogłaskać ją po policzku, a potem, zanim zdążyła się na to przygotować, pochylił się i zakrył jej usta swoimi.

Claire znieruchomiała, a serce waliło jej w piersi, kiedy Kyle ją całował, potem jęknęła cicho i rozluźniła się w jego objęciach. Przez jedną chwilę bała się, co się stanie. A co, jeśli jego pocałunek nie będzie taki, jak sobie wyobrażała? Rzeczywistość mogła nie wytrzymać porównania z dziesięcioletnim fantazjowaniem, ale nie było się czego bać. W przeciwieństwie do Magdy, Kyle wiedział, jak całować. Jego usta przylgnęły mocno do niej i wywoływały przyspieszone bicie serca; Kyle wysunął język i zaczął torować sobie drogę do jej ust.

Rozchyliła je dla niego i przyjęła go z podnieconym westchnieniem, które zamarto gwałtownie, kiedy rozległ się dźwięk otwieranych drzwi. Obydwoje znieruchomieli, nasłuchując obcasów Jill, ale nie rozległo się stukanie.

Kyle wypuścił ją z objęć, podszedł do drzwi i zajrzał do łazienki przez szparę w drzwiach. Claire domyśliła się po jego zmarszczonych brwiach i po tym, że nie zrugął Jill, że do łazienki wszedł ktoś inny. Mężczyzna, jak się domyślała, bo przecież to była męska toaleta.

Kyle odwrócił się i położył jej palec na ustach, dając do zrozumienia, żeby zachowała milczenie, tymczasem drzwi do kabiny na końcu zaskrzypiały. Kyle odczekał, aż znów się zamkną, po czym odblokował zamek i szybko wyprowadził Claire z kabiny.

- Zamieniłaś się! - zawołała na ich widok Jill.

- Pewnie, że tak - powiedział poirytowany Kyle. – Jest też na randce ze mną.

- Tak, ale... - Jill zawahała się na moment, nad czymś się zastanawiając, po czym zaproponowała: - Dobijmy targu. Claire zamieni się znów w Brada, żebyśmy mogli razem wyjść, a potem jest twoja na resztę wieczoru.

Claire zrobiła z zaskoczenia wielkie oczy.

- Nie chcesz, żebym dalej udawała twojego chłopaka?

- Nie. Dalsza maskarada nie ma sensu. Wszyscy widzieli mnie już z Bradem Cruise'em. Tylko na tym mi zależało. Poza tym psuję ci randkę. - Patrzyła to na Claire, to na Kyle'a. - Nie macie nawet za bardzo jak porozmawiać. To był w sumie taki pokaz. Zaprezentowałyśmy już wystarczająco dużo. Jestem usatysfakcjonowana i mogę wrócić do domu.

Claire poczuła, że Kyle rozluźnia się u jej boku i wiedziała, że odczuwa tę samą ulgę, która i ją w tej chwili ogarnęła.

- Poza tym - dodała Jill z paskudnym uśmiechem - wszyscy i tak będą myśleli, że wróciłam do domu, żeby uprawiać dziki, zwierzęcy seks z Bradem Cruise'em. A jeśli tak nie pomyślą, sama zadbam o to, żeby rozeszła się taka plotka.

- Dziki, zwierzęcy seks? - powtórzyła z niedowierzaniem Claire. - Muszę ci coś wyznać, Jill. Widziałam małpy uprawiające seks i nie ma w tym nic ładnego.

- Zgadza się - poinformował Kyle siostrę. - Nic ładnego.

- O Boże! - Jill pokręciła z rozpaczą głową. - Naprawdę, pasujecie do siebie. Oboje jesteście żałośni. Seks między przedstawicielami każdego gatunku nie jest ładny. Bo nie ma być ładny. Ma... - urwała gwałtownie, po czym powiedziała: - Uch! Chcecie powiedzieć, że staliście i gapiliście się, jak małpy kopulują? To chore!

Claire i Kyle spojrzeli po sobie, ale Kyle odezwał się pierwszy:

- Widziałem je na uniwersytecie, kiedy pracowałem jako asystent w laboratorium. Nie stałem i nie gapilem się, ale widziałem wystarczająco dużo.

- No, a ja się przyglądałam - przyznała odrobinę zawstydzona Claire. - Ale wtedy to należało do moich obowiązków, badaliśmy... - zamilkła i pokręciła głową. - Nieważne. Dokonajmy przemiany i wyprowadźmy stąd ciebie i Brada, żebyśmy mogli z Kyle'em wreszcie pobyć na naszej randce.

- Dobry pomysł. - Jill zaprowadziła ją do kabiny w pustej damskiej toalecie.

- Ej! - zaprotestowała, kiedy Kyle wcisnął się tam razem z nimi.

- Chcę zobaczyć - powiedział.

- W takim razie włącz na kibel - zarządziła Jill po chwili wahania. - Jak ktoś wejdzie i zajrzy pod drzwiami, nie

będzie to wyglądało tak dziwnie. Zobaczy tylko dwie kobiety.

- A to nie będzie dziwne? - spytał z niedowierzaniem Kyle.

- Nie aż tak dziwne jak dwie kobiety i mężczyzna - zauważyła sucho. - Kobiety mogą po prostu plotkować albo się nawzajem pocieszać. Właz na kibel i tyle - zakończyła, kiedy popatrzył na nią z powątpiewaniem.

Kyle wzruszył ramionami i ostrożnie stanął na desce sedesowej, a Jill uspokoiła się i zwróciła do Claire.

- Dobra, zaczynaj.

Claire podniosła zdjęcia, włożyła swoje pod spód i spojrzała na uśmiechniętą twarz Brada Cruise'a. Rzuciła w stronę Kyle'a niemal przeproszające spojrzenie, a potem skoncentrowała się na zdjęciu. Ledwie skupiła się na fotografii z czasopisma, kiedy otworzyły się drzwi do łazienki. Słyszając to, Jill wykonała gwałtowny półobrót w stronę drzwi kabiny i zderzyła się głową z przyjaciółką. Wydała ostrzegawczy okrzyk, ale zdjęcia wypadły z ręki Claire. Poszybowały w dół jak papierowe samolociki, zakręcając w podmuchu powietrza i spadając pod ściankę dzielącą dwie kabiny.

Claire schyliła się odruchowo, żeby je złapać, ale zamarła, bo drzwi do sąsiedniej kabiny otworzyły się nagle. Jill syknęła ostrzegawczo, złapała ją za ramię i pociągnęła do góry, mimo iż Claire zdążyła już zauważyć, że ma na sobie czarną marynarkę Brada Cruise'a. Wyglądało na to, że w tak krótkim czasie udało jej się w niego zamienić. Niesamowicie, pomyślała, i cofnęła rękę w marynarcę, zanim ktoś ją zobaczy. Wyprostowała się i cała trójka

wymieniła nieco zawstydzone spojrzenia w oczekiwaniu, aż kobieta skończy i wyjdzie.

Odetchnęli z ulgą, kiedy w końcu rozległ się szum spłukiwanej wody w sąsiedniej toalecie i drzwi się otworzyły. Claire natychmiast uklękła i zajrzała na podłogę po drugiej stronie, marszcząc brwi, gdy zobaczyła, że jest tam już tylko jedno zdjęcie. Jej fotka leżała teraz przy przeciwległej ścianie, za daleko, żeby mogła po nią sięgnąć.

- A gdzie drugie? Gdzie Brad? - powiedziała jej do ucha Jill ledwie dosłyszalnym szeptem, na co Claire wzruszyła ramionami.

- Co jest grane? - syknął Kyle ze swojego miejsca na toalecie. Wyprostowały się i wyjaśniły szeptem w czym rzecz. Patrzyli na siebie pustym wzrokiem, a każde z nich usiłowało zrozumieć, co się mogło stać ze zdjęciem, wsłuchując się jednocześnie w szum wody leżącej z kranu przy umywalkach. Nagle Jill zrobiła wielkie oczy, uniosła pytająco brwi i wskazała kciukiem na drzwi.

Claire patrzyła na nią i dopiero po chwili dotarło do niej, że Jill sugeruje, że to tamta kobieta musiała je podnieść. Skrzywiła się na tę myśl, podeszła do drzwi i przycisnęła twarz do szpary z jednej strony. Jill szybko zajęła miejsce obok i wyjrzała przez szparę z drugiej strony.

Claire miała dość dobry widok na dziewczynę, która zakręciła wodę i podeszła do suszarki, widziała też, że nie ma w ręce żadnego zdjęcia. Zauważyła, że w dopasowanej czarnej sukni, którą miała na sobie kobieta, nie było żadnych kieszeni.

Już miała odsunąć się od szpary i uklęknąć, żeby jeszcze raz poszukać na podłodze, ale Kyle syknął na nie.

Odwróciły się obie przez ramię i zobaczyły, że Kyle stoi na toalecie i rozgląda się po łazience. Najwyraźniej dostrzegł coś, co im umknęło, bo zaczął pokazywać na swoje stopy Claire popatrzyła na jego nogi, nic nadzwyczajnego nie zauważyła i podniosła znów na niego wzrok. Kyle wskazywał na drzwi.

Odwróciła się do szpary i znów wyjrzała, tym razem koncentrując się na nogach, a potem na stopach kobiety. Na początku niczego nie zauważyła, ale kiedy dziewczyna skończyła suszyć ręce i odwróciła się do drzwi, oczy Claire rozszerzyły się ze zdumienia na widok pogniecionej zdjęcia z czasopisma przyklejonego do podeszwy jej szpilki.

5

Cała ja - mruknęła Claire, kiedy zamknęły się drzwi za dziewczyną ze zdjęciem przylepionym do buta.

- Co masz na myśli? - spytał Kyle i zszedł z toalety. Musiał stanąć tuż za nią i przycisnąć pierś do jej pleców w takiej ciasnocie.

- Bo to zwykle ja ciągnę za sobą papier toaletowy po wyjściu z łazienki - wyjaśniła Claire z cierpkim uśmiechem.

- No cóż, wyszła z moim chłopakiem na podeszwie - powiedziała z niesmakiem Jill. - Trochę jak Magda, która trzyma Teda pod pantoflem.

- Może - skomentował Kyle. - Ale nie potrafię sobie wyobrazić faceta, który bardziej zasługiwałby na Magdę niż Ted. Boże, okazał się zarozumiałym dupkiem.

- No - zgodziła się Claire. - A ja myślałam, że to ja mam zły gust.

- Dziękuję bardzo - zażartował Kyle, a Claire się zaczerwieniła.

- Nie myślałam oczywiście o tobie - poprawiła się. - Większość facetów, z którymi się umawiałam, oprócz ciebie, była strasznymi dupkami, dokładnie jak Ted.

- Wielkie dzięki, że tak ładnie dowiodłaś, jak beznadziejny mam gust - wtrąciła Jill.

- Oj, nie o to mi chodziło - wyjaśniła szybko Claire.

- No. Ja też dałem się nabrać, Jill - zapewnił ją Kyle.

Trochę udobruchana, Jill westchnęła i pokazała Claire, żeby się odsunęła.

- Cofnij się. Pójdę po to zdjęcie. Boże! Dlaczego nie mogła zabrać twojego?

- A ja się cieszę, że to był Brad - sprzeciwiła się Claire i wcisnęła w maleńką przestrzeń między toaletą i ścianką, żeby zrobić tamtym miejsce i umożliwić otwarcie drzwi. - Już jestem Bradem Cruise'em.

- No ba! - parsknęła Jill, której udało się wydostać z kabiny.

Claire zmarszczyła brwi, a kiedy drzwi zatrzasnęły się znów za jej plecami, obróciła się do Kyle'a z pytaniem:

- O co jej chodziło z tym „bynajmniej”?

Kyle zawahał się ze zboląłą miną.

Z kabiny obok dobiegł głos Jill:

- Zmieniłaś się tylko w połowie.

Słyszac to, Claire poderwała glowe, jednym szarpnieniem otworzyła drzwi i podbiegła do lustra nad umywalką, żeby się sobie przyjrzeć.

- O Boże - szepnęła z przerażeniem. Część rysów postaci, która patrzyła na nią z lustra, należało do niej. Widziała swoje zielone oczy i mały zadarty nosek, ale poniżej były usta i broda Brada Cruise'a z lekkim zarostem. Jej włosy stanowiły dziwną mieszaninę krótkich jasnobrązowych włosów i długich rudych fal, a jej ciało... no cóż... było kompletną płataniną jej i Brada. Miała na sobie spodnie i marynarkę od jego garnituru, ale spodnie kończyły się powyżej kolan, miała też piersi. Niezbyt pasowały do wypukłości między jej nogami, która stanowiła jego „wkładkę”.

- To jakiś koszmar - szepnęła i mało już ją obchodziło, które zdjęcie dostanie, byle tylko była jedną osobą. Nie może wyjść z łazienki w takim stanie i chociaż mogłaby zamienić się w siebie bez zdjęcia, byłaby wtedy naga.

- W porządku - mruknął Kyle, wyszedł z kabiny i poklepał ją po plecach, patrząc jej w oczy w lustrze. – Zaraz to naprawimy za pomocą drugiego zdjęcia.

- O Boże.

Claire odwróciła się gwałtownie w stronę kabin, z których wyszła Jill z drugim zdjęciem w ręku.

- Co „o Boże”?

- Nic. Wszystko okej - zapewniła szybko Jill i zaczęła nagle skubać zdjęcie, potem znieruchomiała i powiedziała. - O nie.

- O nie? Nie mów: „O nie”. - Claire ruszyła w jej stronę, żeby odebrać jej fotografię, ale Jill skrzywiła się nagle

na jej widok, jakby dopiero sobie uświadomiła, że wyszła z kabiny.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknęła. - Wracaj do środka! Ktoś cię może zobaczyć. - Trzymając zdjęcie poza zasięgiem Claire, złapała ją wolną ręką i zaciągnęła do kabiny, po czym zatrzasnęła za nimi drzwi i westchnęła.

- Jill? - spytał Kyle zza drzwi, a ona skrzywiła się, po czym znów je otworzyła i wciągnęła go do środka. Zaczekała, aż zajmą te same miejsca co wcześniej, a dopiero potem zasunęła zamek.

- Mów - rozkazała ponuro Claire.

Jill westchnęła i wyciągnęła zdjęcie. Claire wyrwała je z jej ręki i spojrzała na nie, niemal odgryzając sobie język. Zdjęcie wylądowało na gumie do żucia. Dziewczyna, która korzystała z toalety, musiała na nie nadebrać, bo guma wbiła się naprawdę mocno. Kiedy Jill próbowała ją odkleić, zdjęcie oderwało się od papierowego tła.

- Cholera - mruknął Kyle.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła ich Jill i odwróciła się do drzwi. - Zaczekajcie tu.

- Zaczekajcie tu? - Zaniepokojona Claire złapała ją za rękę. - Gdzie idziesz?

- Niedaleko jest sklep. Pójdę po jakieś czasopismo ze zdjęciem Brada i zaraz wracam.

- Brada? A co z nią? Masz jakieś inne zdjęcie Claire? - spytał zaniepokojony Kyle.

- Nie. Niestety zrobiliśmy tylko jedno - wyznała Jill, a Kyle odwrócił się do Claire.

- A nie możesz zamienić się bez zdjęcia?

- Nie - wymamrotała pod nosem.

- Próbowalaś? - spytał Kyle, a Claire uśmiechnęła się blado na myśl, że mówi tak samo jak jego siostra wcześniej, kiedy namawiała ją, żeby zamieniła się w Brada Cruise'a.

- Może się zamienić w siebie, ale bez zdjęcia będzie naga - poinformowała go Jill.

- Naga? - Kyle obrzucił ją takim spojrzeniem, jakby wyobraził ją sobie w takim stanie. I może wcale nie uważał, że to taki zły pomysł.

- Która godzina? - zainteresowała się nagle Claire.

- Nie wiem. A co? - spytała zdezorientowana Jill.

- Tak tylko się zastanawiam, jak dużo czasu na tej podwójnej randce z piekła rodem spędziłam w toalecie - wyznała, a Kyle, który zerknął na zegarek, opuścił teraz rękę, nie mówiąc, która godzina. Aż tak długo, pomyślała z westchnieniem.

- Słuchajcie, zaczekajcie tu, a ja pójde po magazyn do sklepu - powtórzyła Jill.

- Nie. Dość tych nonsensów - uciął Kyle. - Claire nie będzie się już zamieniać w Brada. Ma być sobą.

- Ale nie jest sobą, a na pewno cały Brad jest lepszy niż Brad z cyckami, jeśli chce się stąd wydostać - zauważyła Jill. - Wyjdziemy, zabierzemy ją do domu, a tam będzie mogła zamienić się w siebie, włożyć sukienkę i dokończyć waszą randkę.

Kiedy bliźnięta nadal się kłóciły, Claire przyglądała się sobie ze zmarszczonymi brwiami, pamiętając o incydencie na parkiecie, kiedy przypadkowo powiększyła sobie piersi, a potem je zmniejszyła. Będzie w stanie znów to zrobić? Zaciśnęła mocno powieki i skoncentrowała się

na tym, żeby piersi zniknęły i żeby miała znów płaską pierś.

- O rany, to niesamowite!

Na słowa Jill Claire zamrugała, otworzyła oczy i zobaczyła, że jest płaska.

- Możesz je sobie powiększać? - spytała zaintrygowana Jill..

- Chyba udało jej się to dziś na parkiecie - zakpił Kyle, a Claire poczuła, że się czerwieni.

- To był wypadek - wyjaśniła.

- To jest ekstra, zdajesz sobie sprawę? – niedowierzała Jill. - Powiększanie cycków bez silikonu i operacji. Och, Kyle, mogę też się napromieniować?

- Jill! - krzyknęła Claire, patrząc na nią oniemiała.

- Nie - powiedział w tym samym momencie Kyle stanowczym głosem.

Jill się nie poddawała i rzuciła prosząco:

- Ale czemu nie?

- Nie wiemy, jakie to ma skutki uboczne - wytłumaczył jak dziecku. - Tego rodzaju przemiana na poziomie molekularnym może nieść za sobą różnego rodzaju reperkusje. Jej komórki są teraz niestabilne, mogą...

Kiedy urwał raptownie, Claire dokończyła za niego to, co sam bał się powiedzieć:

- Mogą zupełnie się rozpaść, a wtedy skończę w postaci brei.

Przez chwilę wszyscy milczeli, a potem Jill spytała:

- Żartujecie, prawda?

Kyle wyciągnął rękę i pogłaskał Claire po policzku, a potem odchrząknął i zmienił temat.

- Udało ci się bez zdjęcia. Myślisz, że mogłabyś zmienić się w siebie w sukience bez zdjęcia?

Claire zawahała się, nie do końca pewna, czy uda jej się taka sztuczka. Jej piersi... cóż... należały do niej. Ale on mówił o całym ciele.

- Nieważne - powiedział nagle Kyle. - Nie chcę, żebyś za często się zmieniała, dopóki nie będziemy pewni, że nie powoduje to dalszej destabilizacji komórek.

- Chcesz powiedzieć, że te dzisiejsze zamiany w tę i we w tę mogą być niebezpieczne? - spytała ze strachem Jill.

Claire skrzywiła się na tę myśl. Nie pomyślała o tym.

- Nie wiem - przyznał Kyle. - To jest zupełna nowość i nie wiem na pewno, co się może zdarzyć. Na razie nic nie dolega zwierzętom, ale one tylko zmieniają barwę, a nie kształt.

Jill wyglądała, jakby na krótką chwilę dotarła do niej myśl, że przysługa, którą wyświadczyła jej Claire, mogła okazać się dla niej niebezpieczna i szkodliwa, po chwili jednak pokręciła głową.

- To rozwiązuje sprawę, zamieniaj się w siebie.

- Ale będę naga - zauważyła z obawą Claire.

- Możesz założyć marynarkę Kyle'a - podsunęła Jill.

- Nie wyjdę stąd w samej marynarce Kyle'a - zaprotestowała Claire.

Kyle odchrząknął i powiedział:

- Obawiam się, że mamy tylko dwie możliwości... Nie, trzy - poprawił się.

- To znaczy? - spytała nieufnie Claire, dziwnie pewna, że nie spodoba jej się żadna z nich.

- Pierwsza: możesz tu ze mną zostać i poczekać, aż Jill pojedzie do domu i przywiezie ci jakieś ubrania.

Claire skrzywiła się na tę propozycję. Mogło pojawić się zbyt wiele kłopotliwych sytuacji. Ostatecznie w damskiej toalecie siedziało dwóch facetów. A raczej półtora, jak sądziła.

- Druga: możesz wyjść tak jak teraz - ciągnął Kyle, ale jego mina sugerowała, że sam nie uważa tego za dobre rozwiązanie. Claire widziała siebie, więc musiała się z nim zgodzić i nawet tego nie skomentowała. Zachęciła go więc:

- Albo?

- Albo trzy: możesz zamienić się w siebie i wyjść stąd nago w mojej marynarce - dokończył i wzruszył ramionami.

- Bez urazy - powiedziała nieszczęśliwa Claire - ale każda opcja jest do bani.

Odwróciła się, oparła głowę o chłodną metalową ściankę i spróbowała sama coś wymyślić.

- Co? - spytała Jill, kiedy Claire wyprostowała się nagle. - Wpadłaś na jakiś pomysł?

- Może. A co wy na to, żebyście przynieśli jakąś tablicę pamiątkową, a ja zamieniłabym się w jednego z nauczycieli? Mogłabym stąd wyjść, a potem przywieźlibyście jeszcze jedno moje zdjęcie i... - umilkła pod piorunującym spojrzeniem obydwójga Lockhartów. Byli wściekli, że w ogóle zaproponowała jeszcze jedną zmianę. - Nieważne. Dobra, Kyle, daj mi swoją marynarkę.

Cała trójka musiała manewrować, żeby Kyle mógł zdjąć marynarkę, a potem znowu, żeby Claire mogła ją

na siebie włożyć. Kiedy wreszcie się udało, byli zgrzani, spoceni i odetchnęli z ulgą.

- Dobra, zamieniaj się - poleciła Jill, kiedy Claire miała już na sobie marynarkę.

- Przysięgam na Boga, Claire. Jesteś jedyną znaną mi kobietą, która potrafi sprawić, że męska marynarka wygląda seksownie.

Słyszając słowa Jill, Claire zamrugała oczami.

- Jestem sobą? - spytała i spojrzała na siebie zdziwiona, że marynarka jest na niej taka krótka. Dobry Boże, nie ma mowy, żeby w najbliższym czasie się schyliła.

- O tak, jesteś - przyznał ochryplym głosem Kyle, a Claire zaczerwieniła się pod jego pełnym podziwu wzrokiem.

- Błagam - wtrąciła Jill. - Zmywajmy się stąd. Czuję już, jak zaczynają w was buzować hormony. I chociaż kocham was oboje, wolę nie wyobrażać sobie żadnego z was nago w niedwuznacznej pozycji, a zwłaszcza nie razem. - Zakończyła swoją tyradę lekkim, zde gustowanym wzdrygnięciem, na co Claire i Kyle się skrzywili.

- Idź najpierw sprawdzić, czy korytarz jest pusty, Jill - podsunął Kyle.

- Dobra. Zaraz wracam. - Ledwie wyszła z kabiny, a Kyle już odwrócił Claire do siebie i ją pocałował.

Claire krzyknęła zdziwiona nagłym zwrotem akcji, a Kyle wykorzystał okazję i wepchnął jej język do ust.

- O Boże! - Na dźwięk krzyku Jill oderwali się od siebie. - Nie możesz przynajmniej poczekać aż będziecie w samochodzie?

Claire zarumieniła się, przyłapana przez Jill, a ta pokręciła tylko głową.

- Droga wolna, jeśli macie ochotę stąd wyjść. Ale może wolicie zrobić to tu, w babskiej toalecie, i mieć już to za sobą. Litości! - Odwróciła się i podeszła z powrotem do drzwi, mamrocząc: - Najpierw całą wieczność nie może się z nią umówić, a potem rzuca się na nią z łapami. Ośmiornica. Wszędzie macki. Naprawdę: cicha woda brzegi rwie.

Claire zagryzła wargi i podążyła szybko za Jill, świadoma, że Kyle idzie za nią. Czuła jego spojrzenie wędrujące po jej gołych nogach i cieszyła się, że marynarka zakrywa przynajmniej jej tyłek.

- Cholera - mruknął Kyle kilka chwil później, kiedy stanęli przed trzecimi z kolei drzwiami wyjściowymi, pod które dotarli po wyjściu z toalety. Podobnie jak dwie pary poprzednich, były zamknięte na łańcuch.

- Musieli otworzyć tylko wyjście przez salę gimnastyczną - stwierdziła Jill.

- Powinni zostawić jeszcze jedne drzwi otwarte na wypadek pożaru - powiedział Kyle, marszcząc brwi.

- Może tak zrobili, z drugiej strony sali gimnastycznej - zasugerowała Claire.

Kyle i Jill spojrzeli na nią, omiatając wzrokiem jej skąpe ubranie. Jak dotąd udało im się na nikogo nie natknąć. Pierwsze drzwi, do których dotarli, były zarazem jedynymi, przy których istniało ryzyko, że ktoś ich zobaczy. Ostatnie dwie pary znajdowały się na końcu korytarzy, na których nikt nie miał czego szukać, łącznie z nimi w normalnych okolicznościach.

- Sala gimnastyczna dzieli tę część szkoły na pół - zauważył Kyle. - Jedyna droga na drugą stronę prowadzi przez salę.

- Albo przez scenę - powiedziała Claire.

Kyle zamrugał.

- Zapomniałem o scenie - przyznał. Mała sala gimnastyczna była wykorzystywana podczas przedstawień i meczów, a przynajmniej tak było za ich czasów.

- Kurtyna była dziś zasłonięta. - Jill uśmiechnęła się szeroko. - Możemy przekraść się na drugą stronę i wymknąć niezauważenie.

- Dobra. - Kyle wziął je obie za rękę i zawrócili tam, skąd przyszli.

Wydawało się, że szczęście im sprzyja, bo dotarli niepostrzeżenie do drzwi prowadzących na tył sceny. Odetchnęli z ulgą, kiedy wślizgnęli się do ciemnej wnęki przy prowadzących na scenę schodach... nagle jednak drzwi zamknęły się i otoczyła ich nieprzenikniona ciemność.

- Nic nie widzę - marudziła szeptem Jill i złapała Claire za rękę.

- Zaczekajmy tu chwilę, aż nasze oczy przywykną do ciemności - zaproponował Kyle. Oczekali kilka minut, przysłuchując się jakiemuś przemówieniu na sali gimnastycznej. We wnęce głos przypominał tylko niskie, niezrozumiałe buczenie, od czasu do czasu przerywane oklaskami lub wybuchami śmiechu gości. Jego dźwięk był dziwnie kojący.

- No dobra - przerwał ciszę Kyle, kiedy minęło już kilka beczynnych chwil, a widoczność się nie poprawiła. -

Chyba nie będzie lepiej. Ja poprowadzę. Claire, złap mnie za rękę. Jill, trzymaj się Claire.

Claire już chciała zaprotestować, że nie będzie mogła przytrzymać marynarki, jeśli będzie miała obydwie ręce zajęte, ale odpuściła sobie. Ostatecznie było tak ciemno, że nikt nie zobaczy, jeśli marynarka się rozchyli. Po prostu wyswobodzi jedną rękę, zanim wyjdą przez drzwi z drugiej strony.

Kyle zaczął bardzo powoli wchodzić na schody prowadzące na scenę. Claire ruszyła za nim równie wolno, ostrożnie wyczuwając stopami każdy stopień i ciągnąc za sobą Jill. Kiedy znaleźli się już na scenie, zrobiło się łatwiej, bo pokonywali płaską powierzchnię. Lepiej było też słyszeć przemówienie wygłaszane po drugiej stronie kurtyny, ale Claire była zbyt spięta, żeby słuchać, więc szła tylko na oślep za Kyle'em.

W ogóle nie przyszło jej do głowy, że mogą się natknąć na jakąś przeszkodę na scenie. Kyle'owi najwyraźniej też to nie przeszło przez myśl, bo ruszył trochę szybciej, zamieniając ostrożność na prędkość. Nagle stanął jak wryty i stęknął zaskoczony, a Claire wpadła mu na plecy i zachwiała się, na chwilę puszczejąc jego rękę. Zanim zdążyła upaść na podłogę i zdradzić przed ludźmi po drugiej stronie kurtyny, że ktoś jest na scenie, wpadła na Kyle'a, a jego ręce zacisnęły się wokół jej talii i pomogły złapać równowagę.

- Przepraszam - szepnęła Claire i się uspokoiła.

- Co się stało? - syknęła Jill i wzmocniła uścisk dłoni.

- Wpadliśmy na coś.

- Na co?

- Nie wiem - odpowiedziała Claire szeptem.

- Kto tam jest? - spytał baryton nad jej głową, a Claire cała zeszywniała. To nie był głos Kyle'a. Ręce wokół niej zacisnęły się, jakby wyczuwając, że będzie chciała uciekać, i Claire naprawdę zaczęła się wyrwać, ale po chwili zamarła i zamrużyła oczami, bo zdała sobie sprawę, że robi się coraz jaśniej... Szybko.

- Przed państwem król i królowa balu z roku tysiąc dziewięćset... - głos zamarł w pół słowa, a Claire okręciła się, bo ręce, które ją przytrzymały, raptownie się odsunęły.

- O Boże. - Claire usłyszała szept Jill, bo nagle zapaliły się reflektory i oślepiły je tak, że nie widziały wpatrujących się w nie ludzi... a jednocześnie oświetliły je na scenie.

- Ty nie jesteś Claire!

Kiedy zapaliły się światła, Claire podniosła ręce, żeby zasłonić oczy. Odwróciła głowę w kierunku, z którego dochodził zaskoczony głos Kyle'a, i zobaczyła go już prawie poza sceną z Magdą za rękę. Blondynka miała narzuconą na sukienkę długą, czerwoną szatę, a na głowie diadem. Na jej twarzy widać było wściekłość - najwyraźniej nie była zbyt uszczęśliwiona.

- Claire?

Obejrzała się przez ramię na mężczyznę, który ją przytrzymał, kiedy się potknęła, i zobaczyła Jacka McCarthy'ego, piłkarza, z którym chodziła w ogólniaku. On też miał czerwoną szatę na garniturze, a jego głowa była zwieńczona koroną.

Claire przypomniała sobie, że była mowa o królu i królowej balu. Magda i Jack byli królową i królem balu

w roku, w którym kończyli szkołę. Oczywiście czekali tu w swoich szatach i koronach, żeby wystąpić przed ludźmi ze swojego rocznika. Kyle musiał wpaść na jedno z nich, a kiedy puścili ręce, wszystko się pomieszało. Ostatecznie Kyle zaczął ściągać ze sceny Magdę, a Claire wylądowała w ramionach Jacka.

Cisza, która zapanowała na sali, nagle zamieniła się w ogłuszające okrzyki i oklaski. Było tak głośno, że Claire prawie nie słyszała wołania Jill. Zauważyła jednak, że Jill próbuje naciągnąć na nią poły marynarki Kyle'a i zasłonić jej nagie ciało.

Claire pisnęła przerażona i sama dokończyła: odwróciła się tyłem do pandemonium, które rozpętało się na sali, i znalazła się twarzą w twarz ze spoglądającym na nią pożądliwie Jackiem.

- Wyładniałaś z wiekiem, maleńka. Jesteś jeszcze wolna? - spytał Jack i wyciągnął do niej rękę.

- Nie, nie jest - warknął Kyle, który znalazł się nagle u jej boku. Złapał ją za rękę i ściągnął szybko ze sceny, zmuszając Jill, żeby popędziła za nimi.

- Cóż, to będzie dla wszystkich niezapomniany zjazd! - krzyknęła Jill, kiedy wybiegli ze szkoły i pędzili przez parking.

Claire jęknęła i poczuła, że jej zwykle zarumieniona twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. Naprawdę wołała nie myśleć o tym, co się właśnie stało.

- Widziałaś minę Magdy? - dodała Jill. - Była wściekła, że zepsuliśmy jej wielką chwilę.

Claire znów jęknęła, a potem westchnęła, kiedy dotarli do samochodu Kyle'a i oparli się o niego wyczerpani.

- Głowa do góry, Claire - pocieszyła Jill i pogłaskała ją po plecach. - To może i była podwójna randka z piekła rodem, ale Magda miała gorzej.

- Gorzej? - powtórzyła Claire z niedowierzaniem.

- No pewnie. Najpierw dowiedziała się od Kyle'a, że jej narzeczony ją zdradzał i że chodzi z resztkami po mnie, potem Ted spytał, czy nie zechciałabym do niego wrócić, potem Brad Cruise powiedział jej, że beznadziejnie całuje i wrzucił ją do kibla, potem ponowna koronacja na królową balu się nie udała, bo Magda została ściągnięta ze sceny. Ty przynajmniej dostałaś owacje na stojąco za niezłą figurę. Byłaś hitem wieczoru.

Claire jęknęła i spuściła głowę.

- To chyba nie bardzo jej pomogło, Jill – stwierdził Kyle chłodno. -Wsiadaj do samochodu.

- Nie, dziękuję. Jedźcie sami. Zaczekam na was w domu - powiedziała Jill.

- Ale... - Claire wyprostowała się nagle i poczuła się tak, jakby Jill ją porzucała.

- I tak mam tu auto, a wy musicie porozmawiać - zdecydowała stanowczo Jill i zaczęła się oddalać.

Claire wypuściła z płuc powietrze i spojrzała na Kyle'a. Nic nie powiedział, otworzył jej tylko drzwi i wpuścił ją do środka, a potem zamknął je za nią. Claire zagryzła wargi i patrzyła, jak Kyle idzie na drugą stronę i siada za kierownicą.

W ciemnym wnętrzu samochodu zapanowała chwila ciszy, ale nagle Kyle parsknął śmiechem.

- Co? - spytała podejrzliwie Claire.

- Właśnie sobie uświadomiłem, że dziś wieczorem zdradzałaś mnie z moją własną siostrą.

Claire się skrzywiła.

- Chyba raczej była to podwójna randka, na której byłam jednocześnie Bradem i Claire.

- Byłoby znacznie prościej, gdybyś mi po prostu powiedziała, co jest grane - stwierdził Kyle.

- Wiem. - Claire pochyliła głowę.

- Ale nie wierzyłaś, że nie zapędzę cię natychmiast do laboratorium i nie potraktuję jak Tuptusia – powiedział cicho.

- Nie - zaprzeczyła szybko Claire. - To nie tak. Bałam się po prostu, że uznasz mnie za wariatkę albo będziesz...

- Traktować cię jak przedmiot badań, a nie jak ciebie - dokończył cicho.

Claire westchnęła, bo nie mogła zaprzeczyć.

- Nic takiego by się nie stało, Claire - powiedział Kyle poważnie. - Znamy się za długo, żebym mógł uznać cię za kogoś innego niż jesteś. A jesteś piękną, inteligentną, młodą kobietą.

Claire poczuła, że do oczu napływają jej łzy, ale powstrzymała się od płaczu i szybko zmieniła temat, pytając o to, nad czym zastanawiała się przez cały wieczór.

- Obiecałeś, że mi powiesz, dlaczego się ze mną nie umówiłeś, kiedy chodziliśmy do szkoły - przypomniała mu.

Kyle skrzywił się i wyznał:

- Tak naprawdę dlatego, że twój ojciec ze mną rozmawiał i poprosił mnie, żebym tego nie robił.

- Mój ojciec? - spytała zdumiona Claire.

Kyle kiwnął głową.

- Powiedział, że wyraźnie widać, że się lubimy i dobrze się dogadujemy i pewnie tworzylibyśmy świetną parę, ale ostrzegł mnie, że może lepiej, żebym zaczekał, aż skończymy szkołę, zanim zacniemy coś na poważnie. Wiemy już, że się lubimy, więc jeśli się okazało, że łączy nas też namiętność, moglibyśmy zrobić coś nierozsądnego. Zaszłabyś w ciążę albo pobralibyśmy się pod wpływem impulsu i zaprzepaścili szansę na karierę. Chciał też, żebyś stała się niezależna i przekonała się, że potrafisz stanąć na własnych nogach, a nie przeprowadzała się prosto od rodziców do męża.

- Tata tak powiedział? - spytała ze złością Claire. Nie mogła uwierzyć, że jej własny ojciec w taki sposób namieszał w jej życiu osobistym. Zdecydowanie będzie musiała z nim porozmawiać.

- I miał rację, Claire - przyznał cicho Kyle. - Tak było lepiej. Ty szybciej zrobisz magisterium, a ja doktorat. Nauczyłaś się niezależności i wiesz, że jeśli nie będziesz szczęśliwa, możesz zawsze odejść i sama o siebie zadbać. Umawiałaś się też z innymi mężczyznami, a ja z innymi kobietami, więc nie będziemy się nigdy zastanawiać nad tym, co nas ominęło.

Claire zamruwała.

- To zabrzmiało dość poważnie, Kyle.

- Chyba tak, co? - Uśmiechnął się cierpko, po czym złapał ją za rękę i powiedział: - Słuchaj, Claire, znam cię od czasów, gdy byłaś chudą, dwunastoletnią smarkułą

z aparatem na zębach. To wystarczająco długo, żeby się upewnić, że cię kocham. Zawsze cię kochałem.

- Kochasz mnie? - spytała przyjemnie zaskoczona Claire.

- Tak.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała radośnie.

Kyle nachylił się i ją pocałował, a Claire poczuła, jak przeszywa ją dreszcz napiętności, która znów między nimi wybuchła. Zdecydowanie działała tu jakaś chemia i dobrze było mieć tę świadomość, pomyślała Claire i nagle poczuła, jak dłoń Kyle'a wsuwa się między poły marynarki i obejmuje jej pierś. Jęknęła i wyprężyła się, kiedy jego usta zaczęły wędrować w dół jej szyi.

- Och, Kyle - szepnęła i jedną ręką złapała go za ramię, a drugą podjęła swoją własną wędrówkę.

- Och, Claire - westchnął i zaczął się wiercić w poszukiwaniu wygodniejszego miejsca, gdzie nie będzie im przeszkadzać skrzynia biegów i kierownica. Oboje dyszeli, częściowo z podniecenia, a częściowo z powodu frustracji, ale nagle Kyle sięgnął nad nią ręką i pociągnął za dźwignię, żeby opuścić oparcie jej siedzenia.

Claire krzyknęła głucho, kiedy nagle opadła do tyłu, po czym po prostu przesunęła się dalej, prowadząc go na tylne siedzenie, gdzie kierownica i skrzynia biegów przestaną im już zawadzać. Kyle mruknął i podążył za nią, ciągnąc jednocześnie za poły marynarki, żeby rozebrać Claire, a potem dołączył do niej na tylnym siedzeniu. Nagle zatrzymał się i rozejrzał dokoła, zdziwiony widokiem niemal całkiem zaparowanych szyb. Zmarszczył brwi i niechętnie zaproponował:

- Możemy wrócić do domu.

- Za daleko - mruknęła Claire i wyciągnęła do niego rękę. Zamilkła i uśmiechnęła się kpiąco na myśl, że są siebie tak spragnieni, że będą się kochać na tylnym siedzeniu samochodu jak para nastolatków. Pokręciła głową i powiedziała: - Tata miał rację.

- O tak - przyznał kpiąco i wyciągnął się tak, żeby częściowo leżeć na niej, a częściowo na siedzeniu, a potem znów ją pocałował.

Drżąc i pojękując, Claire wyprężyła się i westchnęła z podniecenia, kiedy jego ręka odszukała jej kobiecość. Jęknęła i uniosła biodra, po czym wyciągnęła rękę po niego, uśmiechając się, kiedy mruknął w odpowiedzi na jej dotyk.

Był już twardy, ale ciągle się powiększał, a Claire aż otworzyła ze zdumienia oczy, widząc, że jego aż nadto zdrowy wzwód pod wpływem jej dotyku ciągle się powiększa. I powiększa. I powiększa.

Dobry Boże, pomyślała półprzymtomnie, chyba wygrałam los na loterii. Ten facet był naprawdę hojnie obdarzony.

Kyle przestał ją całować, przysunął wargi do jej ucha i mruknął:

- Czy mówiłem ci już, że destabilizator był ciągle włączony, kiedy wbiegłem do komory, żeby cię wyciągnąć? Odkryłem skutki napromieniowania i moje nowe zdolności na parkingu przed sklepem spożywczym, kiedy poszedłem dziś na zakupy.

Słyszając to, Claire zrobiła wielkie oczy.

- Chcesz powiedzieć, że to ty to robisz? Możesz go powiększać?

Kyle kiwnął potakująco głową, wziął płatek jej ucha między zęby i lekko zagryzł.

- Co sobie tylko pani zażyczy.

- Ale Kyle! - zawołała. - Nie powinieneś tego robić. A co z możliwością dalszej destabilizacji komórek, aż się rozpadną?

Kyle wyprostował się z westchnieniem.

- Tak naprawdę nie sądzę, żeby to było możliwe. Chodziło mi głównie o to, żebyśmy nie musiał się już dziś dzielić tobą z Jill - wyznał, po czym dodał z kpiącym uśmiechem: - Zaważyło też to, że mogłem cię zobaczyć naga.

Claire popatrzyła na niego ze zmrużonymi oczami.

- Kyle, może udaje ci się tak oszukiwać Jill, ale ja jestem równie dobrze zorientowana w tym temacie, jak ty. Wiem, że jest możliwość...

- Niewielka możliwość - przyznał. - Naprawdę niewielka, a dla ciebie warto zaryzykować.

- Och, Kyle - szepnęła Claire i przycisnęła go do siebie. - To najcudowniejsza rzecz, jaką usłyszałam.

6 EPILOG

PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

Nie mogę uwierzyć, że Kyle zgodził się zostać z dzieckiem - powiedziała Jill, kiedy wysiadły z samochodu.

Claire roześmiała się i poszła na tył samochodu do bagażnika, żeby wyjąć zakupy, które zrobiły.

- Wiedział, że chcę kupić sukienkę na obronę w przyszłym tygodniu. Muszę dobrze wyglądać, kiedy będę mianowana na panią doktor Claire Lockhart.

Jill uśmiechnęła się lekko, widząc jej dumę z tego, że w końcu udało jej się zrobić doktorat, ale pokręciła głową:

- A jednak...

- Daj spokój - zgaśniła ją Claire. - Kyle jest świetnym tatą. Kocha małą Beth.

Jill parsknęła.

- Gubi ją za każdym razem, kiedy z nią zostaje, a to doprowadza go do szału.

Claire znów się roześmiała śmiechem szczęśliwej żony i matki. Minęło pięć lat od szkolnego zjazdu i pierwszej randki z Kyle'em Lockhartem. Cztery, odkąd została panią Claire Lockhart, i dwa, odkąd urodziło im się pierwsze dziecko. Claire była teraz w trzecim miesiącu ciąży

z drugim dzieckiem i już nie mogła się doczekać przyjścia na świat małego braciszka albo siostrzyczki Beth. Miała nadzieję, że to będzie chłopiec. Nic nie mogłoby jej uszczęśliwić bardziej niż podarowanie Kyle'owi syna do pary z córeczką.

- Kyle! - zawołała Claire, prowadząc Jill do domu. - Wróciłyśmy!

Z końca korytarza odpowiedział jej dziecięcy śmiech i Claire poszła powoli w stronę kuchni, uważnie przyglądając się podłodze. Była już prawie przy kuchennych drzwiach, gdy zatrzymała się gwałtownie i pokręciła głową.

- Ty mała diablico - zganiała ją Claire. - Znów bawisz się z tatusiem w chowanego?

Nierówny kawałek podłogi, który zwrócił jej uwagę, jeszcze raz zachichotał i zamienił się nagle w golutką dziewczynkę z kręconymi rudawymi włosami i wielkimi niebieskimi oczami.

- Claire! - Kyle zbiegł pędem po schodach z włosami i ubraniem w nieładzie, lekko rozbieganymi oczami oraz pieluszką i różową sukieneczką w ręce. - Nie mogę znaleźć Beth. Rozebrała się i znów się przede mną chowa. Beth...

Zamilkł i zamrugał gwałtownie, gdy zauważył dziecko opierające się o kolana matki.

- Och, Beth - szepnął z ulgą, podszedł do niej szybko i wziął ją na ręce. - Niedobra dziewczynka, nie wolno tak straszyć tatusia.

Kiedy córka w odpowiedzi tylko się zaśmiała, Kyle pokręcił głową i schylił się, żeby pocałować Claire czule w usta.

- Kocham cię - szepnął jej do ucha, zanim się wyprostował.

- A ja ciebie - zapewniła go Claire.

Przyglądała się z łagodnym uśmiechem, jak Kyle oddala się korytarzem, karcąc córeczkę.

Minęło pięć lat od chwili, kiedy oboje zostali napromieniowani destabilizatorem. Udało im się zachować to w tajemnicy, a jednocześnie doprowadzić do zwolnienia Johna Heathcliffe'a za „usiłowanie” przetestowania destabilizatora na człowieku. I jak dotąd - ku ich wielkiej uldze, ponieważ dziecko odziedziczyło ich zdolności - wyglądało na to, że promieniowanie destabilizatora nie miało żadnych potwornych skutków ubocznych. Jeśli już, sprawiło, że ich życie stało się trochę bardziej interesujące.